

ZNANY ADWOKAT O PRAWIE I BEZPRAWIU

Smakowite, dowcipne, intrygujące i zmuszające  
do myślenia historie z sali sądowej.



JACEK DUBOIS



# NIEŁAD

czyli iluzje sprawiedliwości

Jaką diaboliczną zemstę planuje zdradzony kochanek i czy uniknie kary?  
Dlaczego na sali sądowej ofiara zostanie uznana za niepoczytalną,  
a jej prześladowca uniewinniony?

**JACEK DUBOIS**

**NIEŁAD**  
czyli iluzje sprawiedliwości



EDIPRESSE  
KSIĄZKI

## SPIS TREŚCI

1. Przywiązanie
2. Żelazna konsekwencja
3. Urok wieloryba
4. Mąż do sprawdzenia
5. Obrona doskonała
6. Na każde wezwanie
7. Sąsiedzi
8. Delegacja
9. Dwie dziewczyny
10. Najdroższe przemówienie
11. Jak ksiądz
12. Wyniki badań
13. Dobrze opłacany pracownik
14. Szczury
15. Być jak Colombo

Postowie

## PRZYWIĄZANIE

**R**obert z wściekłością uderzył pięścią w szybę budki telefonicznej. Gdzie ona jest? Najpierw dzwonił do niej z telefonu komórkowego, a teraz zakładając, że nie odbiera połączeń od niego, wszedł do budki telefonicznej przed jej domem i próbował dodzwonić się z nieznanego numeru. Jednak poczta głosowa do znudzenia powtarzała: „Nie mogę z tobą rozmawiać, zostaw wiadomość”. Wystukał jej numer domowy, nie podniosła słuchawki. Była druga w nocy. Imieninowa herbatka u cioci Danusi, na którą poszła z mamą, nie mogła trwać tak długo. Był pewien, że nic złego jej się nie przytrafiło, bo obdzwonił wszystkie szpitale w mieście. Usiadł na ławce i z odległości kilkudziesięciu metrów obserwował drzwi jej domu. Będzie czekał do skutku. Musi się dowiedzieć, gdzie była.

Poznali się dwa lata wcześniej na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. On był na drugim roku socjologii, ona właśnie zaczęła studiować dziennikarstwo. Roberta fascynowała wówczas fotografia. Nie rozstawał się z aparatem Hasselblad, który dostał od rodziców tuż po maturze. Chciał zorganizować na wydziale wystawę swoich fotografii. To miały być portrety. Wałęsał się po uniwersytecie w poszukiwaniu modeli. Dziewczyna siedziała na drewnianej ławce i rozmawiała przez telefon. Kiedy ją zobaczył, wiedział, że bez niej nie będzie wystawy. To zmobilizowało go do działania. Sięgnął po aparat i udając, że fotografuje mury uczelni, zrobił jej kilka zdjęć. Nie był zadowolony z efektu, z jej twarzy można było wydobyć więcej, jeżeli zgodziłaby się pozować.

– Cześć, chciałbym ci zrobić kilka zdjęć – powiedział, siadając obok niej.

Dziewczyna się roześmiała.

– Doskonale znam dalszy ciąg tej kwestii. Gdzieś niedaleko masz studio fotograficzne i zapraszasz mnie na sesję zdjęciową. Dzięki tobie trafię na pierwsze strony magazynów mody. Potem powiesz, że mam

piękne ciało, które trzeba uwiecznić. Nic z tego, znam te sztuczki. I znam fotografów, bo pracuję jako modelka.

– Nie mam studia fotograficznego i nie chce iść z tobą do łóżka – odparł, patrząc jej w oczy.

Z tym ostatnim to trochę przesadziłem, przyznał w duchu. Ale to jeszcze nie ten etap znajomości.

– Zamierzam zorganizować wystawę moich zdjęć na wydziale, stąd ta prośba. Ale skoro nie, to trudno. Przepraszam, że zawracałem ci głowę. Cześć.

– Poczekaj. Mam za dużo głupich propozycji, dlatego tak zareagowałam. Nie wyglądasz na podrywacza. – Dziewczyna popatrzyła na aparat. – A więc zgoda. Kto wie, może staniesz się Robertem Capą dwudziestego pierwszego wieku. – W jej słowach brzmiała lekka kpina, ale Robert się tym nie przejął.

Wystawę udało mu się zorganizować, a zdjęcie dziewczyny trafiło do branżowego czasopisma. Chętnie by jej te fotografie pokazał, ale nie wiedział nawet, jak się nazywa. Spotkał ją dopiero po kilku tygodniach.

– Mam dla ciebie parę zdjęć – zagadnął. – Jedno z nich opublikowało czasopismo poświęcone fotografii. Będzie ci się podobało.

W pierwszej chwili go nie poznała, ale rzut oka na hasselblada sprawił, że przypomniała sobie tamto popołudnie.

– Super, dziękuję, a jak się udała wystawa?

Chwilę porozmawiali, a kiedy się rozstawali, poprosił ją o adres mailowy. Dzięki niemu dowiedział się, że na imię ma Magda. Wieczorem przesłał jej jedno zdjęcie. Następnego dnia dostał wiadomość: „Bardzo ładne. Dziękuję. M.”. Wysłał więc kolejne. Odpowiedź była równie krótka.

Ta zabawa trwała przez tydzień – on wysyłał zdjęcie bez komentarza, ona lakonicznie odpowiadała. W końcu Robert napisał, że dostała już wszystkie zdjęcia, jakie miał.

„I co teraz?” – nadeszło w odpowiedzi. Wczytywał się w te słowa, próbując odgadnąć intencje dziewczyny. „Gdyby chciała mnie splawić, nie zadawałaby pytania” – przekonywał sam siebie. W końcu zaproponował spotkanie. Na pierwszej randce wypili kawę, a potem Robert odprowadził ją do domu.

Pół roku później był już pewien, że spotkał kobietę, z którą chce spędzić resztę życia. Uznał, że powinni się zaręczyć, więc musi kupić

pierścionek. Problem polegał na tym, że Magda jego zdaniem zasługiwała na coś wyjątkowego, ale taka biżuteria była poza jego finansowym zasięgiem. Na szczęście miał w Norwegii wuja, który już dawno proponował, że znajdzie mu tam pracę. Wyjazd oznaczał rozstanie z Magdą, Robert jednak pojechał, bo dzięki temu miał nadzieję związać się z nią na zawsze. Dwa miesiące spędził na kutrze rybackim, po czym wrócił z ponadkaratowym diamentem oprawionym w białe złoto. Oświadczył się na wydmach nad morzem. Gdy ukląkł przed Magdą, najpierw zaniemówiła, a potem zaczęła płakać.

– Co się stało? – Jej łzy go przeraziły.

– To ze wzruszenia. Jest piękny, o takim marzyłam, jak byłam dziewczynką.

– Więc wyjdiesz za mnie? – naciskał.

– Kocham cię, Robercie, ale to dla mnie za wcześnie. Jesteśmy dopiero dużymi dziećmi.

Ale on nie rozumiał tego. Był pewien swojej miłości i tego samego oczekiwał od Magdy. Dwa miesiące harował na kutrze, żeby kupić jej najpiękniejszy pierścionek, a ona odmawia.

– A więc mnie nie kochasz? – spytał.

– Nic nie rozumiesz. – Odsunęła się od niego. – Kocham cię, tylko nie chcę niczego przyspieszać.

– Ale nie ma nikogo innego? – upewnił się.

– Nie, głuptasie. Gdybym kiedyś pomyślała o innym, powstrzymaj mnie.

Robert musiał pogodzić się z decyzją Magdy. Robił jednak wszystko, by przyspieszyć moment, w którym jego dziewczyna uzna, że jest gotowa do małżeństwa. Starał się jak najczęściej z nią przebywać, przychodził w czasie przerw między wykładami, obiecał, że będzie jej towarzyszył podczas praktyk studenckich, wpadał na jej sesje. Co kilka dni sondował, czy nie zmieniła zdania. Przyjął prostą zasadę, że im więcej, tym lepiej.

Od miesiąca Magda wraz z mamą odwiedzała chorą ciocię Danusię, o której wcześniej nie wspominała ani słowem. Zastanawiał się, dlaczego nagle stała się taka rodzinna. Chciał jeździć do chorej krewnej razem z nimi, ale się nie zgodziły. Dziś pojechała na imieniny cioci i do tej pory nie wróciła. Z rozmyślań wyrwał go odgłos zatrzymującego się samochodu. To był jeep cherokee. Wsiadła z niego Magda i na pożegnanie pomachała kierowcy ręką. W pierwszym odruchu chciał



do niej podbiec. Powstrzymał się jednak i zapisał numery rejestracyjne auta. Odczekał kilka minut i ponownie zadzwonił na jej telefon komórkowy. Bez skutku. Poszedł do wejścia i nacisnął domofon. Także nic. Uznał, że będzie musiał to z nią wyjaśnić.

Magda po wejściu do mieszkania włączyła telefon. Policzyła, że Robert dzwonił dwadzieścia dziewięć razy. W tym momencie zadzwonił znowu. Ze złością rzuciła komórkę na kanapę. Po chwili odezwał się domofon. Usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach. Nie wiedziała, jak wydostać się z tej matni.

Dwa lata temu, kiedy się spotkali – dziś już zaczynała tego żałować – była w nim bardzo zakochana. Wszystko zaczęło się psuć po jego powrocie z Norwegii. Tak ją zaskoczył oświadczeniami i pierścionkiem, że być może zraniła go swoją reakcją. Potem już było tylko gorzej. Zniknął pogodny chłopak, którego znała. Zaczął się nią obsesyjnie opiekować. Nieustannie był blisko, czuła, że ją osacza. Przeszkadzał jej nawet w pracy, udzielając rad zawodowym fotografom, bo przecież tylko on wiedział, w jakim świetle Magda wygląda najlepiej. Dwukrotnie doszło do przepychanek w kawiarniach, gdy Robert ubzdurał sobie, że uśmiechnęła się do jakiegoś chłopaka. Postanowiła zakończyć ten związek, ale wysyłane przez nią sygnały nie docierały do Roberta. Ostatnie miesiące były dla niej trudne. Musi zebrać się na odwagę i powiedzieć mu wprost, że to koniec. Im szybciej, tym lepiej. Artur, szef agencji reklamowej, z którym była dziś na kolacji, mógł okazać się antidotum na kiepski nastrój i rozterki.

Rano Robert poszedł do Magdy na wydział. Zdawał sobie sprawę, że drogi samochód, którym wróciła w nocy do domu, nie wróżył niczego dobrego. Zobaczywszy Roberta, dziewczyna uznała, że to dobry moment, by zakończyć ten związek. Niestety, obok pojawiły się koleżanki i chcąc uniknąć publicznej awantury, Magda postanowiła zaczekać na bardziej sprzyjającą chwilę.

- Dlaczego nie odbierałaś telefonu? – spytał z pozornym spokojem.
- Wyciszyłam go u cioci, a potem zapomniałam włączyć – skłamała.

Robert wiedział, że oszukuje. Zamierzał wrócić do tej rozmowy, gdy dowie się czegoś więcej. Od kumpla pracującego w urzędzie komunikacji dowiedział się, że samochód, który wczoraj odwiózł Magdę, należy do Artura Bagińskiego.

Wczesnym rankiem podjechał pod dom, w którym mieszkał właściciel auta. Na pobliskim parkingu odnalazł oliwkowego jeepa cherokee. Zaparkował tak, by móc obserwować parking, i czekał. Po godzinie zobaczył zbliżającego się do samochodu wysokiego mężczyznę. Przyciągał uwagę długimi czarnymi włosami spadającymi na ramiona. Był ubrany w ciemną aksamitną marynarkę i fioletowe buty od Prady, wokół szyi miał okręcony jedwabny szal. Robertowi bardziej przypominał manekin z wystawy domu mody niż żywego człowieka.

Mężczyzna prowadził bardzo szybko, jadący za nim starym oplem Robert kilka razy stracił go z oczu. Nie zgubił go jednak, bo poranne korki spowalniały ruch. Jeep zatrzymał się przed dużą willą na Mokotowie, w której – jak informowała tabliczka przy furtce – znajdowała się agencja reklamowa. Robert kilka następnych godzin spędził w samochodzie zaparkowanym przy wejściu do biura. Włączył laptop i bez trudu dowiedział się, że właściciel oliwkowego wozu jest prezesem agencji specjalizującej się w reklamie ekskluzywnych marek odzieżowych. A więc Magdy nie odwiózł do domu ktoś przypadkowy, na przykład kuzyn, który też przyszedł złożyć cioci życzenia. Rozważania na temat wierności narzeczonej przerwało mu jej pojawienie się przy wejściu do agencji. Drzwi się otworzyły i na spotkanie Magdzie wyszedł Artur Bagiński. Sposób, w jaki się przywitali, pozbawił Roberta resztki złudzeń. Sięgnął po aparat i zrobił im serię zdjęć. Weszli do restauracji, która mieściła się w sąsiedniej willi, i spędzili tam godzinę. Pożegnanie było równie czułe jak powitanie. Robert nadal siedział w samochodzie, czekając aż Artur wyjdzie z pracy.

Bagiński po opuszczeniu firmy pojechał na Myśliwiecką. Usiadł na ławce w parku, a Robert ukryty za drzewem obserwował go z aparatem w dłoni. Po jakimś czasie do Artura przysiadł się niedbale ubrany młody chłopak. Sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje, i z plecaka wyjął plastikową torebkę z białym proszkiem. Artur schował ją do kieszeni, po czym wręczył chłopakowi banknoty wyjęte z portfela. Następnym przystankiem był bar sushi, a potem sklep z alkoholami. Rywal w końcu podjechał pod swój dom, zostawił samochód i wszedł na klatkę schodową. Robert obserwował okna, trzydzieści sekund później w jednym z nich na parterze zapaliło się światło. Wiedział już, gdzie facet mieszka. Ale czekał dalej. Po półtorej godziny zobaczył Magdę. Wszystko było jasne.



W domu Robert otworzył butelkę whisky, jednak dwie kolejne szklaneczki nie przyniosły pożądanego efektu. Włączył telewizor i bezmyślnie wpatrywał się w ekran, obserwując australijskich farmerów przeganiających z pastwiska stada owiec. W końcu wyłączył telewizor, nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę i myślał. Po pewnym czasie w głowie zaczął układać mu się plan. Następnego dnia pojechał po zakupy do centrum handlowego, po czym zdecydował się odwiedzić Magdę. Była w domu i wpuściła go na górę.

Wizyta Roberta zaskoczyła Magdę. Wczoraj wieczorem wyłączyła telefon, żeby nie słyszeć co pięć minut dźwięku dzwonka. Potem ze zdumieniem stwierdziła, że Robert nie odezwał się przez cały wieczór. Czyżby w końcu zrozumiał, że to koniec? Ucieszyło ją to. Radość przerwał jednak dzwonek domofonu. To był Robert. Może przyszedł po swoje rzeczy, pocieszała się. Tak czy inaczej, winna mu była pożegnalną rozmowę. Wcisnęła klawisz otwierający drzwi klatki schodowej. Trochę spanikowana zastanawiała się, jak się zachować. W końcu zdecydowała, że będzie miła, uprzejma, ale stanowcza i da mu jasno do zrozumienia, że ich związek się skończył. Gdy otworzyła drzwi, Robert bez słowa wszedł do środka. Zdjął z ramienia torbę i zaczął z niej wyjmować przedmioty kupione w centrum handlowym.

– Co to jest? – spytała zdziwiona na widok tego, co przyniósł.

Nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrzał.

– Po co ci to? Wyjdź z mojego mieszkania – krzyknęła teraz już naprawdę przestraszona.

Kiedy wszystko leżało na stole, Robert mógł przystąpić do pracy. Najpierw musiał jednak uciszyć Magdę, w takim hałasie nie mógł się skupić. Złapał ją za ramiona i pchnął na łóżko. Dostrzegł w jej oczach przerażenie, nigdy wcześniej nie użył wobec niej siły. Sięgnął po grubą taśmę samoprzylepną, przekręcił Magdę na brzuch, po czym mocno owinął jej taśmą nadgarstki rąk za plecami.

– Robert, co ty robisz? Puść mnie!

Nie odezwał się. Teraz taśmą samoprzylepną skrępował jej nogi.

– Ratunku!!! – krzyknęła.

Lewą ręką zakrył jej usta, a potem zakleił je kawałkiem taśmy. Było jej niedobrze, dusiła się, z oczu płynęły jej łzy. Na Robercie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Podeszedł do stołu, wziął z niego maszynkę i zaczął

metodycznie golić jej głowę. Po kilku minutach było po wszystkim. Dopiero teraz po raz pierwszy się do niej odezwał.

– Powiedziałaś, że nigdy mnie nie zdradzisz, a jeśli kiedyś pomyślisz o innym, to mam cię powstrzymać. Pamiętasz? Nie dotrzymałaś obietnicy, więc ja spełniłem twoją prośbę.

Magda nie mogła się skupić na tym, co on mówi. Bardzo się bała i otepiałym wzrokiem wpatrywała się w leżące na łóżku włosy. Przerazona zobaczyła, jak Robert z jej biurka wziął nożyk, którego używała do cięcia papieru. Co on jeszcze zamierza zrobić?

– Tym możesz przeciąć taśmy. – Położył nóż obok niej.

Po uwolnieniu się wybiegła z mieszkania. W głowie miała jedną myśl: „muszę iść na policję”. Nie dlatego, żeby się mścić. Po prostu bała się, że on wróci. Na klatce schodowej przypomniała sobie, jak teraz wygląda. Wróciła. Wełniana czapka nie była odpowiednia na tę porę roku, ale zakrywała łysą głowę. Biegając ulicą, miała wrażenie, że wszyscy jej się przyglądają. Oficer dyżurny przyjął ją po dwóch godzinach. Gdy powiedziała, że chce złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez swojego byłego chłopaka, policjant nie wykazał entuzjazmu.

– Do swoich spraw nie powinniście mieszać policji. Dziś się pokłóciliście, a jutro się pogodzicie i przyjdzie pani prosić, żebyśmy umorzyli postępowanie.

– Nigdy się z nim nie pogodzę.

W końcu oficer przyjął zawiadomienie. Rozpłakała się, gdy poprosił, żeby zdjęła czapkę i pokazała, co zostało z jej włosów.

Robert popołudnie spędził w domu przed telewizorem. Gdy usłyszał dźwięk dzwonka, odetchnął z ulgą. Czekał na nich. Jeśli do niego tak się guzdrali, to nic dziwnego, że bez trudu wymykają im się prawdziwi przestępcy, pomyślał.

– Pan Robert Kern? – Policjanci upewnili się co do jego tożsamości. – Jest pan zatrzymany pod zarzutem napaści na panią Magdę Wanet.

Robert nie zadając żadnych pytań, poszedł z policjantami. Pierwszy raz w życiu znalazł się w komisariacie. Przestraszył go surowy wystrój pokoju przesłuchań: małe pomieszczenie z obdrapanymi ścianami, pod sufitem lampa, która zapewne pamięta początki elektryfikacji, i prosty stół z metalowymi nogami. Robertowi kazano usiąść naprzeciw policjanta, na niewygodnym stołku bez oparcia. Funkcjonariusz rozpoczął przesłuchanie.

- Co pan robił dziś około dwunastej?
- Byłem u mojej narzeczonej Magdy Wanet.

Policjant protokołował, dwoma palcami wystukując na klawiaturze odpowiedzi.

- Co robiliście?

– Dowiedziałem się, że ona mnie zdradza. Ja ją tak bardzo kocham, a ona mnie zdradziła! – W geście rozpaczony zakrył twarz dłońmi. – Pokłóciliśmy się.

Policjant ciężko westchnął. Miał ochotę iść już do domu, a musiał zajmować się miłosnymi problemami dzieciaków. Na szczęście chłopak pozbierał się i mówił dalej.

– Kiedy się o tym dowiedziałem, postanowiłem z nią zerwać. Nie potrafiłbym żyć z dziewczyną, która mnie zdradza. Powiedziałem jej, że to koniec, a ona dostała histerii. Groziła, że jeśli odejdę, popełni samobójstwo. Przestraszyłem się, że naprawdę coś sobie zrobi. A potem zażądała, żebym ogolił jej głowę, bo za to, co zrobiła, musi ponieść karę. To miała być pokuta. Nie chciałem, ale strasznie płakała, wpadała w coraz większą histerię. Nie wiedziałem, jak ją uspokoić, i w końcu się zgodziłem. Teraz widzę, że dałem się zrobić jak dziecko. Ona to zaplanowała.

Policjant odetchnął z ulgą. Chłopak się przyznał, popołudnie będzie miał wolne. Całą sprawę udało się rozwiązać w niespełna dwie godziny. Nawet mu współczuł. To parszywe uczucie dowiedzieć się, że narzeczone idzie z innym do łóżka. Oczywiście nie uwierzył, że to ona kazała sobie obciąć włosy. Zastanawiał się, co zrobić z tym młodym człowiekiem – jest spokojny, nie stawiał oporu przy zatrzymaniu, przyznał się. Kazał mu podpisać protokół i puścił do domu.

– Tylko trzymaj się od niej z daleka. Jeśli dziewczyna będzie się skarżyć, że ją prześladowasz, trafisz za kratki – powiedział na zakończenie.

Dwa dni później Magda szła na spotkanie z Arturem. Przeczynała, że nie będzie zachwycony tym, jak teraz wygląda. Intuicja jej nie myliła. Artur wymawiając się nagłymi obowiązkami, szybko zakończył spotkanie, obiecując, że zadzwoni wieczorem. Ale nie zadzwonił. Przeplakała pół nocy. O nim też chciała jak najszybciej zapomnieć. Na myśl o jakimkolwiek mężczyźnie robiło jej się niedobrze.

Wezwanie do sądu na rozprawę Robert dostał sześć tygodni później. Był na to przygotowany, wcześniej miał kilka spotkań z adwokatem. Do sądu przyszedł ubrany w szary garnitur, białą koszulę i ciemnogrnatowy krawat. Wyglądał na młodzieńca, którego każdy ojciec wymarzyłby sobie na narzeczonego dla swojej córki. Czterdziestokilkuletni sędzia z aprobatą pokiwał głową na jego widok. Gdy przyszedł czas na wyjaśnienia, Robert spokojnym głosem opowiadał historię swojego związku z Magdą. Mówił o tym, jak się poznali, o wyjeździe do pracy w Norwegii, żeby zarobić na pierścionek zaręczynowy, a w końcu o tym, jak wybranka zawiodła jego zaufanie, zdradziwszy go z innym mężczyzną. Tak jak w komisariacie, oświadczył, że kiedy się o tym dowiedział, poszedł do jej mieszkania, żeby zakończyć związek. Ona nie chciała, by odszedł, dostała hysterii i żądała, by ją ukarał, ścinając jej włosy. Dopiero gdy przyszła policja, zrozumiał, że to była jej zemsta. Sędzia prawie mu współczuł – młody, kulturalny, zakochany chłopak, który zostaje zdradzony. Oczywiście nie uwierzył w końcową część opowieści, jednak w jego oczach chłopak też był stroną pokrzywdzoną. Dziewczynie włosy odrosną szybciej, niż jemu minie ból duszy, ocenił.

Potem zeznawała Magda. Zdenerwowanie zbliżającą się rozprawą sprawiło, że przez dwie ostatnie noce nie zmrużyła oka. Wyglądała, jakby do sądu przyszła po kilkudniowej imprezie. To było jej pierwsze spotkanie z Robertem, od czasu gdy ściął jej włosy. Zaczęła trząść się ze strachu. Nie mogła zebrać myśli, w końcu wykrztusiła tylko, że Robert przyszedł do niej, związał ją i ostrzygł. Po opowieści Roberta o byłej dziewczynie sędzia spodziewał się zobaczyć kobietę o uroku Audrey Hepburn. Magda – blada, rozdygotana, z podpuchniętymi oczami – bardzo się różniła od tego wyobrażenia. Widząc, że dziewczyna sama nic więcej nie powie, zaczął zadawać jej pytania.

– Jak długo byli państwo parą?

– Prawie dwa lata.

– Czy w tym czasie spotykała się pani z kimś innym?

Magda zastanawiała się, co powiedzieć. Spotykała się, ale dopiero wtedy, gdy już nie chciała być z Robertem. Próbowwała mu powiedzieć, że to koniec, lecz on nie przyjmował tego do wiadomości. Nie zdradziłaby Roberta, gdyby nie jego chorobliwa zazdrość. Tylko jak to wszystko wytłumaczyć sędziemu? Nie chciała roztrząsać publicznie

ich relacji i swoich uczuć, dlatego postanowiła niczego nie tłumaczyć. Uznała, że im prościej i krócej będzie odpowiadać, tym szybciej ten koszmar się skończy.

– Tak – przyznała.

Gdy wychodziła z sali, czuła, że wszyscy patrzą na nią jak na ladacznicę, która wzgardziła uczuciami oddanego jej mężczyzny. Po krótkich przemówieniach stron sąd wydał wyrok. Uznał oskarżonego winnym i uwzględniając wszystkie okoliczności łagodzące, skazał go na tysiąc złotych grzywny. Robert wyszedł z sądu zadowolony. Scenariusz, który omawiał przed sprawą ze swoim obrońcą, sprawdził się w stu procentach.

Do agencji reklamowej na Mokotowie pojechał już po uprawomocnieniu się wyroku. Czekał na Artura. Podszedł do niego, gdy jego były rywal wychodził z pracy.

– Chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

– Czy my się znamy? – zdziwił się Artur.

– Nie, ale mamy wspólną znajomą, Magdę.

– To pomyłka. – Mężczyzna próbował go wyminąć.

– Jeśli tak, to nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebym te zdjęcia zaprezentował pańskiej żonie – powiedział, pokazując zrobione przed agencją fotografie, na których Artur przytula Magdę.

– To szantaż? Ile za to chcesz?

– Nie chodzi o pieniądze. Porozmawiajmy.

Usiedli w małej kawiarence kilka ulic dalej.

– Pan miał romans z moją narzeczoną – oskarżył go Robert.

– Naprawdę nie wiedziałem, że Magda jest z kimś związana. – Artur próbował się tłumaczyć. – Poznałem ją na sesji organizowanej przez moją agencję, zaprosiłem na kawę. Rzeczywiście spotkaliśmy się kilka razy. Dopiero później, kiedy przyszła ogolona do gołej skóry, powiedziała, że zrobił to jej były chłopak. Przestałem się wtedy z nią spotykać. Co pan chce za te zdjęcia?

– Małą przysługę. – Robert krótko wyjaśnił, czego oczekuje.

– Pan jest chory, pan chyba zwariował. – Artur był przerażony.

– To twoja opinia, nie podzielam jej, ale to nie ma znaczenia. Jeśli się nie zgodzisz, zdjęcia trafią do twojej żony.

– Zabiję cię, jeśli to zrobisz. – Artur zacisnął dłoń.

– Za dużo masz do stracenia.

To była prawda. Po tym, co usłyszał, powinien zawiadomić policję. Ale to by oznaczało rozwód i płacenie ogromnych alimentów. Jakież był głupi, że korzystając z wyjazdu żony, umówił się z tą dziewczyną.

– Zakładając, teoretycznie oczywiście, że zrobiłbym to, czego pan oczekuje, żona i tak się dowie, nie ukryję tego przed nią.

Robert jako dziecko grał sportowo w szachy. Teraz, rozgrywając tę partię, też przewidział kilka następnych ruchów. Był przygotowany na taką reakcję.

– Sprawdziłem, że twoja żona, jako archeolog, wyjechała na roczny kontrakt do Afryki. Nie ma jej w Polsce, więc jeśli nie będziesz opowiadał o tym na prawo i lewo, o niczym się nie dowie. – Wytłumaczył Arturowi, jak zorganizować wszystko tak, by konsekwencje były minimalne.

– Ale oni mnie za coś takiego wsadzą do więzienia – protestował Artur.

– Nieprawda, będzie tak, jak ci mówię. Weź dobrego adwokata. – Robert podał mu wizytówkę swojego obrońcy.

– Nie ma takiej siły, która by mnie zmusiła, żebym to zrobił – podjął decyzję Artur.

Robert sięgnął po ostateczny argument.

– Twoi szefowie nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że kupujesz narkotyki. Przyjrzyj się temu. – Pokazał mu zdjęcie zrobione w Łazienkach.

Spojrząwszy na fotografię, Artur zrozumiał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Od czasu rozprawy Magda z nikiem się nie widywała. Udział w procesie dużo ją kosztował, a wyrok wymierzony Robertowi wydawał się okrutnym żartem. Dobrze chociaż, że ten zazdrośnik i szaleniec zniknął z jej życia. Psycholog twierdził, że przyjdzie taki moment, kiedy uda jej się o tym zdarzeniu zapomnieć. Koleżanki widząc, że jest w nie najlepszej formie, kilkakrotnie próbowały wyciągnąć ją z domowego ukrycia, ale konsekwentnie odmawiała. Nie była jeszcze gotowa.

Kiedy w sobotnie popołudnie zadzwonił telefon, była pewna, że to któraś z przyjaciółek, ale w słuchawce usłyszała głos Artura. Przepraszał, że tak nagle zniknął. Mówił, że chciałby się z nią spotkać, żeby się wytłumaczyć. Biorąc pod uwagę to, jak się zachował, nie był

wart, żeby poświęcić mu choćby jeszcze jedną sekundę swojego życia, mimo to Magda miała ochotę się z nim zobaczyć.

Kolację zjedli w Normie na placu Teatralnym. Magda była zachwycona purpurowymi różami, które jej przyniósł. Po trzecim kieliszku czerwonego wina właściwie mu wybaczyła. Nie pozwoliła jednak odprowadzić się do domu. Od tego czasu dzwonił do niej codziennie, a ona z coraz większą radością przyjmowała kolejne zaproszenia. W piątek Artur przyjechał na spotkanie samochodem prosto z pracy, więc nie pił. Po północy zgodziła się, żeby odwiózł ją do domu. W przedpokoju zsunęła z nóg szpilki, które przez cały wieczór maltretowały jej stopy. Szkoda, że Artur nie odprowadził mnie na górę, pomyślała. Domofon zadzwonił tuż przy jej uchu.

– Przepraszam, przygotowałem dla ciebie niespodziankę, czekała w samochodzie, a ja zupełnie o niej zapomniałem. Wpuścisz mnie na moment? – spytał Artur.

Wszedł i torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, położył na stole, najpierw wyjął taśmę klejącą, a potem... Zamarła, to było jak *déjà vu*. Złapał ją, zanim dobiegła do drzwi, i pchnął na łóżko. Wykręcone do tyłu ręce obwiązał taśmą. To samo zrobił z nogami, potem zakleił usta. Działał metodycznie. I milczał. Kiedy ściągnął jej z głowy perukę, wpadła w odrętwienie. Wiedziała, co Artur robi, ale już nie próbowała się szarpać. Scenariusz był taki sam jak poprzednio – głowa ogolona na zero i rzucony na łóżko nóż do papieru, żeby mogła się uwolnić.

Dyżurny policjant drzemał, gdy na komendę wbiegła rozhisteryzowana dziewczyna. Wydała mu się znajoma, ale poznał ją, dopiero gdy ściągnęła czapkę. Niewiele można było zrozumieć z jej słów. Pamiętał, że kilka miesięcy wcześniej złożyła zawiadomienie, że napadł na nią były narzeczony. Czyżby znowu ją zaatakował? Policjant widział, w jakim jest stanie, i chciał jej pomóc.

– Czy tamten chłopak znowu panią ostrzygł?

– Nie. To był ktoś inny – wychlipała.

Policjant stał się ostrożniejszy.

– Chce pani powiedzieć, że tym razem została pani ostrzyżona przez innego mężczyznę? Dziewczyna pokiwała głową.

Oficer odebrał od niej zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, z którego wynikało, że przydarzyło jej się identycznie to samo co kilka miesięcy wcześniej. Nie potrafiła jednak wyjaśnić, dlaczego zrobił to jej



kolejny chłopak. Po odebraniu zeznań od dziewczyny policjant uznał, że musi poznać relacje drugiej strony konfliktu.

Rano funkcjonariusze przyszli do Artura. Otworzył zaspany, ale bez oporu zgodził się jechać z nimi na posterunek. Zaczęto od sprawdzenia trzeźwości podejrzanego. Nie miał śladu alkoholu we krwi. Zapytany, co robił wieczorem, przyznał się, że związał i ogolił swoją dziewczynę Magdę. Jego wersja przebiegu zdarzeń była jednak odmienna od przedstawionej przez dziewczynę.

– Spotykamy się od kilku tygodni, a wczoraj po raz pierwszy zaprosiła mnie do siebie. – Artur spokojnie zeznawał. – W pewnej chwili ją przytuliłem, ale nagle się odsunęła, powiedziała, że kiedyś zrobiła coś strasznego i do dziś sumienie nie daje jej spokoju, dlatego koniecznie musi mi o tym opowiedzieć. I opowiedziała. Podobno przez dwa lata spotykała się z jakimś Robertem. W końcu jednak postanowiła z nim zerwać, ale on nie przyjmował tego do wiadomości. Chciała się go pozbyć i wymyśliła przedziwny sposób. Płaczem i szantażem, że jeśli się nie zgodzi, ona z nim zerwie, zmusiła go, żeby ją związał, a potem ogolił jej głowę. Mówiła, że długo protestował, ale uległ, kiedy wpadła w histerię. A potem, zaraz po jego wyjściu, tak mi powiedziała, poszła na policję i zeznała, że ją napadł. – Artur zamilkł. Siedział, wpatrując się w zacinający za oknem deszcz.

– I co dalej? – Oficer zaczął się niecierpliwić.

– Jej chłopak został oskarżony i skazany – podjął opowieść Artur. – I wtedy zaczęły nękać ją wyrzuty sumienia. Powiedziała mi, że musi rozliczyć się z przeszłością i ponieść karę za to, co zrobiła. A ja miałem jej w tym pomóc i zrobić to, o co pomówiła swojego chłopaka. To miało być dla niej takie katharsis. Nie wiem, czemu dałem się na to namówić. Przekonała mnie. Rozstaliśmy się w zgodzie, wróciłem do domu. A rano przyszła do mnie policja. Więc mnie także wrobiła. Ona jest wariatką! – zakończył swoje wyjaśnienia.

Policjant nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. W końcu rozstrzygnięcie, komu dać wiarę, postanowił zostawić sądowi. Artura zwolnił do domu, a dwa miesiące później w jego sprawie wysłano do sądu akt oskarżenia.

Magda zaczęła regularnie chodzić do psychiatrii. Gdy po raz pierwszy relacjonowała, co ją spotkało, sama nie mogła uwierzyć w swoje słowa. Miała wrażenie, że terapeuta też jej nie wierzy. W drodze powrotnej

spozstrzegła, że idący naprzeciwko mężczyzna wyjmuje z teczki duże zdjęcie. Jej zdjęcie. To, które Robert zrobił, kiedy już golił jej głowę.

– Skąd pan ma tę fotografię? – krzyknęła do mężczyzny i złapała go za ramię. On jednak zignorował ją i podszedł dalej.

Zaledwie zamknęła za sobą drzwi mieszkania, zadzwonił telefon.

– Na którą zamawia pani strzyżenie? – spytał nieznany męski głos.

Musiała wziąć dwie pastylki uspokajające, żeby zasnąć. Następnego dnia, gdy ponownie szła do psychiatry, zaczepił ją przechodzień. zaproponował jej kupno maszynki do golenia i taśmy klejącej. Uciekła. Wpadła do gabinetu, z trudem łapiąc oddech. Opowiedziała lekarzowi, co się stało, i przyznała, że boi się wyjść na ulicę. Była kompletnie roztrzęsiona. Psychiatra zmienił jej leki i kazał przyjść za tydzień. Była już niedaleko domu, gdy w przejeżdżającym powoli samochodzie zobaczyła przyklejone do szyby swoje zdjęcie. To z ostrzyżoną głową. Nie weszła do mieszkania, pojechała przenocować do rodziców.

Artur dostał wezwanie do sądu. Przewodniczył ten sam sędzia, który orzekał w sprawie Roberta. Sprawa tak go zaintrygowała, że termin wyznaczył poza kolejnością. Z zainteresowaniem przyglądał się oskarżonemu. Spokojny, odpowiedzialny mężczyzna, każdym swoim słowem budził zaufanie. Jego wyjaśnienia były identyczne z tymi, które złożył w śledztwie. Dlaczego miałyby ostrzyć tę dziewczynę? Czy to możliwe, żeby dwóch nieznanymi się mężczyzn w ciągu kilku miesięcy ogoliło głowę tej samej kobiecie? Sędzia miał do siebie pretensję, że w czasie poprzedniej sprawy nie potraktował poważniej wyjaśnień tamtego studenta. Wersji pokrzywdzonej nie mógł wysłuchać, nie przyszła bowiem na rozprawę, przysławszy usprawiedliwienie. Wynikało z niego, że nie może się stawić, bo uczestniczy w terapii psychiatrycznej. Sędzia zainteresowany, dlaczego pokrzywdzona korzysta z pomocy psychiatry, zwrócił się do lekarza o przysłanie jej karty leczenia.

Na następną rozprawę Magda już przyszła. Była zamknięta w sobie i na pytania odpowiadała półsłówkami. Sędzia próbował ustalić, z jakiego, jej zdaniem, powodu oskarżony mógłby ją ostrzyć. Nie potrafiła jednak tego w sposób logiczny wyjaśnić. Z dokumentacji medycznej wynikało, że leczy się w związku z depresją połączoną ze stanami lękowymi.

Prokurator ograniczył się do poparcia oskarżenia i usiadł, ocierając pot z czoła. Adwokat wygłosił rzeczowe przemówienie. Sędzia jednym uchem słuchał mów prokuratora i obrońcy, zdążył już wyrobić sobie pogląd na sprawę. Sporządzenie wyroku zajęło mu kilka minut. Artur został uniewinniony. Prosto z sądu pojechał na spotkanie z Robertem.

– Gratulacje. Żałuję, że nie mogłem być na sali. Masz – powiedział, wręczając Arturowi żółtą kopertę – to twoje zdjęcia wraz z kartą pamięci. Słowo, że nie zrobiłem kopii.

Artur postanowił zadać Robertowi to samo pytanie, które zadał podczas ich pierwszej rozmowy.

– Po co to wszystko zorganizowałaś? – rzucił, wkładając kopertę do kieszeni marynarki.

Robert zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– To była kwestia lojalności – tłumaczył. – Magda poprosiła mnie kiedyś, że jeśli będzie chciała być z innym mężczyzną, mam ją przed tym powstrzymać. Myślę, że zrobiłem to skutecznie. Powinna być ze mnie zadowolona.

– Jesteś chory – skomentował Artur i nie żegnając się, odszedł.

Robert nie zamierzał z nim polemizować. Miał jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Musiał zapłacić aktorom, których wynajął do odgrywania przed Magdą różnych scenek.

Kilka miesięcy później Robert dostał wezwanie do sądu. Po uniewinnieniu Artura jego sprawę wznowiono. Skazano go – jak uznał sąd – na podstawie zeznań świadka, który okazał się niewiarygodny. Robert został uniewinniony. W drodze do domu wstąpił do supermarketu. Kupił maszynkę do golenia i taśmę. Tak na wszelki wypadek, gdyby Magdzie przyszło do głowy coś głupiego. Pamiętał o złożonej jej obietnicy i był gotów nadal się z niej wywiązywać.

## ŻELAZNA KONSEKWENCJA

Pomysł powstał w jego głowie po spotkaniu z kumplem z osiedla. Obaj byli po maturze, a Andrzej przygotowywał się do egzaminów na prawo. Mirek nie należał do ludzi kryształowego charakteru, ale Andrzej przekonał się kiedyś, że może liczyć na jego lojalność. Zaprosił dawno niewidzianego kolegę na piwo.

Kiedy dwa duże kufle z bursztynowym płynem stały już przed nimi, Mirek spytał, czym Andrzej się teraz zajmuje.

- Wybieram się na prawo.
- Zamierzasz być adwokatem?
- A co, potrzebujesz papugi?
- Teraz jeszcze nie, ale za jakiś czas pewnie będę potrzebował.

Andrzej zastanawiał się dlaczego. Z nieco mglistych i zagmatwanych wyjaśnień zorientował się, że kumpel robi coś nielegalnego, związanego z kartami kredytowymi i internetem.

- Nie boisz się, że wpadniesz? – zapytał.
- Jestem pewien, że mnie złapią – spokojnie przyznał Mirek.

Wszystko miał dokładnie przemyślane. Znał się na komputerach i programach, jednak gdyby poszedł na etat, zarabiałby kilka tysięcy, a wtedy na własne mieszkanie miałby szansę najwcześniej za kilka lat. Teraz ma miesięcznie ponad sto tysięcy złotych bez podatku.

– Ale jak cię złapią, stracisz wszystko – wskazał słabość planu Andrzej.

Mirek zakładał, że zostanie aresztowany najwcześniej za cztery lata. Przez ten czas miał szansę zarobić ponad cztery miliony złotych, a pieniądze lokował tak, żeby policja nie mogła ich odnaleźć.

– Zanim z nich skorzystasz, spędzisz w pierdlu kilka ładnych lat – rzucił Andrzej.

Ale i na to kumpel miał gotową odpowiedź. Zakładał, że grozi mu sześć lat, jednak prawo przewidywało nadzwyczajne złagodzenie kary dla tych, którzy zdecydują się na współpracę z prokuratorem. Wystarczyło,

żeby wydał współników, dostałby wówczas nie więcej niż dwa lata. Wtedy na warunkowe zwolnienie mógłby wyjść już po roku.

– A współnicy? – dopytywał się Andrzej.

– To przestępcy, którzy i tak prędzej czy później trafią do więzienia. Ja to tylko przyspieszę. A potem szybko wyjadę i resztę życia będę mógł spędzić na którejś z wysp Pacyfiku.

Andrzej obliczył, że jeśli ten plan się powiedzie, za każdy miesiąc spędzony w więzieniu Mirek będzie miał ponad trzysta tysięcy zysku. W ten sposób przed trzydziestką stanie się milionerem. I wtedy w jego głowie pojawił się pomysł... Dobrze, że mam numer Mirka, może się przydać, pomyślał.

Ze swojego wielkiego marzenia Andrzej zwierzył się tylko Annie. To było na kilka dni przed jej wyjazdem do Stanów, gdzie miała rozpocząć studia. Leżeli na dziobie przycumowanej do pomostu łódki, która delikatnie kołysała się na wodzie, i spoglądali w niebo. Mieli po dziewiętnaście lat i rozmawiali o przyszłości. Anna kochała Andrzeja, była gotowa dla niego zrezygnować z wyjazdu.

– Jeżeli obiecasz, że już nigdy o tym nie wspomnisz, zdradzę ci moje największe marzenie – powiedział, pochylając się nad nią.

Dziewczyna milczała i patrzyła wyczekująco.

– Chciałbym kiedyś otworzyć w Warszawie klub jazzowy dorównujący Blue Note w Nowym Jorku. I liczę na to, że mi w tym pomożesz. Będę na ciebie czekał, jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Bez ciebie zginę marnie. Pamiętaj o tym.

Andrzej tęsknił za Anną i tę tęsknotę starał się zagłuszyć, siedząc godzinami w bibliotece i wgrzając się w zawilóści prawa karnego, bo ta dziedzina zainteresowała go najbardziej.

Gdy przed świętami Bożego Narodzenia zobaczył ją wychodzącą z hali przylotów, o mało nie rozplakał się ze wzruszenia. Jej dziesięciodniowy pobyt w kraju zleciał błyskawicznie. Trzeciego stycznia odprowadził ją na lotnisko, ponownie mieli się zobaczyć dopiero latem i spędzić razem wakacje. Andrzej co do minuty miał zaplanowane, jak wykorzysta ten czas.

Zadzwoił do przyjaciela z liceum. W szkole byli nierozłączni, choć pochodzili z różnych światów – Rafał, syn biznesmena, niezmiennie plasującego się w setce najlepiej zarabiających Polaków, i Andrzej, wywodzący się ze skromnej inteligenckiej rodziny. Kiedyś na szkolnej

wycieczce Andrzej ocalił przyjacielowi życie. Było to w czasie rejsu spacerowym statkiem po Śniardwach. Chcąc zaimponować reszcie klasy, Rafał, który wcześniej wypił butelkę wina, wskoczył na burtę. Fala z przejeżdżającej motorówki zachwiała statkiem, chłopak wpadł do wody i zaczął tonąć. Andrzej najpierw przytomnie wyrzucił za burtę koło ratunkowe, a potem sam wskoczył do jeziora i uratował kolegę.

– Jestem twoim dłużnikiem, pamiętaj o tym – powiedział mu wówczas ojciec Rafała. Choć wydarzyło się to przed czterema laty, Andrzej dotychczas nie zwrócił się do niego z żadną prośbą. Teraz jednak potrzebna mu była pomoc. Spotkali się w biurze na czterdziestym piętrze nowoczesnego wieżowca. Biznesmen był przekonany, że kolega syna szuka pracy.

– Nie o to chodzi – wyprowadził go z błędu Andrzej. – Chciałbym w przyszłości założyć klub jazzowy.

– Nie robię w muzyce – przypomniał mu biznesmen.

Andrzej przygotował się do spotkania i wiedział, że ojciec przyjaciela zajmuje się branżą chemiczną i energią odnawialną. Mimo to opowiedział mu o planach stworzenia w Polsce profesjonalnego klubu jazzowego na wzór legendarnego Blue Note. Miał przygotowany biznesplan, z którego wynikało, że inwestycja mogłaby przynosić zysk miliona złotych w skali roku. Jednak na realizację pomysłu potrzebne były pieniądze.

– Nie mam takiej płynności, nie licz na pożyczkę – zastrzegł natychmiast rozmówca.

Andrzej przewidział taką reakcję. Skąpstwo milionera było wprost legendarne, opowiadał o tym nawet jego syn.

– Nie będzie pan musiał wyłożyć ani złotówki.

Wiadomość, że spłata honorowego długu może nie łączyć się z wydatkami, poprawiła biznesmenowi humor. Andrzej wręczył mu plan inwestycji. Na jej realizację potrzebował pięciu milionów złotych. Przy zakładanym zysku kredyt można byłoby spłacić z działalności klubu w ciągu dziesięciu lat.

– Nie mogę poręczyć ci kredytu, nie mam zdolności kredytowej – oświadczył ojciec Rafała.

Andrzej i tę reakcję przewidział. Uznał, że przyszedł czas, by wytłumaczyć, o jaką pomoc mu chodzi.

– Jak pan wie, żaden bank nie udzieli pięciu milionów kredytu dziewiętnastolatкови bez grosza. Gdybym prosił pana o poręczenie, narażałbym pana na ryzyko. Chciałbym uzyskać dochody, dzięki którym bank uznałby, że posiadam zdolność kredytową.

Biznesmen, który słuchał z coraz większym zainteresowaniem, teraz był rozczarowany dość naiwnym finałem opowieści. Andrzej niezrażony jego sceptyczną miną ciągnął dalej:

– Jest pan właścicielem spółki Hektor, największego importera granulatu tworzyw sztucznych, która praktycznie jest monopolistą na polskim rynku. Chciałbym, żeby założona przeze mnie spółka została przedstawicielem pańskiej.

– Chciałbyś, żebym dzielił się z tobą zyskiem? – Biznesmen ocenił, że do tego sprowadza się propozycja Andrzeja

– Proszę dać mi skończyć. Mówiłem, że chodzi o przysługę, która nie będzie pana nic kosztowała. Chciałbym, żeby sprzedawał pan granulaty za moim pośrednictwem, czyli podpisał z moją spółką umowę dystrybucyjną. Proszę spojrzeć na projekty umów, które przygotowałem. Prezesem mojej spółki zostałby pański dyrektor i tylko on miałby prawo podpisywania dokumentów. Ja będę kupował towar w kredycie kupieckim, ale to pańska firma będzie go dostarczała do odbiorców. Płatności będą wpływały na moje konto, z którego natychmiast będę zwracał pożyczoną w kredycie sumę. Zysk, po zapłaceniu podatku, również przeleję na konto pańskiej spółki. W ten sposób nie dołoży pan ani grosza do interesu, a ja będę miał na papierze pieniądze, dzięki którym otrzymam kredyt. Niech pan pokaże to prawnikom i podejmie decyzję.

Ojciec Rafała zadzwonił po tygodniu.

– Masz głowę na karku, synu. Szczegóły ustal z moim prawnikiem.

Po sześciu tygodniach Andrzej stał się właścicielem prężnie działającej firmy, do której majątku nie miał żadnego prawa. W pierwszym miesiącu działalności zysk wyniósł trzysta tysięcy złotych, w następnym prawie czterysta.

Andrzej znalazł się w przedziwnej sytuacji, na papierze był bardzo zamożnym człowiekiem, żeby jednak zabrać Annę na obiecane wakacje, musiał poszukać jakiejś pracy. Znalazł zajęcie, na szczęście na czarno, bo dziwnie byłoby, gdyby właściciel firmy przynoszącej krociowe zyski harował za dwa i pół tysiąca miesięcznie.



Egzaminy zdał z bardzo dobrą średnią i zaraz potem wyruszyli z Anną w podróż po Europie. W małej knajpce na piazza della Signoria we Florencji dał jej pierścionek zaręczynowy. Wrócili do kraju na kilka dni przed planowanym wylotem Anny do Stanów.

W niedzielę dwudziestego dziewiątego sierpnia wraz z jej rodzicami zjedli obiad, a potem wspólnie obejrzeli komedię *Co z tym Bobem?* z Billem Murrayem. Zaraz po filmie, który skończył się o osiemnastej dwadzieścia, Andrzej wyszedł, żeby pojechać z mamą na imieniny do cioci Moniki. Po drodze zatrzymał się przed bankomatem. Wyjmując kartę, spostrzegł, że ma jeszcze dwa banknoty stużłotowe, zrezygnował więc z transakcji i w kwiaciarni obok kupił kwiaty.

Radiowóz pojawił się, zanim dotarł do domu. Przez dłuższą chwilę jechał za jego foldem, po czym policjant włączył koguta i dał mu lizakiem znak, że ma się zatrzymać. Bez oporów podał dowód osobisty, prawo jazdy i kartę wozu. Jeden z policjantów został z nim, drugi poszedł z dokumentami do radiowozu. Wszystko trwało niepokojąco długo. Potem przejechał obok nich kolejny radiowóz, nie zatrzymał się jednak, jedynie zwolnił, a siedzący z tyłu mężczyzna bacznie przypatrywał się Andrzejowi.

– Jest pan zatrzymany – oświadczył policjant, który zabrał dokumenty Andrzeja.

W komendzie został zaprowadzony do pokoju z dużym lustrem i ustawiony pomiędzy trzema innymi mężczyznami. Po kilku minutach pozostałych mężczyzn wyprowadzono.

– Podpisz tu. – Funkcjonariusz podał mu wypełniony formularz.

Andrzej przeczytał protokół konfrontacji. Zawierał zeznanie niejakiego Zbigniewa Morawieckiego, który oświadczył, że sprawcą napadu był mężczyzna z numerem trzecim. Andrzej uświadomił sobie, że trzymał kartkę z numerem trzy.

– W co chcecie mnie zrobić?! – krzyknął.

– Nie pyskuj, tylko podpisuj – rozkazał policjant. – Potem pójdziesz do komisarza, on ci wszystko wyjaśni.

W małym obdrapanym pomieszczeniu, przy biurku pamiętającym jeszcze epokę Gomułki, siedział ponadtrzydziestoletni mężczyzna ubrany po cywilnemu.

– O co chodzi? – powtórzył pytanie Andrzej. – To jakieś nieporozumienie.

- Słyszę to niemal codziennie od dziesięciu lat – westchnął komisarz.
- Proszę odpowiadać na pytania.

Przez kilka minut Andrzej relacjonował, gdzie mieszka, gdzie pracuje, jaki ma majątek. Następnie policjant przeszedł do sedna.

– Jest pan podejrzany o to, że w dniu dwudziestego dziewiątego sierpnia o godzinie siedemnastej pięćdziesiąt pięć przy ulicy Wiertniczej w Warszawie w celu osiągnięcia korzyści majątkowej groził pan za pomocą niebezpiecznego narzędzia, czyli noża, Zbigniewowi Morawieckiemu, czym doprowadził go pan do stanu bezbronności. Następnie zabrał mu pan portfel z zawartością sześciuset czterdziestu pięciu złotych, dowodem osobistym, prawem jazdy oraz kartą bankomatową, zmuszając napadniętego do podania numeru PIN. To jest o czyn z artykułu dwieście osiemdziesiąt paragraf dwa kodeksu karnego.

Andrzej pamiętał, że ten artykuł dotyczy zbrodni rozboju z użyciem niebezpiecznego narzędzia, zagrożonej karą nie mniejszą niż trzy lata pozbawienia wolności. To, co usłyszał, brzmiało absurdalnie. W czasie gdy miał popełnić w Wilanowie czyn, który mu zarzucano, on razem z Anną i jej rodzicami oglądał telewizję na Woli.

– Jestem nie... niewinny i mogę to udowodnić – powiedział, zacinając się ze zdenerwowania.

– Nie ekscytuj się tak, będziesz to udowadniał w sądzie.

Policjant uzasadnił postawiony Andrzejowi zarzut. Okazało się, że około godziny osiemnastej do komisariatu w Wilanowie zgłosił się Zbigniew Morawiecki. Twierdził, że na ulicy Wiertniczej około siedemnastej czterdzieści podszedł do niego młody wysoki mężczyzna, który zagroził mu nożem i zażądał pieniędzy. Przestraszony oddał mu portfel i obawiając się okaleczenia, podał PIN do karty. Gdy napastnik odszedł, Morawiecki wyrwał za róg budynku i zobaczył, że mężczyzna wsiada do czerwonego forda. Udało mu się zapamiętać część numeru rejestracyjnego. Natychmiast wszczęto poszukiwania opisanego pojazdu. Andrzej jechał czerwonym fordem, zapamiętane przez napadniętego numery pokrywały się z numerami jego samochodu. W dodatku pokrzywdzony rozpoznał go jako napastnika.

– Przyznajesz się? – spytał policjant.

– Nie, nie zrobiłem tego. – Andrzej starał się mówić spokojnie. – Jestem studentem prawa. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym tego zrobić. Byłem wtedy gdzie indziej.

Przedstawił policjantowi swoje alibi.

– Doszło do nieporozumienia – zakończył. – Zatrzymaliście niewłaściwą osobę.

Dla policjanta to, co powiedział, brzmiało wiarygodnie. Zlecił podwładnym sprawdzenie alibi zatrzymanego.

Następnego dnia miał przed sobą protokoły przesłuchań Anny i jej rodziców. Potwierdzali wersję Andrzeja. Z notatki sporządzonej przez dzielnicowego wynikało, że to szanowani i spokojni ludzie. Może pokrzywdzony pomylił się przy rozpoznaniu, pomyślał komisarz. Będę musiał zwolnić chłopaka, przy takim alibi prokuratorowi nie uda się wygrać.

Potem jednak okazało się, że żaden z sąsiadów nie widział Andrzeja ani jego samochodu w pobliżu domu rodziców Anny. Również najbliższa sąsiadka, która całe popołudnie spędziła w ogródku przed domem.

– Jednak kłamie. Co za czasy, nawet studenci prawa dokonują rozbojów – mruknął do siebie komisarz.

Po dwóch godzinach dostał kolejne materiały. Z informacji otrzymanej z banku wynikało, że pieniądze ze skradzionej karty zostały podjęte z bankomatu przy ulicy Ciołka o osiemnastej dwadzieścia. Podejrzany – jeśli jego alibi było fałszywe – bez problemu dojechałby z Wilanowa do bankomatu na drugim końcu miasta.

Policjanci przesłuchali sprzedawców z sąsiadujących z bankomatem sklepów. Zarówno kwiaciarka, jak i pracownica cukierni rozpoznały podejrzanego jako osobę, która stała przy bankomacie, a potem robiła u nich zakupy. Z kolejnej notatki wynikało, że na bankomacie zidentyfikowano odciski palców należące do podejrzanego.

– Niewiele brakowało, a dałbym się nabrać – westchnął komisarz.

Doświadczenie powinno go już nauczyć, że ofiary napadu rzadko myślą się przy rozpoznaniu sprawców. Co do alibi, to dziewczyna zrobiłaby dla ukochanego wszystko, nawet skłamała przed sądem. Do tego samego namówiła rodziców. Komisarz zadzwonił do prokuratora, prosząc o wydanie nakazu rewizji w mieszkaniu Andrzeja i w domu jego narzeczonej.

Policyjny nos go nie mylił. W pokoju Anny Wasiak znaleziono kopertę z czterema tysiącami złotych. Nie znaleziono natomiast portfela. Pewnie go wyrzucił – uznał komisarz.

Postanowił jeszcze raz przesłuchać Andrzeja, żeby porównać jego wersję z zebranym materiałem.

Według zeznań podejrzanego jego ford stał na ulicy przed domem, ale sąsiadka zapewniała, że nie parkował tam żaden samochód. Andrzej twierdził, że nie korzystał z bankomatu. A przecież były tam odciski jego palców. Na pytanie, czy u narzeczonej przechowuje jakieś pieniądze, zdecydowanie zaprzeczył. Natomiast Anna zeznała, że znaleziona u niej koperta z czterema tysiącami złotych należy do narzeczonego. To komisarzowi wystarczyło. Zadzwoił do prokuratora.

Następnego dnia zgodnie z decyzją sądu, który zastosował wobec niego trzymiesięczny areszt, Andrzej znalazł się na Rakowieckiej. Zastanawiał się, jak da sobie radę, ale po oddziale szybko rozeszła się wiadomość, że jest studentem prawa. Aresztanci potrzebowali porad w sporządzaniu pism procesowych, a on chętnie pomagał.

Andrzej bardzo chciał zobaczyć Annę, ale była świadkiem i prokurator nie zgodził się na widzenie. Przyszedł natomiast wynajęty przez nią adwokat. Pierwszy list, który Anna wysłała już w dniu aresztowania, dotarł do Andrzeja po miesiącu. Zapewniała, że wierzy w jego niewinność i ma nadzieję, że wszystko niedługo się wyjaśni. Potem pisała do niego codziennie. Te listy pozwalały mu wytrwać.

Sąd nie uwzględnił odwołania adwokata i Andrzej nadal przebywał w areszcie. W tym czasie otrzymał również list od innego nadawcy. Adwokat ojca Rafała informował go, że w związku z postawieniem mu zarzutów karnych ich umowa nie będzie kontynuowana. Andrzej nie miał o to pretensji, w jego sytuacji taka decyzja wydawała się oczywista. W areszcie nadal się uczył.

Akt oskarżenia trafił do sądu po sześciu miesiącach. Zanim wyznaczono termin rozprawy, upłynęły następne trzy. Anna przyleciała z Bostonu na proces. Zobaczyli się na sali rozpraw. Po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy.

Sprawa rozpoczęła się od pytań dotyczących życia osobistego Andrzeja. Gdy powiedział, że był właścicielem świetnie prosperującej firmy, na twarzach sędziów dostrzegł zdumienie: dlaczego student, który ma własną firmę, decyduje się napaść na kogoś dla kilku tysięcy złotych? Prokurator odczytał akt oskarżenia i przyszła kolej na wyjaśnienia oskarżonego. Andrzej ponownie opowiedział o tamtych zdarzeniach. Gdy skończył, prokurator zaczął zadawać pytania.

– Czy brał pan pieniądze z bankomatu? – Nie. Rzeczywiście podszedłem do bankomatu, ale stojąc przy nim, otworzyłem portfel i zorientowałem się, że mam jeszcze gotówkę. Wtedy ruszyłem do kwiaciarni.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym podczas przesłuchań?

– Nie wiedziałem, że to ważne.

– Gdzie tamtego dnia zaparkował pan samochód?

– W bocznej uliczce odchodzącej od tej, przy której stoi dom rodziców mojej narzeczonej.

– W postępowaniu twierdził pan, że na ulicy przy jej domu.

– To było tuż obok, nie wiedziałem, że to ma jakieś znaczenie.

Andrzej usłyszał ciche westchnienie swojego adwokata.

– Czy dawał pan swojej narzeczonej pieniądze na przechowanie?

– Nie.

– To jak pan wytłumaczy, że znaleziono u pani Anny kopertę z czterema tysiącami złotych? Zeznała, że należą do pana.

– To nie były pieniądze na przechowanie, prosiłem ją, żeby kupiła mi w Ameryce nowy model maca i dałem jej cztery tysiące złotych. Tam komputery są o wiele tańsze.

– Czemu nie powiedział pan o tym wcześniej? – dociekał prokurator.

– Nie przyszło mi do głowy, że to może mieć związek ze sprawą.

Następnie przesłuchano pokrzywdzonego. Młody człowiek robił dobre wrażenie. Precyzyjnie opisał mężczyznę, który go napadł. Według jego relacji strój napastnika był identyczny jak ten, w którym zatrzymano Andrzeja. Sędzia spytał, czy świadek rozpoznaje napastnika.

– Tak, to ten mężczyzna. – Wskazał na Andrzeja.

Potem zeznawała Anna. Powiedziała, że cały dzień spędzili razem i rozstali się dopiero po zakończeniu filmu. Przyznała również, że znalezione u niej pieniądze Andrzej dał jej na zakup komputera. Alibi Andrzeja potwierdzili jej rodzice.

Po przesłuchaniu pozostałych świadków sędzia zamknął rozprawę i udzielił głosu stronom. Prokurator podkreślił, że rozpoznanie pokrzywdzonego nie budzi żadnych wątpliwości. Zręcznie rozprawił się z zeznaniami Anny i jej rodziców, wykazując, że są to osoby stronnice, zainteresowane wynikiem postępowania, a zatem niewiarygodne. Na koniec wniósł, by sąd uznał oskarżonego winnym zarzucanego mu czynu, i zażądał kary pięciu lat pozbawienia wolności. obrońca

przemawiał ponad godzinę, podkreślając nienaganną przeszłość oskarżonego, co czyni jego wyjaśnienia całkowicie wiarygodnymi. Wykazywał, że drobne sprzeczności w jego zeznaniach wynikały ze stresu. Zwrócił uwagę na nieposzlakowaną opinię Anny i jej rodziny, przekonując, że takie osoby nigdy nie popełniają krzywoprzysięstwa.

Na koniec podważył wiarygodność rozpoznania przez pokrzywdzonego, wykazując, że w trakcie napadu musiał być w stresie uniemożliwiającym mu zapamiętanie szczegółów, co w konsekwencji pozbawia go wiarygodności.

Gdy sąd odczytywał wyrok, wszyscy stali. Andrzej został uznany winnym zarzucanego mu czynu i sąd skazał go na karę trzech lat pozbawienia wolności. Anna zaczęła płakać. Jej ojciec zerwał się z ławki, krzyknął, że to kpina, a nie wymiar sprawiedliwości i wybiegł z sali. Gdy sąd skończył uzasadnienie, obrońca Andrzeja zawnioskował o uchylenie aresztu. Niestety, sąd na to nie przystał. Obrońca wyjaśnił Andrzejowi, że sprawa apelacyjna odbędzie się za kilka miesięcy.

Po wyroku Anna w końcu mogła się spotkać z narzeczonym. Chciała go przytulić, ale strażnik pouczył ją, że to zabronione. Usiedli przy stoliku. Musieli się ograniczyć do patrzenia sobie w oczy.

– Jak to się stało? Przecież byliśmy wtedy razem – nie mogła zrozumieć dziewczyna.

– Typowa pomyłka sądowa. Czytałem, że statystycznie dziesięć procent wyroków to pomyłki.

Anna, żegnając się z narzeczonym, obiecała, że będzie na niego czekać niezależnie od tego, jak długo to potrwa.

Andrzej po wyroku został przeniesiony na oddział karny. Za zgodą naczelnika aresztu podjął studia korespondencyjne i zdał zaległe egzaminy. Był już studentem trzeciego roku, gdy odbyła się jego rozprawa apelacyjna, na której wyrok skazujący został utrzymany w mocy. W areszcie Andrzej spędził już rok i trzy miesiące. Prosto z sali sądowej został przewieziony do zakładu karnego, gdzie miał odbywać resztę kary.

Anna, która przyjechała na rozprawę apelacyjną, zaproponowała, żeby wzięli ślub w zakładzie karnym. Przekonał ją, że warto poczekać, aż będzie na wolności. Wyszedł na warunkowe przedterminowe zwolnienie po dwóch latach i sześciu miesiącach.

Przed bramą zakładu czekała na niego Anna. Byli tak spragnieni siebie, że prawie zaczęli się kochać oparci o bramę zakładu karnego. Zwyciężył rozsądek. Wskoczyli do samochodu i jak wariaci pomknęli do domu.

Po dwóch tygodniach Anna wróciła do Ameryki na ostatni semestr studiów, a Andrzej zajął się pisaniem pracy magisterskiej, jako że w więzieniu szybciej niż jego koledzy na wolności zdawał kolejne egzaminy. Pół roku później Anna wyszła za mąż za świeżo upieczonego magistra prawa. Zamieszkali w wynajętym mieszkaniu, a Andrzej znalazł pracę w jazzowym klubie studenckim.

Jakiś czas potem z sądu okręgowego przyszedł do Andrzeja list polecony. Annie, która go odebrała, zaczęły drżeć ręce. Koszmar powrócił. Natychmiast otworzyła kopertę. Andrzej miał się stawić w sądzie w związku z wyznaczonym terminem rozprawy o wznowienie postępowania. Nie rozumiała, co to znaczy.

Przeczytawszy wezwanie, Andrzej przypomniał sobie instytucję prawa karnego, która pozwala wznowić prawomocnie zakończone postępowanie, jeśli w sprawie pojawiły się nowe, nieznane sądowi dowody. Następnego dnia rano pojechał do sekretariatu sądu, gdzie udostępniono mu akta jego sprawy. Dowiedział się z nich, że policja zatrzymała przestępcę, który zdecydował się na współpracę z prokuraturą. W zamian za nadzwyczajne złagodzenie kary opowiedział o wszystkich popełnionych przez siebie przestępstwach. Między innymi o tym, że 29 sierpnia 2010 roku na ulicy Wiertniczej w Wilanowie, posługując się nożem, napadł na młodego mężczyznę i ukradł mu kartę kredytową, z której następnie pobrał w bankomacie cztery tysiące złotych. Gdy śledczy przyjrzel się sprawie bliżej, okazało się, że sprawca tego napadu, czyli Andrzej, został wykryty i skazany. Powstała niecodzienna sytuacja, gdy za ten sam czyn jedną osobę już skazano, a druga przyznała się do jego popełnienia.

Dlatego postępowanie wznowiono. W wyznaczonym terminie Andrzej wraz z nowym adwokatem stawił się w sądzie. Gdy sędzia usłyszał, że przebywając w więzieniu, oskarżony korespondencyjnie skończył studia prawnicze, spojrział na niego z aprobatą. Andrzej złożył takie same wyjaśnienia jak w trakcie pierwszej rozprawy. Anna i jej rodzice ponownie potwierdzili jego alibi. Sędzia był pod wrażeniem, gdy dowiedział się, że Anna, która jest absolwentką uniwersytetu



w Bostonie, a obecnie dyrektorem w dużym przedsiębiorstwie handlowym, wstąpiła w związek małżeński z oskarżonym.

Nadszedł kulminacyjny moment procesu. Na salę został wprowadzony świadek. To dzięki jego zeznaniom doszło do wznowienia procesu. Potwierdził, że to on był sprawcą napadu i punkt po punkcie precyzyjnie opisał jego przebieg. Gdy skończył, sędzia chciał wyjaśnić jeszcze kilka szczegółów. Zapytał, jak świadek oddalił się z miejsca napadu. Okazało się, że odjechał czerwonym fordem. W jego numerze rejestracyjnym były te same litery i cyfry, które udało się zapamiętać pokrzywdzonemu. Po zatrzymaniu Andrzeja nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy istnieje inny pojazd o cechach opisanych przez pokrzywdzonego. Kolejne pytanie dotyczyło karty kredytowej. Świadek zeznał, że pieniądze podjął w bankomacie przy ulicy Ciołka na Woli. Sędzia uświadomił sobie, że podczas pierwszego procesu skoncentrowano się na ustaleniu, czy oskarżony był przy bankomacie, nie próbowano jednak ustalić, czy widziano tam inną osobę. Kolejne pytanie zadał obrońca oskarżonego.

– Jak był pan wtedy ubrany?

– Dokładnie nie pamiętam, ale w tym okresie ubierałem się raczej sportowo. Na pewno na głowie miałem czapkę bejsbolową z dużym daszkiem, żeby nikt nie zapamiętał mojej twarzy.

– Co się stało z portfelem i kartą kredytową, które ukradł pan pokrzywdzonemu?

– Portfel mam do dzisiaj, kartę zniszczyłem.

Podczas kolejnej rozprawy pokrzywdzony rozpoznał swój portfel. Sąd spytał go, czy na sali jest osoba, która go wtedy zaatakowała.

– To było dość dawno temu. Napastnika widziałem krótko, był w nasuniętej na czoło czapce. Zapamiętałem jego wiek, sylwetkę i ubranie. Pan na ławie oskarżonych wyglądał tak samo jak napastnik. Teraz jest ubrany inaczej, ale to mógł być on.

Sędzia polecił, by na salę wprowadzono mężczyznę, który przyznał się do napadu. Poprosił, by stanął obok Andrzeja. Byli w tym samym wieku, podobnego wzrostu i o zbliżonej posturze.

– Czy może pan wskazać, który z nich na pana napadł?

Świadek bezradnie pokręcił głową.

– To mógł być zarówno jeden, jak i drugi.

Przyszedł czas na pytania obrony.

– Jak wyglądał samochód, którym uciekał napastnik?

– To był czerwony ford.

– Czy ta czerwień była jednolita?

– Tak.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałbym złożyć dowód do akt sprawy. –

Adwokat Andrzeja zbliżył się do stołu sędziowskiego. – Oto dokumentacja naprawy samochodu, którym poruszał się wtedy oskarżony. Auto w wyniku kolizji miało uszkodzone przednie i tylne drzwi od strony kierowcy. Drzwi zostały wymienione, ale miały zupełnie inny odcień niż reszta wozu.

– Czy tym samochodem mógł uciekać sprawca? – Sędzia pokazał zdjęcia pokrzywdzonemu.

– Na pewno nie – zaprzeczył pokrzywdzony. – Tak jak mówiłem, tamten samochód był w jednolitym kolorze. Widziałem go dokładnie.

Dlaczego, na Boga, w czasie poprzedniej rozprawy nikt nie pomyślał o tym, żeby pokazać ten samochód pokrzywdzonemu? – zastanawiał się sędzia.

Adwokat zadawał kolejne pytania.

– Czy widział pan oskarżonego, zanim zobaczył go pan przez lustro fenickie?

– Tak. Gdy zgłosiłem napad, policjanci zawieźli mnie w miejsce, gdzie zatrzymali podejrzanego, widziałem go z okna radiowozu.

– Czy to, że zobaczył go pan po zatrzymaniu, miało wpływ na jego późniejsze rozpoznanie? – dopytywał się adwokat.

– Policjanci powiedzieli mi, że zatrzymali sprawcę. Przypominał tego, którego zapamiętałem. Mówili, że to on, więc go rozpoznałem.

O Boże! – pomyślał ponownie tego dnia sędzia. Dlaczego przedtem nikt o to nie spytał? Wyglądało na to, że w tej sprawie naruszono wszystkie możliwe procedury.

Sędzia zamknął rozprawę i udzielił głosu stronom. Tym razem prokurator nie wygłosił tak płomiennego przemówienia jak poprzednio. Ograniczył się do stwierdzenia, że nowe dowody przedstawione w czasie procesu nie wniosły nic nowego do sprawy, a wina oskarżonego nadal nie budzi wątpliwości. Wystąpienie adwokata było popisem krasomówczym. Punkt po punkcie wskazywał błędy popełnione w trakcie prowadzenia postępowania przez prokuraturę. Wykazywał, że w ich wyniku doszło do pomyłki sądowej, wskutek której Andrzej spędził w więzieniu ponad

dwa lata. Z narady sąd wrócił po kwadransie. Wyrok uniewinniający został przyjęty brawami przez licznie zebranych na sali przyjaciół Andrzeja.

W kilka dni później Andrzej i Anna odwiedzili adwokata, chcąc mu podziękować za pomoc. Przyjął ich w przestronnym gabinecie na piętnastym piętrze nowoczesnego biurowca.

– Gdy wyrok się uprawomocni, może pan wystąpić o odszkodowanie – poinformował Andrzeja na koniec rozmowy.

– Czy warto powracać do tego koszmaru dla kilku tysięcy złotych? – Anna miała wątpliwości.

– To może być znacznie wyższa kwota – przekonywał adwokat. – Odszkodowanie składa się z dwóch części, jedna rekompensuje utracone zarobki, druga jest zadośćuczynieniem za doznane krzywdy. Pan spędził w więzieniu w sumie trzydzieści miesięcy. Był pan wtedy studentem, czyli nie miał pan dochodów, nie możemy zatem myśleć o utraconych zarobkach, ale zadośćuczynienie za tyle czasu straconego w więzieniu może być całkiem spore, mówimy nawet o kilkudziesięciu tysiącach złotych.

– Mąż na studiach miał firmę i dochody – przypomniała Anna.

– To jeszcze lepiej – ocenił adwokat. – Odszkodowanie może być większe. Proszę przygotować całą dokumentację dotyczącą pana ówczesnych zarobków.

Tydzień później Andrzej ponownie odwiedził adwokata. Pokazał mu wszystkie odnalezione bilanse i deklaracje podatkowe.

– Tu jest jakaś pomyłka – stwierdził adwokat, przeglądając dokumenty. – Z tego, co mam przed sobą, wynika, że w pierwszym miesiącu działalności pańska firma zarobiła netto ponad trzysta tysięcy złotych, w następnym już czterysta. Chodzi zapewne o czterysta złotych, a te pozostałe zera to wynik pomyłki.

– Nie ma pomyłki, mecenasie – zapewnił Andrzej. – Spółka była dystrybutorem największego polskiego producenta granulatu tworzyw sztucznych. Tyle właśnie wynosił zysk spółki, której byłem jedynym właścicielem. Gdy mnie zaarrestowano, kontrahent zerwał ze mną umowę.

Adwokat wyglądał, jakby dostał zastrzyk energii. Zerwał się z fotela i wziął z biurka kalkulator.

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy razy trzydzieści miesięcy – mrucał pod nosem, uderzając w klawisze, to będzie dziesięć milionów pięćset złotych, do tego odszkodowanie za bankructwo firmy, do tego rażąco obniżenie dochodów po wyjściu na wolność. Siedemnaście milionów złotych to minimalna kwota odszkodowania, jakiej możemy dochodzić.

Proces o odszkodowanie trwał rok. Biegli sądowi badali księgi spółki, sprawdzali konta bankowe, deklaracje podatkowe i upewniali się, czy wszystkie należności zostały opłacone. Wszystko się zgadzało. Spółka miała nienagannie prowadzoną księgowość i wywiązywała się ze zobowiązań wobec państwa. Sąd zasądził na rzecz Andrzeja odszkodowanie w wysokości siedemnastu milionów złotych.

Po zapłaceniu honorarium adwokackiego, które ustalili na dziesięć procent zasądzonej sumy, Andrzejowi pozostało piętnaście milionów trzysta tysięcy złotych. Następnego dnia zwolnił się z pracy i skoncentrował na szukaniu miejsca, które pozwoliłoby mu zrealizować marzenie. Niebawem znalazł starą fabrykę, której pomieszczenia uznał za idealne dla klubu jazzowego. Koncert inauguracyjny odbył się osiem miesięcy później. Bardzo szybko klub stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych miejsc na muzycznej mapie miasta i zaczął przynosić zyski.

Andrzej doszedł do wniosku, że pora wywiązać się ze złożonych dawno temu obietnic. Powiedział Annie, że musi wyjechać, bo chciałby spotkać się z menedżerami gwiazd, które zamierza zaprosić na koncerty.

W Genewie na lotnisku czekał na niego przyjaciel. Poznali się sześć lat wcześniej, gdy Andrzej jeszcze jako licealista wyruszył na wakacyjną wólczęgę po Mazurach. Zbyszek mieszkał w Rucianem-Nidzie. Tamto lato bardzo ich do siebie zbliżyło, przyjaźń przetrwała. Kilka lat temu Andrzej pojechał do kumpla na Mazury. Postanowił poprosić go o przysługę. Kiedy powiedział, o co mu chodzi, Zbyszkowi wydawało się, że jego przyjaciel zwariował. Miał założyć konto w banku, wpłacić na nie cztery tysiące złotych, otrzymane od Andrzeja, a następnie wyrobić sobie kartę kredytową. Potem dyskretnie spotkałby się z Andrzejem i przekazał mu kartę i portfel z dokumentami. To było dziwne, ale nie niepokojące. Lecz dalsza część prośby budziła poważne zastrzeżenia Zbyszka. Andrzej bowiem kazał mu określonego dnia i o określonej godzinie pójść na komisariat w Wilanowie i złożyć zawiadomienie, że został napadnięty. Złodziej groził mu nożem, zabrał dokumenty, kartę kredytową i zażądał

PIN-u. Według instrukcji przyjaciela miał zeznać też, że widział napastnika wsiadającego do czerwonego forda, którego numer rejestracyjny częściowo zapamiętał. A także, zgodnie z sugestiami Andrzeja, opisać napastnika i opowiedzieć, jak był ubrany. Dalej Andrzej tłumaczył kumplowi, że w jakiś czas po tym zdarzeniu otrzyma wezwanie do komisariatu, gdzie zostanie mu okazanych kilku mężczyzn. Jednym z nich będzie Andrzej. Zadaniem Zbyszka miało być rozpoznanie kolegi jako sprawcy napadu.

– Wariactwo – jęknął Zbyszek.

– Żadne wariactwo, uwierz mi, wszystko mam dokładnie przemyślane. Od dziś żadnych kontaktów. Nikt nie może wiedzieć, że się znamy. Po twoich zeznaniach trafię do aresztu. To będzie część mojego planu. Masz się tym nie przejmować i nie reagować. W kilka miesięcy później ponownie zostaniesz wezwany do sądu, opowiesz tę samą historię i wskażesz mnie jako sprawcę napadu.

– Nie mogę zrobić ci takiego świństwa. – Zbyszkowi to wszystko nie mieściło się w głowie.

– To nie świństwo, lecz wielka przysługa, za którą zrewanżuję ci się za kilka lat – zapewnił go Andrzej. Po twoich zeznaniach zostanie skazany na karę kilku lat pozbawienia wolności. To będzie oznaczało, że wszystko poszło zgodnie z planem. Potem miną jakieś dwa, trzy lata i ponownie zostaniesz wezwany do sądu. Tym razem już nie będziesz tak pewny swojego rozpoznania. Powiesz, że mojej twarzy nie widziałeś, napastnik był takiego samego wzrostu i tuszy, podobnie ubrany, ale nie masz żadnej pewności, że to byłem ja. A potem już tylko musisz czekać, aż się z tobą skontaktuję.

Zbyszek uległ namowom Andrzeja. Teraz rozmawiali po raz pierwszy od tamtego dnia, wcześniej widzieli się tylko w sądzie. Po wspólnym obiedzie Andrzej zabrał kolegę do banku. Tam miał zdeponowaną kwotę miliona siedmiuset tysięcy złotych we frankach szwajcarskich, którą przelał na konto założone dla Zbyszka. Oceniał, że dziesięć procent zysku będzie uczciwą zapłatą za przysługę.

– Przez najbliższe piętnaście lat, dopóki wszystko się nie przedawni, nie powinniśmy się spotykać – poinstruował przyjaciela.

Uściskali się na pożegnanie.

Z Genewy Andrzej poleciał na Polinezję Francuską. Na lotnisku czekał na niego Mirek.

Gdy po czterech latach swojej nielegalnej działalności został zatrzymany przez policję, zaproponował, że w zamian za złagodzenie kary ujawni współników. W wyniku złożonych przez niego wyjaśnień zatrzymano dwadzieścia dwie osoby. Dzięki zeznaniom, w których sam się obciążył, prokurator postawił mu dziewięćdziesiąt cztery zarzuty. Jeden z nich dotyczył napadu w Wilanowie. Wcześniej Andrzej dokładnie poinstruował go, co ma mówić w prokuraturze. Mirek szczegółowo wytłumaczył, jak dokonał napadu – czego w rzeczywistości nie zrobił, i jak pobrał z konta cztery tysiące złotych – co zrobił. Po czym przyznał się, że skradziony portfel, który wcześniej dostał od Andrzeja, ma nadal u siebie.

W sytuacji Mirka niczego to nie zmieniło, bo jeden dodatkowy zarzut nie miał wpływu na ustalony z prokuratorem wyrok. W zamian za współpracę dostał tylko półtora roku, a po odbyciu kary natychmiast wyjechał z kraju. Przez kilka lat zgromadził taką kwotę, że nie musiał martwić się o przyszłość.

Podobnie jak w Genewie, to spotkanie także zakończyło się wizytą w banku i przelaniem przez Andrzeja dziesięciu procent otrzymanego odszkodowania na konto kumpla.

Wracając do domu, zastanawiał się nad swoim życiem. Uważał się za człowieka spełnionego: miał żonę, którą szaleńczo kochał, skończone studia, własny klub jazzowy i takie pieniądze, że mógłby żyć z samych odsetek. Ceną było trzydzieści miesięcy spędzonych w więzieniu. Od początku traktował ten czas, jakby to był przymusowy pobyt w akademiku, ale również jako sposób na obserwowanie świata, którego nie znał. Z podręcznego bagażu wyjął gruby plik kartek. Jeszcze odsiadując wyrok, zaczął pisać książkę o swoim pobycie w więzieniu. Wydawca po przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów był zachwycony. Andrzej zdawał sobie sprawę, że wszystko, co osiągnął w życiu, zawdzięcza Annie. Gdyby nie jej miłość i wiara w niego, zapewne zabrakłoby mu konsekwencji w dążeniu do celu.

Nie mógł się już doczekać lądowania w Warszawie.

## UROK WIELORYBA

Piotrowi udało się urwać z pracy wcześniej niż zwykle. Ciesząc się wiosennym słońcem, uświadomił sobie, że od bardzo dawna nie szwendał się bez celu po mieście. W nawale pracy łatwo było zapomnieć o małych codziennych przyjemnościach, dlatego postanowił odwiedzić kilka zapomnianych miejsc. Najpierw zajrzał do księgarni. Znalazł mnóstwo nowych tytułów, o których nawet nie słyszał. Wybrał *Cząstki elementarne* Michela Houllebecqa. Na kolejnej uliczce w małym sklepie z płytami, wśród największych postaci jazzu, które spoglądały na niego z okładek, wybrał historyczną płytę z 1963 roku Johna Coltrane'a i Johnny'ego Hartmana oraz *Midnight Sun* Dee Dee Bridgewater.

Zadowolony z zakupów ruszył na Krakowskie Przedmieście do galerii Związku Artystów Plastyków. Chciał obejrzyć nową wystawę. Kiedy mijał uniwersytet, przeleciała mu przez głowę myśl, że jeszcze tak niedawno przychodził tu jako student. Na Nowym Świecie poczuł zapachy hiszpańskiej kuchni. To przypomniało mu, że ostatnim jego posiłkiem było śniadanie.

Czekając na zamówioną paellę, otworzył kupioną książkę i wtedy dwa stoliki dalej usiadła jasnowłosa dziewczyna. Ich spojrzenia spotkały się, a ona leciutko się uśmiechnęła i nie odwróciła wzroku. Był to ciepły uśmiech, który nie miał jednak w sobie nic zachęcającego do zawarcia znajomości. Musiał być nieodłącznym elementem jej natury, uosabiał optymizm i radość życia. Wyjęła z torby książkę i podobnie jak on pogрузzyła się w lekturze. Ukradkiem zerknął na okładkę. Nie mógł uwierzyć, że czyta *Moby Dicka*. W czasach gdy Paulo Coelho stawał się obowiązkową lekturą, ona sięga po dziewiętnastowiecznych klasyków.

Starał się skupić na lekturze, ale kiedy doszedł do końca rozdziału, znowu na nią zerknął. Ona także uniosła głowę, ich spojrzenia ponownie się spotkały. Nie uważał się za przystojnego i raczej nie zdarzało się, by przypadkowo spotkane dziewczyny zwracały na niego uwagę. Może gdzieś się spotkaliśmy, pomyślał. Nie, to niemożliwe, na pewno

by ją zapamiętał. Przewracając kolejną stronę, Piotr, starając się by wyglądało to na zupełny przypadek, zerknął w jej kierunku. Dziewczyna rysowała coś w notesie. Podniosła wzrok, popatrzyła na niego i powróciła do przerwanej zajęcia.

Coraz bardziej mu się podobała. Miał ochotę nawiązać z nią rozmowę, ale nie bardzo wiedział jak. A ona właśnie dopijała lemoniadę i lada chwila mogła wyjść. Nie zastanawiając się dłużej, napisał szybko na serwetce: „Gdybyś chciała wiedzieć, co się stało z wielorybem, podaj mi swój numer”. Wzbijając się na szczyty odwagi, poprosił przechodzącą kelnerkę, by przekazała serwetkę dziewczynie. Po chwili dostał odpowiedź: „Los wieloryba znam. Nie pierwszy raz czytam tę książkę. Chcesz o niej porozmawiać? Zadzwoń”. I numer telefonu.

Piotr obojętnym z pozoru ruchem włożył kartkę do kieszeni. Kiedy podniósł wzrok, dziewczyna wstawiała od stolika. Wyszła, nawet na niego nie spojrzawszy.

Miał ochotę zadzwonić do niej od razu, uznał jednak, że to dałoby jej przewagę. A poza tym złamałby reguły, które sam zaproponował. Wytrzymał do popołudnia następnego dnia. Długo się zastanawiał, jak powinien rozpocząć rozmowę. Wszystkie zdania, które z początku uznawał za tryskające dowcipem, już po chwili wydawały mu się banalne. Nie mając pomysłu, postanowił improwizować. Po wybraniu numeru odczekał siedem sygnałów. Już chciał się rozłączyć, gdy w słuchawce zabrzmiało melodyjne:

– Tak, słucham.

Jej głos go zaskoczył, był przekonany, że już nie odbierze.

– Chciałbym porozmawiać o wielorybie – wyrzucił z siebie po dłuższej chwili.

– Pomyłka. Niech pan zadzwoni do Greenpeace’u, oni zajmują się ochroną wielorybów.

W pierwszej chwili pomyślał, że zakpiła z niego, podając zmyślony numer, jednak rozmówczyni nie sprawiała wrażenia zirytowanej głupim telefonem. To mógł być dalszy ciąg gry.

– Proszę się nie rozłączać, to nie pomyłka – udawał zdenerwowanie. –

Dzwonię, żeby panią ostrzec. Groźny biały kaszalot ludojad płynie do pani Wisłą.

– Nie boję się wielorybów. Mieszkałam z wielorybnikiem. Odchodząc, zostawił harpun, potrafię się obronić. Niepotrzebna mi pana pomoc, ale



jeśli ma pan ochotę na stek z wieloryba, spotkajmy się w piątek o osiemnastej.

Nim zdążył potwierdzić, połączenie zostało przerwane. Po chwili uświadomił sobie, że nie ustalili, gdzie się spotkają. W dodatku nie wie, jak dziewczyna ma na imię, powinien jeszcze raz do niej zadzwonić. Nim ponownie wybrał numer, usłyszał dźwięk przychodzącego esemesa. „W Czującym Barbarzyńcy”. Dobry wybór, pomyślał. Knajpa i księgarnia w jednym.

Przyszedł do kawiarni piętnaście minut przed czasem, zajął stolik i poszedł popatrzeć na książki. W dziale dziecięcym znalazł *Tomcia Palucha*, z którym wrócił do stolika. O osiemnastej dwadzieścia dziewczyny jeszcze nie było. W chwilę później pojawiła się koło niego ciemnowłosa kobieta z kubkiem parującej herbaty w dłoniach.

– Mogę się przysiąść? – spytała bezceremonialnie.

– Przykro mi, jestem umówiony.

– A jeśli postawię ci stek z wieloryba? – Poznał ją w chwili, gdy się uśmiechnęła.

– Przepraszam, trochę się zmieniałś. – Patrzył na nią z podziwem.

– To my się znamy? – zdziwiła się dziewczyna.

– Miałem cię uratować przed wielorybem – przypomniał.

– Jeśli tak, to mam dla ciebie niespodziankę.

Podawała mu wyrwaną z notesu kartkę. Rysunek przedstawiał marynarza okładającego wałkiem do ciasta małego wieloryba leżącego na blacie kuchennym. Marynarz miał twarz Piotra. Nie wiedział, czy potraktować to jako kpinę, czy sympatyczny żart. Z nią nic nie było jednoznaczne. Jeśli jednak przyszła na spotkanie... Roześmiał się, uświadamiając sobie jednocześnie, że chwila zastanowienia trwała o moment za długo.

– Kiedy to namalowałaś? – pytaniem chciał odwrócić uwagę od swojego zmieszania.

– Kiedy zobaczyłam cię w tamtej kawiarni czytającego ze skupioną miną książkę. Uznałam, że gdybym miała ilustrować *Moby Dicka*, to twoją twarz dałabym jednemu z marynarzy. Nie podoba ci się? Może wolałbyś wyglądać bardziej wojowniczo? – Nakreśliła coś w notesie i podała mu nowy szkic. Piotr stał na burcie żaglowca rozkołysanego przez wzburzone fale. W uniesionej ręce trzymał monstrualnie duży harpun, którym celował w wynurzającego się z fal białego wieloryba.

– Widzę, że jesteś artystką. To zawód czy pasja?

Dziewczyna powiedziała, że studiuje grafikę na Akademii Sztuk Pięknych i chce się specjalizować w ilustrowaniu książek. Słuchając jej, Piotr uświadomił sobie, że nadal nie wie, jak ona ma na imię. Niezręcznie było pytać o to wprost. Postanowił użyć podstępny.

– Jeśli chcesz ilustrować książki, to na okładce której byś mnie umieściła?

– *Przygodach Misia Coralgola* – odpowiedziała bez namysłu.

– Dlaczego? – Piotr nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Bo jesteś leniwy i ospały jak niedźwiadek.

Piotr domyślił się, że chciała sprawdzić, jak reaguje na żarty o sobie.

– To narysuj mnie na okładce – poprosił, ignorując przytyk.

Szybkimi ruchami ołówka zaczęła szkicować.

– Podobałbyś się dzieciom – oceniła swoją pracę, odwracając w jego stronę notatnik. Na rysunku mały miś z wylewającym się z krótkich spodenek brzuszkiem podskakiwał do góry, starając się złapać za nogę fortepian, który unoszony przez baloniki wzbijał się w górę.

– Podoba mi się, brakuje tylko podpisu autorki.

Dziewczyna zamasztywym ruchem podpisała się pod rysunkiem

– Julio, jesteś bardzo zdolną ilustratorką.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Umawiasz się na randkę, a nie wiesz, jak dziewczyna ma na imię?

Piotr zrozumiał, że wyprowadziła go w pole. Pozwolił jej triumfować.

– Przecież tak podpisałaś się pod rysunkiem.

– To pseudonim, zaprosiłeś mnie, powinieneś więc przynajmniej spytać o imię.

– A ty wiesz, jak ja mam na imię? – przeszedł do ataku.

– Wiem, nigdy nie umawiam się z bezimiennymi mężczyznami.

Piotr przebiegł pamięcią historię ich znajomości. Był pewien, że jego imię nigdy nie padło. Blefuje, pomyślał. Postanowił przyprzeć ją do muru.

– Powiedz, chcę usłyszeć, jak je wymawiasz. Jeśli zgadniesz, spełnię każde twoje życzenie, ale jeśli się pomylisz, ty spełnisz moje.

– Zgoda. – Dziewczyna podała mu rękę, drugą uderzyła z góry, przecinając zakład. – Jeśli wygram, każdego dnia będziesz obsypywał mnie kwiatami i przynosił rano do łóżka gorącą kawę i świeże croissanty z dżemem pomarańczowym.

– Mam nadzieję, że naprawdę wiesz, jak mam na imię. A teraz moje życzenie: narysujesz nas oboje na wyspach szczęścia.

– To uczciwa propozycja – przyjęła warunki.

Odsunęła się od stolika i intensywnie przypatrywała jego twarzy.

– Masz twarz chłopca i jesteś marzycielem podróżującym po krainie fantazji. Nie chcesz wydorosnąć. Jesteś Piotrusiem Panem, czyli na imię masz Piotr.

Przez cały wieczór droczyła się z nim, nie chcąc powiedzieć, jak ona ma na imię. Wyznała mu to dopiero na krótko przed zaśnięciem.

– Ewa, jak pierwsza kobieta.

Sobotę i niedzielę spędzili razem, nie wychodząc z domu. W poniedziałek rano musiał iść do pracy. Starając się jej nie obudzić, próbował na palcach wyjść z pokoju, otworzyła jednak oczy.

– Gdzie idziesz? – spytała pogrążona w półśnie.

– Do pracy. Klucze zostawiłem na stole.

– Nie spytałam cię, czym się zajmujesz?

– Jestem sędzią.

– Sędzią piłkarskim? Mój chłopiec musi tyle biegać od samego rana – westchnęła współczująco i zasnęła, nim zdążył jej wytłumaczyć pomyłkę.

W ciągu dnia dzwonił do niej kilka razy, ale telefon był wyłączony, co go zaniepokoiło. Udało mu się wyjść o drugiej. Ewę zastał przy swoim biurku, które całe pokryte było rysunkami.

– Co robisz? – spytał, całując ją na powitanie w policzek.

– Odrabiam pracę domową. Muszę przygotować projekty ilustracji do *Alicji w Krainie Czarów*.

– Bardzo ładne – powiedział, oglądając rysunki. Jej prace naprawdę mu się podobały.

– Ciebie też narysowałam – pochwaliła się i pokazała mu królika z jego twarzą ubranego w surdut i spoglądającego na zegarek.

Roześmiał się i znowu ją pocałował. Uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił.

– Dlaczego nie odbierałaś telefonu? Martwiłem się o ciebie.

– Zapomniałam go włączyć – przyznała się z rozbijającym uśmiechem.

– A ty dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? – Było mu przykro, że przez cały dzień o nim nie pomyślała.

– Nie chciałam ci przeszkadzać w meczu. Musisz być strasznie zmęczony. Cały dzień biegałeś.

Piotr zaczął się śmiać.

– Nie jestem sędzią piłkarskim, tylko prawnikiem, orzekam w sądzie.

Piotr bał się jej reakcji. Zdarzało się, że nowo poznane osoby nabierały do niego dystansu, gdy dowiadywały się, kim jest.

– Opowiedz mi o jakiejś sprawie. – Ewa przyglądała mu się z zainteresowaniem. Wiadomość, że jest sędzią, najwyraźniej jej nie wystraszyła.

– Dziś sędziłem Huberta Bieleckiego. Też kiedyś studiował na ASP.

– Czym się naraził wymiarowi sprawiedliwości?

– To fałszerz z nieprawdopodobnym talentem. Już raz był skazany za to, że sprzedał jako oryginał namalowaną przez siebie kopię obrazu Juliusza Kossaka. Dostał wtedy dwa lata z warunkowym zawieszeniem na trzy. Niestety, niczego go to nie nauczyło. Wpadł ponownie. Tym razem próbował sprzedać podrobionego Makowskiego. Nie udało mu się, miał pecha, ale muszę przyznać, że chłopak ma nieprawdopodobny talent.

– Masz może zdjęcie tej kopii? – zainteresowała się.

Wyjął z teczki akta sprawy. Dziewczyna uważnie oglądała zdjęcie.

– Przysięgłabym, że to Makowski – oceniła.

– Tak też orzekli pierwsi eksperci.

– To skąd wiadomo, że to jednak kopia? – Ewę sprawa bardzo zainteresowała.

– A to bardzo ciekawa historia. Ten obraz przez wiele lat znajdował się w prywatnych zbiorach – zaczął Piotr. – Od wybuchu wojny nikt go nie widział. Zachowały się tylko jego zdjęcia. Rok temu w kręgach ludzi zajmujących się sztuką zaczęto szeptać, że ma być wystawiony na sprzedaż. I wtedy do jednego z kolekcjonerów zgłosił się Hubert Bielecki, proponując mu kupno tego obrazu. Kolekcjoner starannie go obejrzał, po czym zawiadomił policję o próbie sprzedaży fałszyfikatu. Policja zatrzymała Bieleckiego i zabezpieczyła obraz, ale dwaj niezależni rzeczoznawcy orzekli, że to oryginał. Po tej ekspertyzie Bieleckiego wypuszczono. Prokurator przed umorzeniem sprawy postanowił jednak ponownie przesłuchać człowieka, który zgłosił próbę popełnienia przestępstwa. Chciał jeszcze raz usłyszeć, skąd przypuszczenie, że obraz jest fałszywy. Kolekcjoner potwierdził, że to on jest właścicielem owej

niewidzianej od przeszło siedemdziesięciu lat pracy Makowskiego. Prokuratorowi przyszło do głowy, że równie dobrze falsyfikatem może być płótno kolekcjonera. Powołano nowych biegłych, którzy uznali, że to też jest oryginał.

– Może Makowski namalował dwa identyczne obrazy? – próbowała znaleźć rozwiązanie Ewa.

– Była taka hipoteza – przyznał Piotr – ale specjaliści uznali, że to niemożliwe. Prokurator, mając dwa oryginały, z których przynajmniej jeden nie mógł być oryginałem, musiał rozwiązać niezwykle zagadkę. Postanowił zbadać pochodzenie obu obrazów. Kolekcjoner miał pełną dokumentację, przede wszystkim umowę kupna-sprzedaży, którą w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku zawarł jego dziadek. Hubert Bielecki nie miał żadnych dokumentów. Powiedział, że zgłosił się do niego starszy pan, który poprosił o pomoc w sprzedaży obrazu. Bielecki twierdził, że obejrzał płótno bardzo dokładnie, uznał, że to oryginał, i wychodząc z założenia, że transakcja będzie całkowicie legalna, zgodził się pośredniczyć w sprzedaży. Na pytanie, kto jest tym zleceniodawcą, odparł, że nie wie, bo ów mężczyzna nie podał nazwiska. Miał się z nim skontaktować za jakiś czas, żeby dowiedzieć się, czy transakcja doszła do skutku. Prokurator uznał, że to jedynie linia obrony Bieleckiego, i skierował akt oskarżenia do sądu

– Na jakiej podstawie uznał, że ten obraz był falsyfikatem? – nie mogła zrozumieć Ewa.

– Przesłuchał profesorów z akademii. Zeznali, że Hubert Bielecki był wybitnym studentem, taki talent trafia się raz na kilkadziesiąt lat. Ich zdaniem dzieła wielkich mistrzów kopiował tak, że nie połapaliby się nawet sami autorzy. Po tych zeznaniach prokurator miał niezły orzech do zgryzienia. Powołał kolejnych ekspertów, którzy stwierdzili, że wprawdzie obraz jest identyczny z oryginałem, może jednak być doskonałą kopią. Prokurator wiedział, że Bielecki był już karany za fałszerstwo oraz że płótno, które chciał sprzedać, nie ma żadnych dokumentów pochodzenia, dlatego przygotował akt oskarżenia. Zdając sobie sprawę, że nie udowodni podejrzanemu sfalszowania obrazu, oskarżył go jedynie o próbę sprzedaży kopii jako oryginału, czyli o oszustwo. Bardzo ciekawy proces poszlakowy.

– A co ty o tym sądzisz? Będziesz musiał w tej sprawie wydać wyrok.

– Dowody przemawiają przeciwko Bieleckiemu. Jeśli w trakcie procesu nie pojawi się nowy materiał dowodowy świadczący o jego niewinności, skażę go.

– Wsadzisz go do więzienia?

– Aż taki okrutny nie jestem. – Piotr mocno przytulił Ewę. – Jak wynika z dowodów, mógł podejrzewać, że obraz nie jest oryginałem, ale do transakcji nie doszło, czyli nikt nie poniósł szkody. Wymierzę mu karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. Prokurator proponował mu nawet dobrowolne poddanie się karze, właśnie karę w zawiasach, ale odmówił.

– Dlaczego?

– Oficjalnie dlatego, że nie czuje się winny. Jednak moim zdaniem tak naprawdę z powodu wcześniejszego wyroku za fałszerstwo. Jeśli teraz, w okresie próby, zostałby skazany, musiałby odsiedzieć tamten wyrok. On o tym doskonale wie i dlatego nie zgodził się na propozycję prokuratora. Stara się przeciągać proces, bo okres próby niebawem się skończy.

– Myślisz, że mu się uda?

– Nie pozwolę na to. Na następnej rozprawie będzie składał wnioski dowodowe, żeby przeciągnąć proces. Odrzucę je, więc proces szybko się skończy.

Piotr po minie Ewy zorientował się, że zagadnienia procedury karnej zaczynają ją nudzić. Zrezygnował zatem z wyjaśniania, co to są wnioski dowodowe i dlaczego je odrzuci.

– Nie rozmawiajmy już o przestępcach – poprosiła. – Jeśli gadamy o obrazach, to opowiedz lepiej, skąd masz taki piękny zbiór. Gierymski, Nowakowski, Opałka, to naprawdę imponująca kolekcja.

– W mojej rodzinie od pokoleń zbiera się obrazy. To mieszkanie moich rodziców, którzy pracują na uniwersytecie w Bostonie. Przenoszę się tu, gdy ich nie ma.

Przez następne tygodnie stali się nierozłączni. Ewa mieszkała u Piotra i tylko od czasu do czasu wpadała do siebie po niezbędne rzeczy. Gdy on wychodził do pracy, ona albo szła na zajęcia, albo rysowała w gabinecie Piotra. Pod koniec maja wyjechała na tygodniowe szkolenie do Kopenhagi. Odprowadził ją na lotnisko, a tęsknić zaczął już w chwili, kiedy po odprawie zniknęła mu z oczu. Dwie godziny później na ekranie jego wibrującej komórki pojawił się napis „Ewa”. Rozmawiali kilka razy

dziennie i zawsze trudno było im te rozmowy zakończyć. Po trzech dniach był gotów wsiąść do pierwszego samolotu i do niej lecieć.

– Przyjeżdżaj jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś – wykrzyknęła szczęśliwa, że wpadł na taki pomysł.

Godzinę później zadzwoniła ponownie.

– Kochanie, mam lepszy pomysł na wspólne wakacje – mówiła podekscytowana. – Moja koleżanka ma piękny dom koło Węgorzewa nad samym jeziorem. Opowiedziałam jej o tobie, a ona zaproponowała, że da mi klucze. Zrobmy sobie krótkie wakacje na Mazurach.

Piotr nie zastanawiał się ani sekundy, miał osiem dni niewykorzystanego urlopu i spędzenie go z Ewą było jego marzeniem.

– Kiedy jedziemy?

– Przylatuję w poniedziałek o dziesiątej, będę potrzebowała jakichś dwóch godzin na przepakowanie rzeczy i możemy ruszać.

Piotr sięgnął do kalendarza. Na poniedziałek miał wyznaczoną całodzienną sprawę, której nie mógł już przełożyć.

– Pojedźmy o piętnastej, wcześniej nie dam rady. Co ty na to?

– Zgoda. Nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę!

Spakował się na wyjazd w niedzielę wieczorem i w poniedziałek pojechał do sądu z torbą w bagażniku. Zadzwoniła, gdy był w drodze do pracy.

– Piotrze, trzeba wyjechać wcześniej. Magdzie, tej mojej koleżance, coś się skomplikowało, musi wyjechać z Węgorzewa najpóźniej o szesnastej. A my musimy się z nią spotkać, odebrać klucze i nauczyć się obsługiwać alarm.

Piotr z trudem powstrzymał się, żeby nie zakląć. Zamierzał dziś skończyć jedną ze spraw i czas miał zaplanowany co do minuty.

– A ona nie mogłaby zostawić nam kluczy u sąsiadów? Nie wiem, czy się wyrobię, muszę przesłuchać świadków, wysłuchać przemówień i ogłosić wyrok. Nie wyobrażasz sobie, jak długo potrafią gadać niektórzy adwokaci.

– Tam nie ma sąsiadów, dom stoi w głuszy. A nie mógłbyś przełożyć ogłoszenia wyroku na inny dzień? – zasugerowała Ewa obeznana już trochę z sądowymi zasadami.

Procedura przewidywała taką możliwość. Ona jest niesamowita, pomyślał Piotr. Skończę sprawę, a wyrok ogłoszę w następny

poniedziałek. Umówili się, że Ewa od dwunastej trzydzieści będzie czekała przed gmachem sądu.

Niestety, tego dnia szczęście mu nie sprzyjało. obrońca zasypał sąd wnioskami, a spory proceduralne ciągnęły się w nieskończoność. W końcu Piotrowi udało się, po oddaleniu wniosków, zamknąć rozprawę i udzielił głosu stronom. Prokurator był zwięzły i jego przemówienie trwało zaledwie pięć minut. Ale adwokat, tak jak Piotr przewidywał, dał popis krasomówstwa i nie dostrzegając, że sędzia coraz bardziej nerwowo spogląda na zegarek. O dwunastej czterdzieści siedem obrońca zakończył, wnosząc o uniewinnienie klienta. Piotr błyskawicznie poinformował strony, że ogłoszenie wyroku nastąpi za tydzień o godzinie czternastej. Z trudem zachował należną powagę, wstając zza sędziowskiego stołu i wychodząc z sali. Za kierownicą miał lekkie wyrzuty sumienia, że prowadzi jak pirat drogowy. Ale zdążyli.

Pobyty na Mazurach był cudowniejszy, niż Piotr mógłby sobie wyobrazić. Dostali w prezencie tydzień pięknej wiosennej pogody. Każdego ranka budziły ich promienie słońca wdzierające się do sypialni, z której mieli widok na jezioro. Mimo że oboje byli rannymi ptaszkami, ani razu nie udało im się wstać z łóżka przed południem. Po śniadaniu taklowali żaglówkę i wypływali na jezioro. Popołudnia spędzali na rowerach, a wieczorami pili wino przy kominku, myśląc o tym, że niebawem znowu znajdą się w łóżku. Nie mieli czasu na nic poza sobą. Blok Ewy nadal leżał w bagażniku, podobnie jak książka Piotra.

Po zakupy postanowili pojechać do Giżycka. Ewa zapowiedziała, że wieczorem wyprawi prawdziwą ucztę, Piotr poszedł więc wybierać wina. Gdy wracali do samochodu, rzucił im się w oczy szyld sex shopu.

– Byłeś kiedyś w takim sklepie? – Ewa spojrzała na Piotra z dziwnym błyskiem w oczach.

– Nie. A ty?

Pokręciła przecząco głową.

– Idziemy! – wyrwało im się równocześnie.

W Warszawie Piotr nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił, mógłby przecież natknąć się na kogoś z oskarżonych. Nie chciał nawet myśleć o sytuacji, w której on odczytuje wyrok, a podsądny mruga do niego porozumiewawczo okiem. Na szczęście tu był anonimowy. Z zaciekawieniem rozglądali się po półkach. Kolejne gadzety pobudzały ich wyobraźnię.



– Co byś powiedziała na taki strój? – Wskazał mocno wydekoltowany uniform pielęgniarki.

– Dla ciebie wszystko.

Po naradzie wybrali jeszcze kilka gadżetów i podekscytowani wracali do domu. Ewa przygotowała risotto z krewetkami, do którego wypili dwie butelki czerwonego wina, po czym, zapominając o reszcie zakupów, które zostały w bagażniku, wylądowali w łóżku.

Następnego dnia była niedziela, wieczorem mieli wyjechać.

– Za szybko minęło. Czuję poważny niedosyt i nie chcę wracać – mruknął Piotr w jej włosy.

– Zostańmy jeszcze jedną noc – odparła i wtuliła się w niego mocniej.

– Gdybym mógł... Ale w poniedziałek sędzę.

– Zostańmy więc na noc i wyjedźmy o świcie.

Pokusa jeszcze jednej wspólnej nocy walczyła z rozsądkiem. „Przecież to nie tak daleko, raptem dwieście kilometrów, jeśli wyjedziemy przed piątą, na pewno zdążę na sesję o dziewiątej”. – Piotr próbował rozgrzeszyć się ze zmiany planów na bardziej ryzykowne.

Wieczorem przypomnieli sobie o pozostawionych w bagażniku zakupach z poprzedniego dnia. Pokusa, by obejrzeć Ewę w kostiumie frywolnej pielęgniarki, była tak wielka, że poderwał się z fotela i pobiegł do samochodu.

– Włóż to jak najszybciej – zarządził, podając Ewie różową torbę foliową.

„Ciekawe, czy rzucę się na nią natychmiast, czy raczej oboje pękniemy ze śmiechu” – przemknęło mu przez głowę.

Ale dziewczyna się nie spieszyła, wyciągnęła z torby kajdanki, którymi przykuła Piotra do łóżka, po czym zabierając ze sobą kostium, wyszła z pokoju.

Leżąc, myślał o niej. Kiedy otworzyła drzwi, przekonał się, że pożądanie wygrało ze śmiechem. Zasnęli o drugiej w nocy. Ostatnim wysiłkiem woli Piotr nastawił budzik na czwartą trzydzieści. Obudził się wtulony w ramiona Ewy, na której pozostały tylko nędzne fragmenty pielęgniarskiego stroju.

– Obudź się, słodka, trzeba wstawać. – Pocałował ją lekko w czoło. Objęła go mocno i, wydawało mu się, nieco desperacko.

– Należysz do mnie – powiedziała. – Nikt i nic mi cię nie odbierze. Przykuję cię do łóżka, żebyś nie mógł mnie porzucić.

– Marzę o tym najdroższa, ale musimy zaraz ruszać.

– Choć na minutę bądź jeszcze mój.

Piotr dałby dużo, żeby ta minuta trwała wieczność, ale budzik wskazywał prawie piątą.

– Wstajemy, rozkuj mnie, już najwyższa pora. – Piotr poczuł nagle przypływ niepokoju.

– Co ja mogłam z nim zrobić? – Ewa podniosła poduszkę, potem kołdrę.

– Jest – wykrzyknęła, podnosząc triumfalnie mały błyszczący kluczyk.

Włożyła go do zameczka kajdanek, wszedł łatwo, ale nie dawał się przekręcić.

– Coś się zacięło – sapnęła.

– Spróbuj mocniej. – Piotr już całkiem otrząsnął się ze snu.

– Nie mogę, poczekaj, spróbuję obcęgi. Nie denerwuj się, to powinno pomóc – powiedziała, pokazując spore kombinerki. Chwyła nimi główkę kluczyka i przekręciła... – O cholera! Jak on mógł się złamać?! – wykrzyknęła, trzymając w palcach srebrne kółeczko. – Jadę po ślusarza – zdecydowała.

– Poczekaj – powstrzymał ją Piotr. Oczami wyobraźni widział już scenę, gdy wezwany na pomoc ślusarz okazuje się krewnym któregoś z oskarżonych. – Musimy to zrobić sami. Rozejrzyj się, czy nie ma tu gdzieś piłki do metalu.

Niestety, Ewa znalazła tylko wielką piłę do drewna.

Zastanawiali się, o której mogą otwierać sklepy z narzędziami.

Przed ósmą dziewczyna pojechała do miasta. Czekać na nią, Piotr uświadomił sobie, że z pewnością nie zdąży na pierwszą sprawę, która miała rozpocząć się o dziewiątej. Omal nie wyrwijąc sobie ręki z ramienia, dosięgnął telefonu. Powiedział, że zepsuł mu się samochód, i zarządził zdjęcie pierwszej sprawy z wokandy, obiecując, że uda mu się przyjechać na kolejne. O dziesiątej wróciła Ewa z piłką. Kajdanki były wyjątkowo solidne i rozcięcie ich zajęło jej godzinę. Piotr odwołał kolejną sprawę, a ogłoszenie wyroku kazał przełożyć na piętnastą. W pośpiechu pakowali rzeczy do bagażnika. Zamknęli dom i wsiedli do samochodu. Piotr przekręcił klucz, ale silnik nie odpalił.

– Co tym razem się stało? – nie mógł zapanować nad złością. Coraz bardziej nerwowo przekręcał kluczyk.

– Uważaj, żeby go nie złamać – poradziła Ewa.

– Przyganiał kocioł garnkowi – odparł Piotr, który dostrzegł komizm całej sytuacji. – Dzwonimy po mechanika – zdecydował po kilku kolejnych nieudanych próbach.

Po czternastej samochód, w którym – jak się okazało – uszkodzona była pompa paliwowa, przewieziono na lawecie do warsztatu, a Piotr jeszcze raz zadzwonił do sądu, tym razem prosząc o odwołanie ogłoszenia wyroku. Do Warszawy wrócili już po północy.

Po wykładach Ewa poszła do restauracji w kinie Kultura. W głębi sali dostrzegła znajomą sylwetkę. Mężczyzna siedział tyłem do wejścia. Odwrócił się jednak, kiedy usłyszał zbliżające się kroki.

– Cześć, współpracowniku. Jak ci się udał wyjazd?

– Wypełniony seksem i bardzo romantyczny. A co u ciebie?

– Czekałem na wysoką sprawiedliwość, ale się nie pojawiła.

Oboje parsknęli śmiechem.

– Siadaj. – Hubert Bielecki wstał i odsunął dla niej krzesło. – Powiedz, jak było naprawdę?

– Kapitalnie. Twój sędzia jest naprawdę słodki. – Ewa krótko opowiedziała o wakacjach na Mazurach.

– Po co tak wszystko skomplikowałaś? – zapytał. – Kajdanki, złamany klucz. Nie mogłaś wymyślić czegoś prostszego? Wystarczyło powiedzieć, że źle się czujesz, na pewno by z tobą został.

– Wiesz, że lubię myśleć do przodu. Jeżeli za jakiś czas to, co się zdarzyło, wyda mu się podejrzanym, jak myślisz, czy będzie chciał się z kimś podzielić swoimi wątpliwościami? Musiałby wtedy opowiedzieć o tym, jak leżał przykuty kajdankami do łóżka, a jego dziewczyna mordowała się, żeby je przepiłować, bo wstydził się wezwać ślusarza. Gwarantuję ci, że mamy zapewnioną pełną dyskrecję pana sędziego.

– Masz rację, nie piśnie nikomu ani jednego słówka. Co ci zamówić?

– Whisky. Od wina zaczyna mi już dokuczać wątroba. Powiedz, dlaczego tak ci zależało, żeby w poniedziałek nie ogłosił wyroku? Przecież może cię skazać jutro. Co zyskałeś na tych dwóch dniach? Nie lepiej by było, gdybym próbowała go przekonać, że jesteś niewinny?

– Zastanawiałem się nad tym, ale mógłby się zorientować. W kodeksie znalazłem lepsze rozwiązanie. Do zatarcia wyroku w zawieszeniu za tę wpadkę z Kossakiem zostało mi kilka miesięcy. Jeśli w tym czasie nie zostanę skazany za inne przestępstwo, nie pójdę siedzieć, a wyrok wykreśla się z rejestru karnego. Znalazłem przepis, który mówi,

że pomiędzy zamknięciem rozprawy a ogłoszeniem wyroku nie może minąć więcej niż siedem dni. Jeśli sędzia nie dotrzyma tego terminu, cały proces trzeba prowadzić od początku. W poniedziałek minął właśnie siódmy dzień, a sędzia wyroku nie ogłosił. Ponowne rozpoznanie sprawy to minimum rok, czyli nie będę siedział.

– Genialne! Znowu ci się upiekło. Zapomniałam ci powiedzieć, że on cię bardzo ceni jako malarza. Powiedział, że jesteś fałszerzem z nieprawdopodobnym talentem. Mało mnie szlag nie trafił, kiedy tak cię chwalił, przecież to ja namalowałam tego Makowskiego, ty miałeś wtedy zwichnięty nadgarstek. Ale mamy zasraną robotę, nawet nie możemy się pochwalić swoimi osiągnięciami.

– Zamierzasz dalej się z nim spotykać? – zainteresował się Hubert.

– Tak, on naprawdę mi się podoba. Nacieszę się nim do czasu, aż miłość natrafi na rafy codzienności. Gdyby nie nasza praca, mogłabym się z nim nawet związać. Ma w domu piękną kolekcję obrazów. Zrobiłam kopię Gierymskiego i zamieniłam z oryginałem.

Hubert z podziwem pokręcił głową.

– Nie przestajesz mnie zdumiewać.

Nie chciał jej robić przykrości i nie powiedział, że ten Gierymski to falsyfikat, który przed laty sprzedał rodzicom sędziego.

## MAŻ DO SPRAWDZENIA

**W** co drugi czwartek spotykały się na obiedzie. Lubiły poznawać nowe miejsca i zawsze wybierały inną restaurację. Tym razem decyzja należała do Agaty. Przeglądając blogi kulinarne, znalazła nową knajpkę na Kruczej, w której pad thai miał smakować równie egzotycznie jak w Tajlandii. Od rana kręciła się po domu, przeglądając szafy i zastanawiając się, co włożyć na spotkanie. Zrezygnowała z nowej sukienki z La Manii, jej widok mógłby za bardzo dekoncentrować przyjaciółkę, a miała jej sporo do opowiedzenia. Zdecydowała się na zwykłe džinsy do szpilek Bally. Do restauracji dotarła spóźniona zaledwie kwadrans. Iza już była. Gdy tylko kelner przyjął zamówienie, zaczęła opowiadać o niespodziance, jaką mąż sprawił jej na urodziny.

– Zaskoczył mnie jak nigdy dotąd. Ostatnio przywykłam, że nie pamięta o ważnych datach, nieraz ci o tym mówiłam. Dwa lata temu, gdy rano nie złożył mi życzeń, byłam pewna, że szykuje niespodziankę na wieczór. A on zapomniał!!!

Pamięta, jakby to było dziś, wykrzyczała mu wtedy, co myśli o mężczyźnie zaniehbującym swoją kobietę. Igor przeproszał i tłumaczył, że to z powodu pracy, której poświęca każdą chwilę, bo chciałby uniezależnić się od niej finansowo. O mało mu wówczas nie przypomniała, że dążenie do niezależności nie przeszkodziło mu w kupieniu sobie za jej pieniądze nowego maserati. W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Pieniądże były w ich związku tematem tabu. Agata odziedziczyła po rodzicach zakłady odzieżowe, dobrze je sprzedała i czuła się finansowo zabezpieczona do końca życia. Jej zdaniem z tego kapitału mogłyby żyć jeszcze jej dzieci i wnuki. Nie zamierzała pracować, jej marzeniem były podróże. Ale Igor miał ambicje, chciał stworzyć własną firmę, dlatego namówił Agatę, żeby założyli spółkę. Ona dałaby kapitał, on wiedzę i ciężką pracę.

Kiedy Agata pytała, dlaczego firma przynosi straty, choć Igor spędza w niej całe dnie, zapewniał żonę, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Zobaczysz, za dwa lata nasze zupy i przyprawy zdominują rynek w Polsce, a może także w kilku innych krajach. Będziemy najsilniejszą spółką w Polsce.

Agata czekała cierpliwie, dopłacając, na prośbę Igora, kolejne niemałe sumy, bo trzeba było podwyższać kapitał spółki.

Podczas tamtej kłótni dwa lata temu Igor przyznał jej rację, przeprosił i zapisał w laptopie przypomnienie o jej urodzinach. Nie było to szczególnie romantyczne, ale miała nadzieję, że poskutkuje. Rok później dostała od niego bukiet, który skojarzył jej się ze szkolną akademią. Była pewna, że nie kupił go sam, zapewne kazał zamówić sekretarce. Nawet nie chciało mu się odwinąć papieru, żeby sprawdzić, co niesie żonie, pomyślała. Ukryła rozczarowanie i czekała, co będzie dalej. Mąż wyjął z kieszeni nieduże pudełko. Pomyślała, że te kwiaty były prowokacją, a teraz przyszedł czas na prawdziwą niespodziankę. Niestety, w środku tkwiła bransoletka Pandory. Bez klasy, taka jak tysiące innych straszących ze sklepowych witryn.

Tym razem nie czekała na niespodziankę. Wydawało jej się, że rok temu Igor nie zaktualizował przypomnienia o urodzinach, mimo to rozpląkała się z wściekłości, gdy wyszedł do pracy bez słowa. A potem postanowiła wyjechać do przyjaciół na Mazury. Też bez słowa.

Upychanie topów, szortów i kostiumów kąpielowych przerwał jej dzwonek do drzwi. Pomyślała, że jednak sobie przypomniał, ukryła torbę pod łóżkiem i poszła otworzyć. W drzwiach stał policjant, który przedstawił się jako podkomisarz Jan Podróżny. Wściekła, że to nie Igor, nie była w stanie skoncentrować się na tym, co do niej mówił. Dopiero gdy spytał, czy jest gotowa z nim jechać, wróciła do rzeczywistości.

– Gdzie jechać? – Trochę przytomniej spojrzała na oficera.

– Czy pani mnie nie słuchała? Proszę się pośpieszyć, bo się spóźnimy.

– Podkomisarz powoli tracił cierpliwość. – Jest pani jedyną osobą, która może go rozpoznać

– Kogo? Przepraszam. Jestem dziś rozkojarzona. Czy mógłby pan powtórzyć, o co chodzi. Powtórzył.

Podobno ich dom i trzy pozostałe domy w tym zaułku były obserwowane przez włamywaczy. Wiadomość przekazał informator, ale nie umiał powiedzieć, co to za grupa i kto do niej należy. Wspomniał natomiast, że dwóch złodziei podczas obserwacji weszło do domu Agaty, podając się za gazowników sprawdzających instalację.

– Powiedziała pani przed chwilą, że dwa dni temu ktoś sprawdzał instalację gazową – w głosie podkomisarza zabrzmiała niepewność. – czy może coś źle zrozumiałem? Otworzyła im pani drzwi?

– Tak, tak, byli jacyś ludzie, ale nie pamiętam, jak wyglądali.

– Nie szkodzi, dostaliśmy cynk, że jeden z tych „gazowników” będzie niebawem w restauracji Belvedere w Łazienkach. Jak go pani zobaczy, to sobie pani przypomni. Ma pani szansę uchronić siebie i sąsiadów przed włamaniem.

Po zastanowieniu uznała, że trudno temu odmówić logiki. Zgodziła się pojechać.

– Chce pani jechać w tym stroju? – spytał sceptycznie policjant, gdy wzięła torebkę i zaczęła szukać kluczy.

– Nie podoba się panu? – rozżłościła się. – Nie jadę na randkę z włamywaczem, tylko mam go rozpoznać.

– To elegancka restauracja. Jeśli wejdzie pani w dresie, wszyscy zwrócą na panią uwagę. Nie o to nam chodzi. Ma pani obserwować salę, nie wzbudzając podejrzeń.

– Dobrze, przebiorę się. Ma pan jakieś sugestie co do stroju? – spytała, chcąc wzbudzić w nim zakłopotanie.

– Proponuję coś eleganckiego, nie bardzo rzucającego się w oczy, a do tego dyskretną biżuterię. I koniecznie ciemne okulary.

Przyjrzała mu się zdziwiona.

– Mieliliśmy szkolenie z savoir-vivre’u – uprzedził jej pytanie.

Agata poszła się przebrać. Wybieranie stroju poprawiło jej humor. Żałowała, że nie idzie tam z Igiorem. Wybrała groszkowy kostium ze spódnicą za kolana, do tego ręcznie robiony srebrny naszyjnik i szpilki. Obserwując po powrocie twarz policjanta, odetchnęła z ulgą, że na jej widok nie gwizdnął z wrażenia. Nieoznakowanym peugeotem dotarli do Łazienek.

– Proszę iść – polecił. – Stolik jest zarezerwowany na pani nazwisko.

– Mam iść sama, a pan?

– Jestem w mundurze. Towarzysząc pani, spaliłbym operację. Proszę usiąść przy stoliku. Za kilka minut podejdzie do pani komisarz Kostrzewa, po cywilnemu. Żeby nie miała pani wątpliwości, poda hasło: „Wyglądasz jak marzenie”. Jeśli zobaczy pani fałszywego gazownika, dyskretnie wskaże go pani komisarzowi. Potem może pani spokojnie wyjść, będę tu czekał.

Szef sali prowadził ją korytarzem obsadzonym zielenią do jej stolika. Lubiła to miejsce, przypominało jej amazońską dżunglę. Szkoda, że tak dawno tu nie była. To przez Igora, kiedyś bywali tu często. Rozejrzała się, szukając włamywacza. Ale sala była pusta. Dlaczego nikogo nie ma? Nie tak dawno było to bardzo modne miejsce. Podszedł kelner z kartą.

– Poczekam z wyborem na mojego towarzysza. Teraz poproszę o filiżankę zielonej herbaty.

W restauracji pojawiły się oznaki życia. Przy fortepianie usiadł mężczyzna ubrany w czarny smoking. Zauważywszy, że na niego patrzy, ukłonił się i zaczął grać fragment II koncertu fortepianowego Siergieja Rachmaninowa. Uwielbiała ten utwór, była wdzięczna pianiście, że go wybrał. Gdy skończył, z trudem się powstrzymała, by nie nagrodzić go oklaskami. Znowu zaczął grać. Nagle, jakby wyrosli spod ziemi, pojawiło się obok niego trzech skrzypków. Na salę wchodzili kolejni muzycy. Siedziała naprzeciwko orkiestry, która grała wyłącznie dla niej. Z tyłu usłyszała kroki i poczuła się rażniej, pewna, że schodzą się pierwsi goście. Nagle pojawił się przed nią Igor.

– Co tu robisz? – nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Wyglądasz jak marzenie – wypowiedział hasło, patrząc jej w oczy.

– Pracujesz w policji? – nie rozumiała, co się dzieje.

Nie odpowiedział. Podniósł rękę, jakby dawał komuś znak. Kelnerzy wnieśli kosze kwiatów.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie. – Igor pocałował ją tak, jak to robił jeszcze przed ślubem.

Z kieszeni marynarki wyjął małe pudełeczko. Nie wyglądało na kolejną kolekcję Pandory. W środku był łańcuszek z wisiorkiem w kształcie kluczyka, ozdobiony diamencikami. Taki sam widzieli u Tiffany'ego przy Piątej Alei w Nowym Jorku. Spodobał się jej i chciała go kupić, ale Igor to zlekceważył, bo bardzo śpieszyli się na spotkanie. Wtedy była na niego wściekła, dopiero teraz zrozumiała, dlaczego tak się zachował. Chciał jej zrobić niespodziankę. Uświadomiła sobie, że płacze, i by ukryć łzy, rzuciła mu się na szyję. Ruch wokół nich nie ustawał. Zapalono na stole świece i podano zupę z raków. Była naprawdę szczęśliwa, po raz pierwszy od kilku lat. Czekala ją jeszcze kolejna niespodzianka. Gdy orkiestra skończyła grać, Igor podał jej rulon czerpanego papieru obwiązany wstążką. To był wiersz, który dla niej napisał.



O tym wszystkim opowiedziała Izie. Przyjaciółka cieszyła się jej szczęściem, zadawała pytania. Agata odniosła jednak wrażenie, że myślami jest gdzieś daleko. Przyjrzała się jej i dopiero teraz dostrzegła, że Iza jest blada i wygląda na zmęczoną. Pochłonięta własną opowieścią nie zwróciła na to uwagi. Iza miała podkrążone oczy, zapewne w nocy płakała. Jestem egoistką, pomyślała Agata. Jak nakręcona trajkoczę o Igorze, a u niej wydarzyła się jakaś tragedia.

– Iza, co się stało? – spojrzała z niepokojem na przyjaciółkę.

– Rozstaliśmy się z Janem. – Po tym wyznaniu Iza rozkleiła się i zaczęła płakać.

Meandry życia uczuciowego Izy były czasem dla Agaty trudne do zrozumienia. Rozwodem zakończyło się jej nieudane małżeństwo z holenderskim biznesmenem. Niedługo potem zakomunikowała Agacie, że poznała Jana, mężczyznę swojego życia. Podczas jednego z czwartkowych spotkań z wypiekami na twarzy opowiadała o ich szalonym weekendzie w Orvieto, gdzie zajadali się truflami i pili czerwone wino. Agata nie poznała Jana, Iza nie miała czasu przedstawić go przyjaciółce, bo ciągle gdzieś jeździli. Co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch tygodni? Przecież Iza mówiąc wówczas o nim, była w euforii? Dziś oczy miała smutne, a głos matowy.

– Od powrotu z Włoch mieszkaliśmy razem. Było fantastycznie, myślałam, że lada dzień poprosi mnie o rękę. Któregoś wieczoru, gdy przygotowywałam kolację, on poszedł do gabinetu wysłać maile i zostawił na stole w kuchni telefon. Rozległ się dźwięk nadchodzącego esemesa. Zaciekawilo mnie, kto do niego pisze o tak późnej porze, ale oczywiście nie sprawdziłam, choć intuicja mówiła mi, że to coś ważnego. Gdy wrócił, przeczytał wiadomość, ale nic nie powiedział. Schował telefon do kieszeni i przez resztę wieczoru nie rozstawał się z nim. Zaniepokoiłam się tak, że złamałam zasady. Kiedy zasnął, sprawdziłam jego komórkę. Jakaś kobieta pisała, że za nim tęskni, i wysłała mu swoje zdjęcie. Ona mogła go po prostu napastować, ale jeśli tak, dlaczego nic mi nie powiedział? Postanowiłam sprawdzić, kim ona jest i co ją łączy z Janem.

Iza zamilkła na chwilę. Upiła łyk wina i kontynuowała opowieść.

– Na spotkaniu pomaturalnym, dwa miesiące temu, dowiedziałam się, że jedna z moich koleżanek prowadzi agencję detektywistyczną. Wtedy jej praca wydawała mi się czymś surrealistycznym, teraz jednak

potrzebowałam jej pomocy. Zleciłam jej obserwację Jana oraz ustalenie, kim jest ta kobieta i dlaczego wysyła mu takie esemesy. Po kilku dniach już wszystko wiedziałam. Nie uwierzysz, ta świnia, facet, za którego gotowa byłam wyjść, prowadził podwójne życie. Dostałam szczegółowy raport – spotykał się ze mną i jednocześnie z jakąś dziewczyną w Krakowie. Mnie mówił, że wyjeżdża służbowo, a jechał do niej. To drań bez cienia skrupułów. Najgorsze, że po spotkaniach z nią był ciepły, czuły i obsypywał mnie prezentami. Wróciłam do domu i wszystkie jego rzeczy wyrzuciłam przez okno. I tak oto wszystko się skończyło.

Agata przytuliła przyjaciółkę. Bardzo jej współczuła. Co więcej można zrobić w takiej sytuacji?

Kiedy Iza wyszła poprawić makijaż, Agata zaczęła zastanawiać się nad zachowaniem Igora. Co się stało jej mężowi, że po kilkuletnim zaniku uczuć zmienił się w romantyka piszącego wiersze? To było do niego niepodobne, skąd ta szalona inscenizacja? Uświadomiła sobie, że Igor nie byłby w stanie wymyślić takiego romantycznego spektaklu. Kto podrzucił mu ten pomysł? Czy to aby nie zasłona dymna, mająca odwrócić jej uwagę od tego, co robi naprawdę? Po raz pierwszy pomyślała, że on, tak jak Jan, może kogoś mieć. Czyżby była ślepa? Być może muzyka, prezent i szampan sprawiły, że przestała myśleć racjonalnie. Przecież przez dziesięć lat małżeństwa Igor nie napisał do niej nawet listu. Miała wątpliwości, czy w ogóle potrafi posługiwać się długopisem, a tu nagle wiersz na czerpanym papierze... Te strofy ją urzekły, ale piękne wersy o miłości naprawdę nie były w jego stylu. Sięgnęła po telefon, w którym miała fotografię wiersza.

– Przeczytaj – poprosiła Izę, która właśnie wróciła do stolika. – Jak myślisz, czy on sam to napisał?

Iza przeczytała wiersz, a potem wyjęła z torebki iPhone'a i wpisała w przeglądarkę pierwszą zwrotkę.

*Dla miłości twej  
Pałac mego umysłu zburzę,  
Myśli z zakamarków wypłoszę,  
Wyobraźni kraj opustoszę,  
Na kawałki roztrzaskam duszę  
Dla miłości twej*

– Niestety, kochanie. To plagiat. Igor musiał znaleźć ten wiersz w antologii poezji miłosnej, napisał go Mihály Vörösmarty.

– Wstrętny fałszerz. Oszukał mnie.

– Nie przesadzaj – pocieszała ją Iza. – Mógł mieć dobre intencje. Nie ma talentu poetyckiego, a chciał zrobić ci niespodziankę, więc posłużył się cudzymi słowami.

– Mogłabyś mnie z nią umówić? – Agata złapała przyjaciółkę za rękę.

Iza w pierwszym momencie nie rozumiała, o co chodzi.

– Umówić? Z tym poetą? Kochanie, spóźniłaś się, umarł w tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku.

– Nie z poetą. – W głosie Agaty zabrzmiało zniecierpliwienie. –

Pytałam o tę twoją koleżankę, która prowadzi agencję detektywistyczną.

Spotkanie zostało wyznaczone na następny dzień. Iza na prośbę Agaty poszła razem z nią. Agencja mieściła się na trzecim piętrze starej kamienicy przy ulicy Wspólnej. Biuro urządzone było z dyskretną elegancją, a panujący w środku spokój nasuwał myśl o dyskrecji i solidności. Sekretarka zaprowadziła je do sali konferencyjnej, poczęstowała herbatą i poprosiła o chwilę cierpliwości. Agata potrafiła docenić, jak dobrze wszystko było zorganizowane, nie posadzono ich na kanapie w korytarzu, bo mogłyby się zetknąć z innymi klientami. To dawało gwarancję anonimowości. Trafiła pod dobry adres.

Zaproszono je do gabinetu, gdzie czekała trzydziestokilkuletnia ciemnowłosa kobieta ubrana w nienagannie skrojony żakiet, kształt jej nóg podkreślały markowe buty na wysokim obcasie. Gospodyni nazywała się Anna Karpacka. Miała ciepły, zmysłowy, wzbudzający zaufanie głos. Agata pomyślała, że nie wygląda na prywatnego detektywa. Choć właściwie jak powinna wyglądać kobieta detektyw? Na pewno lepiej, żeby nic nie wskazywało na to, czym się zajmuje. Zatem wygląd Anny niekojarzący się z wykonywanym zawodem świadczy o jej profesjonalizmie. Przez kilka minut prowadziły niezobowiązującą rozmowę, ale Anna szybko przeszła do rzeczy.

– W czym mogę pani pomóc?

Agata chwilę się wahała – to krępujące opowiadać komuś obcemu o podejrzeniach w stosunku do męża – ale w końcu przemogła wstyd.

– Chcę sprawdzić, czy mąż mnie nie zdradza – przedstawiała swój problem najprościej, jak potrafiła.

– Możemy poobserwować go przez kilka tygodni. Dowiemy się o nim wszystkiego, będziemy znać jego myśli, jeszcze zanim jemu samemu przyjdą do głowy. Zgadza się pani?

Kiedy jednak Anna zaczęła mówić o szczegółach obserwacji, Agatę ogarnęły wątpliwości. Kontrolowana miała być korespondencja Igora, jego wydatki, działalność na portalach społecznościowych. Czy takie ingerowanie w cudze życie jest legalne? A co będzie, jeśli mąż dowie się, że wynajęła prywatnego detektywa? Jeśli jest niewinny, znienawidzi ją i nigdy jej tego nie wybaczy. Jednak pokusa dowiedzenia się prawdy okazała się zbyt silna i Agata nie zrezygnowała z usług agencji. Była żoną i chciała wiedzieć, co robi jej mąż. „Świętym prawem żony jest kontrolować, czy rodzina jest bezpieczna” – przekonywała samą siebie.

– Czy to jest zgodne z prawem? – zapytała, żeby zabić wyrzuty sumienia.

– Tak – potwierdziła Anna. – Jeśli, jak pani wspomniała, telefon, komputer, karta kredytowa i samochód, których używa pani mąż, są własnością firmy, a pani jest w niej większościowym udziałowcem, ma pani prawo kontrolowania tego, co się dzieje w firmie. Jako udziałowiec będzie pani sprawdzała wspólnika, a nie męża. I proszę mi zaufać. On o niczym się nie dowie.

Sugestia o kontrolowaniu wspólnika przekonała Agatę. To ona dała pieniądze na założenie firmy i podwyższała kapitał, żeby spółka przetrwała. Tyle razy pytała o szczegóły, a Igor zawsze ją ignorował. Skoro nie chciał z nią rozmawiać, to sam jest sobie winien.

– Przygotuję umowę – zaproponowała Anna.

Agata dostała zalecenie, żeby nie zmieniać zachowania w stosunku do męża, ich życie powinno toczyć się jak do tej pory. Kompletny raport dotyczący Igora miała otrzymać po miesiącu.

Igor nadal był romantycznym dżentelmenem, który objawił się w dniu jej urodzin w Belvedere. Wracał z firmy do domu z kwiatami, wieczorami zapalał świece i otwierał czerwone wino. Dwukrotnie zabrał ją na kolację w mieście. Agatę zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia. Po co wynajęła detektywa? Były jednak i dni, gdy mąż zupełnie o niej zapominał i spędzał całe dnie w biurze. Przyjeżdżał wtedy późno, skonany i od razu zasypiał. Agata kilka razy próbowała podpytać Iżę, czy przypadkiem nie ma jakichś wiadomości z agencji, ale przyjaciółka nic nie wiedziała.

Anna zadzwoniła dokładnie po miesiącu. Jadąc do niej, Agata czuła treść jak przed trudnym egzaminem w czasie studiów. Z każdym przejechanym kilometrem opuszczała ją odwaga. Co będzie, jeśli mnie zdradzał? Wrócę do domu i pierwszym z brzegu kuchennym narzędziem upodobnię męża do sera szwajcarskiego? Ale wtedy za to, że on mnie zdradzał, pójdę siedzieć. Bez sensu. Ktoś mnie musi powstrzymać. Dlatego poprosiła Iżę, żeby poszła razem z nią. O piątej po południu obie weszły do agencji detektywistycznej. Sekretarka zaprowadziła je prosto do pokoju szefowej.

Agata obserwowała Annę, próbując odczytać z jej twarzy, jak przez ten miesiąc sprawował się Igor. Bezskutecznie, zachowanie pani detektyw niczego nie zdradzało. Usiadły przy stole konferencyjnym, na którym leżały cztery grube teczki. „Czy to dowody zdrady czy niewinności Igora?” – zastanawiała się Agata. Grzecznościowa rozmowa ciągnęła się w nieskończoność. W końcu Anna przeszła do sprawy. Zaczęła od opisu prac wykonanych przez agencję.

– Zgodnie z pani zleceniem... – Agata nie chciała tego słuchać, chciała wiedzieć tylko, czy Igor kogoś ma. Wytrzymała jednak do końca sprawozdania. W końcu Anna przeszła do sedna.

– Nie natrafiliśmy na żaden ślad, który wskazywałby na to, że pan Igor jest z kimś związany. Całe dni i wieczory spędzał w pracy. Za miesiąc firma wprowadza na rynek nowy produkt i pani mąż jest tym całkowicie pochłonięty. Jego życie przez ostatni miesiąc to spotkania z technologami produkcji, agencjami reklamowymi, prawnikami, księgowymi. Mamy dla pani kompletny raport. – Anna wskazała leżące na stole teczki.

Agata uświadomiła sobie, jak niesprawiedliwa była w stosunku do Igora, i poczuła ucisk w żołądku. Jak ma go przeprosić, nie przyznając się do tego, co zrobiła? Będą ją dręczyć wyrzuty sumienia. Pomyślała, że może łatwiej byłoby jej patrzeć w lustro, gdyby mąż okazał się nie aż tak święty.

– Jeśli był tak zajęty, to może nie miał czasu na flirty – zasugerowała Annie, pragnąc teraz znaleźć choćby rysę w nienagannym portrecie męża.

– Tego nie możemy wykluczyć – przyznała Anna. – Jeśli chce być pani w stu procentach pewna lojalności męża, to proponuję test pozwalający ustalić, jak zachowuje się w sytuacjach pokusy.

– A na czym polega taki test? – zainteresowała się Agata.

– Inscenizujemy przypadkowe spotkania obserwowanego z atrakcyjnymi kobietami, z którymi współpracuje nasza agencja. One prowokują mężczyznę, a my się przyglądamy, jak on reaguje w takich sytuacjach. Oczywiście na koniec do niczego nie dochodzi – uspokoiła Agatę. – To tylko próba.

Agata zastanawiała się, co zrobić. Gdyby choć raz usiłował umówić się na randkę z dziewczyną, miałaby usprawiedliwienie. Z jednej strony bała się, że może sprowokować los. Jeśli Igor umówi się raz, co go potem powstrzyma, by zrobić to ponownie? Z drugiej strony miała szansę zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie wiedząc, co robić, spojrzała na Izę. Szukała rady przyjaciółki, która zdawała sobie sprawę z jej rozterek.

– Ja bym poddała go temu testowi – poradziła Iza. – Teraz Igor, mimo że przez dwa lata nie pamiętał o twoim istnieniu, wychodzi na świętego. Zaraz dojdiesz do wniosku, że na przeprosiny powinnaś mu kupić co najmniej odrzutowiec. Ulży ci, jeśli okaże się, że próbuje się mizdrzyć do jakiejś małolaty.

Ta argumentacja przekonała Agatę. Wyniki próby miały być za kilka dni.

I tym razem pojechała na spotkanie w towarzystwie Izy. Nie denerwowała się już tak jak przed poprzednią wizytą, nawet miała nadzieję, że mąż dał się przyłapać na czymś głupim, a niegroźnym. Pozwoliłoby jej to pozbyć się wyrzutów sumienia. Kiedy usiadły wygodnie w fotelach, Anna opowiedziała o wynikach przeprowadzonego eksperymentu.

– Sprawdzając wierność męża, badamy, jak się zachowuje w sytuacjach pokusy. Istotny jest typ urody kobiety. W podobnych sytuacjach mężczyzna może inaczej zachowywać się w stosunku do brunetki, a inaczej, gdy zagadnie go blondynka. Poddajemy mężczyznę kilku testom w różnych warunkach. Pokażę paniom wynik przeprowadzonych badań. Anna zgasiła światło i włączyła projektor.

Zobaczyły Igora idącego ulicą. Z naprzeciwko szła, czytając „Politykę”, atrakcyjna dwudziestoparoletnia blondynka. Mijając Igora, potknęła się i próbując utrzymać równowagę, oblała mu marynarkę kawą z kubka trzymanego w lewej ręce. Igor mruknął coś pod nosem, a Agata ucieszyła się, że jego słów nie dało się zrozumieć.

– Ojej, najmocniej pana przepraszam. – Dziewczyna sięgnęła do torebki przewieszanej przez ramię i wyjęła białą chusteczkę.

– Proszę dać spokój, to nic nie da. – Igor przytrzymał jej rękę.

– Jeszcze raz przepraszam. Tak mnie wciągnął artykuł o nowych technologiach w przemyśle spożywczym, że zapomniałam o bożym świecie – usprawiedliwiała się. – Nie mogę zostawić pana w takim stanie, mieszkam tuż obok, proszę pójść ze mną, oczyszczę panu marynarkę.

– Naprawdę to niepotrzebne, dziękuję za troskę. – Igor najwyraźniej starał się zakończyć rozmowę.

– Muszę jakoś wynagrodzić panu wyrządzoną krzywdę. Może jako przeprosiny przyjmie pan chociaż zaproszenie na kawę.

Igorowi odpowiedz zajęła ułamek sekundy.

– Niestety, nie mogę, jestem umówiony z żoną.

Oglądając film, Agata miała ochotę poprosić o kieliszek wódki. Zamiast dumny z męża czuła wściekłość. Przez niego zagryzą ją wyrzuty sumienia. Mógł z dziewczyną przynajmniej wypić tę głupią kawę, a przede wszystkim nie wspominać, że jest żonaty.

Na następnym filmie Igor także szedł chodnikiem. Zbliżał się właśnie do urodziwej brunetki, która bezradnie stała obok samochodu z przebitym kołem.

– Czy mógłby mi pan pomóc? – zwróciła się do Igora, kiedy ją mijał.

– Jasne – rzucił. Po czym zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i zajął się zmianą koła. Tym razem go przyłapali, pomyślała Agata. Mnie z każdym drobiazgiem w samochodzie kazał jeździć do warsztatu. Wymiana koła zajęła Igorowi kilka minut.

– Jak mogę się panu zrewanżować? – spytała brunetka, gdy skończył.

– Czy da się pan zaprosić na lunch?

Ku rozczarowaniu Agaty i tym razem Igor nie skorzystał z zaproszenia.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, wkładając marynarkę. – Życzę miłego dnia! – Ukłonił się i odszedł.

– Numeru telefonu też nie próbował od niej wziąć. No po prostu święty – mruknęła cicho Agata.

– To wszystko, co przygotowaliśmy.

– Pieprzony papież – nie mogła powstrzymać się od komentarza Agata.

– Jest pani niezadowolona? – W głosie Anny słychać było zdziwienie.

– Jestem bardzo zadowolona. – Agacie sprawiało trudność zapanowanie nad emocjami. – Tylko że po obejrzeniu mojego świętobliwego małżonka czuję się jak ostatnia suka. Po tym, co zobaczyłam, chyba odleję z wosku figurkę męża, włożę ją do kapliczki i postawię w sypialni. Niech pani przygotuje rachunek za tę beatyfikację.

Anna uznała, że należy uszanować nastrój klientki, choć przecież jeszcze miesiąc temu Agata była zaniepokojona tym, że mąż ją zdradza. Teraz jest zła, bo nie miała racji. Niełatwo jest zrozumieć niektóre kobiety. Z szuflady biurka Anna wyjęła przygotowany już rachunek.

Kwota czterdziestu pięciu tysięcy złotych nie zrobiła na Agacie wrażenia. Po wyjściu z agencji nadal była w podłym nastroju.

– Chodź, napijemy się wódki – zaproponowała Izie.

Do domu wróciła o drugiej w nocy kompletnie pijana. Nie mogła nawet wytłumaczyć się przed Igorem, bo do świtu wymiotowała w toalecie. Mąż zastał ją rano w kuchni z woreczkiem lodu przyciśniętym do skroni. Nie skomentował nocnego szaleństwa ani słowem, zapytał natomiast, czy mogłaby po południu podjechać do obsługującej ich firmę kancelarii notarialnej.

– Czy muszę? – jęknęła, trzymając się za głowę.

– Bardzo mi na tym zależy. – Pocałował ją. – Prawnicy zdecydowali, że musimy rozszerzyć zakres działalności. Konieczne jest więc zwołanie zgromadzenia wspólników.

– Dobrze, będę – jęknęła, osuszając do dna szklankę z zimną colą.

Po jego wyjściu zastanawiała się, co powinna zrobić. W końcu przyszło jej do głowy rozwiązanie, które uznała za idealne. Zadzwoiła do Izy, żeby skonsultować z nią swój pomysł. Przyjaciółka nie była nim zachwycona, ale rozumiała, że Agata musi odkupić swoją winę, bo inaczej się zadręczy. Zaraz potem Agata wystukała numer do notariusza.

Dzięki zimnemu prysznicowi i dużej ilości kawy doprowadziła się do jako takiego stanu. U notariusza czekał już na nią Igor z prawnikiem opiekującym się firmą. Rozpoczęto nudną procedurę walnego zgromadzenia wspólników. Po kilku minutach Agata miała wrażenie, że kac, którego z takim trudem pozbywała się przez całe przedpołudnie, wraca. Z trudem udało jej się powstrzymać ziewnięcie. Zaciśnęła zęby, żeby dotrwać do końca. Gdy wszystkie punkty zgromadzenia



zapropozowane przez Igora zostały zaakceptowane, głos zabrał notariusz.

– Pozostał nam jeszcze jeden punkt programu, zgłoszony przez panią Agatę Langret. Chodzi o przeniesienie jej udziałów w spółce Bestsoup na pana Igora Langreta.

Igor spojrział zdziwiony na żonę.

– Kochanie, co to ma znaczyć?

– Ta firma to twój pomysł i wynik twojej pracy – tłumaczyła mu swoją decyzję. – Uznałam, że jeśli ty od początku realizowałeś cały ten projekt, to powinieneś być właścicielem stworzonej przez siebie firmy. Dlatego zdecydowałam się przenieść na ciebie swoje udziały. No, może także dlatego, że bardzo cię kocham – dodała ciszej.

Nowe zupy wyprodukowane przez spółkę Bestsoup okazały się rynkowym szlagierem. W pierwszym miesiącu dwukrotnie przekoczono zaplanowaną sprzedaż. Sukces ten uczcili weekendem w Toscanii, gdzie zajadali się miejscowymi specjałami, obficie popijając je winem. Agata cieszyła się chwilami spędzonymi tylko we dwoje. Potem mieli się nie widzieć przez długie dwa tygodnie, które Igor miał spędzić w Ameryce, prowadząc rozmowy handlowe.

W dniu odlotu odwiozła go na lotnisko. Wsiadł do samolotu lecącego do Frankfurtu, skąd miał przesiadkę do Nowego Jorku.

Po czułym pożegnaniu z mężem Agata pojechała na spotkanie z Izą. Tym razem decydowała Iza. Wybrała restaurację Opasły Tom na Foksal. Agata nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć przyjaciółce o szczegółach toskańskiego weekendu. Test, któremu poddała męża, spowodował, że jej miłość odżyła. Dopiero się rozstali, a ona już nie mogła doczekać się jego powrotu.

We Frankfurcie Igor nie musiał się śpieszyć, jego samolot miał wystartować za ponad trzy godziny. Po drodze do wyjścia odwiedzał lotniskowe sklepy. Przy bramce A 44 dostrzegł znajomą sylwetkę. Choć była odwrócona tyłem, wyczuła jego obecność i odwróciła się. Wyglądała ślicznie. Nie zdążył nacieszyć się jej widokiem, bo podbiegła i rzuciła mu się na szyję. Lecieli pierwszą klasą, to miał być ich najdłuższy wspólny wyjazd, dla uczczenia tego faktu zamówili szampana.

– Zdrowie naszej fundatorki. – Anna nawiązała do rachunku wystawionego Agacie.

To dzięki niej mogli odbyć tę podróż.

– Przecież ciężko zapracowałem na te pieniądze – zaprotestował Igor, śmiejąc się. – Cały miesiąc musiałem przygotowywać raporty o tym, co robiłem przez cały dzień. To była najcięższa praca, jaką wykonałem w życiu.

Anna wyciągnęła się w fotelu i przymknęła oczy. Przypominała sobie wydarzenia, które poprzedziły ich wspólny wyjazd. Spotykali się już od dwóch lat, to była prawdziwa miłość. Jednak Igor był zależny od żony, dlatego musieli być bardzo ostrożni. W rozwiązaniu problemu pomógł im łut szczęścia. Do biura detektywistycznego Anny zgłosił się Peter Hermsen, Holender obsesyjnie zazdrosny o żonę. Przekonany, że go zdradza, zlecił agencji jej śledzenie. Na zdjęciu Anna rozpoznała swoją koleżankę z liceum. Nadal pamiętała, że to Iza w maturalnej klasie odbiła jej chłopaka, teraz nadarzyła się okazja do wyrównania rachunków.

Niestety, mimo intensywnej obserwacji nie natrafiła na oznaki niewierności dawnej koleżanki. Holender nie krył rozczarowania. Zaczęła podejrzewać, że obsesyjna zazdrość była jedynie pretekstem. Zapewne sam miał kogoś i chcąc zakończyć małżeństwo, szukał dowodów niewierności żony. Zaproponowała mu ofertę specjalną, poddanie Izy egzaminowi na wierność. Zgodził się bez sekundy namysłu. Mężczyznę, któremu powierzyła to zadanie, dobrała ze szczególną starannością. Jan, były model, dzięki urodzie i olbrzymiemu urokowi potrafił sprawić, że kobiety nie panowały nad emocjami. Opowiadając Janowi o zadaniu, Anna napomknęła, że tym razem może zapomnieć o zasadach etyki zawodowej i nawiązać romans z „obiektem”, bo tak w zawodowym żargonie nazywali osoby, które rozpracowywali. Jana nie trzeba było długo namawiać, zwłaszcza kiedy zobaczył Izę na zdjęciu.

Sytuacja rodzinna państwa Hermsenów wyjaśniła się bardzo szybko. Kilka tygodni później wystąpili do sądu o orzeczenie rozwodu za porozumieniem stron. Iza była do nieprzytomności zakochana w Janie, a Anna z rozkoszą czekała na moment, gdy jej współpracownikowi znudzi się ta przygoda. Wtedy jej szkolne rachunki zostaną wyrównane. Któregoś wieczoru wspomniała o niej Igorowi. Okazało się, że Iza to najbliższa przyjaciółka jego żony. Wtedy Annie przyszło do głowy, że jest sposób na to, żeby szybko i pomyślnie rozwiązać sprawy rodzinne Igora.

Poprosiła Jana, by zaaranżował kilka sytuacji, po których Iza zaczęłaby podejrzewać go o niewierność. Równocześnie odnowiła

kontakty z dawnymi kolegami z klasy. W czasie rozmów na Facebooku postanowili, po dyskretnych sugestiach Anny, zorganizować klasowe spotkanie w związku z piętnastoleciami matury. Dzięki niemu ponownie spotkała Izę. Przegadały pół wieczoru. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Iza zadzwoniła, prosząc o spotkanie. Anna czuła słodki smak zemsty, gdy wspólnie z Janem przygotowywała raport o jego niewierności.

Równocześnie przygotowywała scenariusz zasadzki na Agatę. Razem z psychologiem rozważała zachowania Igora, które mogłyby spowodować u jego żony chęć skontrolowania męża. Anna była pewna, że Iza opowie Agacie o swoich przeżyciach z Janem i profesjonalnej agencji detektywistycznej, dzięki której udało się zdemaskować oszusta. Na wypadek gdyby Iza nie chciała się zwierzyć koleżance, Anna miała przygotowany plan awaryjny. Przypadkowo natknęłaby się na przyjaciółki w czasie któregoś z ich spotkań, i tak poprowadziła rozmowę, że Agata sama zgłosiłaby się do niej ze zleceniem. Na szczęście plan awaryjny nie był potrzebny.

Z rozmarzeniem wspominała miesiąc pracy z obiektem, czyli Igorem. Przez ten czas prawie nie wychodzili z łóżka. Znając kobiecą psychikę, Anna była pewna reakcji Agaty. Kiedy zorientuje się, że niesłusznie podejrzewała Igora, a potem równie bezpodstawnie kazała go śledzić, nękana wyrzutami sumienia, będzie chciała mu to wynagrodzić. Przypomniała sobie, że o coś jeszcze miała spytać ukochanego.

– Zdążyłeś pójść do adwokata?

– Tak, potwierdził, że po tym, jak kazała mnie śledzić, nagrywać rozmowy telefoniczne i kontrolować skrzynkę mailową, a na koniec próbowała sprowokować mnie do zdrady, nie będę miał problemu z uzyskaniem rozwodu z jej winy.

Anna pociągnęła łyk szampana. Była szczęśliwa. Zapowiadały im się udane wieloletnie wakacje.

## OBRONA DOSKONAŁA

**A**dwokat sięgnął po gazetę z interesującym go artykułem. Czytając, nie potrafił powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

– Szeffie, dzwoni mecenas Wiśniowiecki. Mogę połączyć? – spytała sekretarka.

– Tak. – Domyślił się, w jakiej sprawie dzwoni przyjaciel.

– Cześć, Piotrze. Czytałeś już? Gratuluję, to wielki sukces. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wygrałeś.

W „Gazecie Prawnej” zamieszczono ranking najlepszych adwokatów. Piotr zajął w nim pierwsze miejsce. Przyjaciel znalazł się na szóstej pozycji – to też powód do zadowolenia – zrewanżował się więc gratulacjami. Po zakończeniu rozmowy powrócił do lektury komentarza uzasadniającego wybór laureatów. Jurorzy jednomyślnie uznali go za najskuteczniejszego obrońcę w sprawach karnych.

Ponownie zadzwonił telefon. Spodziewał się kolejnych gratulacji.

– Szeffie, dzwoni nowy klient. Chce się umówić na spotkanie – oznajmiła sekretarka.

Człowiek, który przyszedł nazajutrz do kancelarii, był średniego wzrostu, koło czterdziestki, schludnie ubrany w granatowy garnitur i gustownie dobrany krawat w prążki. Nie wyglądał na przestępcę. „Ciekawe, co przeskrobał”, zastanawiał się adwokat, zapraszającym gestem wskazując gościowi fotel.

– Panie mecenasie, potrzebuję pomocy. Zostałem niewinnie oskarżony. – Mężczyzna przedstawił swój problem bez zbędnych wstępów.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent klientów adwokata zaklinało się, że zostali niewinnie oskarżeni. Doświadczenie mówiło Piotrowi, że im ktoś gorliwiej zapewnia o swojej niewinności, tym jest mniej wiarygodny.

– Co panu zarzucono? – spytał, zapewnienie o niewinności pozostawiając bez komentarza.

– Oskarżono mnie o rozbój. Niech pan sam zobaczy. – Mężczyzna podał mu akt oskarżenia.

Nazywał się Adam Nowakowski, miał czterdzieści trzy lata i był dyrektorem handlowym w koncernie produkującym aparaturę medyczną. Żonaty, dwójka dzieci, pensja dwadzieścia pięć tysięcy złotych miesięcznie. Nie był to człowiek, który musiałby dorabiać, dokonując napadów. Jednak adwokat widział już w życiu tyle, że nic nie mogło go zdziwić. Nie komentując, czytał dalej akt oskarżenia. Adam Nowakowski był oskarżony o to, że 24 lipca 2010 roku dokonał w Poznaniu rozboju na Władysławie Karpińskim w ten sposób, że uderzył go dwukrotnie pięścią w tył głowy, a następnie zabrał portfel z zawartością około tysiąca dwustu złotych. Z uzasadnienia aktu oskarżenia adwokat poznał tło sprawy.

Poszkodowany, Władysław Karpiński, wyszedł z baru Jędrus, w którym wypił dwa piwa. W chwilę potem został zaatakowany. Napastnik uderzył go dwukrotnie, a gdy ofiara upadła, zabrał jej portfel i zbiegł. Pokrzywdzony zadzwonił po policję o dwudziestej drugiej czterdzieści, jakieś trzy minuty po napadzie. Opisał napastnika jako mężczyznę średniego wzrostu, w średnim wieku, ubranego w ciemne spodnie i szarą marynarkę. Policjanci przeczesali okolicę i zatrzymali Adama Nowakowskiego ubranego tak jak opisany przez pokrzywdzonego napastnik.

Zatrzymanego przeszukano. Nie miał wprawdzie skradzionego portfela, ale znaleziono przy nim tysiąc dwieście pięćdziesiąt cztery złote w gotówce. Uznano, że po napadzie wyrzucił portfel, zachowawszy pieniądze. Podejznanego zawieziono do komendy, gdzie przeprowadzono konfrontację. Napadnięty obejrzał zatrzymanego i trzech innych mężczyzn przez lustro fenickie. Bez cienia wątpliwości wskazał jako napastnika Adama Nowakowskiego.

Z aktu oskarżenia wynikało, że pomiędzy napadem a zatrzymaniem podejrzanego mogło upłynąć około piętnastu minut.

– Co pan robił przed zatrzymaniem przez policjantów? – spytał klienta adwokat, chcąc poznać więcej szczegółów.

– Byłem na konferencji naukowej w Koninie. Wracałem samochodem. Zaparkowałem pod domem, a ponieważ żony jeszcze nie było, postanowiłem napić się piwa w pobliskiej kawiarni. Zanim tam doszedłem, zostałem zatrzymany. To jakiś absurd, mecenasie. Na nikogo nie napadłem, musi mnie pan z tego wyciągnąć.

– Czy ktoś pana widział?

– Nie, ani parkując samochód, ani po drodze do kawiarni nie spotkałem nikogo znajomego.

– Rozmawiał pan przez telefon?

– Nie.

Adwokat zdał sobie sprawę, że obrona nie będzie łatwa. Podjął się jednak sprawy.

– Będę musiał pojechać do sądu przeczytać akta – poinformował klienta.

– Skserowałem je, oto one. – Mężczyzna wyjął z torby gruby skoroszyt.

Po przeczytaniu akt adwokat zastanawiał się nad koncepcją obrony. Pokrzywdzony nie miał powodu, by pomawiać oskarżonego. Swego rozpoznania był pewien w stu procentach. Jednak widział go tylko przez moment, zanim po zadanych ciosach upadł na ziemię. Nie potrafił go dokładnie opisać. Pamiętał tylko, jak był ubrany. Skąd zatem ta pewność w rozpoznaniu? Adwokat postanowił spotkać się ponownie z klientem.

– Jak przebiegało okazanie? – spytał, kiedy sekretarka postawiła przed nimi filiżanki z parującą kawą.

– Ustawiono mnie z trzema innymi mężczyznami w szeregu, a on obejrzał nas przez lustro i wskazał mnie jako bandytę, który go napadł. Facet się pomylił, a teraz nie chce się przyznać do błędu.

– Czy widział pana po napadzie, a przed okazaniem?

Mężczyzna zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym zaczął nerwowo wiercić się w fotelu.

– Muszę skorzystać z toalety – powiedział i szybko wstał.

Gdy wrócił, kontynuowali przerwany wątek.

– Tak, po zatrzymaniu policjanci zawieźli mnie do komendy. Zakuty w kajdanki byłem prowadzony przez dwóch umundurowanych policjantów do pokoju okazań. Na korytarzu minęliśmy mężczyznę siedzącego na krześle. To był pokrzywdzony. Nie wiedziałem wówczas, że to on. Drugi raz spotkałem go w prokuraturze, poszedłem tam, żeby zapoznać się z aktami. I wtedy powiedziano mi, że rzekomo napadłem na tego właśnie człowieka.

Adwokat był zadowolony z odpowiedzi. Zagadka zaczyna się powoli wyjaśniać, klasyczne nieprawidłowe okazanie. Pokrzywdzony zobaczył mężczyznę w kajdankach, prowadzonego przez policjantów. W chwilę później znowu go zobaczył, tym razem przez lustro fenickie. Akademicki

przykład sugestii. Policjanci, idąc z nim na okazanie, powiedzieli, że zatrzymali napastnika. Pod wpływem tej sugestii poszkodowany rozpoznał osobę, którą widział w kajdankach. Jedyne dowód, czyli rozpoznanie przez ofiarę, był do podważenia. Obrońca chciał wyjaśnić jeszcze jeden szczegół.

– Mówił pan, że kiedy pan wrócił, żony nie było jeszcze w domu. Skąd pan o tym wiedział?

Gość ponownie zaczął się wiercić na krześle.

– Bardzo przepraszam, muszę jeszcze raz do toalety.

Nie zaproponuję mu następnej kawy, bo nigdy nie skończymy, pomyślał adwokat.

– Dostałem esemesa, żona napisała, że wróci za pół godziny. Była u koleżanki. – Po powrocie klient odpowiedział na zadane wcześniej pytanie.

– Przecież mówił pan, że nie rozmawiał z żoną przez telefon.

– Bo tak było. Nie rozmawialiśmy, przesłała mi tylko wiadomość. Na policji pytano, czy rozmawiałem przez telefon, ale zgodnie z prawdą zaprzeczyłem.

– O której przyszedł ten esemes?

– Około dwudziestej drugiej czterdzieści, wjeżdżałem wtedy do Poznania.

– Jeśli w chwili zdarzenia był pan kilka kilometrów od miejsca napadu, to nie mógł go pan dokonać. Złożymy wniosek, by sąd zwrócił się do operatora z prośbą o ustalenie, za pośrednictwem którego nadajnika dostał pan wiadomość, i w konsekwencji wykażemy, gdzie naprawdę był pan w tym czasie. To będzie żelazne alibi – głośno analizował otrzymaną informację adwokat. Uznał, że sprawę ma już wygraną.

Tydzień później sekretarka zawiadomiła go, że ma gościa.

– Szefie, przyszła pani Honorata Nowakowska, żona Adama Nowakowskiego. Nie była umówiona, ale bardzo prosi, żeby pan ją przyjął.

– Dobrze, poproś.

Do gabinetu weszła trzydziestokilkuletnia atrakcyjna kobieta ubrana w czarną sukienkę.

– Proszę usiąść. – Gospodarz wskazał jej fotel.

– Przyszłam poinformować pana, że mój mąż zmarł dwa dni temu. Nie musi pan już przygotowywać się do jego sprawy. – Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy, które pociekły jej z kącików oczu.

– Jak to się stało? – dopytywał się adwokat. – Widzieliśmy się przed tygodniem, wyglądał jak okaz zdrowia.

– To była niedrożność jelit. Operacja się udała, ale w szpitalu zarażono go sepsą. Zmarł po trzech dniach. – Kobieta z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Pewnie dlatego ciągle musiał wychodzić do toalety, adwokat przypomniał sobie nietypowe zachowanie klienta. Szkoda, był jeszcze młody, i ta jego sprawa... Na sto procent zostałyby uniewinniony. Przypomniał sobie, że nie zdążył jeszcze zainkasować honorarium, ale w takiej sytuacji rozmawiać z wdową o pieniądzach byłoby nietaktem. Postanowił spisać je na straty.

Kilka miesięcy później mecenas w innej sprawie pojechał do Poznania. Do sądu dotarł pół godziny przed czasem. W oczekiwaniu na klienta przechadzał się po korytarzu, przyglądając się wokandom wiszącym na salach rozpraw. Na jednej z nich przeczytał nazwisko oskarżonego: Adam Nowakowski. Co za dziwny zbieg okoliczności, pomyślał. Takie samo nazwisko jak mojego zmarłego klienta i w dodatku ten sam zarzut. Z ciekawości postanowił zajrzeć do środka. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widział, składał wyjaśnienia z ławy oskarżonych. Zbieżność nazwisk musiała być przypadkowa. Adwokat usiadł w ławce dla publiczności. Oskarżony kontynuował wyjaśnienia.

– Gdy wjeżdżałem do Poznania, dostałem esemesową wiadomość od żony. To było dokładnie o dwudziestej drugiej czterdzieści, a ja jechałem ulicą Przasnyską. Można to potwierdzić, ustalając stację przekaźnikową, do której zalogował się mój telefon. Nie mogłem, będąc siedem kilometrów od miejsca napadu, tego napadu dokonać.

Adwokat uświadomił sobie, że rozpatrywana jest sprawa, w której był obrońcą, ale przecież jego klient zmarł. Kim w takim razie był mężczyzna na ławie oskarżonych?

Spojrzał na obrońcę oskarżonego, może on zdoła rozwiązać tę zagadkę. Na ławie obrończej, ubrany w togę siedział z twarzą czerwoną jak burak jego nieżyjący klient Adam Nowakowski.

„Co tu się, do diabła, dzieje?!” – zastanawiał się mecenas. Nie mógł zakłócać rozprawy i na uzyskanie wyjaśnienia musiał poczekać



do przerwy.

– Kim pan naprawdę jest? – spytał nadzwyczaj zdrowo wyglądającego „nieboszczyka” w adwokackiej todze, gdy znaleźli się na korytarzu sądowym.

– Jestem adwokatem. Nazywam się Jan Postny. – „Nieboszczyk” pokazał mu legitymację. – Nim się poznaliśmy, to znaczy zanim pana odwiedziłem – poprawił się – zgłosił się do mnie klient, Adam Nowakowski, prosząc, żebym go bronił w sprawie o napad. Nie miałem pomysłu, jak mu pomóc, i przyszło mi do głowy, żeby skorzystać z rady kogoś bardziej doświadczonego. Pana uznano za najlepszego obrońcę karnego. Wybrałem się zatem po pomoc do pana. Nie wiedziałem, czy będzie chciał mi pan udzielić konsultacji jako adwokatowi, dlatego udawałem mojego klienta. Nie mogłem lepiej wybrać. Świetnie pan przygotował obronę. Nie chciałem więcej zawracać panu głowy, dlatego moja asystentka przekazała panu informację, że hm... „odszedłem”. Gdybym sam kiedyś miał problemy z prawem, z pewnością zgłosiłbym się do pana, jest pan najlepszy!

Adwokat chciał zaripostować, że ta chwila już nadeszła, bo niebawem jego „zmarły” klient stanie przed sądem za oszustwo, jednak szczerść rozmówcy zupełnie go rozbroiła. Postanowił wyjaśnić rzecz, której nie potrafił zrozumieć.

– Dlaczego podczas naszych spotkań tak często wychodził pan do toalety?

– Na niektóre z pana pytań nie znałem odpowiedzi. Musiałem zadzwonić do mojego klienta, żeby się dowiedzieć. Przecież adwokata nie wolno oszukiwać.

Wracając do domu, mecenas zastanawiał się, jak ta sprawa, gdyby ujrzała światło dzienne, wpłynęłaby na jego pozycję w kolejnym rankingu adwokatów.

## NA KAŻDE WEZWANIE

**D**oktor Piotr Drawicz operował już czwartą godzinę i czuł narastający ból w plecach. Zabieg zbliżał się ku końcowi. Pozostawało mu tylko zaszywanie skóry i zamocowanie drenów. Zdawał sobie sprawę, że operacja nie uratuje pacjentki, ale może jej zapewnić dodatkowe miesiące życia.

– Ciśnienie spada, brak czynności serca – krzyknęła stojąca naprzeciwko niego doktor Olga Sośnicka.

Doktor Drawicz zerwał serwetę leżącą na klatce piersiowej pacjentki i rozpoczął reanimację, uciskając miarowo mostek. Anestezjolog przygotowała defibrylator, poleciła wszystkim odsunąć się od pacjenta i wykonała defibrylację. Spojrzała na monitor i stwierdziła brak czynności elektrycznej serca. Doktor Drawicz kontynuował masaż serca. Defibrylację powtórzono dwukrotnie bez efektu. Barbara Kapler nie żyła.

Doktor odszedł od stołu, zdjął fartuch i umył ręce. Cały czas analizował przebieg operacji. Podczas zabiegu nie zostały uszkodzone ani duże naczynia, ani śledziona. Chora nie straciła krwi. Nie popełnił żadnego błędu, to musiał być zawał serca albo zator płuc. Usiadł i wypełnił dokumentację pooperacyjną.

Na korytarzu czekał Bronisław Kapler, mąż pacjentki. Na widok lekarza zerwał się z krzesła.

– Jak poszło, panie ordynatorze? Dlaczego tak długo?

Drawicz, choć operował już ponad dwadzieścia lat, nie nauczył się rozmawiać z rodzinami chorych. Po godzinach walki o życie pacjenta nie był w stanie wykrzesać z siebie nawet udawanej empatii dla jego bliskich. Wiedział, że rozmawiając z mężem zmarłej, powinien wzbić się na szczyty dyplomacji, mimo to przekazał mu krótki komunikat.

– Niestety, żona nie przeżyła zabiegu. Doszło do zatrzymania akcji serca. Mimo reanimacji żony nie udało się uratować.

– Ale wszystko będzie dobrze? – Wydawało się, że mąż nie pojął słów lekarza.

Często bliscy nie dopuszczali do siebie złych wiadomości.

– Pana żona umarła – powtórzył znużonym głosem Drawicz.

Dopiero teraz mąż pacjentki zrozumiał. Zakrył twarz dłońmi. Lekarz czekał, dając mu czas na wyrzucenie z siebie emocji.

– Dlaczego? – wydusił z siebie.

– Ustała akcja serca. – Doktor powtórzył to, co przed chwilą już powiedział.

– Po co pan ją operował? To pana wina. Pan ją zabił.

Bronisław Kapler postanowił, że nie spocznie, dopóki lekarz odpowiedzialny za śmierć jego żony nie zostanie ukarany. Wracając do domu, w sklepie papierniczym kupił papier podaniowy. Wieczorem napisał odręcznie pismo do okręgowego sądu lekarskiego. Opisał, jak było naprawdę. Przed pójściem do szpitala żona czuła się dobrze. Miała apetyt i na nic się nie skarżyła. Jeśli nawet poczuła kilka razy ból, to wystarczyło dać jej lekarstwo i wszystko by przeszło. Po co było operować? To ordynator Piotr Drawicz wymyślił, że trzeba operować. Pewnie miał w tym jakiś interes. Jest winny śmierci Barbary i powinien zostać ukarany.

Po pogrzebie głównym zajęciem Bronisława Kaplera było czekanie na listonosza, jednak odpowiedź przyszła dopiero po miesiącu. Pełen nadziei, że sprawiedliwości stanie się zadość, otworzył kopertę. Rzecznik dyscyplinary informował go, że po zapoznaniu się z przebiegiem leczenia Barbary Kapler nie stwierdził, by w jego trakcie doszło do jakichkolwiek nieprawidłowości. Diagnoza medyczna i przebieg leczenia był prawidłowy, a zgon pacjentki nastąpił wskutek współistniejącej choroby serca. Bezpośrednią przyczyną zgonu było powikłanie śródoperacyjne mięśnia sercowego. Operujący lekarz nie miał możliwości zapobiec temu powikłaniu. Rzecznik informował, że nie znalazł podstaw do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego przeciwko ordynatorowi Piotrowi Drawiczowi.

Mężczyzna ze złością zmiął list i rzucił go na podłogę. Cholerna lekarska mafia, pomyślał. Swój kryje swego i uważają, że nic im nie można zrobić. Udowodnię im, że sprawiedliwość istnieje na świecie. Wstał i pokuśtykał do stolika, gdzie miał odłożoną gazetę, w której radzono, jak postępować w sytuacjach, gdy miało się do czynienia z nieuczciwymi lekarzami. Odszukał artykuł i wystukał wskazany w nim numer telefonu.

– Tu linia specjalna Centralnego Biura Antykorupcyjnego – usłyszał kobiecy głos płynący z taśmy. – Po usłyszeniu sygnału prosimy o przedstawienie się, podanie swojego numeru telefonu lub adresu i opisanie, z jakimi przejawami korupcji wśród lekarzy państwo się zetknęli. Nasz pracownik skontaktuje się z państwem. Przypominamy, że nasze biuro gwarantuje pełną dyskrecję i anonimowość. – Rozległ się sygnał dźwiękowy, po którym powinien nagrać wiadomość. Zamierzał opowiedzieć o tym, jak doktor zabił jego żonę, ale z nagrania wynikało, że dla tego biura ważne były inne informacje. Musiał ich zainteresować, by zajęli się jego sprawą.

– Tu Bronisław Kapler – przedstawił się. – Mam informacje, które was zainteresują. Proszę o kontakt.

Przez dwa dni, czekając, aż oddzwonią, nie wychodził z domu. Powoli tracił nadzieję. Przyszli do niego po tygodniu. Dwóch funkcjonariuszy po cywilnemu, w drzwiach pokazali legitymacje.

– Długo musiałem na was czekać – wyraził niezadowolenie.

– Tyle roboty, że nie nadążamy, Ma pan informacje, które nas interesują? – upewnił się jeden z mężczyzn.

– Tak, wejdźcie, wszystko wam opowiem

– Opowie pan bezpośrednio prokuratorowi, jedziemy.

Prokurator Jan Irys kierował się prostymi zasadami. Wierzył, że świat będzie lepszy, jeżeli wszyscy będą przestrzegać prawa. Nie był jednak idealistą i zdawał sobie sprawę, że ludzie nie są dobrzy sami z siebie. Na ogół byli słabi i ulegali pokusom. Do przestrzegania obowiązujących zasad skłonić ich mógł jedynie strach. Paraliżujący strach przed nieuchronną i surową karą. Ci, którzy się boją, nie popełniają przestępstw.

Jego zadanie polegało na ściganiu wszystkich, którzy lekceważyli prawo, i pilnowaniu, żeby zostali surowo ukarani. Jan Irys kochał swoją pracę. Do biura przychodził przed kolegami, wertował akta i przygotowywał plany przesłuchań. Zdawał sobie sprawę, jakie to ważne. Ludzie, których przesłuchiwał, wiedzieli dużo: o swoich rodzinach, o sąsiadach, kolegach z pracy. Jego zadaniem było tę wiedzę z nich wydobyć, a potem oddzielić ziarno od plew. Dla Irysa ziarnem były informacje o przestępstwach. Dzięki nim stawiał zarzuty i sporządzał akty oskarżenia. Mechanizm był prosty – im więcej wiedział, tym więcej oskarżał. Gdy inni się poddawali, on drażył. Wiedział, że każdego

świadka można złamać albo przekonać, to tylko kwestia konsekwencji i odpowiednich metod. Dlatego miał najlepsze wyniki, przełożeni to doceniali.

Irys otworzył akta nowej sprawy. Na razie były cienkie. Niejaki Bronisław Kapler, emeryt lat osiemdziesiąt, wdowiec, złożył zawiadomienie na infolinię Centralnego Biura Antykorupcyjnego, że ma informacje o lekarzu Piotrze Drawiczu, chirurgu ordynatorze Kliniki Chirurgii Szpitala Miejskiego w Warszawie. Zadzwoił do biura, więc najprawdopodobniej chodziło o łapówkę. Ciekawe, ile ten oszust wyciągnął od biednego emeryta – zastanawiał się prokurator.

Kazał zebrać informacje o lekarzu. Wynikało z nich, że doktor Drawicz ma dom, samochód i działkę na Mazurach. Niemożliwe, żeby dorobił się tego z lekarskiej pensji. Zatem pokrzywdzonych takich jak Kapler było więcej, a zadaniem prokuratora było ich odnalezienie. Miał świadomość, jak bezradna i nieudolna w zwalczaniu przestępczości wśród lekarzy jest władza. Gdyby to od niego zależało – rozmarzył się – w ciągu roku problem korupcji w służbie zdrowia zniknąłby bezpowrotnie.

Prokurator Jan Irys miał kilka pomysłów, do których starał się przekonać przełożonych. Zakładał, że aby być skutecznym, należy kontrolować. Dlatego w szpitalach powinny być kamery. Wszędzie, zarówno w salach, jak i w pokojach lekarskich. Był człowiekiem doświadczonego i wiedział, że pomysłowość ludzka w obchodzeniu prawa jest nieograniczona. Dlatego system musi być szczelny, kamery powinny być nawet w toaletach. Jeszcze lepiej, żeby każdy lekarz i każdy pacjent miał obowiązkowo przypiętą do ubrania małą kamerkę. Analiza nagrań pozwalałaby stwierdzić, czy pomiędzy potencjalnymi podejrzanymi nie dochodziło do prób korupcji.

Jeśli w szpitalu nie byłoby miejsca, w którym można bezkarnie wręczyć łapówkę, pacjenci przestaliby je dawać.

Zdawał sobie sprawę, że niektórzy usiłowałiby obejść system kontroli poprzez próby wręczania łapówek ukrytych w wynikach badań czy książeczkach zdrowia. Dlatego przekazywanie czegokolwiek przez personel medyczny pacjentowi i odwrotnie powinno się odbywać w obecności pracującego w każdym szpitalu agenta Biura Antykorupcyjnego. Oczywiście są ludzie, którzy i to ogniwo kontrolne mogliby próbować ominąć, pozostawiając korzyści majątkowe

w umówionych schowkach. Idealnym rozwiązaniem byłoby całkowite oddzielenie pacjentów od lekarzy, na przykład za pomocą płyty pleksiglasowej. Tyle że lekarz, żeby leczyć, czasem musi pacjenta dotknąć, a tego nie da się zrobić przez płytę. I z tym jednak logistycznie Irys był sobie w stanie poradzić. Pomieszczenia lekarzy i pacjentów mogłyby być oddzielone specjalnymi śluzami. W każdej ze śluz pracowałby agent CBA, który rewidowałby wchodzącego i wychodzącego lekarza. To dawałoby pewność, że niczego nie wynosi ze strefy pacjenta. Podobnie pracownicy szpitala powinni być rewidowani przy wchodzeniu do pracy i wychodzeniu z niej.

Przełożony, do którego poszedł ze swoim projektem, próbował znaleźć jego słabe strony.

– A co będzie, jeśli pacjent spotka się z lekarzem po pracy i wtedy wręczy mu łąpówkę? Pana zabezpieczenia okażą się nic niewarte.

Jednak i z tym problemem Irys poradził sobie błyskawicznie. Pracujący w szpitalu lekarze powinni być anonimowi. Zamiast nazwisk mieliby numery i obowiązkowo nosiliby maski, żeby pacjent nie mógł ich rozpoznać. Pamiętał, że przełożony długo mu się przypatrywał, po czym powiedział:

– To interesujące, prokuratorze.

Z ich rozmowy sporządził obszerną notatkę. Irys liczył, że trafi ona do kogoś z wyobraźnią, kto podobnie jak on za cel postawi sobie walkę z przestępczością. Wyobrażał sobie, że zostaje wezwany do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie przedstawia swój projekt. Wierzył, że jego czas nadejdzie, i cierpliwie czekał. Ale na razie musi się ograniczyć do mniej doskonałych metod.

Ponownie skoncentrował się na dzisiejszej sprawie. Jeśli lekarz miał więcej majątku, niż zdaniem prokuratora powinien mieć, bez wątpienia łąpówki przyjął nie tylko od Kaplera, ale i od innych pacjentów.

Prokurator wiedział już, że Barbara Kapler leżała w trzyosobowej sali. Pozostałe dwie pacjentki musiały też dać łąpówki, a to oznacza, że Kapler o tym wiedział, pacjenci przecież ze sobą rozmawiają i opowiadają sobie takie rzeczy. Będzie więc mógł od razu oskarżyć lekarza o trzykrotne przyjęcie korzyści majątkowej. To na razie, potem przesłucha wszystkich pacjentów lekarza i dojdą kolejne zarzuty.

Irys był dumny ze swojego analitycznego umysłu. Niczym Sherlock Holmes potrafił rozwikłać całą sprawę, zanim zetknął się z pierwszym

świadkiem. Teraz musi zebrać tylko dowody. Uważał, że konieczność zbierania dowodów, za pomocą których oskarżonemu trzeba dowieść winy, czyni wymiar sprawiedliwości niedoskonałym. Gdyby sądy mogły orzekać w oparciu o intuicję śledczych, takich jak on, odpłata za dokonane przez przestępców niegodziwości byłaby natychmiastowa. A gdyby śledczy był jednocześnie sędzią, mielibyśmy idealny system prawny.

Przywołał się do porządku, ostatnio zbyt często puszcza wodze fantazji. Mimo że prawo było niedoskonałe, do obowiązków prokuratora należało jego egzekwowanie, dlatego powinien skoncentrować się na sprawie.

Obejrzał zdjęcie Drawicza zrobione przez wysłanych do szpitala agentów. Przystojny ciemnowłosy mężczyzna, sporo przed pięćdziesiątką. Poczekaj, już taki nie będziesz, jak wyjdiesz, pomyślał. Wpatrując się w niego, czuł się niczym myśliwy, który dostrzega zwierzynę i wyrusza jej tropem.

– Już mi się nie wymkniesz – powiedział półgłosem, wpatrując się w zdjęcie.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Z uznaniem pokiwał głową. Doceniał punktualność.

– Wejść! – krzyknął tubalnym głosem.

Funkcjonariusze wprowadzili do pokoju niskiego siwego mężczyznę. Irys świdrował go wzrokiem. Wyglądał na kogoś, kto będzie współpracował. Prokurator postanowił odgrywać rolę dobrego policjanta. Wstał zza biurka i wylewnie uściśnął dłoń mężczyzny.

– Jak miło pana widzieć. Dzięki takim obywatelom jak pan, my, prokuratorzy, możemy skutecznie walczyć z przestępczością. Proszę usiąść i opowiedzieć, co pan wie, a ja gwarantuję, że Drawicz stanie przed sądem.

Irys z satysfakcją dostrzegł, że przyjęta przez niego metoda okazała się skuteczna. Dowiedziawszy się, że Drawicz trafi przed sąd, mężczyzna aż poczerwieniał z zadowolenia. Wręcz palił się do współpracy. Lekarz nieźle musiał go obedrzeć ze skóry. Irys miał nadzieję, że więcej niż dziesięć tysięcy, bo taka kwota dobrze wyglądałaby w akcie oskarżenia.

– Wie pan, ja napisałem w sprawie tego doktora do sądu lekarskiego, ale nic z tego nie wynikło, lekarze to wielka sitwa, jeden kryje drugiego. To układ, z którym trzeba skończyć, dlatego zadzwoniłem.

– Dobrze pan zrobił, my sobie z nimi poradzimy – zapewnił prokurator. – Proszę mówić dalej.

– On zabił moją żonę.

Irys poczuł przyjemny dreszcz emocji. Czyżby w tej sprawie było coś więcej, niż początkowo zakładał? Zabójstwo dla pieniędzy? Lekarz, który morduje pacjentów, by przywłaszczyć sobie ich majątek?

– Zmusił ją do napisania testamentu na swoją korzyść, a potem zamordował? – Prokurator postanowił od razu zweryfikować swoją hipotezę.

– Jakiego testamentu? – zdziwił się mężczyzna. – Nic nie wiem o żadnym testamencie.

Irys nie był zadowolony z siebie. Zawiodła go intuicja. Powinien zacząć wnioskować, dopiero gdy będzie miał wystarczająco dużo danych.

– Badałem jedną z hipotez śledczych – wyjaśnił. – Proszę mówić dalej.

– Basia była całkiem zdrowa, tylko trochę ją bolało, wystarczyło jej dać jakieś tabletki, a nie operować. Przez tę operację umarła. Chcę, żeby za to odpowiedział.

Irys zastanawiał się, o czym mężczyzna mówi. On nie opisywał żadnego zabójstwa, tylko, co najwyżej, błąd w sztuce medycznej. Przypomniał sobie przepis w kodeksie karnym. Nieumyślne spowodowanie śmierci zagrożone było karą do pięciu lat pozbawienia wolności. Poczuł, jak narasta w nim złość. Takimi duperelami jak błąd w sztuce to powinien się zajmować jakiś młokos z rejonu, a nie on – doświadczony prokurator prokuratury okręgowej. Jego interesowały poważne przestępstwa: łapówkarstwo zagrożone wyrokiem do ośmiu lat, zabójstwa – od ośmiu w górę, a nie jakaś drobnica. Ten mężczyzna marnował jego cenny czas, zamiast przejść do konkretów. Uznał, że musi go zdyscyplinować.

– Po co pan mi to opowiada? – spytał ostro.

– Bo chcę, żeby poniósł karę.

Irys z radością zauważył, że zmiana metody od razu poskutkowała i świadek przechodził do konkretów.

– I o to chodzi – pochwalił go. – To ile pan mu dał?

– Ile mu dałem? Czego? – Nie zrozumiał mężczyzna.

Z jakimi debilami muszę pracować, pomyślał zirytowany Irys.

– Niech pan przestanie się ze mną bawić w kotka i myszkę – ostrzegł.

– Jaką łapówkę mu pan dał? Doktorek pójdzie siedzieć i już nigdy nikogo



nie skrzywdzi.

– Ale ja mu nie dałem żadnej łapówki – wyszeptał Kapler. – Przecież panu mówiłem, że nie chciałem, żeby moja żona była operowana. Nie mogłem mu przecież płacić za coś, czego nie chciałem. Niech go pan aresztuje za to, że ona umarła – próbował znaleźć kompromisowe rozwiązanie.

Irys aż poczerwieniał ze złości. Wyglądało na to, że świadek próbuje się wycofać. To zniweczyłoby tak starannie wymyślone śledztwo.

– Nie ze mną te numery, Kapler! – Irys zerwał się z fotela i patrzył na świadka z góry. – Jak się będziesz tak zachowywał, to nie Drawicz pójdzie siedzieć, ale ty! My tu wiemy, jak sobie radzić z takimi, co próbują mataczyć. Tu mamy wszystkie zeznania. – Wskazał na akta sprawy. – Świadkowie zeznali, Kapler, że dałeś łapówkę, a to jest karalne. Jednak ja ci chcę pomóc. Zgodnie z prawem, jeśli się dobrowolnie przyznasz, że dałeś łapówkę, to nie ty odpowiadasz, tylko ten, komu dałeś. Masz ostatnią szansę. Przyznasz się, że dałeś, idziesz do domu, nie przyznasz się, idziesz siedzieć za wręczenie łapówki. Kilka lat w więzieniu nie zleci ci szybko. To co wybierasz?

Kaplerowi zaczęły trząść się ręce. Jeśli tam były zeznania, że dał łapówkę, kto mu uwierzy, że jej nie dał? Jeśli prokurator mu teraz nie wierzy, to nie uwierzy i sąd. Prokurator jest mądry i wie, co mówi, skoro radzi mu się przyznać, to może lepiej tak zrobić? Chciał, żeby lekarz został ukarany. Chodziło o zasadę, czy to ważne, co sąd napisze w wyroku? Zasłużył na więzienie i tam trafi.

– A w tych zeznaniach jest napisane, że ile mu dałem? – spytał, żeby nie popełnić błędu.

– No, widzę, że zmądrzałeś, Kapler. I po co było mataczyć i utrudniać? – Irys odzyskiwał dobry humor. Dzięki zastosowaniu właściwej metody śledczej udało mu się uratować sprawę. Zastanowił się, jaka suma pasowałaby najlepiej w akcie oskarżenia. – Piętnaście tysięcy złotych – zaproponował.

– Panie prokuraturze, takiej sumy nawet nie widziałem na oczy. Mam tysiąc dwieście emerytury – zaproponował mężczyzna.

– I znowu, Kapler, utrudniacie. – Irys westchnął. – To może dziesięć tysięcy.

Kapler przecząco pokręcił głową.

– Też za dużo.

– Pięć tysięcy – powiedział Irys. – To moje ostatnie słowo. Bierzemy się do spisywania zeznań.

Dwie godziny później prokurator Irys dumnie wkroczył do gabinetu naczelnika.

– Szefie, mamy niezbite dowody winy. Świadek zeznał, że wręczył Piotrowi Drawiczowi korzyść majątkową w kwocie pięciu tysięcy złotych za przeprowadzenie operacji. Co więcej, świadek uzyskał od żony informacje, że inne pacjentki również wręczały łapówki. Zdejmujemy go?

Doktor Piotr Drawicz został zatrzymany następnego dnia o szóstej rano w swoim domu na warszawskim Mokotowie. Zatrzymanie przebiegło bez zakłóceń. W czasie przeszukania domu nie znaleziono dowodów jego winy, nie znaleziono również żadnych dowodów na to, że jest niewinny. Po zatrzymaniu lekarz został zawieszony do prokuratury okręgowej i zaprowadzony do gabinetu prokuratora Jana Irysa.

– No, to wpadliście, doktorze, w niezły gnój – przywitał zatrzymanego prokurator. – Ma pan szczęście, że trafił pan na mnie. Pomogę panu się z tego wydostać.

Doktor Piotr Drawicz był zdezorientowany. Od chwili gdy policja wdarła się do jego domu, nikt nie powiedział mu, dlaczego został zatrzymany. Nie wiedząc, na czym polega pomyłka, nie mógł jej wyjaśnić. Na szczęście trafił na kogoś kompetentnego.

– Dziękuję, że chce mi pan pomóc w wyjaśnieniu tego nieporozumienia.

– Tu nie ma żadnego nieporozumienia, bo prokuratura nie myli się nigdy – przerwał mu Irys. – Ma pan do wyboru albo się przyznać i wrócić do domu, albo pójdzie pan siedzieć. Jak pan posiedzi, to się pan przyzna, ale będzie już za późno.

Jeszcze tego samego dnia doktor Piotr Drawicz poszedł siedzieć. Sąd, który rozpatrywał jego sprawę, uznał, że zeznania Bronisława Kaplera w dostateczny sposób uprawdopodobniają fakt popełnienia przez podejrzanego przestępstwa, a wobec wielowątkowości sprawy jego pozostawanie na wolności stwarza zagrożenie, że podejrzany mógłby utrudniać postępowanie. Zastosowano więc wobec podejrzanego areszt tymczasowy na okres trzech miesięcy.

Po wydaniu postanowienia przez sąd prokurator Jan Irys osobiście sporządził komunikat dla mediów. Uważał, że informowanie społeczeństwa o własnych sukcesach wpłynie na podniesienie kultury prawnej społeczeństwa. Zapewnił, że przeprowadzone postępowanie zgromadziło niepodważalne dowody winy przekupnego lekarza i że prokuratura dołoży starań, żeby zdemaskować inne przypadki korupcyjnych zachowań podejrzanego. Zachęcał wszystkich, którzy cokolwiek na ten temat wiedzą, by to zgłaszali. Zapewnił również, że prokuratura postara się, żeby obok kary pozbawienia wolności pozbawiono lekarza praw do wykonywania zawodu.

Doktora Piotra Drawicza przewieziono do Aresztu Śledczego dla Warszawy Mokotowa. Tam odwiedził go adwokat Jerzy Polny. Lekarz widział mecenasa kilka razy w telewizji. Był wdzięczny bratu, że zatrudnił dla niego jednego z najlepszych fachowców. Sześćdziesięcioletni mężczyzna w świetnie skrojonym ciemnym garniturze samym wyglądem budził zaufanie.

– Nie wiem, jak się zachować, mecenasie. W roli podejrzanego jestem debiutantem. Jeśli powiem, że jestem niewinny, to zapewne mi pan nie uwierzy.

Adwokat uśmiechnął się, doceniając inteligencję rozmówcy. Praktycznie każdą rozmowę z nim klienci rozpoczynali od składania deklaracji, że są niewinni. Zaklinali się na życie matek, żon albo dzieci. Czas różnie weryfikował te deklaracje, jednak gdyby Bóg chciał rozliczać aresztantów ze składanych deklaracji, zdaniem mecenasa śmiertelność wśród rodzin jego klientów powinna znacznie wzrosnąć. A przecież nie miały znaczenia najszczerze nawet zapewnienia podejrzanych, lecz dowody zgromadzone w sprawie. To na ich podstawie orzeka sąd. Na szczęście tego klienta adwokat nie musiał utwierdzać w przekonaniu, że wierzy w jego zapewnienia o niewinności. Od razu mogli się skoncentrować na dowodach.

– Przeczytałem akta sprawy. Pomawia pana Bronisław Kapler, twierdząc, że dał panu łapówkę w kwocie pięciu tysięcy złotych za zoperowanie żony Barbary. Co więcej, zeznał, że żona mu powiedziała, jakoby dwie inne pacjentki leżące z nią na sali wyznały jej, że również wręczyły panu łapówki. Po dziesięć tysięcy złotych każda.

– To bzdura – wyrwało się lekarzowi. – Nigdy nie wziąłem pieniędzy od żadnego pacjenta. Przepraszam, mecenasie – zmitygował się. – Proszę

mówić dalej.

– Prokuratura przesłuchiwała obie kobiety, żadna z nich tego nie potwierdziła – kontynuował obrońca. – Ma pan zatem jeden zarzut.

– Jak się mogę przed nim obronić?

– Musimy podważyć wiarygodność Kaplera. Czy miał pan z nim jakiś konflikt?

– Obwinia mnie o śmierć żony. Złożył do izby lekarskiej skargę, która została oddalona jako bezpodstawna. Mści się za krzywdę, którą mnie obarcza.

– To może być powód – przyznał adwokat. – Musimy wykazać niekonsekwencje w jego zeznaniach.

– Co pan proponuje?

– Złożę wnioszek o konfrontację. Wtedy będę mógł zadawać mu pytania. Ludzie, którzy kłamią, często gubią się w szczegółach.

Niestety, wnioszek obrońcy nie został uwzględniony. Po powrocie z przesłuchania w prokuraturze Bronisław Kapler dostał zawału. Pogotowie przewiozło go do szpitala, gdzie po dwóch dniach zmarł.

– I co teraz będzie, mecenasie? – spytał Drawicz podczas kolejnego spotkania w areszcie.

– Jego zeznania ze śledztwa zostaną odczytane przed sądem. Niestety, nie będziemy mogli wykazać ich niespójności. Nie najlepiej to wygląda.

– Mamy choć cień szansy?

– Nie jest tak źle – próbował pocieszyć go obrońca. – Będziemy wykazywać każdą słabość materiału dowodowego. Spytamy, skąd Kapler wziął pieniądze na łapówkę. To cztery jego emerytury. Przesłuchamy pacjentki, które leżały w pokoju z jego żoną, może słyszały, jak Kapler mówił, że się na pana zemści. Spytamy je także, czy prokurator w czasie przesłuchania nie nakłaniał ich, by pana fałszywie pomówiły. Jeśli zastosował taką metodę wobec pana, to podobnie mogło być podczas przesłuchania Kaplera. A to by podważało wiarygodność całego przesłuchania. Jednak dowiedzenie tego byłoby bardzo trudne. Możemy też przesłuchać innych pana pacjentów, żeby wykazać, że nigdy nie żądał pan korzyści.

– A co z aresztem?

– Rozmawiałem z prokuratorem. Na razie nie ma możliwości, żeby go uchylić. Powiedział, tu cytuję: „Jest tam, gdzie jego miejsce”.

– A co pan sądzi o samym prokuratorze?

Jego obrońca westchnął ciężko i nie odpowiedział.

Prokurator Jan Irys czuł się zawiedziony śmiercią Bronisława Kaplera, głównego świadka oskarżenia. Pokrzyżowała mu nieco plany. Zakładał, że dzięki niemu zmusi pozostałych świadków do mówienia. Podczas konfrontacji pacjentki przygwożdżone do muru dowodami w postaci zeznań Kaplera powinny się złamać i wyznać swoje grzechy. Niestety, świadek zmarł i do konfrontacji nie doszło. Przesłuchał je wprawdzie i użył najbardziej wyrafinowanych metod śledczych, próbując zmusić do mówienia. Trwały jednak w przestępczym uporze i nie przyznawały się do wręczenia łapówki, a on przy braku współpracy Piotra Drawicza nie mógł wykazać, że kłamią. Zastanawiał się, jak poradzić sobie z tym patem. Z zadumy wyrwał go dzwonek telefonu. W słuchawce usłyszał kobiecy głos.

– Dzień dobry, panie prokuratorze. Tu Katarzyna Dobosz z tygodnika „Koncepcje”. Czy mogę poprosić pana o chwilę rozmowy?

Irys zastanawiał się, jak postąpić. Nie lubił dziennikarzy i nie ufał im. Cieszyli się z porażek prokuratury. To go irytowało, trudno przecież umacniać praworządność, gdy media drwią z jej strażników. Mimo to jednak mediów nie można lekceważyć, bo dzięki nim społeczeństwo dowiaduje się o sukcesach prokuratorów w walce z przestępczością. Zdecydował, że będzie postępował ostrożnie.

– A w jakiej sprawie?

– Piszę artykuł o prokuraturze. Chciałabym porozmawiać z najwybitniejszymi prokuratorami. Zasugerowano mi wywiad z panem, dlatego dzwonię, żeby prosić o spotkanie.

– Kto pani zasugerował? – przerwał jej czujnie.

– Pytałam pracowników Prokuratury Generalnej o wskazanie najwybitniejszego prokuratora na froncie walki z przestępczością. Wszyscy wymieniali pana.

Irys nie potrafił ukryć zadowolenia. Jest doceniany przez przełożonych, skoro go polecili. Nie mógł odmówić. Podobało mu się to, co powiedziała kobieta. Sięgnął po długopis i zapisał, by nie zapomnieć: „front walki z przestępczością”. To określenie doskonale charakteryzowało jego pracę. Będzie go używał.

– Dobrze, niech pani przyjdzie jutro do mnie do biura o piętnastej. Tylko proszę się nie spóźnić, bo wolną będę miał tylko godzinę – poinstruował dziennikarkę, żeby nie przewróciło jej się w głowie.

Rano podczas golenia zastanawiał się, czy przy rozmowie z nim przewidziany jest jakiś materiał fotograficzny. Jeśli tak, powinien się stosownie ubrać. Postanowił wybrać coś niebanalnego, co wyróżni go z tłumu anonimowych prokuratorów. Zdecydował się na jasnoszare spodnie, różową koszulę i bordową marynarkę w cienką białą kratę. I krawat w szaro-różowe romby, który mama przywiozła mu z Egiptu. Z zadowoleniem obejrzał w lustrze efekt łączący elegancję z indywidualnością.

Kobieta zapukała do drzwi punkt piętnasta. Z zadowoleniem pokiwał głową, cenił punktualność. Gdy weszła, bacznie się jej przyjrzał. Szczupła, średniego wzrostu, blondynka około trzydziestki z prostymi włosami zaczesanymi starannie na tył głowy i spiętymi kłamrą. Długa prosta ciemna spódnica, biała bluzka zapięta pod szyję i ciemny żakiet. Ponownie z zadowoleniem pokiwał głową. Lubił schludnie i starannie ubrane kobiety. Strój nie powinien rozpraszać.

Na początku swojej kariery dzielił pokój z panią prokurator noszącą sukienki przed kolana i kwieciste rozchełstane koszule. Złościło go, że podejrzani podczas przesłuchań gapili się na nią, jakby była całkiem goła. Musiał przywoływać ich do porządku. Jeden napisał list z aresztu, deklarując, że chce się przyznać, ale zażądał, żeby prokurator Bąkowska prowadziła jego sprawę. Naczelnik się zgodził, czego Irys nie mógł zrozumieć, bo jak można ulegać żądaniom przestępców. Przywozili tego aresztanta na przesłuchania, a on godzinami zeznawał. Potem okazało się, że to wszystko bujda, przestępca z prokuratury zrobił teatr, żeby sobie popatrzeć na atrakcyjną kobietę. Powinna zostać aktorką, a nie prokuratorem. Przynosiła wstyd całemu wydziałowi. Nie wytrzymał wtedy. Poszedł do naczelnika i poprosił o przeniesienie do innego pokoju.

– Pani siada. – Wskazał Katarzynie Dobosz krzesło naprzeciwko biurka.

Patrzył, jak sprawnie wyjęła z teczki brulion i ołówki. Nie znosił kobiet grzebiących w przepastnych torbach. Nic go tak nie denerwowało jak bałagan. Jeśli ktoś nie potrafi zapanować nad przedmiotami, nie powinien ich używać. Dla niego drogą do sukcesu była prostota. Protokół przesłuchań i długopis to narzędzia umożliwiające prokuratorowi rozwikłanie każdej sprawy. Dlaczego dziennikarz miałby potrzebować więcej?

– Gustowna teczka – pochwalił, trochę jednak zawstydzony, że pozwolił sobie na zbyt dużo prywatności, przeszedł od razu do rzeczy.  
– Niech pani pyta – zachęcił.

– Jakie są, według pana, najważniejsze zadania prokuratury? – Dziennikarka natychmiast zadała pierwsze pytanie.

Sprawnie wykonuje polecenia, spostrzegł z zadowoleniem. Do tego jest przygotowana do rozmowy. Traktuje pracę poważnie. Nie pociągają jej sensacje, chce dotrzeć do istoty rzeczy. Postanowił ją nagrodzić, mówiąc o swoich przemyśleniach. Żeby przybliżyć dziennikarce to zagadnienie, posłużył się porównaniem.

– Słyszała pani o wyprawach krzyżowych?

Kiwnęła głową.

– Dobrze – pochwalił. – To proszę wyobrazić sobie zamek w Akce położony na piaszczystej izraelskiej ziemi. Zamknięci w fortecy krzyżowcy oblegani są przez Saracenów. Jeśli zamek zostanie zdobyty, wymordują wszystkich, zginie cywilizacja europejska, zginie chrześcijaństwo. Ci dzielni rycerze są ostatnim bastionem w krwawej walce. Od ich odwagi i determinacji zależy wszystko.

Zamilkł na chwilę, by sprawdzić, jakie wywarł wrażenie. Dziennikarka wpatrywała się w niego z zainteresowaniem. Zdawał sobie sprawę, jak barwnie nakręcił spiralę opowieści. Teraz mógł przejść do puenty.

– Otóż prokuratura jest jak owa forteca w Akce, a prokuratorzy jak jej obrońcy. Nasza Akka obleżona jest przez siły zła, przez siły przestępczości. My jesteśmy ostatnim bastionem chroniącym społeczeństwo. Jeśli wygramy, sprawiedliwość zwycięży. Jeśli przegramy, świat pograży się w chaosie. Zatem zadaniem prokuratury jest obronić tę fortecę – zakończył patetycznie. Z zadowoleniem dostrzegł, że dziennikarka notowała.

– Czyli jest pan współczesnym rycerzem sprawiedliwości.

To było ciekawe spostrzeżenie. Zastanowił się. Mówiono o nim, że jest jak szeryf, ale rycerz? Czy to dobre określenie? Bronił fortecy sprawiedliwości, a więc tak, był rycerzem. Dlaczego sam na to nie wpadł?

– Tak, jestem rycerzem sprawiedliwości – przyznał.

– Jednak Akka została zdobyta, krzyżowcy nie utrzymali Ziemi Świętej – przypomniała kobieta. – Czy panu uda się utrzymać fortecę

sprawiedliwości?

Cholera – zaklął w duchu. W trakcie programu o krzyżowcach zasnął i nie wiedział, że to się tak skończyło. Powinien wymyśleć inny przykład. Na szczęście dzięki żelaznej logice i konsekwencji potrafi wybrnąć z każdego tarapatów.

– Krzyżowcy popełnili dużo błędów, ale jeśli wyciągniemy z tego naukę, wygramy.

– Jakie błędy ma pan na myśli? – zapytała zaintrygowana.

Irys nie przypuszczał, że rozmowa okaże się tak szczegółowa. On mówił o ideach, a dziewczyna zagłębiała się w detale. Postanowił podzielić się z nią swoimi przemyśleniami, związanymi z prokuratorką Bobkowską.

– Nie mieli mundurów.

– Czy mógłby pan rozwinąć tę myśl? – poprosiła dziennikarka.

– Nosili zbroje, każda była inna, do tego mieli kolorowe tarcze i proporce. Jak na pokazie mody. To ich rozpraszało i skutkowało brakiem dyscypliny oraz chaosem. My, prokuratorzy, żeby nie powielić tego błędu, powinniśmy nosić mundury, to pozwala skoncentrować się na walce o sprawiedliwość.

Wyznaczona godzina dobiegła końca. Irys czuł niedosyt, tyle jeszcze miał do powiedzenia. Na szczęście dziewczyna spytała, czy może jeszcze raz się z nim spotkać. Przed wyjściem zatrzymała się w drzwiach:

– Ładny krawat – powiedziała, patrząc na barwny wzór, po czym zakryła dłonią usta, zdając sobie sprawę, że posunęła się za daleko.

Wybaczył jej, nawet lekko się uśmiechnął.

– To od mamy, przywiozła mi z Egiptu – wyjaśnił.

Następnego dnia też przyszedł punktualnie. Wstał zza biurka i podał jej rękę. Dygnęła. Podobały mu się jej maniery. Gdyby wszystkie kobiety były tak wychowywane, przestępczość wśród nich byłaby znacznie niższa, stwierdził. Spodobała mu się ta myśl i nie czekając na pytanie dziennikarki, sam zaczął.

– Wychowanie to jedno z narzędzi, które najlepiej pozwala walczyć z przestępczością. Im więzienie lepiej wychowuje, tym obywatele popełniają mniej przestępstw.

– Wierzy pan w resocjalizację?

Bystra, analityczna i skąd tyle wie?

– Co pani studiowała?



– Prawo.

Trafił w dziesiątkę. Intuicja go nie zawiodła.

– Szkoda, że nie została pani prokuratorem – westchnął. Gdyby jego koleżanki były podobne, rozmarzył się.

Raz zdarzyło mu się spotkać kobietę, która go zainteresowała. To było już po studiach, razem uczęszczali do Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. Nazywała się Natalia i podobnie jak on marzyła o pracy w wydziale zwalczania przestępczości zorganizowanej. Niestety, życie ich rozłączyło, ona dostała etat w Rzeszowie, a jego wysłano do Warszawy. Uczucie nie przetrwało próby czasu. Natalia sprzeniewierzyła się swoim młodzieńczym ideałom i związała z zastępcą naczelnika wydziału zwalczania przestępczości gospodarczej. To zraniło Irysa. W Warszawie nie zainteresowała go żadna kobieta aż do teraz. Żałował, że Katarzyna nie jest prokuratorem, ale przecież nikt nie jest doskonały. Postanowił dać jej szansę.

– Co pani robi dziś wieczorem?

– Będę redagowała wywiad z panem.

– Pomogę pani – zdecydował.

Do kawiarni Telimena, do której ją zaprosił, przyszedł dziesięć minut przed czasem. Był ciekaw, czy dziennikarka w życiu osobistym jest tak samo punktualna jak w pracy. Do kawiarni weszła punkt dwudziesta. Zlustrował ją wzrokiem. Przebrała się. Spódnicę miała nieco krótszą niż przed południem, ale nadal za kolana. Niebieska bluzka, marynarka ozdobiona broszką z bursztynu i buty na kilkucentymetrowym obcasie. Strój jako wieczorowy ocenił pozytywnie, jednak nie skomentował tego. Uważał, że nadmiar pochwał do niczego dobrego nie prowadzi.

– Czego się pani napije, pani Katarzyno? Może jakiś alkohol? – przejął rolę gospodarza.

– Jeśli, to tylko trochę i bardzo słaby. Może pan coś wybierze.

Zamówił u kelnerki dwa kieliszki wina marki Ciociosan.

Musiał zdecydować, na jaki temat będą rozmawiali. Zdał sobie sprawę, że wcześniej, gdy zadawała pytania, było to dużo prostsze. Wyręczyła go, prosząc, żeby opowiedział jej o sprawie zorganizowanej grupy przestępczej z Tomaszowa, którą prowadził. Pochlebilo mu, że o niej słyszała. To był jeden z największych sukcesów w jego karierze zawodowej. Temat uznał za właściwy i poważny. Potem pytała go o następne sprawy, a on opowiadał. To był najmiłszy wieczór, jaki

pamiętał. Dziewczyna nie przerywała mu ani nie zmieniała tematu. Tak powinna wyglądać prawdziwa rozmowa. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że już za piętnaście jedenasta. Czas wracać do domu. Gdy się żegnali, Katarzyna powiedziała, że dobrze wyglądałby w mundurze, po czym nieśmiało spuściła oczy.

Następnego dnia prokurator Irys pogwizdując cicho, zaczął pisać akt oskarżenia w sprawie Piotra Drawicza. Katarzyna zadzwoniła około piętnastej. Zastanawiał się, jak zinterpretować ten telefon. Pochlebiało mu, że dzwoni, ale czy nie była zbyt nachalna? Okazało się, że zredagowała artykuł i chciała poprosić go o autoryzację. A więc był ważny powód. Umówił się z nią na wieczór.

Przeczytał uważnie tekst. Dziennikarka doskonale go zrozumiała i opisała jego ideę czytelnikom. Nie musiał nic poprawiać, uzupełnił jedynie kilka myśli. Zuch dziewczyna, pomyślał i kierując się nagłym impulsem, wyciągnął rękę.

– Jan – powiedział, informując ją w ten sposób, że ich znajomość przybiera mniej oficjalny charakter.

Następnego dnia w pracy nadal pogwizdywał, jednak trudniej mu było się skupić. Często spoglądał na telefon. Zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do Katarzyny, ale uznał tę myśl za nierozsądną. Odezwała się po dwóch dniach, a więc jego metoda postępowania jak zwykle okazała się właściwa. Miała naniesione jego poprawki i chciała przynieść mu ostateczny tekst. Sprawę uznał za na tyle ważną, że zdecydował się przyjąć dziennikarkę w godzinach pracy.

– Bardzo dobrze – ocenił po przeczytaniu tekstu. – Dlaczego czekałaś aż dwa dni, żeby mi to pokazać?

– Chciałam przyjść wcześniej, ale bałam się, że będę ci przeszkadzać – tłumaczyła się. – Wiem, jaki jesteś zajęty i dobrze zorganizowany. A może tak jak wzywasz świadków, których przesłuchujesz, tak mógłbyś i mnie wzywać, kiedy jest na to właściwa pora?

Zaimponowała mu pomysłowością. Rzeczywiście mógłby jej wystawiać wezwania, jak podejrzanym, a ona by się na nie stawiała. Postanowił ją nagrodzić i wystawił jej wezwanie na następny dzień. Przyszła punktualnie, a wezwanie podbiła na portierni. Tego wieczoru ujął ją po raz pierwszy za rękę i zabrał do kina na film policyjny. Był tak zadowolony ze wspólnie spędzonego wieczoru, że wystawił jej kolejne wezwanie.

Następnego dnia Irys stanął przed problemem: naczelnik zaprosił go na przyjęcie imieninowe wraz z osobą towarzyszącą. Zastanawiał się, czy zabrać Katarzynę. Fakt, że jest osobą poważną i racjonalną, na pewno podniósłby jego notowania w oczach naczelnika. Ale czy Katarzyna podoła zadaniu? Przeanalizował to dokładnie: schludna, punktualna, dobrze ułożona, alkoholu nie nadużywa, powinna przypaść do gustu naczelnikowi.

Gdy stawiała się na kolejne wezwanie, przedstawił jej projekt wspólnego wyjścia. Doceniła zaufanie, jakim ją obdarzył. Pilnie wysłuchiwała też jego wskazówek co do stroju i zachowania w tym środowisku.

Niestety, na przyjęcie nie poszła. Zachorowała. Prokurator Irys był zły, ale wybaczył, bo miała zwolnienie lekarskie. Żal przeszedł mu zupełnie, gdy zaraz po wyzdrowieniu zabrała go na paradę wojskowych orkiestr dętych. Tam zrobili sobie wspólne zdjęcie. Irys leżąc już w łóżku, uświadomił sobie, że to wielka miłość i wysłał do niej esemesa w tej sprawie. Odpowiedziała skromnie, że ona też czuje się szczęśliwa.

Niestety, prokurator Irys przekonał się, że życie to nie same radości. Tego dnia, kiedy Katarzyna znowu miała przyjść na wezwanie, był rozdrażniony. Świadek, który początkowo zidentyfikował podejrzanego, teraz wycofywał się ze swoich zeznań. Próbował nakłonić oskarżonego, żeby się przyznał, kusząc go nadzwyczajnym złagodzeniem kary. Bezskutecznie. Czuł zbliżającą się katastrofę.

W takim stanie zastała go Katarzyna. Zreferował jej sprawę, a ona przedstawiła mu pogląd, że jeżeli ofiara napadu nie rozpoznaje podejrzanego, to może on naprawdę jest niewinny. To rozsierdziło Irysa. Co ona sobie wyobraża? Ktoś, komu on postawił zarzuty, nie może być niewinny. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. I nie zdarzy! Ona powinna o tym wiedzieć. W złości postanowił ukarać ją za tę niesubordynację i wymierzył jej solidnego klapsa. Rozpłakała się, co go jeszcze bardziej rozsierdziło. Zamiast z pokorą przyjąć ostrzeżenie, którego jej udzielił, ona urządza sceny, i to w biurze. Bojąc się, że usłyszą ją koledzy za ścianą, kazał jej się zamknąć. Wtedy ona zamiast przestać chlipać, wybiegła z pokoju. Gdy prokurator Irys doszedł do siebie, zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, że jej wybacza, ale nie odebrała telefonu. Nie odebrała również wieczorem. Udał się zatem do niej z pojednawczą wizytą, ale nie było jej w domu.

Następnego dnia po pracy, gdy nadal milczała, poprosił o poradę najlepszego kolegę, prokuratora Mężydło. Najobiektywniej, jak mógł, przedstawił mu problem. Z opinii przyjaciela wynikało, że sytuacja może być poważniejsza, niż Irysowi się wydawało. Fizyczne karcenie za niesubordynację było na tym etapie znajomości przedwczesne i dlatego wywołało tak nieprzewidywalną reakcję.

Zalecenia były proste: przeprosić, koniecznie wręczyć kwiaty, a jeżeli Irys znajomość traktował poważnie, należało ją dodatkowo zacieśnić poprzez wręczenie biżuterii. Irys analizując rady przyjaciela, przygotował sprytny plan. W godzinach urzędowania udał się do jednego z bardziej znanych salonów z biżuterią. Po dokładnej analizie witryny wystawowej znalazł osobliwy złoty pierścionek z kolorowymi kamieniami ułożonymi w rozetę. Zdecydował się na zakup.

– Prezent na komunię? – Uśmiechnęła się do niego sprzedawczyni.

– To dla mojej dziewczyny – oświadczył dumnie.

Potem wszedł do kwaciarni i kupił siedemnaście róż. Była to liczba symboliczna, bo tyle dni trwała jego znajomość z Katarzyną. Poszedł do niej, ale nadal nie było jej w domu. Kwiaty zatknął za klamkę wraz z wezwaniem do prokuratury na następny dzień. Pierścionek postanowił wręczyć osobiście.

Przyszła punktualnie o siedemnastej, taką godzinę wpisał na wezwaniu. Zlustrował Katarzynę wzrokiem. Włosy proste, spięte kłamrą, biała starannie wyprasowana bluzka i spódnica, czarna, przylegająca do ciała jak dobrze dopasowany mundur, kończyła się jednak sporo przed kolanami. Nieregularnie, pomyślał. Chciał jej od razu zwrócić uwagę, ale przypomniał sobie, że stoją przed nim teraz ważniejsze zadania. Sporządził zatem szybką notatkę w sprawie spódnicy, żeby wrócić do tej kwestii w późniejszym terminie. Dziewczyna podeszła do biurka, pokazując Janowi podstemplowane na portierni wezwanie.

– Dziękuję za kwiaty. Piękne i tyle, ile naszych spotkań.

Wzruszyło go jej analityczne podejście.

Przyszła pora na pierścionek.

– To dla ciebie.

– Jaki piękny, naprawdę dla mnie? Dziękuję.

Gdy pocałowała go w policzek, z niezadowoleniem stwierdził, że ma mocniejszy makijaż niż zwykle. Na jego twarzy zostały ślady

szminki. Pomny rad przyjaciela nie skomentował tego.

– Chciałabym go sfotografować – powiedziała, przyglądając się pierścionkowi. – Muszę mieć zdjęcie na pamiątkę, to chyba najpiękniejszy dzień w moim życiu.

W fotografowaniu nie było nic złego, zatem Jan się zgodził. Okazało się, że dziewczyna zapomniała telefonu i poprosiła go o pożyczenie.

Co się z nią dzieje? Tylko emocje związane z ich kłótnią mogły usprawiedliwić jej dzisiejszy wygląd i zachowanie. To wymagało poważnej rozmowy. Ale nie dziś.

Dziewczyna z entuzjazmem wykonała serię zdjęć.

– Czy to z jakiejś szczególnej okazji? – spytała z lekką kokieteryą.

– Chciałem cię przeprosić – wyjaśnił.

– Nie musisz – przytuliła się do niego. – Zastanowiłam się nad tym, co się stało. To ja powinnam cię przeprosić. Nie miałam prawa wypowiadać się na tematy, na których się nie znam. Ty z pewnością wiesz, czy twój podejrzany jest winny, czy nie. Byłam niemądra. Miałeś rację, że przywołałeś mnie do porządku, powinieneś tak robić zawsze, gdy się źle zachowam. Wiesz, ja też mam dla ciebie prezent. – Sięgnęła do torby i wyjęła z niej srebrne kajdanki. – Jak będziesz ze mnie niezadowolony, to skujesz mnie i poddasz resocjalizacji.

To był piękny prezent. Irys zastanawiał się, czy nie jest zbyt frywolny, jednak odrzucił tę myśl. Miał przecież spełniać zadania wychowawcze i edukacyjne.

– Skuj mnie teraz – poprosiła.

Propozycja była kusząca. Zebrało się parę kwestii, na które zamierzał jej zwrócić uwagę, ale byli u niego w pracy. Spojrzał na zegarek. Osiemnasta, wszyscy już na pewno poszli do domu. Został tylko portier. Mógł przystać na jej prośbę. Zatrzasnął bransoletkę na przegubie Katarzyny.

– Skuj mnie z tyłu, tak jak to robią policjanci.

Obrócił ją i zatrzasnął za plecami drugą bransoletkę. Stała z pochylonym tułowiem oparta o jego biurko. Dopiero teraz spostrzegł, że na nogach ma szpilki. Nigdy dotąd nie nosiła takich butów. Całe nogi były odkryte, bo spódnica podjechała do góry.

Co to za strój, pomyślał. Wygląda jak ladacznica. Naprawdę powinien ją zresocjalizować. Wymierzył jej solidnego klapsa.

– Wiesz za co? – spytał. Pokręciła przecząco głową. Postanowił zachęcić ją do myślenia. Wymierzył jej serię mocniejszych klapsów.

– Coś słabo jak na prokuratora – oceniła.

Poczuł się zlekceważony.

– To cię nauczy rozsądku.

Zerwał z niej spódnicę, wyciągnął pasek i zadał kilka mocnych uderzeń w pośladki. Krzyknęła z bólu i zaczęła się wyrywać. Z żalem zdał sobie sprawę, że jeśli nie chce wzbudzić zainteresowania portiera, musi przestać. Jeszcze tylko raz. Dziewczyna zaczęła przerażająco krzyczeć.

– Cicho bądź! – rozkazał. – Zwariowałaś?

Nie zareagowała. Próbował jej zasłonić ręką usta, ale go ugryzła. I wtedy zadzwonił stojący na biurku telefon. To na pewno portier! A ona nadal krzyczała. Przestraszony Irys złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

– Cicho bądź, zamknij się, na litość boską!

Wymierzył jej siarczysty policzek, potem drugi. Krzyk Katarzyny przeszedł w głośny płacz. Rany boskie, pomyślał Irys. Jak ktoś to zobaczy!!! Telefon nadal dzwonił. Irys musi coś zrobić. Jakoś to wyjaśnić. Podniósł słuchawkę.

– Czy wszystko w porządku, panie prokuratorze? – To był portier. – Słyszałem jakieś krzyki.

– W porządku – potwierdził Irys. – To radio, już przyciszyłem.

– Ratunku! Proszę wezwać policję!

– Ale... – Portier próbował jeszcze coś powiedzieć, lecz Irys się rozłączył.

Zdawał sobie sprawę, że tym razem portier przyjedzie. I zobaczy na wpół rozebraną dziewczynę. Musi ją ubrać. Spróbował ubrać Katarzynę w spódnicę, którą rzucił na podłogę. Wyrywała się, ale w końcu zdołał się z tym uporać. Pozostały tylko kajdanki. Udało mu się je zdjąć w chwili, gdy zabrzmiało pukanie do drzwi. Zdążył je wrzucić do szuflady biurka.

Zdezorientowany portier przyglądał się zaczerwienionej i potarganej kobiecie w pomiętym ubraniu.

– Niech pan wezwie policję – zażądała.

Pół godziny później w gabinecie Irysa był już jego bezpośredni przełożony, prokurator Kałużny.

– Co tu się stało? – spytał.

– Nic, panie prokuratorze – wyjaśnił Irys. – Po pracy odwiedziła mnie moja narzeczona. Mieliśmy kłótnię, którą usłyszał portier. Kasia jest na mnie wściekła i w ten sposób się ze mną droczy.

– Czy pani to potwierdza? – Kałużny zwrócił się do Katarzyny.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– To nie jest mój narzeczony. Nie znam tego pana. Zostałam przez niego wezwana w charakterze świadka. W czasie przesłuchania skuł mnie kajdankami i pobił.

Prokuratorowi nie pozostawało nic innego, jak wezwać swojego przełożonego, prokuratora Bartłomieja Franca.

– Nieprawda – przekonywał Irys. – To moja narzeczona. Jest dziennikarką, poznaliśmy się, bo chciała zrobić ze mną wywiad. Co ty gadasz za bzdury? – zwrócił się do Katarzyny.

– Nieprawda, nie jestem dziennikarką – zaprzeczyła.

Słyszając to bezczelne kłamstwo, prokurator Irys się roześmiał. Nie daruje jej tego, wszystko między nimi skończone. Ale przecież może ją zdemaskować.

– Kłamie, mamy wspólne zdjęcia, esemesy, pokażę panom. – Sięgnął po telefon, lecz ani zdjęć, ani esemesów nie było. Irys zdał sobie sprawę, że Katarzyna wykasowała wszystko, kiedy pożyczył jej telefon, żeby sfotografowała pierścionek. Ale przecież ona ma pierścionek, a on rachunek. W ten sposób prokurator może udowodnić, jakie łączyły ich relacje. Niestety, poproszona o pomoc funkcjonariuszka nie znalazła przy Katarzynie pierścionka.

Przełożeni zdecydowali, że teraz chcą posłuchać relacji kobiety. Prokurator Irys został wyprowadzony z pokoju.

– Nie znam tego mężczyzny i jak wcześniej powiedziałam, nie jestem dziennikarką. Ponad dwa tygodnie temu ten prokurator wezwał mnie na przesłuchanie. Potem byłam jeszcze kilkakrotnie wzywana. –

Wyciągnęła z torby wezwania. – Starał się zmusić mnie do złożenia zeznań niezgodnych z prawdą. Dziś było tak samo. Gdy odmówiłam, wyjął kajdanki, skuł mnie, a potem rozebrał. Bił mnie najpierw ręką, a potem pasem, żądając, żebym złożyła zeznania. Zaczęłam wzywać pomocy. Uratował mnie portier.

– Nie wierzę pani – stwierdził Kałużny. – Irys to najlepszy prokurator w moim wydziale.

– Skoro pan nie wierzy, to proszę spojrzeć na to. – Wyjęła z torby telefon komórkowy. – Poprzednim razem zaczął mnie straszyć, dlatego tym razem postanowiłam nagrać spotkanie. Niestety, dźwięk się wyłączył. Proszę obejrzeć film.

Prokuratorzy wpatrywali się w film, na którym Irys skubał dziewczynę, a potem ściągał z niej ubranie.

Przełożeni Irysa musieli porozmawiać w cztery oczy.

– Na szczęście to nie gwałt – ocenił Franc. – Każdy adwokat wykazałby, że to usiłowanie nieudolne.

– Może przekonać ją, żeby nie wносиła oskarżenia – zaproponował Kałużny.

– Zwariowałaś?! Jeśli powiadomi o tym media, zjedzą nas żywcem. Musimy zareagować. Zamykamy go – zdecydował Franc.

Naczelnik aresztu na Mokotowie nie lubił problemów. Nowy gość zaś wróżył problemy. Jednego z najbardziej rozpoznawalnych prokuratorów nie sposób było ukryć przed więźniami. Naczelnik bał się, że nie będzie w stanie zagwarantować Irysowi bezpieczeństwa. Z uwagą studiował listę osadzonych.

– Zamknijcie go z tym ordynatorem Drawiczem – zdecydował w końcu.

Gdy Irysa wprowadzono do celi, z obrzydzeniem spojrzął na jej lokatora.

– Nie chcę siedzieć z tym łapówkarzem – zaprotestował.

– To może wolisz z jakimś gwałtciелеm? – zaproponował strażnik. – Tam powinienes się znaleźć za to, co zrobiłaś tej dziewczynie.

Prokuratora argument przekonał. Uznał, że do czasu wyjaśnienia tej absurdalnej sytuacji będzie to najlepsze rozwiązanie.

– Jestem niewinny – poinformował na wstępie nowego współlokatora. – Trafiłem tu przez przypadek wskutek nieporozumienia.

– To zupełnie jak ja. Jestem tu w wyniku pomyłki, którą pan popełnił – odparł lekarz.

Irys powiedział, że wszyscy podejrzani zapewniają o swojej niewinności, a odpowiedzialnością za aresztowanie obciążają prokuratorów albo sędziów. Na takie zapewnienia nie zwraca się uwagi. Prokuratorzy, a on w szczególności, nie popełniają błędów. On sam oczywiście naprawdę znalazł się tu przez pomyłkę. Jego wywód nie przekonał jednak lekarza.



Obrażony Irys wdrapał się na wyższą pryczę piętrowego łóżka i zaczął się zastanawiać nad swoją sytuacją. Po namyśle doszedł do wniosku, że powinien skorzystać z pomocy adwokata. Decyzja ta dużo go kosztowała. Wszyscy adwokaci byli jego naturalnymi wrogami. On walczył o sprawiedliwość, w imię której przestępcy powinni trafiać do więzień, oni zaś robili wszystko, żeby tak się nie stało. Dzięki nim osoby winne często nie ponosiły odpowiedzialności za popełnione przestępstwa. Sprzeniewierzali się zatem idei sprawiedliwości. Uważał, że ten zawód mogą wykonywać tylko ludzie pozbawieni moralności i zasad. Stykanie się z osobami bez zasad było poniżej jego godności i dotychczas jego kontakty z adwokatami ograniczały się do relacji koniecznych, czyli wyłącznie zawodowych. W tej jednak szczególnej sytuacji uznał, że może zrobić wyjątek.

Rozwagał, z kim się skontaktować. Może prokurator Tyszka, który przeszedł do adwokatury? Dotychczas myślał o nim z pogardą, uważając go za zwykłego dezertera. Jednak Tyszka przez lata spędzone w prokuraturze walczył o słuszną sprawę, może pozostały w nim jeszcze jakieś zasady z tamtego okresu?

Do Irysa dotarło jednak, że teraz on również jest podejrzany. Przecież o tym, że padł ofiarą pomówienia tej niegodziwej kobiety, wiedział tylko on sam. Czy zatem Tyszka mu uwierzy? A jeśli będzie myślał jak Irys, że prokuratura jest nieomylna? Wówczas uzna jego sprawę za z góry przesądzoną, a Irysa za przestępcę. Trzeba szukać jakiegoś innego rozwiązania. Prokurator przypomniał sobie mecenasa Romualda Grabowskiego. Dotychczas uznawał go za wcielonego diabła, pamiętając, jak tamten w sprawie, w której Irys oskarżał, zdołał przekonać sąd, że jego klienci są czyści jak łąza. Zapadły wyroki uniewinniające. Jeśli ten diabeł był w stanie wówczas przekonać sędziego, to tym bardziej będzie potrafił pomóc Irysowi, wykazując jego niewinność, skoro naprawdę jest niewinny. Zdecydował się poprosić o pomoc mecenasa Grabowskiego.

Spotkali się w sali widzeń aresztu na Mokotowie. Irys uznał, że jego obrońca bardziej zaangażuje się w sprawę, jeżeli będzie miał świadomość, że broni osoby niewinnej, a nie przestępcy. Spotkanie rozpoczął więc od złożenia oświadczenia.

– Panie mecenasie, jestem niewinny. To wszystko pomyłka.

– Dowody świadczą jednak o czymś zupełnie innym – przypomniał mu obrońca. – Pokrzywdzona przedstawiła nagranie, z którego wynika,

że w swoim gabinecie skuł ją pan, a potem bił pasem.

– To prawda – przyznał Irys. – Ona była moją narzeczoną i zrobiłem to na jej prośbę, w związku z przewinieniami, których się dopuściła.

– To ciekawe, co pan mówi – ocenił adwokat. – Przeanalizujmy zatem wszystkie zebrane dowody. Pan twierdzi, że to pana narzeczoną i dziennikarką. Z akt sprawy wynika jednak, że ta kobieta jest psychologiem. Jak to możliwe, że pan nie wie, kim jest pana narzeczoną? Może choć jako dowód ma pan wywiad, o którym pan wspominał w zeznaniach?

– Oszukała mnie, a pierwszą wersję wywiadu z poprawkami, które nanosiliśmy razem, wykradła.

– Może ma pan jakieś dowody waszej znajomości? Wspólne zdjęcia, esemesy?

– Podstępnie je skasowała.

– Czy ktoś może poświadczyć, że była pana narzeczoną? Znajomi, rodzina, ktoś was może razem widział?

Irys zdał sobie sprawę, że nie ma takiej osoby.

– Jak to się stało, że ta kobieta znalazła się w pana gabinecie?

– Wystawiłem jej wezwanie – tłumaczył Irys. – Ona mówiła, że szanuje moją pracę i nie chce mi przeszkadzać. Dlatego ustaliliśmy, że jak będę chciał się z nią ponownie spotkać, będę wystawiał jej wezwania.

– Dlaczego używał pan służbowych druków do swoich prywatnych spraw?

Irys nie potrafił udzielić logicznej odpowiedzi na to pytanie.

– Czy często się panu zdarzało wzywać narzeczone do gabinetu i tam je bić? – obrońca starał się zbudować linię obrony na analogiczności poprzednich zachowań Irysa.

– To było pierwszy raz.

– Dlaczego ta kobieta pana pomawia? – próbował ustalić obrońca.

– Nie mam pojęcia.

Obrońca, ku rozczarowaniu Irysa, nie miał gotowej recepty, która pozwoliłaby dowieść jego niewinności. Obiecał prokuratorowi, że skontaktuje się z nim niebawem.

Sekretarka poinformowała mecenasa Polnego, że w kancelarii zjawiała się niezapowiedziana klientka, która prosi o spotkanie. Mecenas zdecydował się ją przyjąć.

– Mam informacje, które mogą panu pomóc w obronie oskarżonego, którym się pan zajmuje – zaczęła.

Adwokat słuchał jej z coraz większym zainteresowaniem.

Na spotkaniu z wychowawcą doktor Piotr Drawicz zażądał, żeby prokuratora Jana Irysa usunięto z jego celi. Oświadczył, że jest to przejaw niehumanitarnego traktowania i w tej kwestii będzie się odwoływał do samego Strasburga. Wychowawca musiał przyznać mu rację i spełnił jego prośbę. Lekarz ponownie spotkał Irysa dopiero w więziennym transporcie, gdy wieziono go na sprawę.

– A pan dokąd się udaje? – spytał kurtuazyjnie.

– Mam być świadkiem, ale nie wiem, w jakiej sprawie. Tu nic nikomu nie mówią. Traktują niewinnego człowieka jak przedmiot – skarżył się Irys.

Z uwagi na niemożność wykonywania obowiązków służbowych przez obecnie osadzonego prokuratora Jana Irysa jego zadania przejął prokurator Kałużny. To on odczytał akt oskarżenia w sprawie ordynatora Piotra Drawicza.

– Nie przyznaję się do zarzucanego mi czynu – odpowiedział lekarz na pytanie sądu.

Wobec śmierci Bronisława Kaplera sąd odczytał jego zeznania z postępowania przygotowawczego złożone przed prokuratorem Irysem. To były wszystkie dowody oskarżenia.

Przyszła pora na zaprezentowanie dowodów obrony. Mecenas Polny wezwał jako świadków pacjentki leżące w tej samej sali co Barbara Kapler. Żadna z nich nic nie wiedziała o tym, żeby doktor żądał od kogoś korzyści majątkowej, a także by taka korzyść została przez kogokolwiek wręczona. Następnie mecenas przepytał je na okoliczność przesłuchania prowadzonego przez prokuratora Irysa. Obie zeznały, że prokurator namawiał je do składania fałszywych zeznań. Miały zeznać, że dały łapówkę lekarzowi i że Barbara Kapler też tak zrobiła, co sama rzekomo przyznała.

– Jak zachowywał się prokurator, gdy pani odmówiła? – dopytywał się obrońca.

– Groził, że mnie posadzi.

– Czy próbowała pani złożyć skargę na zachowanie prokuratora? – dopytywał Kałużny.

– Nie, bałam się.

– Oto dowód, że prokurator w trakcie przesłuchań stosował niedozwolone metody. Tak samo zachowywał się, przesłuchując Kaplera. Groził mu, a zatem jego zeznanie nie może być dowodem – ocenił obrońca.

– To dowód, że świadkowie zeznawali zgodnie z własnym sumieniem – ripostował prokurator.

Jako kolejnego świadka obrona powołała Katarzynę Dobosz. Prokurator Kałużny poczuł, że oblewa go zimny pot. Jak oni do niej dotarli?, zastanawiał się. Nie miała nic wspólnego z tą sprawą, a zatem cel jej wezwania mógł być tylko jeden – zdyskredytowanie Irysa, a w konsekwencji, prokuratury. Obrońca przystąpił do zadawania pytań.

– Czy zna pani doktora Piotra Drawicza?

– Tak.

– W jakich okolicznościach go pani poznała?

– Byłam jego pacjentką. Operował mnie.

– Czy później była pani wzywana w jego sprawie do prokuratury?

– Tak, zostałam wezwana przez prokuratora Jana Irysa.

– Jak wyglądały te przesłuchania?

– Prokurator wzywał mnie kilkakrotnie. Chciał, żebym zeznała, że doktor zażądał ode mnie łapówki. Oczywiście odmówiłam, bo to nieprawda.

– Jak prokurator reagował na pani odmowę?

– Początkowo groził, że wsadzi mnie do więzienia. Na ostatnim przesłuchania skuł mnie kajdankami i bił pasem. Powiedział, że tak długo będzie mnie lał, aż wszystko wyśpiwam.

Po minie sędzi przewodniczącej adwokat zorientował się, że w najmniejszym stopniu nie daje wiary świadkowi.

– Czy ma pani na to dowody?

– Tak, bałam się prokuratora Irysa i ostatnie przesłuchanie nagrałam. Mam ze sobą film.

O Jezu, pomyślał prokurator Kałużny, marząc o tym, by stać się niewidzialnym.

– Proszę o pana stanowisko, prokuratorze – zwróciła się do niego sędzia po obejrzeniu filmu.

– Otóż prokurator Irys został zatrzymany i obecnie w związku ze stawianymi mu zarzutami przebywa w areszcie – przyznał Kałużny. –

Jednak przedstawiona przez niego linia obrony dowodzi, że jest niewinny.

– Mimo że jest niewinny przebywa w areszcie? – dopytywała się sędzia.

– Tak – potwierdził prokurator.

– Czy pan prokurator często w pracy bije kobiety? – dociekała sędzia.

– Według moich informacji był to jego debiut.

Jako kolejnego świadka obrona powołała Jana Irysa. Na pytania obrony odparł, że wszystkie przesłuchania przeprowadzał regulaminowo. Zapytany o użycie przemocy wobec Katarzyny Dobosz zeznał, że była wzywana nie jako świadek, ale narzeczona, dlatego użył paska.

W trakcie przeprowadzonej przez sąd konfrontacji Katarzyna Dobosz zaprzeczyła, by łączyła ją z prokuratorem Janem Irysem jakakolwiek więź uczuciowa. Wobec wyczerpania materiału dowodowego sąd zakończył postępowanie. Narada trwała krótko, sąd po pięciu minutach ogłosił wyrok uniewinniający Piotra Drawicza od zarzucanego mu czynu.

Ordynator musiał wrócić do aresztu po swoje rzeczy. Na zewnątrz czekał na niego samochód, za którego kierownicą siedziała Katarzyna.

– Wsiadaj, najdroższy. Wracamy do domu.

Przytulił ją mocno.

– Dziękuję, kochanie, to dzięki tobie udało się udowodnić, że jestem niewinny. Tak mi przykro z powodu tego, co zrobił ci ten szaleniec. Powiedział mi o tym mecenas Polny. Gdybym nadal siedział z Irysem w jednej celi, chyba zabiłbym tego sadystę.

Dziewczyna patrzyła na niego z czułością. Poznali się pół roku wcześniej. Była jego pacjentką.

Trafiła do szpitala z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego i to on ją operował. Opiekujący się nią lekarz powiedział, że życie zawdzięcza Drawiczowi. Chciała mu się odwdziżyć. W internecie znalazła informację, że jest kolekcjonerem starych książek. Poprosiła o radę zaprzyjaźnionego księgarza i kupiła mu w prezencie *Nowe lecnictwo przyrodnicze*, pięknie oprawiony i ilustrowany dwutomowy poradnik leczenia naturalnego z 1930 roku.

Gdy chciała mu go wręczyć w pokoju lekarskim, tak na nią nakrzyczał, że była bliska płaczu. Tłumaczyła się drżącym głosem i wtedy Drawicz – jak potem przyznał – poczuł, że mocno przesadził i... zaprosił ją na obiad. I tak to się zaczęło. Piotr był wtedy w trakcie rozwodu,

dlatego uzgodnili, że do czasu zakończenia sprawy nikomu nic nie powiedzą i nie będą pokazywać się publicznie.

Kiedy trafił do aresztu, nie miała cienia wątpliwości, że jest niewinny. Była przekonana, że musi mu pomóc.

Oczywiście nie mogła mu powiedzieć o swoim planie, nigdy by się na coś takiego nie zgodził. Ta sprawa przyniosła jej również satysfakcję zawodową. Wiedziała, że aby uratować Piotra, musi zdyskredytować prokuratora Irysa.

Przebrana, żeby jej potem nie rozpoznał, poszła na kilka rozpraw z jego udziałem. Przygotowała portret psychologiczny prokuratora, który sprawdził się w stu procentach. Dzięki temu udało jej się pokierować nim według założonego scenariusza. Kosztowało ją to parę solidnych siniaków, ale jeśli potraktować całe przedsięwzięcie jako spłatę długu wdzięczności za uratowanie życia, cena była niewielka. Zresztą należało się jej, przecież próbowała wręczyć łąpówkę lekarzowi.

– Nie myśl o tym, nic mi nie zrobił. – Przytuliła się do Piotra.

Następnego dnia miała do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Umówiła się na spotkanie z adwokatem Romualdem Grabskim.

– Jestem gotowa wycofać oskarżenie o pobicie przeciwko pana klientowi – powiedziała, siadając na krześle.

Mecenas poczuł się jak rozbitek, któremu ktoś nieoczekiwanie rzucił koło ratunkowe. Im więcej myślał o sprawie swojego klienta, tym mniejsze widział szanse na jej wygranie. Z uwagą zatem zamierzał wysłuchać propozycji kobiety.

– Pod jednym warunkiem, że Jan Irys na zawsze zrezygnuje z pracy w wymiarze sprawiedliwości.

Adwokat musiał przyznać, że od dawna nie słyszał tak rozsądnej propozycji.

## SĄSIEDZI

Wieczorem nie zaciągał do końca żaluzji, żeby poczuć na twarzy pierwsze promienie wschodzącego słońca. Budził się z przymkniętymi oczami, słuchając koncertujących na zewnątrz świerszczy. Przez otwarte okno dochodził intensywny zapach lawendy. Starał się utrwalić w pamięci obrazy, które bezpowrotnie znikną, gdy wróci do realnego świata.

Kiedy rozsunał żaluzje, do pokoju wdarły się oślepiające promienie słońca. Przed nim roztaczał się widok na góry okalające hotel. Powietrze było wilgotne i przyjemne dzięki delikatnym podmuchom wiatru.

Ubrał się szybko i zbiegł po schodach, a potem ruszył drogą, wzdłuż której rosły cisy dające tak upragniony biegaczowi cień. Po kilometrze aleja drzew się skończyła. Skręcił w lewo i biegł wzdłuż morza. To był jego ulubiony moment dnia. Ciało budziło się z nocnego letargu. Przyśpieszył, wydłużając krok. Pozostawił za sobą tawernę, gdzie stary Spiris Vranakis piekł zniewalającą zapachem baraninę, i drogę prowadzącą do kamienistej plaży, na której w małym barze niziutka okrągłutka Greczynka podawała rozpływające się w ustach plastry surowego tuńczyka. Słońce podniosło się na niebie, sprawiając, że jego ciało zmęczone wysiłkiem pokryło się kropelkami potu.

Dwa tygodnie spędzone w maleńkiej miejscowości Frangokastello na południowym wybrzeżu Krety dobrze wpłynęły na jego formę. Wrócił zwirową ścieżką wijącą się wzdłuż gajów oliwnych.

W restauracji nad brzegiem morza zamówił frappe z mlekiem i cukrem oraz owoce. Obserwując kamienny falochron z przycumowanymi biało-niebieskimi rybackimi łodziami, poczuł żal, że jutro wakacje się kończą i będzie musiał opuścić to miejsce.

Upał stawał się nie do wytrzymania. Poszedł wzdłuż plaży na koniec piaszczystego cypla. Naprzeciw niego w oddali widać było wyrastające z morza skały. Woda przyjemnie chłodziła skórę. Zanurzył się w niej i popłynął w kierunku skał. Przez okulary można było obserwować dno, po kilku metrach w miejsce piasku pojawiła się morska trawa. Woda była

przejrzysta, jednak dno schodziło ostro w dół i niebawem stało się niewidoczne. Piętnaście minut później był na miejscu. Wdrapał się na wystający z wody kamień i wystawił schłodzone ciało na słońce. Przed oczami miał obraz jak z bajki: najpierw biała plaża, nieco wyżej soczysta trawa, potem pokryte białymi i niebieskimi kwiatami krzewy. Na szczycie wzgórza wznosił się zbudowany przez weneccjan czternastowieczny zamek. Na jego najwyższej wieży powiewała grecka flaga poruszana od czasu do czasu leniwymi podmuchami wiatru. Tłem tego widoku był wysoki masyw górski. Patrzył na brzeg, starając się utrwalić w pamięci szczegóły krajobrazu. Słońce paliło coraz mocniej. Pora wracać, pomyślał.

Pierwszą osobą, którą zobaczył po wyjściu na brzeg, była dziewczyna w słomkowym kapeluszu. Szła, kołysząc biodrami. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Podziwiał jej wysportowane opalone ciało, długie opadające na ramiona włosy i oczy w kolorze morza. Miała około trzydziestki. Skandynawka, może Niemka. Zastanawiał się, jak to sprawdzić. Teoretycznie proste, wystarczyło zagadnąć ją pod błahym pretekstem. Gorączkowo szukał pytania, które nie zabrzmiałoby banalnie, ale nic błyskotliwego nie przyszło mu do głowy. Dziewczyna go minęła. Nie wykorzystał szansy.

W restauracji, w której jadł śniadanie, zamówił mojito. Barman podobno pracował przez dwa sezony na statku kursującym pomiędzy karaibskimi wyspami i szczycił się tym, że potrafi przyrządzać tamtejsze drinki.

Znowu pojawiła się dziewczyna z plaży. Weszła do tawerny i usiadła przy sąsiednim stoliku. A więc dostał drugą szansę. Ale zanim wymyślił jakieś niesztampowe zagajenie, to ona rozpoczęła rozmowę.

– Co pan pije? – spytała po angielsku, przyglądając się jego szklance z zielonkawym napojem i liśćmi mięty.

Mówiła płynnie, choć słysząc było, że nie jest to jej ojczysty język. Opowiedział jej o karaibskiej przygodzie barmana, po czym nie pytając, zamówił dla niej mojito.

Godzinę później spacerowali razem po plaży. Śmiał się do łez, gdy z prowadzonej po angielsku rozmowy wynikło, że oboje są Polakami, w dodatku mieszkającymi w tym samym mieście. Przed rozstaniem zaproponował wspólną kolację w tawernie nad morzem.



Włożył białą lnianą koszulę i spojrział w lustro. Pasemka siwizny, które pojawiły się przy skroniach, czyniły twarz bardziej interesującą, z kolei trzydniowy zarost dodawał wakacyjnej nonszalancji. W restauracji był pierwszy, zajął stolik z boku przy brzegu morza. Dziewczyna pojawiła się po pięciu minutach. Miała na sobie jasną krótką sukienkę. Z trudem oderwał wzrok od jej opalonych ud.

– Jestem głodna jak wilk. Co jemy?

Andrzej, czekając na nią, przestudiował kartę.

– Placki z cukinii, a potem grillowaną doradę – zaproponował.

– Wspaniale! I do tego dużo białego wina.

Już po chwili wiedział, że Anna jest dziennikarką. Zafascynowany słuchał opowieści o cyklu podróżniczych reportaży, nad którymi pracowała przez ostatnie miesiące. Kelner postawił na stole karafkę z białym domowym winem, chleb i oliwę. Chwilę później zjawił się z przekąskami.

Anna opowiadała o przygodach, które zdarzyły jej się podczas podróży, ale Andrzejowi coraz trudniej było się na tym skupić. Zjadł placek z cukinii i poczuł mdłości. Co się dzieje? Po chwili do mdłości dołączyły zawroty głowy. Przeprosił ją i poszedł do toalety. Zwymiotował do muszli, po czym przy umywalce długo polewał twarz zimną wodą. Zrobiło mu się zimno i jednocześnie czuł pieczenie skóry pleców. I wtedy przyszło mu do głowy, że to porażenie słoneczne. No tak, pływał, nie posmarowawszy się kremem, a potem zamiast wrócić do pokoju, poszedł z Anną na długi spacer po plaży. Pomyślał o czekającej przy stoliku dziewczynie i poczuł złość na samego siebie.

– Jak mogłem tak to spieprzyć?

Wrócił do stolika, próbując zapanować nad ciałem, jednak zawroty głowy się nasiliły. Znow ją przeprosił, chciał wstać...

Kiedy odzyskał przytomność, pochylał się nad nim lekarz. Następny dzień spędził w hotelowym pokoju przy szczelnie zasłoniętych żaluzjach, a wieczorem wsiadł w samolot. Anna nie zostawiła mu w hotelowej recepcji żadnej wiadomości. Ale przyśniła mu się następnej nocy, tej spędzonej w domu.

Już na jawie odtwarzał w pamięci szczegóły ich znajomości. Na plaży zdążył dowiedzieć się tylko, jak ma na imię, a w restauracji, czym się zajmuje. Nie znał jej nazwiska ani numeru telefonu. Ona wiedziała o nim jeszcze mniej. Czy uda mu się ją odnaleźć?

W biurach podróży nikt nie słyszał o dziennikarce Annie spędzającej wakacje na Krecie. Linie lotnicze odmówiły udzielenia informacji, zasłaniając się ochroną danych osobowych. To była droga donikąd, trzeba znaleźć inny sposób. W wyszukiwarce zaczął w różnych konfiguracjach wpisywać: dziennikarka, reportaż, podróże. Rozpoznał ją na zdjęciu. Anna Brant, pracuje dla „National Geographic”.

Resztę popołudnia spędził, czytając jej reportaże. Niestety, nie odnalazł jej na Facebooku, nie mógł więc przesłać wiadomości.

Wieczorem na stacji benzynowej kupił najnowszy numer miesięcznika. Czytając reportaż Anny z Malezji, roześmiał się kilka razy. Dziewczyna umie pisać lekko i zabawnie. Gdyby nie przekłute słońce, sama opowiedziałaby mu o tej podróży. W stopce obok nazwiska Anny znalazł jej redakcyjny mail. Napisał długi list, przepraszając za nieudany wieczór. Przed wysłaniem ponownie go przeczytał i ze złością skasował. Lament, spowiedź nieudacznika! Dziewczyna ma poczucie humoru, najlepiej potraktować incydent z przymrużeniem oka. Zajęło mu to ponad godzinę, ale był z siebie zadowolony. Annę chyba rozbawi jego mail. Na koniec zaproponował, że zrewanżuje się za przerwany jego chorobą wieczór grecką kolacją, którą sam przyrządzi. Teraz pozostawało mu tylko czekać na odpowiedź.

Jego cierpliwość została wystawiona na próbę.

W końcu uznał, że musi pogodzić się z rzeczywistością. Skoro Anna nie odpisała, widocznie nie chce kontynuować znajomości. Czyżby źle ocenił siłę swojej literackiej perswazji? Przeczytał jeszcze raz wysłaną wiadomość. Nie, niemożliwe, żeby nie odpisała przynajmniej grzecznościowej formułki. Przyczyna jej milczenia musi być inna. Adres, pod który wysłał wiadomość, jest dla czytelników, Anna nie musi przecież zaglądać do tej skrzynki podczas urlopu. A więc odpowie po powrocie. Nie miał zamiaru czekać. Zadzwoił do redakcji i podając się za przyjaciela Anny, który jest na Krecie i chce się z nią spotkać, wydobył od sekretarki jej numer. Siedząc z kieliszkiem białego wina na balkonie, opracowywał strategię rozmowy.

Ale to ona odezwała się pierwsza. Odpisała w przyjętej przez niego konwencji, współczuła mu, jednocześnie nie szczędząc żartobliwych przycinków. Na koniec najważniejsze – wraca z wakacji piątkowym samolotem i gotowa jest dać mu drugą szansę. Już w sobotę! Andrzej

uważnie przeczytał akapit o drugiej szansie. Uznał, że pobrzmiwa w nim nadzieja na coś więcej niż tylko kurtuazyjna kolacja.

W sobotę przed południem ruszył na zakupy. Wieczór miał być wprawdzie grecki, ale uznał, że Anna nie miałaby nic przeciwko kieliszкови chłodnego szampana na początek. Sięgnął po butelkę Moët & Chandon, po czym naszły go wątpliwości, czy na pierwszym spotkaniu nie będzie to zbyt ostentacyjne. Odstawił butelkę i zdecydował się na francuskie Cremant. Przyszedł czas na wybór win. Półka z produktami greckich winnic była uboga, a Andrzej dobrze pamiętał swoje doświadczenia z poprzednich lat. To, co było wyborne w upalny grecki dzień nad brzegiem morza, nie smakowało już tak samo w chłodniejszym warszawskim klimacie. Zdecydował się na wybieg – wybrał swoje ukochane Cloudy Bay, które podaje na grecki sposób, w karafce. Nastrój wieczoru zostanie zachowany. Zastanawiając się nad menu, zdecydował, że przygotuje to samo, co mieli zjeść tamtego wieczoru: placuszki z cukinii i grillowaną doradę.

Gdy wracał, na schodach spotkał parę trzydziestolatków. Zatrzymali się przy sąsiednich drzwiach, mężczyzna włożył klucz do zamka. To mieszkanie od kilku miesięcy stało puste. Andrzej wiedział, że właściciel próbował je wynająć. A więc udało mu się, pomyślał. Dyskretnie przyjrzał się nowym lokatorom. On wysoki, z pewnością ponad metr dziewięćdziesiąt, świetnie zbudowany, ubrany w dżinsy, skórzane buty i ciemną obcisłą koszulkę polo. Wyglądał na aktywnego jeszcze sportowca. Kobieta, nienaturalna blondynka o brązowych oczach, miała wszystkiego za dużo: różu na policzkach, frędzli, cekinów na sukience, srebrnych ćwieków na skórzanych butach. Pasowali do siebie.

Anna przyszła punktualnie o siódmej. Gdy zastanawiał się, jak powinien się z nią przywitać, ułatwiła mu zadanie i skracając dystans, pocałowała go w policzek.

– To dla ciebie. – Wręczyła mu butelkę greckiej rakii.

– Dziękuję, świetnie wyglądasz. – Nie był to konwencjonalny komplement, patrzenie na nią sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

Dziewczyna z zainteresowaniem rozejrzała się po mieszkaniu.

– Ładnie tu u ciebie.

Andrzej wyczuł, że Anna mówi szczerze. Lubił to mieszkanie na siódmym piętrze nowego apartamentowca, z dużym tarasem, z którego miał widok na kikut dawnej skoczni narciarskiej. Zamieszkał w nim po rozwodzie. Dziewczyna przyglądała się oprawionym fotografiom w salonie.

– Tomaszewski?

Zaimponowało mu, że rozpoznała autora, i potwierdził kiwnięciem głowy. Wyjął z lodówki schłodzone Cremant i rozlał napój do kieliszków.

– Co to jest? Obiecałeś mi grecki wieczór – zaprotestowała Anna.

– To tylko na początek – usprawiedliwił się z uśmiechem, widząc, że Anna żartuje. – Dalej już będzie jak na prawdziwym greckim weselu.

Popołudnie było parne. Andrzej wyprowadził gościa na taras, gdzie usiedli w wiklinowych fotelach.

– Musisz mi dokończyć opowieść o swoich podróżach – poprosił, przywołując moment, w którym ich poprzednia rozmowa została nagle przerwana.

Widać było, że wspomnianie wojaży sprawia Annie przyjemność. Gdy mówiła o wyjeździe do Malezji, mimochodem wtrącił coś, co przeczytał w jej artykule. Zaczęła się śmiać.

– Co się stało? – zdziwił się.

– Czytałeś? Czytałeś mój artykuł?

– Czy to źle? – spytał nieco kokieteryjnie.

– Wręcz przeciwnie, bardzo miłe. – Ujęła go za rękę i przez chwilę przytrzymała jego dłoń.

Wieczór był tak ciepły, że kolację zjedli na tarasie. Andrzej rozlał ze szklanej karafki schłodzone wino. Czekał na jej reakcję.

– Jesteś najzwyczajszym oszustem – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Dlaczego? – zaniepokoił się.

– A byłeś na greckim weselu, na którym podawano nowozelandzkie wino?

– Poznałaś? – spytał zdziwiony.

– Kilka miesięcy spędziłam w Nowej Zelandii i ten smak rozpoznam zawsze. Uwielbiam je. – Podniosła kieliszek do ust.

Andrzej, by się usprawiedliwić, zdradził jej swoją teorię, że greckie wina najlepiej smakują w Grecji, a poza nią należy pić co innego.

– Reszta będzie prawdziwie grecka – zapewnił.

Dziewczyna jadła, chwaliła jego kucharski talent i opowiadała o swojej pracy. On mówił mniej, chcąc dowiedzieć się o Annie jak najwięcej.

W tym samym momencie sięgnęli po wino i ich ręce ponownie się spotkały. Zapadł zmrok i zrobiło się chłodniej.

– Chodźmy do środka – zaproponował, widząc, że Anna objęła się ramionami.

Usiedli na kanapie.

– Gadałam cały wieczór, teraz ty musisz powiedzieć coś o sobie.

– Nie umiem tak fascynująco snuć opowieści jak ty. Powiniennem wziąć u ciebie parę lekcji. – Objął ją ramieniem. Ręka Anny oparła się na jego kolanie. Teraz, czując jej bliskość, Andrzej nie miał ochoty nic mówić.

Na korytarzu rozległ się stukot obcasów, a w chwilę potem zza ściany dobiegł męski głos.

– Gdzie ty, kurwo, byłaś?

– Nie twoja sprawa. – Damski głos był równie donośny.

Anna wyprostowała się, zabierając rękę z jego kolana.

– Co tam się dzieje? – spytała.

– Nie mam pojęcia, to nowi sąsiedzi, chyba dziś się wprowadzili.

– Zaraz ci pokażę, że moja! – Awantura dopiero się rozkręcała.

Po chwili usłyszeli odgłos przypominający uderzenie.

– Powinieneś wezwać policję.

– Spisywanie protokołu zrujnuje nam cały wieczór – zaproponował. – Może się uspokoją.

Ale już wiedział, że niepowtarzalny nastrój bezpowrotnie minął.

– Jak jeszcze raz się z nim spotkasz, to cię zabiję! – Mężczyzna nie zamierzał odpuścić.

– Chcesz mieć kobietę dla siebie, to o nią dbaj!

– A ty co, pamięć straciłaś? Złota bransoletka już ci się znudziła?!

W kształcie węża, gdybyś zapomniła!

– Pewnie ją ukradłeś, jak wszystko co od ciebie dostaję.

Przez chwilę za ścianą panowała cisza i Andrzej miał nadzieję, że obróci wszystko w żart i wieczór uda się uratować. Jego ręka wróciła na ramię Anny.

Ale atrakcje jeszcze się nie skończyły.

– Wypierdolę cię tak, że już nigdy nie będziesz chciała z innym.

– Nie gadaj tyle, tylko zrób to.

Odgłosy za ścianą nie pozostawiały wątpliwości, czym skończyła się kłótnia.

– Będę musiała już iść. Dziękuję za pyszną kolację. – Anna podniosła się z kanapy.

– Kurwa! – wyrzucił z siebie Andrzej, gdy został sam, i ze złości kopnął kanapę.

Rano obudziła go głośna kłótnia kochanków, motyw złotej bransoletki w kształcie węża powrócił. Wszedł na balkon i zadzwonił do Anny, ale nie odebrała.

Po południu spotkał sąsiadów na klatce schodowej.

– Tu ściany są bardzo akustyczne – zwrócił im uwagę.

– Niech pan sobie kupi zatyczki do uszu – odburknął mężczyzna.

Wieczorem ponownie zadzwonił do Anny, bez powodzenia. W poniedziałek przed wyjściem wybrał jej numer, ale po namyśle zrezygnował. Nie znał jej trybu życia. Mogło być za wcześnie.

W pokoju narad włożył togę, na nią sędziowski łańcuch z orłem w koronie i wszedł na salę rozpraw. Na jego widok wszyscy wstali. Dwie pierwsze sprawy z wokandy były proste. Punktualnie o dwunastej protokolant wywołał trzecią.

– Trzecia z wokandy, rozprawa oskarżonego Artura Kani.

Czekając na wejście stron, Andrzej przypominał sobie szczegóły sprawy, której akta czytał przed kilku dniami. Mężczyzna był oskarżony o kradzież biżuterii. Zdaniem prokuratury 2 lipca 2015 roku na ulicy Rozbrat w Warszawie podszedł do Natalii Kozdroń i grożąc jej pobiciem, zażądał oddania złotych pierścionków i bransoletki. W komisariacie ofierze pokazano zdjęcia potencjalnych sprawców, wśród których znajdowała się podobizna Artura Kani. Zdaniem kobiety bardzo przypominał on mężczyznę, który ją napadł i okradł.

Policja przeprowadziła u podejrzanego przeszukanie, jednak skradzionej biżuterii nie odnaleziono. Następnie pokrzywdzonej okazano mężczyznę przez lustro fenickie. Potwierdziła, że jest podobny do napastnika, ale nie mogła ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że to on. Przesłuchany w sprawie Artur Kania nie przyznał się do zarzucanego mu czynu. Wyjaśnił, że nie mógł go popełnić, bowiem w chwili gdy dokonywano napadu, spacerował ze swoją narzeczoną Patrycją Miską po Lesie Kabackim. Dziewczyna potwierdziła jego alibi.

Wszystko to się działo, gdy Artur Kania jeszcze nie miał obrońcy. Po opuszczeniu komisariatu zatrudnił mecenasa Marka Koldońskiego.

Adwokat zażądał ponownego przesłuchania pokrzywdzonej. Przepytując ją szczegółowo, wykazał, że nie była pewna swojego rozpoznania. Dostrzeżone przez nią podobieństwa między Arturem Kanią a napastnikiem to: wzrost, mocna budowa ciała i ciemne włosy. W czasie napadu była tak przestraszona, że nic więcej nie zapamiętała. To policjanci zasugerowali jej, że napastnikiem mógł być Kania. W konsekwencji w sprawie brak było jakichkolwiek dowodów winy.

Rozpatrując sprawę, Andrzej musiał do końca pozostać bezstronny, jednak nie rozumiał, dlaczego prokuratura zdecydowała się wnieść akt oskarżenia przy tak słabym materiale dowodowym.

Pierwszy do sali wszedł mecenas Koldoński. Mierzył sporo ponad metr osiemdziesiąt. W młodości był wicemistrzem olimpijskim w wioślarstwie i drzemiącą w nim siłę czuć było w każdym ruchu. Był przystojnym mężczyzną z twarzą o regularnych szlachetnych rysach kojarzących się z wizerunkiem rzymskiego senatora. Zawsze nienagannie ubrany, z dobrze dobranym krawatem i nieodłączną chusteczką w butonierce, przyciągał uwagę. Andrzej zazdrościł mu trochę aparycji, jednak uważał mecenasa za wybitnego prawnika. Przewidywał, że sprawa zakończy się szybko wyrokiem uniewinniającym. Oskarżony był w dobrych rękach.

Za mecenasem na salę wszedł młodszy mężczyzna górujący nad nim wzrostem. Andrzej rozpoznał w nim swojego nowego sąsiada. Artur Kania usiadł na ławie oskarżonych. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i Andrzej miał świadomość, że oskarżony go rozpoznał. Zastanawiał się, co ma zrobić. Czy jest bezstronnym sędzią i może nadal prowadzić tę sprawę? Oczywiście bezstronny nie był, bo najchętniej żywcem obdarłby oskarżonego ze skóry. Zastanowił się jednak, co mógłby napisać do przewodniczącego wydziału w uzasadnieniu, w którym wyłączałby się od prowadzenia sprawy. W skrócie musiałyby to brzmieć tak: „Oskarżony jest moim sąsiadem i z powodu jego głośnej kłótni z narzeczoną zakończoną gorącym seksem nie udało mi się przespać z poznaną na wakacjach dziewczyną”. Takie wyjaśnienie przeszłoby do klasyki dowcipów sądowych.

Miał do wyboru albo skłamać, albo prowadzić sprawę dalej. Zastanowił się, czy mimo że nie znosi tego faceta, będzie w stanie

zachować bezstronność. Wiedział, że jest dobrym i sprawiedliwym sędzią i potrafi wydać obiektywny wyrok.

Prokurator przystąpił do odczytywania aktu oskarżenia. Oskarżył Artura Kanię o to, że 2 lipca 2015 roku w Warszawie około godziny dwudziestej drugiej przy ulicy Rozbrat, grożąc Natalii Kozdroń pobiciem, zmusił ją do niekorzystnego rozporządzenia własnym mieniem w postaci sześciu złotych pierścionków i złotej bransoletki o wartości dwudziestu tysięcy złotych, to jest o czyn z artykułu 280 paragraf 1 kodeksu karnego.

Sąd poprosił oskarżonego o powstanie i podanie danych osobowych. Artur Kania, dotychczas niekarany, miał trzydzieści dwa lata, był bezdzietnym kawalerem, mieszkał w Warszawie i pracował jako instruktor kick boxingu w klubie sportowym. Andrzej z satysfakcją pomyślał, że trafnie ocenił sąsiada podczas pierwszego spotkania.

Na pytanie, czy przyznaje się do zarzucanego mu czynu, oskarżony zaprzeczył i oświadczył, że chce złożyć wyjaśnienia w niniejszej sprawie. Po czym stwierdził, że pokrzywdzonej nigdy nie widział na oczy, nie groził jej ani niczego jej nie zabrał. W dniu, w którym dokonano napadu, zabrał narzeczoną Patrycję Miskę do restauracji Pod Samsonem na Nowym Mieście, po czym samochodem udali się do Lasu Kabackiego, gdzie spacerowali do późnych godzin wieczornych. Nie mógł zatem dokonać napadu na Powiśle.

Oskarżony na sali robił dobre wrażenie, jego zeznania były przekonujące. Ani prokurator, ani obrońca nie mieli do niego pytań. Andrzej zdawał sobie sprawę, że wywoływanie w domu awantur nie oznacza, że Kania popełnił przestępstwo.

Rozpoczęło się postępowanie dowodowe. Natalia Kozdroń, tęga pięćdziesięcioletnią kobieta o tlenionych włosach i w za krótkiej kwiecistej sukience, wyglądała dość komicznie. Grube palce przyozdobione były złotą biżuterią. Sędzia odniósł wrażenie, że strata poniesiona w czasie napadu nie uszczupliła zbytnio zasobów jej biżuterii. Kobieta przebieg napadu opisała tak samo jak podczas prowadzonego śledztwa. O mężczyźnie, który ją zaatakował, nadal nie mogła wiele powiedzieć poza tym, że był młody, ciemnowłosy i dużo wyższy od niej. Na pytanie zadane przez prokuratora, czy w oskarżonym rozpoznaje napastnika, odpowiedziała, że nie jest pewna.

Przyszła czas na pytania obrony. Mecenas Koldoński spytał pokrzywdzoną, jak długo trwało zdarzenie. Okazało się, że kilkanaście



sekund. Następnie dowiedział się, że pokrzywdzona tak była zajęta ściąganiem pierścionków z palców, że prawie nie patrzyła na napastnika. Przyznała też, że w chwili napadu była bez okularów, a bez nich widzi dużo gorzej. Adwokat przypomniał, że zrobiło się już ciemno, w pobliżu zaś nie było żadnego sztucznego oświetlenia. Pokrzywdzona nie pamiętała ani twarzy napastnika, ani jego ubioru. Mecenas przeszedł do pytań dotyczących samego okazania zdjęć. Pokrzywdzona zeznała, że oglądając fotografie, wskazała na jedno ze zdjęć, mówiąc, że napastnik też miał ciemne włosy. To zainteresowało policjantów. Powiedzieli, że mężczyzna ze zdjęcia to groźny przestępca, któremu nigdy dotychczas nie udało się udowodnić winy. Bardzo im zależało, żeby go dopaść. Zasugerowali jej, że podany przez nią opis napastnika jako wysokiego ciemnowłosego mężczyzny idealnie pasuje do osobnika z fotografii, więc powinna go rozpoznać. Podczas okazania trochę się wahała, jednak policjanci przekonywali, że mężczyzna za lustrem fenickim trzymający tablicę z numerem cztery to napastnik.

Po przesłuchaniu poszkodowanej chyba nikt na sali rozpraw nie miał wątpliwości, że oskarżony jest niewinny. Dla sędziego sprawa też była jasna. Zastanawiał się, czy zadać jakieś pytanie, i był gotów zrezygnować z przysługującego mu uprawnienia. Dalsze przesłuchiwanie świadka nie miało żadnego sensu. Ale miał wśród kolegów opinię świetnego fachowca obdarzonego siódmym zmysłem. I to ów zmysł spowodował, że prawie instynktownie zapytał:

– Czy może pani opisać tę skradzioną biżuterię?

Po chwili tego pożałował. Biżuteria bowiem najwyraźniej stanowiła hobby pokrzywdzonej, która w sposób rozwlekły i szczegółowy opowiadała o każdym egzemplarzu kolekcji. Nie wypadało jej przerywać, więc cierpliwie czekał, aż skończy. Andrzej prawie przestał słuchać, jednak jego uwagę przykuły w pewnej chwili słowa: „bransoletka w kształcie węża”. Z opisu wynikało, że bransoletka inkrustowana była małymi rubinami i została kupiona w Warszawie w sklepie ze złotą biżuterią. Przypomniał sobie sobotnią kłótnię sąsiadów. On mówił, że dał jej złotą bransoletkę w kształcie węża, a ona zarzuciła mu, że na pewno, jak wszystko, była kradziona. Czyżby zupełnie przypadkowo natrafił na dowód winy oskarżonego?

Spytał Natalię Kozdroń, czy mogłaby narysować tę bransoletkę. Okazało się, że to niepotrzebne, bo ma przy sobie zdjęcie, na którym

widać skradzioną biżuterię. Zdjęcie zostało włączone do akt. Andrzej kątem oka dostrzegł na twarzy oskarżonego po raz pierwszy oznaki niepokoju.

Następnie na świadka została wezwana Paulina Miska. Zapytana, co jej wiadomo w sprawie, potwierdziła alibi oskarżonego. Prokurator i obrońca nie mieli żadnych pytań.

– Czy dostaje pani prezenty od narzeczonego? – spytał sędziea.

– Pewnie. Kocha, to daje. – Uśmiechnęła się z dumą.

– Może pani powiedzieć, jakie prezenty dostała pani w ostatnim czasie?

Dostrzegł, że oskarżony daje ukochanej dyskretne znaki, by milczała, i wezwał go do zachowania spokoju.

– Najróżniejsze: buty od Jimmy’ego Choo, torebkę z jaszczurki, kostium kąpielowy, kolczyki z brylantami, złotą bransoletkę wyglądającą jak żywy wąż.

– Czy ma pani nadal te wszystkie rzeczy?

– Tak, w domu – potwierdziła.

Andrzej był już zupełnie pewien, że oskarżony dokonał tego rozboju i jeden ze skradzionych klejnotów sprezentował swojej dziewczynie. Nie było to, jak się okazało, najmądrzejsze posunięcie.

Sędzia zastanawiał się, jak powinien postąpić. Wiedział, że oskarżony jest winny, ale jego wiedza pochodziła z informacji uzyskanych poza procesem. Na tej podstawie nie mógł go skazać. Jeśli teraz wyłączy się ze sprawy, to oskarżony uniknie kary. Zastanawiał się, co zrobić. W końcu przyszło mu do głowy rozwiązanie. Zarządził przerwę do następnego dnia, zobowiązując wszystkich do stawienia się w sądzie o godzinie dziewiątej rano. Po czym skontaktował się z komendantem policji. Próbował też dodzwonić się do Anny, ale nadal nie odbierała.

Następnego dnia po wywołaniu rozprawy strony zajęły miejsca na sali sądowej. Nim Andrzej rozpoczął przesłuchiwanie pierwszego świadka, poczuł wibrację – esemes. Dyskretnie wyjął telefon i spojrzął na ekran. Od Anny. „Przepraszam, że nie oddzwaniałam, ale musiałam wyjechać służbowo za granicę. Odezwę się po powrocie”. Nie miał czasu przeanalizować tej wiadomości, ponieważ wszyscy na sali się w niego wpatrywali.

Pierwszy zeznawał aspirant Tadeusz Piotrowski. Powiedział, że poprzedniego dnia na zlecenie sądu przeprowadził w mieszkaniu

Pauliny Miski przeszukanie, w którego trakcie została zabezpieczona złota biżuteria w kształcie węża. Dowód ten jest dołączony do akt sprawy. Następnie sędzia ponownie przesłuchał Natalię Kozdroń, która po okazaniu jej zabezpieczonego dowodu rozpoznała bransoletkę jako tę skradzioną. Ponownie przesłuchana Paulina Miska potwierdziła, że tę biżuterię dostała od swojego narzeczonego. Pamiętała nawet datę. Jak się okazało, było to dzień po napadzie. Poproszony o złożenie uzupełniających zeznań oskarżony nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób wszedł w posiadanie biżuterii, którą ofiarował narzeczonej, i odmówił składania wyjaśnień.

Wobec braku dalszych wniosków dowodowych Andrzej zakończył rozprawę i udał się na naradę. Nie miał wątpliwości, że oskarżony jest winny, i dysponował dowodami. Przygotowanie wyroku zajęło mu dwadzieścia minut. Skazał Artura Kanię na karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności, po której odbyciu czekało go jeszcze półtora roku ograniczenia wolności, czyli między innymi wykonywania prac na cele społeczne. Fakt, że sąsiad dostał za swoje, sprawił mu pewną satysfakcję.

Od dnia ogłoszenia wyroku Andrzej nasłuchiwał odgłosów zza ściany, jednak panowała tam głucha cisza. W piątek rano obudził go piekielny hałas dochodzący z klatki schodowej. Na wpół przebudzony pobiegł sprawdzić, co się stało. Przez wizjer zobaczył wyważone drzwi sąsiedniego mieszkania i funkcjonariuszy brygady antyterrorystycznej. No i dograł się, pomyślał.

Gdy drzwi jego mieszkania wylatywały z zawiasów, Artur Kania spał smacznie wtulony w ciepłe ciało Pameli Miski. Otworzył oczy i zobaczył wycelowaną w siebie broń. Funkcjonariusze złapali go za ramiona i założyli kajdanki. Leżał skuty na podłodze, obserwując, jak policjanci przeszukują mieszkanie. Chciał się dowiedzieć, o co chodzi, nikt jednak nie zamierzał odpowiadać na jego pytania, a pilnujący go policjant kazał mu się zamknąć. Czekał więc cierpliwie, aż skończą. Gdy go wyprowadzano z mieszkania, polecił Pameli, żeby dzwoniła po adwokata.

Prokurator Martyna Korab miała powody do zadowolenia. Zygmunt Stary, pseudonim „Karczoch”, świadek koronny, którego prowadziła, dużo wiedział o świecie przestępczym i chętnie współpracował. Dzięki jego zeznaniom była szansa rozwiązania jednej z głośniejszych spraw ostatnich lat. „Karczoch” wskazał osobę, która miała popełnić to przestępstwo. Tyle że jego wiadomości pochodziły z plotek. Teraz

musiała zdobyć dowody umożliwiające sporządzenie aktu oskarżenia. Usłyszała pukanie i w drzwiach pojawił się aspirant sztabowy Romuald Gryczan.

- Pani prokurator, dowieźliśmy podejrzanego – zameldowałam.
- Znaleźliście coś podczas przeszukania? – zapytała z nadzieją.
- Niestety, żadnych obciążających dowodów.
- Dobrze – starała się ukryć rozczarowanie. – Dajcie go tu.

Dwóch funkcjonariuszy wprowadziło Artura Kanię. Zdjęli mu kajdanki i posadzili na krześle. Sami usiedli za nim.

- Czy powie mi pani, dlaczego tu jestem?
- Zaraz się dowiesz.

Prokurator podsunęła mu protokół przedstawienia zarzutów. Wziął papier do ręki i przeczytał: „Oskarżam Artura Kanię o to, że w dniu 2 lipca 2015 r. o godzinie 20 w Krakowie w salonie jubilerskim Diamentowe Błyskotki, grożąc sprzedawcom Arturowi Fochowi i Romanowi Kruszcowi użyciem broni palnej w postaci rewolweru marki Walter, a tym samym pozbawieniem ich życia, zażądał otwarcia znajdującego się w sklepie sejf, z którego przywłaszczył sobie na szkodę wyżej wymienionego salonu brylantową biżuterię w liczbie 113 sztuk o łącznej wartości 169 tys. zł. A gdy pracownik ochrony Piotr Rozenek próbował go zatrzymać, oddał do niego trzy strzały w klatkę piersiową, w wyniku których ranny zmarł”.

- W co wy mnie chcecie zrobić?! – Podejrzany wstał z krzesła. Siedzący za nim funkcjonariusze zerwali się i złapali go za ramiona.
- Spokój i siadaj, bo porozmawiamy inaczej!
- Czy przyznajesz się do winy? – spytała prokurator.
- To jakaś bzdura. Do niczego się nie przyznaję – odburknął.
- Czy będziesz składał wyjaśnienia?
- O czym mam mówić, skoro to bzdura.

Prokurator wiedziała, że niedługo zjawi się obrońca zatrzymanego. Miała ostatnia szansę, by nakłonić go do zmiany decyzji.

– Mamy stuprocentowe dowody przeciwko tobie. Jak się nie przyznasz, dostaniesz dożywocie. Jeśli pójdziesz na współpracę, załatwię ci nadzwyczajne złagodzenie kary. Dostaniesz nie więcej niż osiem lat, a na warunkowe wyjdiesz już po czterech. – Zdawała sobie sprawę, że nie udałoby jej się spełnić tej obietnicy, ale jakie to miałyby znaczenie, gdyby uzyskała przyznanie się do winy na piśmie.

– Nie zmusi mnie pani, żebym się przyznał do czegoś, czego nie zrobiłem.

Rozległo się pukanie, w drzwiach pojawił się mecenas Marek Koldoński.

– O kurwa! – zaklęła pod nosem prokurator. – Ale się uwinął.

Prywatnie była pod urokiem mecenasa, teraz jednak był ostatnią osobą, którą chciałyby widzieć.

Na widok prokuratora mecenas uśmiechnął się promiennie.

– Miło mi panią widzieć. Wygląda pani zjawiskowo.

Komplement sprawił jej przyjemność, mimo że straciła szansę na dowiedzenie się czegokolwiek od podejrzanego. Po przesłuchaniu zawieziono Artura do gmachu sądu. Adwokat po zapoznaniu się z aktami sprawy stwierdził, że zarzuty opierają się na pomówieniach świadka koronnego, a oskarżenie nie dysponuje żadnymi dowodami bezpośrednimi. Dawało to duże szanse na udaną obronę. Jednak mimo płomiennego przemówienia obrońcy sąd zastosował wobec podejrzanego areszt.

W poniedziałek adwokat odwiedził swojego klienta.

– Oglądałem akta sprawy, pomawia pana świadek koronny, niejaki „Karczoch”. Zna go pan?

– W życiu nie widziałem go na oczy – zapewnił Artur Kania.

W środę podejrzany poprosił oddziałowego o przekazanie prokuratorowi, że prosi o jak najszybsze spotkanie.

– Złamał się – nie kryła radości prokurator Martyna Korab. Zdecydowała się natychmiast do niego jechać, ponieważ wiedziała, że aresztowani często zmieniają zdanie.

– Przemyślałem całą sprawę – oznajmił na powitanie podejrzany.

– I chce się pan przyznać – podpowiedziała mu najlepsze rozwiązanie.

– Nie, jeszcze raz dokładnie przeczytałem zarzut. Mogę wykazać, że jestem niewinny. Nie mogłem drugiego lipca o dwudziestej w Krakowie dokonać zabójstwa, skoro w tym dniu napadłem w Warszawie na niejaką Natalię Kozdroń, za co zostałem skazany prawomocnym wyrokiem. Proszę spojrzeć, mam ze sobą odpis wyroku.

– O kurwa! – wyrwało się prokurator po raz kolejny przy prowadzeniu tej sprawy. Wyglądało na to, że „Karczoch” nie był tak wiarygodny, jak jej się wydawało.

– Sprawdź to – oznajmiła i w pośpiechu opuściła areszt.

Po czterech dniach Artur Kania został wypuszczony na wolność. Prokuratura nie miała wyjścia, jego alibi było nie do podważenia.

Następnego dnia skontaktował się z Arturem jego przyjaciel Robert. Umówili się wieczorem w barze.

– Dzięki za wynajęcie papugi – przywitał kumpla Kania.

– Na szczęście szybko wyszedłeś. Miałeś farta.

Robert zamówił przy barze butelkę zmrożonej wódki i zaniósł ją do stolika w głębi sali.

– To nie tylko fart, na samego farta nie można liczyć – ciągnął Artur, gdy upewnili się, że nikt nie słyszy rozmowy. – Przed kilku miesiącami policja próbowała mnie zrobić w napad, z którym nie miałem nic wspólnego. Przekonali jakąś babkę, żeby mnie rozpoznała. Dostałem akt oskarżenia, ale w ogóle się tym nie przejąłem, bo papuga powiedział, że na bank mnie z tego wyciągnie. Wszystko się zmieniło, kiedy zatrzymali „Karczocho” i dostałem cynk, że robią go na koronnego. Jeśliby się całkowicie wysypał, mogli mnie powiązać ze skokiem na jubilera w Krakowie. Musiałem w kilka dni, zanim mnie zdejmą, przygotować sobie alibi nie do podważenia.

Podniósł kieliszek. Obaj wypili do dna.

– Okazało się, że rzeczywiście mam farta – kontynuował. – Napad w Warszawie, o który mnie oskarżono, był w tym samym dniu co skok na jubilera. Za jubilera i zabójstwo groziło mi dożywocie; gdybym dostał za ten napad w Warszawie mały wyrok, miałbym gwarantowane alibi. Musiałem tylko przekonać sędziego w Warszawie, żeby mnie skazał, co okazało się nie takie proste, bo w tej sprawie nie było żadnych dowodów.

Robert wpatrywał się w Artura szeroko otwartymi oczami. A Artur opowiadał dalej.

– Zdecydowałem się odegrać małą maskaradę, żeby go przekonać o swojej winie. Wynająłem mieszkanie obok niego, potem, na jego użytek, zaaranżowałem scenkę. Sędzia był przekonany, że podsłuchał moją rozmowę z Pamelą, a wynikało z niej, że jestem winny. Zdobyłem też niepodważalny dowód mojej winy, czyli taką samą bransoletkę jak zabrana tamtej kobiecie. A potem Pamela w sądzie tak wkręciła sędziego, że kazał przeszukać jej mieszkanie. Dzięki niemu jestem na wolności, bo jak pokazałem wyrok, to od razu mnie wypuścili. Nalej mi jeszcze. – Pokazał pusty kieliszek.

– Po co był ten cały teatr? – Robert nie mógł zrozumieć motywów działania kumpla. – Nie mogłeś po prostu przyznać się do tego napadu?

– Gdybym się przyznał, a potem by się okazało, że w tej drugiej sprawie jestem podejrzany o zabójstwo, to nikt by mi nie uwierzył. Uznaliby, że to moja linia obrony. Dzięki temu, że zaprzeczałem, a oni udowodnili mi winę, teraz jestem bezpieczny. Za przyszłe skoki! – Uniósł kieliszek.

– To już rozumiem, ale dlaczego tak długo zwlekałeś z powiedzeniem o tym, że masz alibi? – drążył dalej Robert. – Przecież mogłeś pokazać wyrok od razu, jak cię zatrzymali.

– To też był element strategii. Kiedy po mnie przyszli, wyrok był nieprawomocny. Żeby mnie skazać w tej dużej sprawie, prokuratura mogła zaskarżyć wyrok w tej małej i próbować mnie z napadu w Warszawie uniewinnić. Dlatego czekałem w areszcie, aż wyrok się uprawomocni.

– A co będzie, jeśli spytają sędziego, dlaczego cię skazał? Wtedy wszystko może się wydać.

– Nie mogą go spytać, narada jest tajna – uspokoił przyjaciela Artur. – Ja jestem już bezpieczny, a o twoim udziale w napadzie „Karczoch” nic nie wie.

Anna nie odezwała się przez dwa tygodnie. Powoli jej obraz rozplątywał się w pamięci Andrzeja. Nie mieli nawet wspólnego zdjęcia. Nadal pojawiała się w jego snach, ale ostatniej nocy nie mógł dostrzec jej twarzy. Zaczynał mieć wątpliwości, czy odezwie się do niego, tak jak obiecała. Mógł sam do niej dzwonić, ale to byłby sygnał, że jej nie wierzy. Zastanawiał się, dokąd pojechała i czy w ogóle pojechała. W końcu przysłała wiadomość. Była krótka: „Wróciłam, co powiesz na kolację jutro o dwudziestej w Dziurce od klucza na Powiślu?”. Miał do niej tyle pytań, nie chcąc jednak łamać przyjętej przez nią konwencji, zdecydował, że poczeka do jutra. Wysłał krótką odpowiedź: „Cieszę się, że już jesteś. Będę”. Po czym po namyśle dopisał: „Całuję”.

Po rozstaniu z Arturem, Robert złapał taksówkę i pojechał do restauracji Stary Dom. Usiadł przy stoliku, przy którym czekał już na niego masywny mężczyzna po pięćdziesiątce ubrany w prążkowany garnitur.

– Napijesz się czegoś?

- Dziękuję, wypilem z Arturem butelkę wódki, wystarczy.
- Czego się dowiedziałeś? – Mężczyzna przeszedł do sedna.
- Według mnie, szefie, on sypie, może nawet idzie na koronnego.

Jeśli nawet ta wiadomość zrobiła wrażenie na mężczyźnie, nie dał tego po sobie poznać. Wypił łyk piwa i przez chwilę się zastanawiał.

– Na koronnego by nie mógł – odezwał się wreszcie. – Jak się ma zarzut zabójstwa, nie można zostać koronnym.

– Szef ma rację – potwierdził Robert. – Ale może iść na nadzwyczajne złagodzenie kary.

– Tak może być. – Mężczyzna rozważał teorię Roberta. – Czy to pewna wiadomość?

– Nie, to intuicja i analiza zdarzeń. Zdejmuje go brygada antyterrorystyczna pod zarzutem zabójstwa, a potem po tygodniu wychodzi. Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Może nie mieli dowodów – próbował znaleźć rozwiązanie mężczyzna.

– Jeśli sąd zastosował areszt, to coś wywęszyli. Dlaczego mieliby go dobrowolnie puszczać? Raczej czekaliby, aż zmięknie.

– A jak to tłumaczy Artur?

– Opowiedział mi niestworzoną historię o tym, że przekonał sędziego, żeby skazał go w innej sprawie i dzięki temu ma alibi w sprawie napadu. Nie uwierzyłem w ani jedno słowo.

– Rozmawiałeś z mecenasem Koldońskim? – Szef chciał uzyskać jak najwięcej informacji.

– Tak, byłem u niego w kancelarii. Powiedział, że obowiązuje go tajemnica zawodowa i nie może nic powiedzieć o sprawie Artura.

– Czyli sypie – uznał mężczyzna. – Gdyby wszystko było w porządku, papuga by nam powiedział. Jak bardzo może nam zaszkodzić?

– Bardzo – ocenił Robert. – Jeśli zaczniesz zeznawać, dowiedzą się, że brałem udział w napadzie. Wskaże numery telefonów, którymi się posługiwaliśmy, i poda marki aut. Sprawdzą, gdzie logowały się komórki, obejrzą nagrania monitoringu. Będą mieli stuprocentowe dowody. Nawet Koldoński mnie z tego nie wyciągnie. Artur wie też, komu szef sprzedał te diamenty.

Mężczyzna analizował wszystkie te informacje, w końcu podjął decyzję.



– Jeśli nawet nie masz racji i on nie poszedł na współpracę, w każdej chwili może to zrobić. Nie będziemy ryzykować. Zrób tak, żeby nie mógł zaszkodzić naszym interesom.

Andrzej przyszedł do restauracji na dziesięć minut przed umówionym spotkaniem. Wybrał stolik w kącie sali przy oknie i zamówił najlepsze włoskie wino. Poprosił kelnerkę, by rozlała je do kieliszków, i czekał. Pięć po ósmej dostrzegł idącą chodnikiem Annę. Obserwował ją tak jak na greckiej plaży, gdy widział ją po raz pierwszy. Podobało mu się, jak kołysze biodrami. Gdy weszła do restauracji, wstał.

Chciał ją spytać, dlaczego nie odzywała się tyle czasu, ale zamknęła mu usta krótkim pocałunkiem.

– Byłam w Urugwaju.

Czekał, aż powie coś więcej, ale Anna nagle zmieniła temat.

– Mamy dziś trzecią szansę.

– Nie zmarnuję jej – obiecał, podając jej kieliszek wina. – Za twoją podróż.

– Wypijmy za powrót – zdecydowała.

Na dworze zaczął padać deszcz. Usiedli, a on ujął jej dłoń.

– Jak to dobrze, że już jesteś.

Za oknem na chodniku dostrzegł Artura Kanię. Wzdrygnął się zaskoczony.

– Coś się stało?

– Nie, nic.

Jadące ulicą czarne bmw z przyciemnionymi szybami zwolniło na wysokości idącego mężczyzny. Ktoś uchylił szybę od strony pasażera, jakby chciał spytać o drogę. Potem padły strzały, dostrzegł twarz mężczyzny za szybą. Samochód odjechał z piskiem opon, a ciało upadło na chodnik. Drobny deszcz zamienił się w ulewę. Strużki krwi płynęły po chodniku. Andrzej zdał sobie sprawę, że jest jedynym świadkiem, który widział zabójstwo. Zaraz zjawi się tu policja i czekają ich całonocne przesłuchania.

Trzecia szansa, przypomniał sobie słowa Anny. Nie uda ci się tego spieprzyć, pomyślał, patrząc na leżącego nieruchomo sąsiada. Nie spieprzysz mi tego nawet martwy.

Wstał i pociągnął dziewczynę za rękę.

– Wiekamy stąd!

Biegli w strugach ulewnego deszczu. Przez głowę przeleciały mu słowa piosenki *Singing in the Rain*.

Zatrzymali się, dopiero gdy zabrało im tchu. Bawełniana sukienka Anny była mokra. Andrzej przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował.

## DELEGACJA

Opierała dłonie na biurku i w skupieniu oglądała paznokcie. Kolor, którym je pomalowała, znudził ją i zastanawiała się nad jego następcą. Do faworytów należały oliwkowa zieleń i morski odcień szafiru. W podjęciu decyzji przeszkodził jej dzwonek telefonu.

– Anno, szef prosi, żebyś natychmiast do niego przyszała. Podobno to bardzo pilna sprawa – oznajmiła sekretarka.

– Powiedz, że zaraz będę.

Ponownie spojrzała na dłonie i uznała, że na pierwsze dni lata oliwkowa zieleń będzie idealna. Zadowolona z tak konstruktywnie zaczętego dnia wstała i podeszła do lustra. Po trzech latach pracy w kancelarii adwokackiej Bonder & Sowa Anna nauczyła się, że żadna sprawa nie jest w istocie tak pilna, jak wydawało się właścicielom. Po każdym telefonie klienta z nowym dużym zleceniem w kancelarii zaczynało wrzeć jak w ulu. Wspólnicy wzywali do siebie adwokatów, organizowali zespół do prowadzenia sprawy, odbywali spotkania z klientami. Klika dni albo tygodni zajmowało przygotowanie pozwu i złożenie go w sądzie, potem następował wielotygodniowy okres spokoju, kiedy czekano na odpowiedź drugiej strony. Gdy nadchodziła, znowu robiło się nerwowo i pracownicy – prawnicy przygotowywali odpowiedź na odpowiedź.

Po zakończeniu wymiany pism procesowych ponownie następował długi okres luzu aż do wyznaczenia rozprawy w sądzie. Na pierwszym terminie sprawy na ogół się nie kończyły, a kolejne rozprawy wyznaczane były co kilka miesięcy. W konsekwencji od przyjęcia sprawy do wydania wyroku mijało na ogół kilka lat. Zatem jeśli finał procesu, w związku z którym teraz wzywał ją mecenas Ernest Bonder, najstarszy wspólnik w kancelarii, miał nastąpić za kilka lat, to czy jest sens w tej chwili się śpieszyć?

Anna uważnie popatrzyła na swoje odbicie. Uważała, że w pracy adwokata nie mniej ważny od znajomości kodeksów jest dobry wygląd. Gdy jej rówieśnicy w kancelarii skarżyli się, że klienci nie traktują ich

poważnie, ona potrafiła sobie z tym poradzić. Świetnie skrojona beżowa garsonka, śnieżnobiała koszulowa bluzka, wysokie jasnobrązowe szpilki, czarne okulary w rogowej oprawie i zaczesane do tyłu blond włosy wskazywały na jej profesjonalizm, nie ujmując przy tym nic z urody. Poprawiła spódnicę na biodrach i oceniwszy, że wygląd umożliwia jej zetknięcie się z kolejnymi prawniczymi wyzwaniem, wzięła z biurka oprawiony w jasnobrązową skórę notatnik z logo kancelarii, po czym ruszyła na spotkanie.

– Dobrze, że jesteś. Siadaj, Anno – powitał ją mecenas Ernest Bonder, wskazując miejsce w wygodnym klubowym fotelu pokrytym bordową skórą.

Był wysokim, szczupłym, lekko siwiejącym pięćdziesięciolatkiem. Swoją karierę uprawiał od dwudziestu pięciu lat i przez ten czas zyskał sławę jako prawnik, który dzięki niezwykle efektownym przemówieniom opartym na żelaznej logice i trafnej, acz oryginalnej argumentacji potrafił przekonywać sądy do swoich teorii prawnych. Większość jego klientów opuszczała salę sądową z uśmiechem towarzyszącym satysfakcji z wygranej. Obecnie, po ćwierćwieczu spędzonym w ławach obrończych, mecenas rzadziej bywał w sądzie. Koncentrował się na zarządzaniu kancelarią i konsultowaniu spraw ze swoimi młodszymi współpracownikami.

– Mamy nową sprawę, którą chciałbym ci powierzyć. – Bonder z przyjemnością patrzył na Annę.

– Coś ciekawego? – zainteresowała się.

Lubiła wyzwania, w takich chwilach jak ta czuła ogarniające ją podniecenie. Nowa sprawa oznaczała spór i walkę, a ona uwielbiała walczyć i... wygrywać. W końcu była ukochaną wychowanicą swojego szefa.

– Tak, naszym klientem jest Andrzej Terliński. – Anna drgnęła, usłyszawszy to nazwisko. Czytała o nim wielokrotnie. Był biznesmenem plasującym się w pierwszej dwudziestce najbogatszych Polaków. Właściciel sieci supermarketów, fabryk żywności i instytucji finansowych. Przystojny, znany, popularny. Pisały o nim zarówno kolorowe magazyny, jak i specjalistyczna prasa ekonomiczna. Prowadzenie jego sprawy oznaczało wysokie honorarium i prawniczą sławę. Anna ceniła sobie jedno i drugie. Dobrze zaczęty dzień stawał się coraz bardziej udany.

– Ten Andrzej Terliński? – upewniła się.

– Tak – potwierdził mecenas, uśmiechnąwszy się, gdy dostrzegł w jej zachowaniu oznaki podekscytowania. – Obawiam się że w związku z tą sprawą będziesz musiała pojechać na kilka dni do Wrocławia. Najlepiej wróc dopiero wtedy, jak wszystko załatwisz.

– Nie ma sprawy, szefie. – Uśmiechnęła się. Wiedział, że ona lubi swoją pracę i dla ciekawej sprawy nawet wielotygodniowy wyjazd nie jest dla niej żadnym problemem. – Kogo mam dobrać do zespołu?

– Sprawa jest bardzo delikatna. Wolałbym, żebyś pracowała nad nią sama.

Anna знаła swojego szefa i wiedziała, że sformułowanie „wolałbym” oznacza: tak ma być.

– Tu są akta, przeczytaj. – Wręczył jej segregator. – Jeśli będziesz potrzebowała konsultacji, jestem w biurze. Najlepiej by było, gdybyś wyruszyła do Wrocławia jeszcze dzisiaj.

Ta delikatna sugestia znaczyła, że ma rezerwować najbliższy pociąg albo samolot, biec się spakować, a akta przejrzeć podczas podróży.

Wracając od szefa, kartkowała dokumenty. Zainteresowała ją jedna z informacji. Po powrocie do gabinetu czytała dalej, po czym sprawdziła kilka rzeczy w wyszukiwarce. W ciągu kwadransa wyrobiła sobie w zarysach koncepcję na poprowadzenie tej sprawy i zleciwszy sekretarce kupienie biletu na najbliższy pociąg, pojechała do domu spakować walizkę. W samochodzie przypomniała sobie, że powinna uprzedzić o wyjeździe swojego chłopaka.

Rona, Amerykanina o polskich korzeniach, uważała za mężczyznę idealnego. W wieku trzydziestu sześciu lat był dyrektorem generalnym zakładów Unilever na Europę Wschodnią, co oznaczało, że większość czasu spędzał w samolotach, oblatując filie firmy. W jej życiu zjawiał się w piątkowe wieczory z gwałtownością huraganu, porywając ją do najlepszych restauracji i nocnych klubów, na koniec oferując niekończący się przed świtem seks. Przez weekend życie z nim przypominało wulkan rozrywek, po czym w niedzielny wieczór znikał, by pojawić się z dokładnością zegara w następny piątek.

Był zatem ideałem, bo dostarczając rozrywek, nie przeszkadzał jej w karierze. Nie żądał karmienia, prasowania i wykonywania tych wszystkich czynności sprawiających, że małżeństwo jawiło jej się jako akt pokuty, na którą w żaden sposób nie zasłużyła. Skoro i tak miała nie

widzieć Rona do piątku, to czy spędzi ten czas w Warszawie, czy we Wrocławiu, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Wystukała numer.

– Cześć, kochanie. – Jego oddech był szybki, urywany.

– Co robisz? – zainteresowała się.

– Biegam wzdłuż rzeki.

– A gdzie jesteś?

– W Pradze, ale po południu wracam do Warszawy, może zjemy razem kolację?

Po raz pierwszy zaproponował jej spotkanie w środku tygodnia.

– Nie mogę. Zaraz zabieram się i wyjeżdżam na kilka dni do Wrocławia.

– Wrocław, Wrocław – powtarzał Ron, próbując sobie przypomnieć, skąd zna tę nazwę. – A, wiem, miasto. Firma rozważa, czy pod Wrocławiem nie wybudować zakładów. Też muszę tam pojechać. –

Zastanawiał się przez chwilę. – Mam pomysł, przyjadę do ciebie i zrobimy sobie bajkowy tydzień. W którym hotelu będziesz?

Anna poczuła niepokój. Dla Rona dobra zabawa oznaczała tony najlepszego jedzenia, taniec do upadłego i miłość. To byłoby miłe, gdyby Ron znał pojęcie kompromisu i rozumiał, że ona musi mieć czas na pracę. Niestety, takich rzeczy nie dawało mu się wytłumaczyć. Dla Rona istniała tylko jego praca, obowiązki innych, w tym Anny, były mniej ważne i musiały zostać zawieszane na czas, kiedy on był w pobliżu. Jego obecność oznaczałaby położenie sprawy, na której bardzo jej zależało.

– Jadę z moim szefem i czwórką asystentów, w planie mamy całodienne spotkania, a wieczorem są zaplanowane kolacje z klientami. Będą piekielnie długie i nudne, ale z tobą jakoś bym je przetrwała.

Ron nagle stracił zainteresowanie wymyślonym przed chwilą projektem.

– Zapomniałem, że mam jutro konferencję w Budapeszcie, nie dam rady dojechać.

– Jaka szkoda, – Odetchnęła z ulgą. – To do zobaczenia, kochany, w weekend.

W pociągu miała czas dokładnie przeczytać całe akta i przygotować koncepcję poprowadzenia sprawy. Potrzebowała jednak pewnych informacji i wsparcia na miejscu. Zdecydowała się zadzwonić do Magdy, koleżanki ze studiów pracującej w dużej wrocławskiej kancelarii. Magda zgodziła się pomóc. Mając zaplanowane sprawy zawodowe, poprosiła

koleżankę, żeby zarezerwowała jej na wieczór bilet na *Courtney Love* w Teatrze Polskim.

Zatrzymała się w Europeum Hotel na wrocławskiej Starówce. Była osiemnasta, do spektaklu została ponad godzina. Anna zdecydowała się na letnią zwiewną sukienkę od Versace. Spacerem przeszła przez Rynek Główny. Nie przeszkadzało jej, że jest sama. Gdy zależało jej na obejrzeniu sztuki, wołała to niż wyjścia we dwoje, gdy rozmieniętowany towarzysz albo trzymał ją za rękę, albo głaskał po udzie, uniemożliwiając skupienie się na spektaklu.

Obok niej usiadło dwóch mężczyzn. Przyjrzała im się odruchowo. Zawód adwokata to nieustanne obserwowanie i ocenianie ludzi. Patron uczył ją, że człowiek, z którym się styka podczas prowadzenia sprawy, to zagadka, a jej rozszyfrowanie zwielokrotnia szansę na zwycięstwo. A prawie każdy klient zaczyna wizytę u adwokata od zapewnienia, że jest niewinny. Nauczyła się, że im ktoś więcej ma na sumieniu, tym głośniej zapewnia o swojej niewinności. Statystyki mówią, że kłamie około dziewięćdziesięciu procent. Aby skutecznie bronić, musi umieć rozszyfrowywać klienta. Ocenic, jakich czynów mógł się dopuścić, a jakie nie pasują do jego portretu psychologicznego, który sporządzała.

Podobnie było ze świadkami. Przyzwyczaiała się już, że większość osób zeznających w sądzie mija się z prawdą. Anna potrafi to rozpoznać, rejestruje oznaki: wzmożona potliwość, nadmierna ruchliwość czy niepewny głos. Jednak sama wiedza, że ktoś kłamie, nie wystarczy. Kłamcę trzeba zdemaskować, a następnie znaleźć najlepszą metodę postępowania z nim. Jednych należało rozdrażnić, by w gniewie wykrzyczeli to, co zamierzali ukryć, w innych czujność usypiało się grzecznością i dzięki przewrotnie sformułowanym pytaniom doprowadzało do tego, że nieświadomie wyjawiali swoje tajemnice. Na ogół odnosiło to skutek.

W procesie najważniejszy był jednak sędzia i to, by poznać, czy jest po naszej stronie, czy po stronie przeciwnika. By przekonać sędziego, należało właściwie dobrać argumenty. To samo uzasadnienie jednego może przekonać, a u drugiego wywołać złość i irytację. Jeśli właściwie się zdefiniuje człowieka, dużo łatwiej wybrać przekonujące go argumenty.

Dlatego Anna lubiła obserwować i klasyfikować ludzi. Tym razem jednak przed rozpoczęciem przedstawienia zdążyła tylko zauważyć, że obaj jej sąsiedzi byli sporo przed czterdziestką. Rozmawiali, ale nie

przysłuchiwała się, na jaki temat. Gdy światła zaczęły gasnąć, przesunęła rękę, żeby położyć ją na oparciu, i natrafiła na dłoń sąsiada.

– Przepraszam – szepnęła, odruchowo cofając rękę.

– To ja przepraszam. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej, cofając dłoń, by zrobić jej miejsce.

Tym razem mu się przyjrzała. Ciemne włosy, duże piwne oczy, wyraziste rysy twarzy. Był przystojny urodą zadbanego aktora filmowego.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego i położyła rękę na zwolnionym oparciu.

W czasie przerwy mężczyźni wstali i jak wynikało z rozmowy, poszli do bufetu. Anna została na miejscu, kiedy jednak zorientowała się, że jest sama na całej widowni, postanowiła przejść się po teatralnym korytarzu. Niebawem natknęła się na sąsiada z towarzyszem. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała uśmiechem i w tym samym momencie potknęła się o jakąś nierówność rozciągniętej na podłodze czerwonej wykładziny. Dalej wszystko potoczyło się jak na zwolnionym filmie. Noga uwięziona w pułapce została z tyłu, a Anna, żeby uniknąć upadku, musiała znaleźć oparcie. Najbliżej było ramię sąsiada z widowni. Co prawda utrzymała równowagę, ale zawartość filiżanki wylądowała na klapie jego marynarki. Czekala ją konfrontacja.

– Przepraszam – starała się uprzedzić atak. – Sięgnęła do torebki po chusteczkę i zaczęła osuszać materiał. – Czy pozwoli pan, że kupię panu nową kawę?

Mężczyzna zareagował dużo łagodniej, niż się spodziewała. Nie kłął, nie wspominał o jej niezręczności, nie uznał, że jest idiotką. W ogóle nie miał pretensji. Za kawę podziękował, tłumacząc, że już nie zdąży jej wypić.

– To może innym razem – rzuciła.

– Dobrze, trzymam panią za słowo.

Po przerwie mężczyźni siedzieli już na swoich miejscach. Kładąc rękę na oparciu, Anna ponownie natrafiła na dłoń sąsiada. Tym razem trwało ułamek sekundy dłużej, zanim ją cofnął. Po spektaklu zobaczyła go ponownie, gdy dochodziła do wyjścia. Skinęła głową na pożegnanie.

– Chce się pani wymknąć bez spłaty długu.

W pierwszym momencie nie zrozumiała. Widząc jej zdziwioną minę, szybko jej przypomniał.



– Kawa, obiecała mi pani kawę, a teraz chce się pani niepostrzeżenie wymknąć.

– Oczywiście, zapraszam obu panów.

– Kolega bardzo się śpieszy – jej sąsiad podjął natychmiastową decyzję – ale ja chętnie skorzystam.

Wyszli razem z teatru.

– Zna pan jakieś miłe miejsce? Nie byłam we Wrocławiu od wieków.

Roześmiał się.

– Ja też jestem tu tylko na szkoleniu. Zatem dwoje ludzi w obcym mieście. Spróbujmy tu – zaproponował, wskazując na neon kawiarni.

Spodobało im się modne, nowoczesne wnętrze. Usiedli przy stoliku w rogu sali i Anna zamówiła dwie kawy.

– Skąd pan przyjechał? – spytała, chcąc podtrzymać rozmowę.

– Z Warszawy, na imię mam Piotr. – Podał jej rękę.

– Bona, jestem tu na targach, mieszkam w Krakowie.

Anna na wszelki wypadek, obawiając się, że Piotr będzie chciał kontynuować znajomość, podała inne miejsce zamieszkania i zmieniła tożsamość.

– Nietypowe imię – zainteresował się.

– Rodzice są monarchistami i kochają Włochy, dlatego zostałam imienniczką słynnej królowej. A ty co tu robisz?

– Jestem prawnikiem, przyjechaliśmy z kumplem na kilkudniowe szkolenie ze spółek kapitałowych. Pracujemy w banku.

– To musi być fascynujące – zainteresowała się Anna. – Ja niestety nie mam bladego pojęcia o prawie.

– A czym się zajmujesz?

– Turystyką. Prowadzę biuro podróży.

– Fajne zajęcie.

Zauważyła, że Piotr ma niespotykaną u mężczyzn cechę – potrafił słuchać. Poprosił, żeby opowiedziała mu o swoich podróżach, a ona improwizowała, starając się nie zdemaskować. Nie zaprotestowała, gdy po wypiciu kawy zamówił butelkę wina. Lubiła mężczyzn, którzy przywiązywali wagę do drobnych spraw, dlatego podobało jej się, że długo studiował kartę, po czym wybrał jej ulubione Gewürztraminer.

– Chodźmy obejrzeć starówkę – zaproponował, gdy zabrakło wina w butelce.

Anna przypomniała sobie, że po to spławiła Rona, żeby nie prowadzić nocnego życia. Ale nieznajomy był interesujący, przystojny, a sprawę zdążyła poznać w pociągu i miała opracowaną koncepcję jej prowadzenia. Mogła sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa. Najpierw weszli do nocnego klubu zatańczyć kilka kawałków, potem z butelką białego wina i parą plastikowych kubków siedzieli na parkowej ławce. W końcu poprosiła, żeby odprowadził ją do hotelu. Ale na tym szaleństwo się nie skończyło, pozwoliła bowiem odprowadzić się na górę.

Był środek nocy, gdy powiedział, że musi wracać do hotelu, bo kolega może zacząć się denerwować i jeszcze zawiadomi policję. Nim wyszedł, zapisała mu numer swojego telefonu na hotelowym papierze.

Zadzwoił następnego dnia rano.

– Mam plan, urywamy się ze szkolenia i jedziemy nad jezioro.

– Nie mogę – zaprotestowała odruchowo Anna, pamiętając, że ma się zająć sprawą Andrzeja Terlińskiego.

A może jednak nic się nie stanie, pomyślała, jeśli klient poczeka jeszcze jeden dzień, w końcu fascynującą przygodę z nieznajomym przeżywa się raz w życiu. Podjęła decyzję.

– No dobrze, przyjeźdź po mnie do hotelu – zaproponowała.

Przyszedł po nią do pokoju, co spowodowało, że wyjazd opóźnił się o kilka godzin. Gdy zaproponował, że powtórzą to następnego dnia, zdrowy rozsądek tak długo apelował do niej, aż w końcu wygrał.

– Nie mogę – odmówiła, przypominając sobie o zaniedbanej sprawie.

– Jutro o jedenastej mam spotkanie, muszę na nim być.

– Szkoda. – Westchnął. – Też jestem umówiony, ale dla ciebie bym odwołał.

– Zadzwonię, jak skończę – zaproponowała.

Tego dnia Piotr ze względu na oficjalną kolację dla uczestników kursu nie mógł zostać wieczorem. W końcu miała szansę się wyspać. Przed snem jeszcze raz przeczytała akta i utwierdziła się w przekonaniu, że jej pierwsza koncepcja prowadzenia sprawy jest jak najbardziej trafna.

Rano spędziła dużo czasu przed lustrem, pamiętając, że wyglądem to jedna z najsilniejszych kart atutowych prawnika. Po włożeniu adwokackiego kostiumu zamówiła taksówkę i punktualnie o dziesiątej pięćdziesiąt wysiadła na ulicy Podwale przed budynkiem Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu. W tym momencie zadzwonił telefon. Rozpoznała numer mecenasa Ernesta Bonera. Obsesją szefa było

pozostawanie w stałym kontakcie z prawnikami kancelarii. Lepiej odebrać, niż słuchać potem wymówek, pomyślała. Odebrała i zdała mu sprawozdanie.

– Wszystko idzie zgodnie z planem, przeczytałam akta i za dziesięć minut będę w prokuraturze, żeby porozmawiać w sprawie zwolnienia Terlińskiego. Nie, w areszcie jeszcze nie byłam. Panuję nad wszystkim, szefie. Zadzwońię po spotkaniu z prokuratorem.

Miała lekkie wyrzuty sumienia, że nie odwiedziła jeszcze klienta od tygodnia przebywającego w areszcie śledczym przy Świebodzkiej, zatrzymanego pod zarzutami oszustwa i niegospodarności. Wszystko jednak wskazywało na to, że Terliński spędzi w tym miejscu jakiś czas, a zatem jednodniowe opóźnienie nie powinno mieć wpływu na jego obronę.

– Adwokat Anna Protazy – przedstawiła się, pokazując strażnikowi legitymację adwokacką. – Jestem umówiona z prokuratorem Marcinem Kaliskim.

– Drugie piętro, pokój dwieście szesnaście.

Zapukała do drzwi, po czym je uchyliła. Za biurkiem siedział pochylony nad aktami mężczyzna. Gdy uniósł głowę, zobaczyła jego twarz. Za biurkiem siedział Piotr.

– Co ty tu robisz? – wyszeptała niepewnie. – Czy to jakiś żart?

Piotr był nie mniej zdziwiony.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie, próbując zrozumieć, o co chodzi. Pierwsza odezwała się Anna.

– Jestem umówiona na jedenastą z prokuratorem Marcinem Kaliskim. Postanowiłeś zrobić mi dowcip i poprosiłeś, żeby wpuścił cię do swojego gabinetu? Ale skąd wiedziałeś, że mam z nim umówione spotkanie?

– To nie jest żaden dowcip – powiedział Piotr. – Marcin Kaliski, prokurator, to ja, jesteś umówiona ze mną.

– Ale ty się nazywasz Piotr i jesteś prawnikiem z Warszawy. Tak mi powiedziałeś.

– Nie jestem. – Dawny Piotr westchnął. – Jak poszliśmy na kawę, wymyśliłem sobie nową tożsamość na jeden wieczór. Nie przypuszczałem, że się ponownie spotkamy, a potem już bałem się przyznać do tego kłamstwa.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– W teatrze zrobiłaś na mnie duże wrażenie. I od razu pomyślałem, że może ci się nie spodobać mój zawód. Ludzie różnie reagują, kiedy się dowiadują, co robię. Dlatego na ten wieczór postanowiłem zostać adwokatem z Warszawy. Ale skąd ty się tu wzięłaś? Byłem umówiony z mecenas Anną Protazy, jak mnie tu znalazłaś? – dopytywał się, coraz mniej rozumiejąc całą sytuację.

Anna zaczęła się śmiać i dopiero gdy udało jej się uspokoić, odpowiedziała na pytanie.

– Ty też wtedy wpadłeś mi w oko, dlatego zgodziłam się iść z tobą na kawę. Kiedy powiedziałeś, że jesteś prawnikiem, pomyślałam, że dwóch prawników na sto procent musi zacząć gadać o swoim zawodzie, a wtedy z miłego wieczoru nici. Dlatego na poczekaniu wymyśliłam, że prowadzę biuro turystyczne. Też myślałam, że to spotkanie na jeden wieczór, a potem nie miałam ochoty tłumaczyć się z tej bajeczki.

Po tych wyjaśnieniach znów zapadło milczenie. Wpatrywali się w siebie niepewni, jak zachować się w tej nowej sytuacji. Anna ponownie pierwsza przerwała coraz bardziej krępującą ciszę.

– Załatwmy szybko służbowe sprawy, a potem zastanówmy się, czy nadal mamy ochotę na lunch, na który mnie wczoraj zaprosiłeś – zaproponowała, uśmiechając się do niego, po czym błyskawicznie zmieniła ton rozmowy na oficjalny. – Dzień dobry, panie prokuratorze. Nazywam się Anna Protazy i jestem adwokatem broniącym Andrzeja Terlińskiego. Oto moje pełnomocnictwo. – Sięgnęła do skórzanej aktówki i wyjęła urzędowy druk.

– Dzień dobry, pani mecenas. Proszę usiąść. – Kaliski wskazał jej krzesło. – Czego chciałaby się pani dowiedzieć?

– Przede wszystkim chciałam poznać zarzuty, które prokuratura stawia mojemu klientowi.

– Oczywiście. – Prokurator otworzył szufladę biurka i wyjął z niej akta podręczne. – Pani klientowi zostały postawione dwa zarzuty: oszustwa na kwotę półtora miliona złotych oraz działania na niekorzyść spółki, którą zarządzał. Wskutek nadużycia uprawnień przez pani klienta Makbet Sp. z o.o. poniosła szkodę oszacowaną przez biegłego na kwotę dziesięciu milionów sześciuset sześćdziesięciu czterech tysięcy złotych. Tutaj jest postanowienie o przedstawieniu zarzutów, proszę się dokładnie z nimi zapoznać. – Kaliski podał Annie dokument.

Gdy w skupieniu czytała, dyskretnie jej się przyglądał. Dziś wyglądała inaczej niż dziewczyna, którą poznał w teatrze. Lekką kolorową sukienkę zastąpił szary elegancki zestaw: spódnica i żakiet. Bardzo mu się podobała w obu wersjach. Milcząc, czekał, aż skończy czytać. W końcu Anna odłożyła kartkę na biurko.

– O tym, czy jest winny, rozstrzygnie sąd, ale co do tego czasu? Czy pan prokurator widzi możliwość uchylenia aresztu przed wysłaniem aktu oskarżenia?

Prokurator z niepokojem czekał na ten moment rozmowy. Oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru uchylać zastosowanego przed tygodniem przez sąd aresztu. Jego plan był prosty i z pewnością okaże się skuteczny.

Podejrzany był rozpieszczonym biznesmenem nieprzywykłym do spartańskiego życia w areszcie. Będzie gotów zrobić wszystko, żeby stamtąd wyjść. Dla prokuratora „wszystko” oznaczało przyznanie się do winy albo opowiedzenie prokuraturze o znanych aresztowanemu przestępstwach popełnionych przez inne osoby. To miała być cena jego wolności. Założenie było proste – posiedzi, zmięknie i zacznie sypać.

Prokurator zdawał sobie sprawę, że zebrany materiał zawiera braki. Śledztwo wszczęte na skutek donosu, zapewne konkurencji, nie dostarczyło bezspornych dowodów. Dobrzy adwokaci, a z takich zapewne skorzysta Andrzej Terliński, z łatwością obnażą braki oskarżenia. Jeśli teraz wyjdzie na wolność, nie uda mu się niczego dowieść. Jediną szansą było trzymanie go w areszcie i czekanie, aż sam zacznie mówić.

Kaliski z doświadczenia wiedział, że większość spraw wygrywa się nie dzięki wzorowemu zabezpieczeniu dowodów przez organa ścigania, tylko dzięki temu, że osoby podejrzane, załamane pobytem w areszcie, same decydują się mówić. Oczywiście potem próbują to odkręcać, zmieniając zeznania, jednak protokół z przyznania się do winy pozostaje w aktach. A takie zeznania sądy zwykły traktować jako najbardziej wiarygodny materiał dowodowy. Natomiast późniejsze wyjaśnienia oskarżonych, kiedy wycofują się z wcześniejszych zeznań, są traktowane jako przyjęta przez nich linia obrony.

Zasada była zatem prosta – żeby skazać podejrzanego, trzeba trzymać go w areszcie jak najdłużej, aż się przyzna. Uchylenie zaś aresztu mogło być nagrodą za przyznanie się. Jednak konsekwencją takiego kroku było wydanie na samego siebie wyroku skazującego. Tego oczywiście

prokurator nie mógł powiedzieć w rozmowie z obrońcą. Do stosowania aresztu tymczasowego musiały być podstawy prawne, do których zgodnie z kodeksem należały obawa mactwa lub zagrożenie surową karą. Dlatego odmawiając uchylenia aresztu, prokurator oświadczał, że przyczyną odmowy jest któraś z tych przesłanek, między wierszami dając do zrozumienia, że przesłanki te ustaną, jeśli podejrzany złoży wyjaśnienia zadowalające prokuratora. W taki właśnie sposób pracował Kaliski.

Prokuratora zdziwiło, że w sprawie znanego biznesmena pojawiła się tak młoda i nieznana adwokat. O kancelarii Bonder & Sowa oczywiście słyszał, jednak był przekonany, że mecenas Ernest Bonder pojawi się osobiście. Uznał zatem, że pani mecenas jest forpoczta, ma przecierać szlaki. Niepokoiło go natomiast, czy nie będzie chciała ich przypadkowej, zbyt bliskiej, jak się teraz okazywało, znajomości, wykorzystać poprzez próbę wpłynięcia tą drogą na jego decyzję. Obserwując ją uważnie, udzielił standardowej odpowiedzi, jakiej udzielał wszystkim obrońcom przychodzącym w sprawach klientów.

– Pani mecenas, na obecnym etapie sprawy nie widzę takiej szansy. Musimy przeprowadzić wiele dowodów, a gdyby pani klient przebywał na wolności, mógłby, w ocenie prokuratury, w bezprawny sposób utrudniać postępowanie.

– Mógłby pan zniwelować taką obawę, wyznaczając stosowne poręczenie majątkowe. Rodzina mojego klienta jest w stanie wpłacić wysoką kaucję, która zgodnie z prawem przepadnie, jeśli mój klient w jakikolwiek sposób próbowałby ingerować w toczące się śledztwo.

Z radością spostrzegł, że jego odmowę przyjęła spokojnie i nie próbowała na niego wpłynąć, odwołując się do ich znajomości.

Anna zmieniła temat i spytała, czy będzie mogła zrobić fotokopie akt sprawy. Prokurator najchętniej by jej odmówił – po co zdradzać przeciwnikowi, jakimi kartami się dysponuje – jednak przepisy w tej kwestii były jednoznaczne.

Jeśli wobec podejrzanego stosowany jest areszt, zarówno on, jak i jego obrońca muszą wiedzieć, na podstawie jakich dowodów jego wina została uprawdopodobniona na tyle, że możliwe było zastosowanie środka zapobiegawczego. Nie mógł zatem odmówić tej prośbie. Wyjął z szuflady akta i wręczył dziewczynie. Nadal dyskretnie jej się przyglądał,

gdy powoli je czytała, robiąc obszerne notatki. Zastanawiał się, co się wydarzy, jak skończy.

Jeszcze wczoraj proponował jej lunch, po którym zapewne wylądowaliby w jej hotelowym łóżku. Wpatrując się w dziewczynę, nie próbował nawet ukrywać sam przed sobą, że miał na to wielką ochotę. Miał też jednak obiekcje natury etycznej. Czy powinien kontynuować tę znajomość? Siebie był pewien i wiedział, że niezależnie od ich wzajemnych relacji będzie podejmował decyzje dobre dla śledztwa. Co jednak będzie, gdy ktoś się o tym dowie? Nikt nie uwierzy, że jego spotkania z piękną panią mecenas nie miały żadnego związku ze sprawą. Wystarczy, żeby ktoś ich zobaczył razem i powiedział o tym szefowi, a jego kariera zawiśnie na włosku. Nawet nie była tu potrzebna pomoc życzliwego. Mogliby na przykład spotkać dziennikarza zajmującego się sprawami kryminalnymi, który rozpoznałby go jako oskarżającego prokuratora, a ją jako obrońcę znanego biznesmena. Mógł sobie wyobrazić tytuły artykułów, które ukazałyby się w „Fakcie” i „Super Expressie”. Jeśli pozostała mu w głowie odrobina zdrowego rozsądku, niezależnie od tego, jak ładne Anna ma nogi i jak chętna jest, żeby spędzić z nim kolejne popołudnie, powinien skończyć tę znajomość. Musi tylko zastanowić się, jak to rozegrać. Anna kończyła czytać i spojrzała na niego.

– Mam jeszcze jedną prośbę.

No tak, pomyślał, zaraz stanie się to, co przewidziałem. Musi jednoznacznie dać jej do zrozumienia, że u niego nie może liczyć na jakąkolwiek taryfę ulgową.

– Teraz potrzebuję zezwolenia na widzenie z moim klientem.

Na śmierć zapomniał, że jeszcze nie udzielił jej zgody na widzenia. Podstawowym obowiązkiem obrońcy było odwiedzenie klienta w areszcie, a obowiązkiem prokuratora prowadzącego sprawę – udzielenie zgody na widzenie. Dziewczyna prosiła tylko o to, co było niezbędne do wykonywania pracy. Wypełnił blankiet urzędowego druku i jej podał.

– No, to sprawy urzędowe mamy za sobą – stwierdziła, chowając pełnomocnictwo do teczki. Czekał, co zrobi dalej, ale ona milczała, oddając mu inicjatywę. Przez kilka długich sekund trwała krępująca cisza. W końcu prokurator zrozumiał, że nikt inny tego za niego nie załatwi.

– I myślę, że powinniśmy na tym poprzestać – powiedział niepewnym głosem. – Bardzo mi się podobasz – dodał szczerze, chcąc złagodzić brzmienie niemiłych słów – ale jesteśmy w po dwóch stronach barykady i nie powinniśmy robić niczego, co mogłoby wywołać wrażenie, że któreś z nas jest w sprawie nieobiektywne.

– Czy zrobiłam coś, by wykorzystać nasze relacje? – spytała zaskoczona Anna.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznał. – Ale gdyby ktoś nas zobaczył razem, po prostu by w to nie uwierzył. Lepiej podajmy sobie ręce i zapomnijmy o tym, co było – zaproponował najwygodniejsze jego zdaniem rozwiązanie.

Anna pobladła i gwałtownie wstała z krzesła. Widać było, że poczuła się dotknięta, a w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

– Nie bój się, nie będę cię zmuszać, żebyś wbrew woli ze mną sypiał – wyrzuciła z siebie, po czym oficjalnym gestem wyciągnęła do niego rękę, odwróciła się i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

No, to zachowałem się jak niezły skurwysyn, pomyślał Marcin. Nie chcąc, żeby wyrzuty sumienia zatruiły mu wyobraźnię, sięgnął po akta jednej z prowadzonych spraw i zaczął je czytać. Nie było to jednak łatwe, piękna pani mecenas co chwila pojawiała się w jego myślach w coraz bardziej kuszący sposób.

Trzeba być idiotą, żeby dobrowolnie zrezygnować z takiej dziewczyny, pomyślał i z wściekłością uderzył pięścią w stół. Może jednak do niej zadzwonić, zanim wyjedzie, moglibyśmy kilka razy spotkać się w hotelu. Nikt by się przecież nie dowiedział – podpowiadała mu wyobraźnia. Zwariowałeś? – włączył się zdrowy rozsądek. – A co będzie, jak w trakcie rozprawy zamiast „panie prokuraturze”, zwróci się do ciebie „kochanie”? Co się stało, to się już nie odstanie – przypomniawszy sobie wyobraźnia. – Ryzyko takie samo, a przyjemność można kontynuować, póki się da. Ktoś was na pewno zobaczy – przewidywał zdrowy rozsądek – i zamiast w prokuraturze generalnej skończysz jako bohater sex afery, a potem nocny stróż na budowie. Za dobry jesteś, żeby wpaść – kusiała wyobraźnia.

Dość tego, zakończył wewnętrzny spór Marcin. Nie pójdę z nią do łóżka, ale zadzwonię, żeby ją przeprosić – zakomunikował stronom końcowe rozstrzygnięcie. Odebrała dopiero po siódmym dzwonku. Po głosie poznał, że płakała. Przyjęła przeprosiny i powiedziała,



że oddzwoni, bo nie jest w stanie teraz rozmawiać. Marcin uznał, że udało mu się elegancko załatwić sprawę, i na wszelki wypadek na resztę dnia wyłączył telefon. Rano o ósmej trzydzieści był już w prokuraturze. Dzień urlopu na żądanie, który wziął, żeby spędzić go z Anną, sprawił, że namnożyło mu się trochę zaległości. Podszedł do portiera po klucz do swojego pokoju.

– Ta pani już na pana prokuratora czeka – powiedział, uśmiechając się, portier.

Jak zmrożony zatrzymał się w pół kroku.

– Jaka pani? Z nikim się nie umawiałem.

– Ta ładna adwokat, co była wczoraj, czeka już od ósmej.

Marcin sięgnął po telefon i dopiero teraz go włączył. Zobaczył, że ma dwadzieścia sześć nieodebranych telefonów od Anny.

I po co wczoraj zadzwoniłaś? – triumfował zdrowy rozsądek. – Sam władowałaś się w niezłe kłopoty, najlepiej ukryj się gdzieś i poczekaj, aż wyjedzie. Dzwoni, to znaczy, że kocha – włączyła się do dyskusji wyobraźnia – a miłość oznacza gorący seks, korzystaj z okazji, drugi raz w życiu może ci się nie przytrafić tak piękna kobieta. Tym razem jednak Marcin nawet nie próbował słuchać tych diabelskich podszeptów.

– Proszę powiedzieć pani mecenas, że zostałem wysłany w kilkudniową delegację i do końca tygodnia nie będzie mnie w pracy. Wejdę do gabinetu tylnym wejściem. Wie pan, nie chcę na nią wpaść, bo...

– Przede mną nie musi się pan tłumaczyć. – Uśmiechnął się do niego porozumiewawczo portier.

Nim jednak zdążył dotrzeć do wewnętrznej klatki schodowej, Anna go dostrzegła i pobiegła za nim.

– Co tu robisz? Przecież nie byliśmy umówieni – spytał nienaturalnie oficjalnym tonem.

– Dzwoniłam do ciebie cały wieczór – mówiła z wyrzutem. – Obiecałam, że zadzwonię, a ty nie odbierałaś. Tak się bałam, że coś ci się stało, że nie mogłam zmrużyć oka. Dlatego tu przyjechałam z samego rana.

No widzisz, sam władowałaś się w te kłopoty – przypomniał ponownie zdrowy rozsądek. – Radziłem, żeby do niej nie dzwonić, miałbyś teraz spokój.

– Nic mi nie jest, telefon mi się rozładował – znalazł pierwsze z brzegu wytłumaczenie. – A teraz muszę już iść, mam dużo pracy – starał się za wszelką cenę zakończyć rozmowę.

– Nie możesz teraz iść, musimy porozmawiać – zaprotestowała dziewczyna.

– O czym? – spytał szorstko, nie starając się ukryć gniewu.

– Jak to o czym, o nas – odparła, patrząc na niego z czułością.

Marcin spostrzegł, że portier z coraz większym zainteresowaniem nadstawia ucha. Nie mógł kontynuować tej rozmowy na korytarzu.

– Dobrze, pani mecenas, przyjmę panią – oznajmił nienaturalnie donośnym głosem, po czym poprowadził ją do windy. Przez całą drogę na górę myślał, jak jednoznacznie zakończyć tę znajomość i wyprowadzić dziewczynę z budynku tak, by nie udało jej się wywołać skandalu. Nie zdążył jednak wygłosić przygotowanej kwestii.

– Kochanie, myślałam o nas całą noc – zaczęła Anna drżącym z emocji głosem. – Wiem, że dla ciebie niezręczne może być spotkanie się ze mną, gdy jestem zaangażowana w tę sprawę. Dlatego postanowiłam, że wypowiem klientowi pełnomocnictwo, wtedy nie będzie już żadnych przeszkód. Mam miesiąc zaległego urlopu. Pomyślałam, że zadzwonię do kancelarii i wezmę wolne. Mogłabym cały miesiąc spędzić z tobą albo ty też weź urlop i razem pojedziemy na wakacje.

No, to się doigrałeś – poinformował Marcina zdrowy rozsądek. –

Ja się zmywam, a ty radź sobie sam. Wyobraźnia tym razem nie próbowała zabierać głosu.

– Nie wypowiadaj pełnomocnictwa i nie bierz urlopu, po prostu nie spotykajmy się i wszystko się dobrze ułoży – przekonywał ją.

– Jak możesz tak mówić? – W oczach Anny pojawiły się łzy. –

Pamiętasz, co mi mówiłeś dwa dni temu? Że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałeś, że pojechałbyś ze mną na samą granicę krainy wyobraźni. Mówiłeś tak pięknie, że się w tobie zakochałam i chcę z tobą być naprawdę.

O kurwa! – zaklął zdrowy rozsądek. – To ja już naprawdę się stąd zabieram.

Marcin nie wiedział, jak to skomentować. Jeśli jej powie, że zawsze mówi się jakieś bzdury na randkach, których nie zamierza się kontynuować, dziewczyna gotowa wpaść w histerię. Jeśli tego nie powie,

ona wmówi sobie, że to obustronna miłość. Oba rozwiązania są do bani. Co robić? – zastanawiał się gorączkowo. Milczał o chwilę za długo i dziewczyna opacznie to zinterpretowała.

– Obawiasz się, że twoim przełożonym nie będzie się podobało, kiedy się dowiedzą, że jesteście razem? Pomyślałam, że to ja pójde do twojego szefa i mu wszystko wytłumaczę. On na pewno zrozumie nasze uczucia.

O Boże, proszę, tylko nie to, pomyślał Marcin, zaciskając z wściekłości usta. Muszę ją stąd zabrać, zanim narobi głupstw.

– Chodźmy gdzieś, porozmawiamy przy kawie – zaproponował, prawie siłą wypychając ją z pokoju.

W pierwszym odruchu chciał ją zaprowadzić do kawiarni sąsiadującej z prokuraturą, ale na szczęście uświadomił sobie, że przecież to tam wszyscy koledzy wymykają się w ciągu dnia na kawę. Mieliby niezłe przedstawienie. Musi zabrać dziewczynę gdzieś dalej, gdzie na pewno nie natknie się na nikogo znajomego.

Po drodze jeszcze raz przeanalizował sytuację. Najwyraźniej ona nie potraktowała ich znajomości tak, jak powinna, jako jednodniowej przygody, i naprawdę się w nim zakochała. To wariatka, a z wariatkami jest najgorzej, bo są nieprzewidywalne. Zauważył, że zdrowy rozsądek wrócił z wewnętrznej emigracji i zaczyna mu potakiwać, co oznaczało, że jego myślenie idzie w dobrym kierunku. Teraz musi znaleźć argumentację, która przekona dziewczynę, żeby dała mu święty spokój. Przyszła mu do głowy obłóżna choroba, to powinno ją spłoszyć. Ale co będzie – wtrącił zdrowy rozsądek – jeśli ona postanowi się tobą opiekować? Wtedy pozbyć się jej będzie dużo trudniej, bo pomyśli, że jesteś w depresji, i jeszcze sprowadzi ci na głowę psychiatrę. Wymyśl coś innego. Może przedstawię siebie w tak złym świetle, że zacznie mną gardzić – zaproponował. Świetny pomysł – pochwalił zdrowy rozsądek. – Ruszaj do akcji.

Prokurator zamówił dwie kawy i przystąpił do ofensywy. Opowiadał o sobie, o wszystkich nieudanych związkach, o zrujnowanym życiu kobiet, z którymi niegdyś się związał, o swoim egoizmie, braku empatii, bałaganiarstwie. Gdy skończył, był przekonany, że dziewczyna nie dopijając kawy, rzuci się do ucieczki. Gdyby sama na to nie wpadła, postanowił podpowiedzieć jej takie rozwiązanie.

– Sama więc widzisz, że najlepiej dla ciebie będzie, jeśli wsiądziesz do pierwszego pociągu i wrócisz do domu. – Zamilkł, dając jej szansę

eleganckiego odwrotu.

– Nie mogę wrócić do domu – wyszeptała. – Kancelaria poleciła mi być na miejscu aż do zakończenia sprawy, ale dzięki temu będziemy mogli się codziennie spotykać, w ten sposób lepiej się poznamy.

Usłyszał, jak zdrowy rozsądek krztusi się ze śmiechu. On zaś czuł się jak w kadrze *Fatalnego zauroczenia*. Musi to natychmiast zakończyć. Wstał, oświadczając, że nie zamierza nigdy więcej się z nią spotkać, i wyszedł z kawiarni.

– Gdyby ta pani jeszcze kiedykolwiek o mnie pytała, proszę powiedzieć, że mnie nie ma – przykazał portierowi.

Przez cały dzień z niepokojem zerkał na telefon. Nie zadzwoniła, więc uznał, że jego radykalne metody zadziałały.

W tym czasie Anna odwiedziła SPA w hotelu, pamiętając, pomimo sercowych zawirowań, że wygląd prawnika to jedna z jego najważniejszych kart atutowych. O osiemnastej wróciła do pokoju i wybrała sukienkę, którą wkładała na najważniejsze okazje. Potem odwiedziła delikatesy, kwiaciarnię, w końcu poprosiła w recepcji o zamówienie taksówki. Punktualnie o dwudziestą była na miejscu, odnalazła właściwe drzwi i przycisnęła dzwonek. Drzwi otworzyły się i zobaczyła w nich Marcina, który na jej widok nie starał się ukryć przerażenia.

– Co ty tu robisz? – W jego szepcie słychać było nienawiść.

– Pomyślałam, że może dziś rano zachowałam się niewłaściwie wobec ciebie. Może byłam zbyt namolna – wyszeptała słodkim głosem. –

Przyjechałam cię przeprosić, przywiozłam ci kwiaty i wino, kupiłam też coś na kolację. Spędzimy razem wspaniały wieczór, tak jak dawniej.

– Zabierz to natychmiast. – Prawie odepchnął jej rękę z kwiatami. – Skąd wzięłaś mój adres?

– No wiesz, dziewczyna musi mieć swoje tajemnice. – Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

– Nieważne – odparł z westchnieniem. – Nie przychodź tu nigdy więcej. – Wziął ją mocno za ramię, tak mocno, że aż pisnęła z bólu, i sprowadził po schodach aż do drzwi wejściowych.

– Dlaczego jesteś taki? – spytała, płacząc.

– Nie przyszło ci do głowy – musiał odwołać się do ostatecznego argumentu – że mam żonę i z nią mieszkam?

– Jesteś żonaty? – spytała zaskoczona.

– Tak, proszę, idź już i nie przychodź tu nigdy więcej.

Anna wróciła taksówką do hotelu. Siedziała sama w pokoju, piła wino, które kupiła z myślą o wspólnym wieczorze, i myślała.

Wieczorem zadzwonił mecenas Ernest Bonder.

– Anno, co się z tobą dzieje? – zaczął bez zbędnych wstępów.

– O co panu chodzi, mecenasie? – spytała niezbyt grzecznie.

– Rodzina klienta się skarży. Podobno nie odwiedziłaś go w areszcie, nie znalazłaś też czasu, żeby się spotkać z krewnymi.

– Pracuję nad sprawą – zapewniła, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę. – Proszę im przekazać, że wszystko jest na jak najlepszej drodze.

Marcinowi udało się przekonać żonę, że to była niezapowiedziana wizyta sąsiada, który chciał mu pokazać nowy samochód, więc musiał zejść z nim na dół. Następnego dnia postanowił pojechać wcześniej do pracy, żeby nadrobić piętrzące się coraz bardziej zaległości.

Otworzył drzwi od klatki schodowej i zobaczył stojącą naprzeciwko nich Annę. Z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom. W pierwszej chwili pomyślał, że spędziła tu całą noc, ale miała na sobie strój do pracy, a w ręku zamiast wina i kwiatów trzymała skórzaną aktówkę.

– Znowu tu jesteś? – Nie potrafił ukryć wzburzenia. – Prosiłem, żebyś tu nie przychodziła.

– Myślałam o tobie całą noc. Zastanawiałam się, skąd w tobie ten smutek, i doszłam do wniosku, że jesteś bardzo nieszczęśliwy w małżeństwie. Przecież gdyby tak nie było, nie przyszedłbyś do mnie do hotelu. Ja sprawię, że będziesz szczęśliwy. Obiecuję.

Marcin nerwowo rozglądał się wokół.

– Proszę cię, odejdz stąd – szepnęła błagalnie. – Możemy o tym porozmawiać po południu, ale proszę, nie teraz.

Drzwi od klatki schodowej otworzyły się, pojawiła się w nich trzydziestoparoletnia niewysoka szatynka trzymająca za ręce pięcioletnich bliźniaków.

– Marcin, co ty tu robisz, nie pojechałeś jeszcze do pracy? – zdziwiła się na jego widok.

– Spotkałem panią mecenas broniącą w jednej z moich spraw. Mecenas Anna Protazy, moja żona – dokonał prezentacji, starając się ukryć targające nim emocje.

Odetchnął z ulgą, gdy po wymianie kilku zdawkowych grzeczności Anna pożegnała się i odeszła. Żona poszła odprowadzić dzieci do przedszkola, a on prowadząc samochód, zastanawiał się, co zrobić. Może zgłosić policji, że Anna go prześladowuje, ale wtedy musiałby opowiedzieć funkcjonariuszom, co się stało. Oczami wyobraźni widział plotkujący komisariat i patrzących na niego z rozbawieniem policjantów. Nie ma szans, prędzej czy później doszłoby to do jego żony. Musi wymyślić coś innego. Zdecydował się szczerze porozmawiać z jedynym przyjacielem, któremu mógł całkowicie zaufać, prokuratorem Jerzym Czackim.

– Poderwałeś tę dziewczynę z teatru? Niezły jesteś. – Jerzy nie krył podziwu.

Mina mu jednak zrzędała, kiedy usłyszał relację z kolejnych etapów znajomości.

– Pomóż mi wymyślić, jak się jej pozbyć – zakończył desperackim apelem Marcin. – Bo inaczej nie tylko stracę pracę, ale ona rozwali moje małżeństwo.

– Może zadzwoń do jej szefa i opowiedz o wszystkim.

– Zwariowałaś? – Marcin się przestraszył. – Przecież to adwokaci, jeszcze wytoczą mi proces o molestowanie seksualne pracownicy.

– Racja – przyznał Jerzy. – To nie najszcześniejszy pomysł. Ale mam jeszcze inny. Mówiłeś, że szef twojej prześladowczyni kazał jej siedzieć tutaj, dopóki nie zakończy sprawy. Jeśli uchylicz areszt jej klientowi, sprawa zostanie na tym etapie zamknięta i dziewczyna będzie musiała wyjechać. Zadzwonisz do tego szefa, pogratulujesz wspaniałej prawniczej pracy i jeszcze tego samego dnia twoja dręczycielka wsiądzie w samolot.

Marcin spoglądał na swojego przyjaciela jak na cudotwórcę. Zrozumiał, że wszystkie jego problemy mogą zostać rozwiązane jeszcze tego samego dnia. Ucałował go w czoło i wybiegł z kawiarni, pozostawiając przyjaciela z niezapłaconym rachunkiem. Gdy tylko dobiegł do biura, wystawił nakaz doprowadzenia aresztowanego, po czym poprosił sekretariat o połączenie z mecenasem Ernestem Bonderem z kancelarii Bonder & Sowa.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie mecenasie – zaczął, gdy tylko usłyszał głos adwokata. – Nie mogę się dodzwonić do mecenas Anny Protazy, dlatego pozwoliłem sobie skontaktować się bezpośrednio

z panem. Przy okazji chciałbym panu pogratulować pracownika, pani mecenas wykonała tu niezwykle skuteczną pracę prawniczą. Zdecydowaliśmy się uchylić areszt państwu klientowi po wpłaceniu kaucji w wysokości trzech milionów złotych. Jeśli udałoby się panu skontaktować z panią mecenas, proszę jej przekazać, żeby zgłosiła się dziś do mojego biura o godzinie piętnastej z dowodem wpłacenia kaucji.

Punktualnie o godzinie piętnastej czterdzieści podejrzany Andrzej Terliński w towarzystwie swojego adwokata, mecenas Anny Protazy, opuścił budynek prokuratury. Prosto stamtąd pojechali na lotnisko, gdzie udało im się zdążyć na samolot do Warszawy.

Wszystko poszło zgodnie z planem i Anna cieszyła się, że nie będzie musiała przekładać cotygodniowego wieczornego spotkania z Ronem. Po tygodniu ciężkiej pracy we Wrocławiu była krańcowo zmęczona i uznała, że należy jej się trochę dobrej zabawy. Ile w końcu można rozmawiać z mężczyzną o miłości? Była pewna, że z Ronem ten temat jej nie grozi.

Przed odlotem zadzwoniła jeszcze, żeby podziękować koleżance ze studiów. Bez jej pomocy nie udałooby się Annie tak szybko wszystkiego załatwić. Koleżanka poleciła się na przyszłość. Poinformowała też, że jej mężowi bardzo podobała się sztuka, na którą go wysłała z prokuratorem Marcinem Kaliskim, a ona dzięki temu miała wolny wieczór i jeśli może oddać Annie więcej takich tajemniczych przysług, to zawsze jest do dyspozycji.

W poniedziałek wypoczęty i zadowolony Andrzej Terliński stawiał się w kancelarii Bonder & Sowa, żeby podziękować mecenasowi Ernestowi Bonderowi za wzorowe poprowadzenie sprawy.

– To nie moja zasługa – przyznał skromnie adwokat. – Proszę podziękować Annie.

– Nie omieszka, ale na razie proszę przyjąć wynagrodzenie, na które się umówiliśmy. – Mężczyzna wręczył adwokatowi kopertę z czekiem, na którym widniała sześciocyfrowa suma. – A przy okazji, zdradziłby mi pan, jak udało się to załatwić? Pod całą wróżono mi, że z takimi zarzutami mogę przesiedzieć i rok do sprawy. To prawdziwy cud.

Mecenas w kokieteryjnej bezradności rozłożył ręce.

– Niestety, drogi panie, nie mogę, to tajemnica zawodowa. Mogę tylko panu zdradzić, że moja pracownica ma w sobie nadprzyrodzony talent do wpływania na mężczyzn. Sam miałem przyjemność doświadczyć tego,

gdy zmusiła mnie, żebym ją zatrudnił. Od tego czasu zlecam jej najtrudniejsze sprawy.



## DWIE DZIEWCZYNY

Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego znikają zawsze akurat te przedmioty, których właśnie potrzebowała. Tym razem ukrył się paszport. Gdzie on się podział? – zastanawiała się Anna, przeszukując zakamarki torby. Obsługa lotniska wywoływała ją już przez megafon, a drania nie było. Zdesperowana wysypała zawartość torebki na ziemię, udając, że nie dostrzega wpatrującego się w nią mężczyzny odprawiającego pasażerów. W końcu odnalazła paszport, złośliwie wcisnął się za okładkę książki. Z samolotu przed startem zadzwoniła do Adama.

– Przyjadę po ciebie na lotnisko – zaproponował.

Przez chwilę korciło ją, żeby się zgodzić, ale wtedy raport, który miała przygotować z wyjazdu, nie trafiłby do jej szefa o umówionej porze.

– Nie, kochany, wiesz, że muszę popracować. Spotkajmy się wieczorem u mnie.

Po starcie samolotu, zamiast od razu zacząć pisać, myślała o Adamie, czarnowłosym chłopcu, który pojawił się w jej życiu nagle, przed trzema miesiącami. Nie widzieli się od tygodnia, a to, jak wyliczyła, była jedna dwunasta okresu ich znajomości. Strasznie długo, dobrze, że już wraca. Jeśli chce się dziś nacieszyć Adamem, musi jak najszybciej skończyć ten nieszczęsny raport. Z niechęcią spojrzała na podręczną torbę i wyciągnęła komputer.

Żeby udało mi się ze wszystkim zdążyć, myślała, ciągnąc walizkę do wyjścia z lotniska. W trzy godziny powinna dokończyć raport, a potem zacznie przygotowywać kolację. Z taksówki zrobiła internetowe zakupy, zamawiając dostawę na szesnastą.

Po wejściu do domu od razu włączyła komputer i jak opętana uderzała w klawisze. Do rzeczywistości przywrócił ją dopiero dzwonek telefonu. Rzuciła okiem na zegarek, czwarta dwadzieścia. Znowu się spóźnia, uświadomiła sobie, że dostawca nie przywiózł jeszcze zamówionych zakupów. Spojrzała na wyświetlacz telefonu. A on czego ode mnie chce? – zdziwiła się, rozpoznając numer Roberta, z którym była

zaręczona przez dwa lata, a rozstała się w niemiłych okolicznościach przed pół rokiem. Od tego czasu rozmawiali ze sobą raz, gdy zadzwonił, żądając oddania kluczy do jego mieszkania.

– Anka, całkiem ci odbiło? – rozpoczął bez zbędnych wstępów. – Co to za wyglupy? Wanda się strasznie zdenerwowała.

Wanda była powodem, dla którego rozpadło się ich narzeczeństwo. Informacja o zdenerwowaniu tej lafiryndy natychmiast wpłynęła na poprawę humoru Anny, ale co ona ma z tym wspólnego?

– Co się stało?

– Nie udawaj. Specjalnie wysłałaś nam do domu zakupy, żeby ją zdenerwować.

– O kurwa! – wymsknęło się Annie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ostatni raz robiła zakupy przez internet pół roku wcześniej, przygotowując urodzinową kolację dla Roberta. Mieszkali wtedy u niego i podała jego adres. Teraz poprosiła o dostawę tam gdzie zwykle, zapominając, że to adres Roberta jest w komputerowej bazie danych sklepu.

– Robert, strasznie cię przepraszam. Idiotyczna pomyłka. Zaraz przyjadę je zabrać.

– Za późno. Wanda tak się przejęła, że zjadła pół pasztetu z łososia.

– Niech się udławi! – Wściekła Anna rozłączyła się bez pożegnania.

Z pewnością nie zdąży przygotować kolacji, którą zaplanowała. A więc zmiana planów – będzie musiała zabrać Adama do restauracji. Szybko skończyła raport i poszła do sypialni. Po chwili podłoga pokryta była kłębowiskiem ubrań, zdenerwowana Anna kopnęła najbliższą leżącą stertę. Kryzys minął, gdy udało jej się w sposób mistrzowski połączyć sukienkę od niszowego projektanta z fioletowymi szpilkami od Burberry kupionymi w Sztokholmie. Okręciła się przed lustrem, zadowolona z wyniku. Chciała zrobić wrażenie, zdając sobie sprawę, że efekt będzie chwilowy, bo dzisiejszego wieczoru niedługo będzie miała ten strój na sobie. Była siedemnasta trzydzieści. Adam na pewno nie wyszedł jeszcze z domu, więc postanowiła zrobić mu niespodziankę.

Gdzie on poszedł?, zastanawiała się, gdy nikt nie zareagował na dzwonek. Może jest w domu, a tylko zasnął, zbierając siły na nocne szaleństwo. Mocno nacisnęła dzwonek, trzymając palec na przycisku chyba minutę. Hałas obudziłby umarłego. Nieco rozczarowana usiadła na schodach, zastanawiając się, czy ma czekać. Mogła oczywiście

zadzwoić i spytać, gdzie jest, ale to popsułoby efekt niespodzianki. Przypomniała sobie, że ma klucze od jego mieszkania, i postanowiła poczekać w środku. Otworzyła drzwi i w korytarzu wpadła na Adama.

– To ty, kochanie. – Objął ją mocno i pocałował. – Przestraszyłaś mnie, byłem w łazience i nie słyszałem dzwonka, a potem zobaczyłem otwierające się drzwi. W pierwszym momencie pomyślałem, że to włamywacz. Mieliśmy spotkać się u ciebie, co się stało?

Szczęśliwa, że już ma przy sobie Adama, przytuliła się do niego mocno.

– Nic się nie stało, kochany. Ot, taka szalona zmiana planów. – Nie zamierzała opowiadać mu o pomyłce z zakupami. – Chciałam zobaczyć się z tobą jak najszybciej. Zjemy w mieście, ale teraz marzę o odrobinie wina. Jak dobrze, że już jestem z tobą. – Wzięła go za rękę i pociągnęła do kuchni.

Wyjął z lodówki mocno schłodzone Sauvignon Blanc i rozlał do kieliszków. Anna upiła łyk, spojrzała na lekko kręcące się czarne włosy Adama i zdała sobie sprawę, że przynajmniej na razie nie ma zamiaru iść na żadną kolację.

– Wezmę marynarkę i ruszamy. – Adam postawił opróżniony nadspodziewanie szybko kieliszek na kuchennym stole.

Pokręciła figlarnie głową.

– Tak łatwo cię teraz nie puszczę. Chcę się z tobą kochać, teraz. Chodźmy do łóżka. – Pociągnęła go za rękę. Adam złapał ją zdecydowanym ruchem za biodra, posadził na blacie kuchennym i podciągnął sukienkę do góry.

– Kocham cię – wyznała, gdy kilka minut później dolewał im wina do kieliszków.

– Ja ciebie też. – Pogłaskał ją po policzku. – Dzięki tobie nabrałem niesamowitego apetytu. Chodźmy szybko coś zjeść i wracamy do łóżka.

– Nie tak szybko – przekomarzała się z nim. – Na jedzenie musisz sobie zasłużyć. Chcę jeszcze raz. Proszę, kochany! – Pobiegła do sypialni. Uwielbiała jego duże szerokie na dwa metry łóżko. Rozpostarła ręce i rzuciła się na nie.

– Au! – usłyszała stłumiony odgłos.

– Co to było? – spojrzała na Adama.

– Nic nie słyszałem, wydawało ci się.

– Coś jęknęło, na pewno. Może to jakieś zwierzę?

Anna zeszła z łóżka i uniosła materac do góry. W drewnianym pudle na pościel leżała Joanna. Stan jej ubrania świadczył o tym, że wkładała je w pośpiechu. Gołe nogi bez rajstop i bez butów.

Joanna – była aktorka, którą dwa tygodnie wcześniej agencja reklamowa Anny wynajęła do prowadzenia galowego koncertu dla firmy, w której pracował Adam. Wtedy ich ze sobą poznała. Patrząc na Joannę, dostrzegła na palcach jej stóp lakier w kolorze jaśminu. Nigdy nie widziała takiego koloru i kilkanaście sekund wpatrywała się w zachwycający odcień. Dobrą chwilę trwało, zanim się zorientowała, że wokół niej panuje całkowita cisza i bezruch. Adam z Joanną czekali na jej reakcję. Gdyby ten skurwysyn przespał się z recepcjonistką, mogłaby udać, że tego nie zauważa, ale Aśka była jej koleżanką.

W końcu Joanna pierwsza nie wytrzymała przedłużającego się stanu zawieszenia. Przekręciła się w dębowej skrzyni na brzuch, dźwignęła na kolana i niezdarnie próbowała wydostać się z ciasnego wnętrza. Anna obserwowała ją z rosnącym obrzydzeniem i doszła do wniosku, że takie pasożyty powinno się eliminować, zanim rozpanoszą się po całej ziemi. Kątem oka dostrzegła stojący w rogu pokoju ręcznie malowany ceramiczny wazon. W sam raz nadawał się do wyeliminowania tego szkodnika. Joanna instynktownie wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, wyszła ze skrzyni i nie próbując niczego wyjaśniać, bosobiegła do drzwi.

Wściekłość nie służy celności, pomyślała Anna, gdy chybiła prawie o pół metra i wazon rozbił się o framugę. Zobaczywszy, że bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, Joanna uznała, że do niej powinna należeć ostatnia scena.

– Nie powinnaś, kochanie, trochę schudnąć? O mało nie połamałaś mi żeber. I pamiętaj, nigdy nie wpychaj się poza kolejnością – poradziła Annie. – A ty – zwróciła się do Adama – zadzwoń, jak już wszystko sobie wyjaśnicie.

– Nie czekając na ich reakcję, wybiegła z pokoju.

Pozostali z Adamem sami. Po jego minie nietrudno było się domyślić, że próbuje znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Nie miała zamiaru tego słuchać.

– Nie wysilaj się. I tak nie uwierzę, że jakiś łobuz wziął się na ciebie i teleportuje ci do łóżka dziewczyny – uprzedziła.

Nim zdążył odpowiedzieć, ruszyła śladem Joanny w kierunku drzwi, chcąc zniknąć z tego miejsca jak najszybciej. Zmieniła jednak zdanie. Na kominku dostrzegła mosiężną figurkę konia, cisnęła nią w telewizor, uznając, że w ten sposób lepiej zaakcentuje swój stosunek do tego, co się wydarzyło. Pod lustrem w korytarzu leżał iPhone Adama. Złapała go i wcisnęła do torebki, wyobrażając sobie ze złośliwą satysfakcją, jaki będzie wściekły, nie mogąc go znaleźć.

Obudziła się następnego dnia rano z megakacem. Spojrzała na prawie opróżnioną butelkę smirnoffa stojącą przy łóżku i zrozumiała, dlaczego urwał jej się film. Tylko czy warto było tak się upić przez tę kanalię Adama?

Pobiegła do łazienki i zwymiotowała, zarówno z powodu kaca, jak i wspomnienia wczorajszego popołudnia. Dwie godziny później szef poinformował ją przez telefon, że jeżeli natychmiast nie zjawi się w pracy, nie będzie miała powodu, żeby więcej do niej przyjeżdżać. Na parkingu doszła do wniosku, że nie powinna siadać za kierownicą, i złapała taksówkę.

Po powrocie od szefa, z szesnastego piętra przeszklonego wieżowca, w którym pracowała, popatrzyła na park i poczuła, że musi natychmiast zapalić. W torebce jednak jak na złość nie było ani jednej fajki. Szarpnęła szufladę w biurku koleżanki. Zamknęła. Chęć zapalenia osłabiła skrupuły. Używając kuchennego noża, udało jej się podważyć zamek. W środku była paczka cameli.

Zachłannie wyszarpnęła papierosa i wtedy przyszło jej do głowy, że jak zapali tutaj, uruchomi system przeciwpożarowy. Skończy się prysznicem z sufitu i strażą pożarną. Trzeba zjechać na dół.

Usiadła na murku naprzeciwko biurowca i mocno zaciągnęła się papierosem. Wyobraziła sobie scenę, jak morduje faceta, w którym jeszcze wczoraj była zakochana, i to była pierwsza przyjemna myśl tego dnia.

Obok niej na murku usadowiła się ruda dziewczyna z piegowatą twarzą. Była kilka lat młodsza, ubrana w zieloną kurtkę i dżinsy. Wyjęła z kieszeni opakowanie papierosów, zobaczyła, że jest puste i zaczęła płakać. Anna wyciągnęła w jej stronę zwędzoną z biurka koleżanki paczkę cameli.

– Dzięki. – Nieznajoma głęboko wciągnęła dym.

– Coś się stało? – Zagadnęła ją Anna, która nagle poczuła potrzebę rozmowy.

– Kłopoty. – Dziewczyna westchnęła. – Z facetem – dodała i spojrzała na Annę, wyciągając do niej rękę. – Jestem Justyna. Ale ty też nie wyglądasz najlepiej – dodała, spojrzawszy uważnie na Annę.

– Też kłopoty, podobne, Anka – przedstawiła się, wzdychając.

Przez chwilę paliły w milczeniu.

– On go zabije – przerwała ciszę Justyna.

– Kto? I kogo?

– Mój narzeczony mojego chłopaka – wytłumaczyła spokojnie Justyna.

– To dobrze czy źle? – zainteresowała się Anna marząca w tej chwili o tym, żeby mieć chłopaka, który zabiłby Adama.

– Fatalnie. – Justyna westchnęła.

– Dlaczego go zabije? – Annę zaciekała historia nietypowego romansu.

– Bo się o nim dowiedział.

Anna nadal nie rozumiała, o co chodzi, ale postanowiła dać się wygadać dziewczynie, zakładając, że bardziej szczegółowa opowieść wszystko wyjaśni. Przez chwilę paliły w milczeniu, po czym dziewczyna wróciła do przerwanej relacji.

– Szymon, czyli mój narzeczony, chce zatłuc takiego jednego Tomka, z którym się parę razy umówiłam. Z Szymonem jesteśmy ze sobą już dziesięć lat. Długo, i to chyba normalne, że dziewczyna musi się z kimś spotkać. – Szukała potwierdzenia u Anny. – Wczoraj zostawiłam córkę z Szymonem, ona ma pięć lat, i poszłam spotkać się z Tomkiem.

– Macie pięcioletnią córkę? – zainteresowała się z lekką zazdrością Anna.

– Nie mamy, to moja córka.

– Mówiłaś, że ona ma pięć lat, a wy jesteście ze sobą od dziesięciu? – przypomniała Anna.

– Tak, ale kiedyś umówiłam się z jednym chłopakiem, i została mi po nim córka. Szymon to zrozumiał, nadal się kochamy i jesteśmy razem. Po tym wczorajszym spotkaniu z Tomkiem wróciłam trochę wstawiona do domu. Zasnęłam na kanapie i zapomniałam schować telefon. Jak Szymon zobaczył, że śpię, to zaraz się do niego dorwał. Musiał podejrzeć mój PIN. Przejrzał pamięć i zobaczył, że piszemy

do siebie z Tomkiem już od kilku tygodni. Obudził mnie i powiedział, że jestem zdzira. Zagroził, że skopiuje te esemesy i pokaże mojej szefowej, żeby zobaczyła, jak jej pracownica się łądaczy. Zdenerwowałam się, bo ta szefowa ma strasznie długi język i wszystkim by o tym opowiedziała, a w mojej firmie pracuje taki chłopak, który jest bardzo fajny. Jakby się dowiedział, to nie chciałby się ze mną umówić.

– I jak to się skończyło? – spytała zaintrygowana opowieścią Anna.

– Kazałam Szymonowi się nie wygłupiać i oddawać telefon. Tłumaczyłam mu, że Tomek to tylko kolega i już prawie go przekonałam, ale w tym momencie przyszedł esemes od Tomka, w którym napisał, że mnie kocha. Szymon wtedy naprawdę się zdenerwował i tak krzyczał, że poszłam nocować do koleżanki, a on musiał się zająć małą. Myślałam, że przez te parę godzin trochę mu przejdzie, ale jak wróciłam do domu, był jeszcze bardziej zdenerwowany, bo przez całą noc Tomek wysyłał do mnie esemesy z różnymi wyznaniem. Rano Szymon powiedział, że idzie Tomkowi obić mordę, zabrał mój telefon i poszedł.

– A wie gdzie szukać Tomka? – zainteresowała się Anna.

– Nie wie, nie zna go i dlatego cały czas do niego dzwoni, licząc, że Tomek odbierze, a on wyciągnie od niego, gdzie go znaleźć. Na szczęście Tomek jest teraz na szkoleniu i ma wyłączony telefon, ale jak go włączy, to będzie nieszczęście, bo on się przedstawia imieniem i nazwiskiem i jeszcze, gaduła, mówi z jakiej jest firmy. O rany, ale będzie masakra. – Justyna westchnęła smutno. – Chcesz się napić? – spytała Annę.

– Tak, pewnie. – Anna uznała, że mały klin mógłby przepędzić ból, który rozrywał jej głowę.

Zapaliły po nowym papierosie, Justyna sięgnęła do torby i wyciągnęła dwie puszki piwa.

– Dobrze. – Anna uśmiechnęła się po pierwszym łyku. Napiła się ponownie i od razu zaczęła jaśniej myśleć. – A silny jest ten twój Szymon? – zainteresowała się.

– Tak, trenował boks na gwardii. Chciał zostać policjantem, ale psycholog nie pozwolił. Powiedział, że nie potrafi radzić sobie z emocjami.

– To mu wleje – oceniła realnie sytuację Anna. – Szkoda Tomka.

– Bardzo szkoda – przytaknęła Justyna. – A ty dlaczego płakałaś? Widać, masz spuchnięte oczy.

– A może go ostrzec? – Wróciła do przerwane go tematu Anna, ignorując zadane pytanie.

– Po co? To nic nie da, on i tak go dopadnie, a jak już tak musi być, to chyba lepiej wcześniej niż później – oceniła filozoficznie. – Tomek nie będzie miał czasu, żeby się bać. Tak będzie bardziej humanitarnie.

Nagle Annie przyszło coś do głowy. Może wykorzystać sytuację i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Wiem, jak go uratować. – Anna odstawiła puszkę po piwie. – Musimy go odnaleźć przed Szymonem. Gdzie jest to szkolenie? Chodź, złapiemy taksówkę.

Piętnaście minut później Justyna tłumaczyła ubranemu w szary garnitur szczupłemu chłopcu, którego wyciągnęły ze szkolenia, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, a on nie mogąc nic z tego zrozumieć, wpatrywał się w Justynę pełnym zachwytu wzrokiem. Anna zrozumiała, że konieczne jest zastosowanie bardziej radykalnej metody.

– Jeśli chcesz żyć, to dawaj telefon – zażądała.

Wystukała na klawiaturze informację o tym, że Tomek kocha Justynę i że czeka na nią o czternastej w swoim biurze przy ulicy Czackiego 3, po czym wysłała esemesa na numer telefonu Justyny. Po namyśle uznała, że Szymonowi mogą przydać się dodatkowe informacje i wysłała mu zdjęcie, które najpierw na telefon Tomka przesłała ze swojej komórki. Nie chcąc pozbawić Justyny przyjemności zobaczenia, co będzie dalej, oderwała dziewczynę od Tomka i zaciągnęła do taksówki.

Gdy dojechały na miejsce, weszły do spożywczego, gdzie Anna kupiła cztery puszki piwa i paczkę chesterfieldów. Usiadły na murku, zapaliły, otworzyły piwo i czekały. Po kwadransie przed budynkiem z tabliczką Czackiego 3 z piskiem opon zatrzymała się srebrna toyota. Kierowca niechlujnie zaparkowawszy, z furią wyskoczył z auta. Duży, wściekły i silny – z satysfakcją oceniła Anna – da sobie radę. Przez duże okno widziała Adama rozmawiającego przez telefon. Był identycznie ubrany jak na zdjęciu wysłanym Szymonowi. Widząc, że narzeczony Justyny nie będzie miał żadnego problemu z identyfikacją podstępnego zdrajcy, pociągnęła kolejny łyk piwa, czując, że powoli odzyskuje utraconą równowagę.



## NAJDROŻSZE PRZEMÓWIENIE

**W**ysłuchał w życiu setek opowieści o przegranych miłościach. Klienci, którym doradzał przy rozwodach, uważali, że ich przypadek jest jedyny i niepowtarzalny. Nie zaprzeczał. Podświadomie zaliczał ich historie do jednego ze schematów, które wypracował przez lata praktyki.

Wpatrywał się w żonę, ale jej nie słuchał. Najważniejsze zostało powiedziane. Kilka miesięcy wcześniej wyznała mu, że przestała być z nim szczęśliwa. Nie potraktował jej słów poważnie. Ot, zwykły kryzys, w takich sytuacjach przytulenie było najlepszym lekarstwem. Wtedy jednak nie zadziałało. Marta nie chciała z nim niczego omawiać, powiedziała jedynie, że zanim podejmie decyzję, co dalej, zamieszka osobno.

Dziś dowiedział się, że „dalej” nie będzie. Jego żona chce rozwodu. Nie wyjaśniając powodów swojej decyzji, przeszła do omawiania szczegółów. Jakub przestał jej słuchać, zastanawiając się, do którego schematu zaliczać się będzie ich historia. Czy ich miłość po prostu się wypaliła, czy w jej życiu pojawił się ktoś nowy? Czy stał się rogaczem, podobnym do setek własnych klientów? Czuł, że nie wytrzyma dłużej tego spektaklu. Nagle stała się dla niego kimś obcym. Wstał, nie czekając, aż skończy zdanie, i wyszedł z kawiarni.

Jadąc na wykład, zastanawiał się, czy będzie w stanie zebrać myśli. To miało być jego pierwsze spotkanie z nową grupą aplikantów adwokackich, których uczył prawa karnego. Czekał ich rok wspólnej pracy i teraz z zainteresowaniem przyglądał się nowym twarzom.

Żeby ich poznać, postanowił sprowokować dyskusję.

– Czy uważacie, że przyjmując obronę, powinniśmy pytać klienta, czy jest winny, czy nie?

Widział, że wzbudził ich ciekawość, ale nikt nie zdecydował się zabrać głosu. By przerwać ciszę, odpowiedział sam sobie.

– Dla obrony nie ma znaczenia, czy ktoś popełnił zarzucany mu czyn, jako adwokaci związani jesteśmy stanowiskiem procesowym klienta. Dlatego nie powinniśmy pytać, jak było naprawdę, tylko skupiać się

na dowodach. Naszym zadaniem jest wzbudzanie wątpliwości i przedstawianie sądowi alternatywnych do prokuratorskich wersji wydarzeń. Wiedząc, jak było naprawdę, nie moglibyśmy tego zrobić, bo adwokat nie może świadomie wprowadzać sądu w błąd. Dlatego nigdy nie pytajcie, czy ktoś jest winny. Taka wiedza jest dla adwokata balastem. Poczulibyście się parszywie, dowiedziawszy się, że pomogliście uniknąć odpowiedzialności winnemu.

– Zdarzyło się panu coś takiego, panie mecenasie? – spytała dziewczyna siedząca w trzecim rzędzie. Bardzo ładna, ocenił odruchowo. Wydawało mu się, że dobrze zrozumiał jej pytanie, ale na wszelki wypadek postanowił się upewnić.

– Co mi się zdarzyło?

– Doprowadził pan do uniewinnienia osoby, która w rzeczywistości była winna?

– Tak – przyznał.

Uczył ich, zatem musiał opowiadać o swoich doświadczeniach. Nawet o tych, o których wolałby zapomnieć.

– Bronilem mężczyzny oskarżonego o zepchnięcie ze schodów krewnego. Nie mogę wam opowiedzieć szczegółów, bo to tajemnica zawodowa. Przez cały czas trwania procesu klient zapewniał mnie o swojej niewinności. Według niego był to nieszczęśliwy wypadek. Udało mi się przekonać sąd, że jego wersja jest prawdziwa, zapadł wyrok uniewinniający. Gdy wychodziliśmy z sali rozpraw, klient konfidencjonalnie szepnął mi do ucha, że gdyby wiedział, jak się to skończy, pchnąłby mocniej.

Tydzień później mieli kolejne zajęcia. Z zadowoleniem stwierdził, że sala jest wypełniona po brzegi. Rozpoczął od kazusu dotyczącego tajemnicy zawodowej. Od razu wywiązała się dyskusja. Nieźle, pomyślał. Tak ożywić salę udawało mu się na ogół dopiero po kilku tygodniach zajęć. Po półtorej godzinie sporów zarządził przerwę.

– A pan zgadza się z Dershowitzem, czy jest jego oponentem? – usłyszał za plecami.

Odwrócił się zaintrygowany. To była dziewczyna, którą zapamiętał z pierwszych zajęć. Dziś był trochę rozczarowany, że nie brała udziału w sprowokowanej przez niego dyskusji. Przyjrzał się jej dokładniej. Jasne włosy miała ściągnięte i związane z tyłu niebieską gumką, czarne okulary w grubej rogowej oprawie dodawały jej miłej i wesołej twarzy pewnej

surowości. Szara sukienka przed kolana ściśle opinała szczupłą talię. Nie miała biżuterii poza cienkim złotym łańcuszkiem na szyi.

– Dlaczego przyszedł pani do głowy Dershowitz? – Zastanawiał się, czemu spytała go akurat o tego profesora Harvardu.

– Staram się przewidzieć, co będzie po przerwie. Jeśli uznał pan, że dziś mamy rozwiązywać etyczne problemy sprawiedliwości, to spodziewam się, że będziemy rozważać, czy dla ocalenia jakiegoś dobra w szczególnie uzasadnionych przypadkach państwo uprawnione jest do użycia siły.

Teraz zrozumiał, skąd wziął się profesor Dershowitz wyznający teorię, że do walki z terroryzmem państwo może zalegalizować tortury.

– A pani jak sądzi? – odpowiedział na pytanie pytaniem.

– Gdybym znała odpowiedź, tobym nie pytała – zaripostowała. –

Poprawna politycznie odpowiedź brzmi, że tortur nie można zalegalizować. Ale pan lubi iść pod prąd. Ciekawa jestem, co pan myśli.

Miał straszną ochotę zapalić. Uciał więc rozmowę, obiecując, że opowie o tym podczas drugiej części zajęć. Nie dotrzymał słowa, po przerwie wybuchła tak zażarta dyskusja, że zajęcia skończyły się, nim udało mu się dojść do głosu. Był głodny, a jego lodówka świeciła pustkami, postanowił więc wpaść do włoskiego bistro.

– Nadal nie wiem, czy zgadza się pan z Dershowitzem – usłyszał za plecami głos dziewczyny, gdy pakował teczkę.

– Obiecuję, że dowie się pani na następnych zajęciach.

– Nie dam się zbyć, bo naprawdę jestem ciekawa, a pan obiecał odpowiedzieć.

Nie miał wyjścia, musiał zostać i porozmawiać z dziewczyną. Jeśli miał ją potraktować poważnie, na opowiedzenie swojej teorii potrzebował piętnastu minut. Tu do rozmowy wtrącił się jego żołądek, oświadczając stanowczo, że nie przetrzyma takiej zwłoki. Podjął błyskawiczną decyzję.

– Jestem wściekle głodny. Jeśli naprawdę chce pani dziś tego wysłuchać, proszę iść ze mną na kolację.

– Dobrze – zgodziła się bez namysłu.

Co ty wyrabiasz – głos rozsądku odezwał się z kilkunastosekundowym opóźnieniem. Nigdy nie spotkał się poza salą wykładową z żadną ze swoich słuchaczek, takie miał zasady. Ale wtedy Marta była jego żoną, gdy odeszła, samodyscyplina przestała mieć sens.

- Czego się pani napije?
- Poproszę czerwone wino.

Poczuł, że on także chętnie napije się wina, może przecież wrócić taksówką. Jutro pierwsze spotkanie zaczynało się dopiero o jedenastej.

- Butelkę Barolo z Piemontu – zdecydował.

Rozważania o tym, co sądzi o pomysle Dershowitza, skończył, gdy podawano przystawki. A potem zamilkł, dając jej możliwość wyboru tematu rozmowy. Liczył, że po czterech godzinach zajęć będzie miała dość prawniczych dylematów i porozmawiają o czymś neutralnym.

Nie zawiodła go i z wdziękiem przeniosła ich nad morze, opowiadając o wakacyjnym rejsie po Morzu Egejskim. Uwielbiał żeglować i ciekawie nadstawił ucha. Podążając za jej opowieścią, przypomniał sobie port w Pireusie. Kelner z pieczoną doradą zastał ich na Hydrze, wyjątkowej wyspie bez samochodów, po której można poruszać się tylko na sympatycznych osiołkach. Zrewanżował się opowieścią o swojej wakacyjnej włóczędze po Arizonie i Kalifornii. Gdy dotarł do Doliny Śmierci leżącej na szlaku dawnych osadników, odruchowo skinął na kelnera, zamawiając następną butelkę wina. Znowu odezwał się cichutki głos rozsądku, ale go zignorował.

Do końca deseru udało im się omówić dwie premiery filmowe i wystawę w warszawskiej Zachęcie. Wrześniowy wieczór był ciepły. Zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty wracać do pustego domu.

- Ma pani jeszcze ochotę na drinka?
- Zgoda, ale teraz ja wybieram miejsce.

Pojechali taksówką do Tel Avivu.

– To moja ulubiona knajpka, chciałam ją panu pokazać. Mieszkam niedaleko, a tu się stołuję.

Usiedli przy stoliku na zewnątrz i zamówili kolejną butelkę wina. Zaczęła opowiadać o swojej pasji do muzyki. Pomimo różnicy wieku znał większość wykonawców, o których mówiła dziewczyna. Okazało się też, że bywali na tych samych koncertach. Gdy odruchowo spojrzął na zegarek, było po jedenastej. Przy kolejnej butelce wina przegadali jeszcze dwie godziny.

- Czas na mnie – powiedziała, widząc, że spogląda na zegarek.

Chciał zaprotestować, że nigdzie się nie spieszy, ale ona już wstała od stolika.

– Może wpadnie pan na pożegnalnego drinka? – zaproponowała, kiedy znaleźli się już przed drzwiami do jej mieszkania.

Zgodził się, ciekaw, jak ono wygląda. Weszli do dużego salonu połączonego z otwartą kuchnią. Spozrzegł nowoczesną lampę Dark projektu Romy Kühne wiszącą nad masywnym dębowym stołem z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Podobało mu się to wnętrze, gdzie nowoczesne designerskie meble pozostawały w doskonałej symbiozie z antykami. Pamiętał, że jego żona chciała kupić identyczną lampę, jednak po godzinach namysłu, które on przeczekał w kawiarni, zdecydowała się na inny model. Usiadł na miękkiej włoskiej kanapie i przyglądał się obrazom na ścianach.

Dziewczyna otworzyła drzwiczki kredensu i wyjęła z niego butelkę oraz szklanki. Nie pytając, na co ma ochotę, nalała do obu szklanek, a butelkę postawiła na stole. Lubił whisky, choć był pewien, że jej o tym nie mówił.

Wkrótce w obu szklankach pojawiło się dno. Dziewczyna podeszła z nimi do stołu i pochyliła się, sięgając po butelkę. Patrzył na jej krągłe pośladki widoczne pod obcisłą sukienką. Od czasu separacji z Martą nawet nie przytulił się do innej kobiety. Przez pewien czas mu to nie przeszkadzało, teraz jednak poczuł, jak bardzo brakuje mu bliskości. Pieprzyć tę sukę, pomyślał o żonie. Zdecydowanym ruchem podniósł się z kanapy i dotknął bioder dziewczyny. Odwróciła się do niego.

W pokoju nadal paliło się światło, a przez okna było widać oznaki zbliżającego się świtu. Leżeli nadzy na rozłożystym blacie dębowego stołu. Zorientował się, że byli widoczni ze wszystkich okien kamienicy z naprzeciwka. Na szczęście nie mieli widowni. Zresztą nie miało to znaczenia.

– Nalać? – spytał, sięgając po szklanki.

– Tak, poproszę pana.

Roześmiali się, zdając sobie sprawę, jak to komicznie zabrzmiało. Nie zdążyli przejść na ty, a co gorsza, on nie znał nawet jej imienia.

– Agnieszka. – Uwolniła go od konieczności zadania niezręcznego pytania.

– Jakub.

Zabrali szklanki i z blatu przenieśli się na miękką kanapę. Gdy otworzył oczy, była za dziesięć szósta.

– Muszę iść. – Pogłaskał ją delikatnie po plecach.

– Dobrze. – Ze zrozumieniem kiwnęła głową i zasnęła.

Gdy zamknął za sobą drzwi, rozbudzony zdrowy rozsądek zaczął mu robić wyrzuty, że wplątał się w coś niemądrego. Kazał mu iść do diabła. Do kancelarii dotarł na trzy minuty przed umówionym spotkaniem. Nim zdążyć wypić kawę, sekretarka oznajmiła, że umówiona klientka już przyszła.

Kobieta była znacznie po trzydziestce. Trzymała wielką torbę od Versacego. Jakub zdał sobie sprawę, że wszystkiego w klientce było za dużo: farby na włosach, lakieru na paznokciach i złota.

Na powitanie zalała go potokiem wyrzucanych z siebie w beładzie słów. Wpadł w popłoch, zastanawiając się, jak z bolącą z niewyspania i nadmiaru alkoholu głową wytrzyma to spotkanie. Na szczęście kobieta osłabła w ekspresji wypowiedzi, a on zdał sobie sprawę, że staje się coraz bardziej sympatyczna, w miarę jak to, co lepsze w jej naturze, przebija się na zewnątrz. Przeszli do sprawy i klientka zaczęła opowiadać, że jej mąż, człowiek w jej opinii prawy i uczciwy, został niesprawiedliwie oskarżony o popełnienie szeregu przestępstw gospodarczych. Od ponad roku siedzi w areszcie, a obecnie jego proces zbliża się do końca. Zdaniem kobiety działalność wymiaru sprawiedliwości w jego sprawie woła o pomstę do nieba. Sprawa jest wynikiem spisku prokuratorów, a ślepy na prawdę sąd przymyka na te bezeceństwa oczy.

Jakub westchnął w duchu, ale nie miał wyjścia i musiał przejść przez tę specyficzną grę wstępną. Wszyscy jego klienci byli w oczach swoich rodzin osobami z gruntu uczciwymi i prawymi, które w wyniku niekorzystnego zbiegu okoliczności stawały się ofiarami prokuratorów i sędziów, on zaś był jedyną szansą, by przerwać ten łańcuch niefortunnych wydarzeń. Okazanie wątpliwości byłoby nietaktem mogącym zerwać dopiero nawiązującą się więź. Musiał spokojnie wysłuchać nawet najbardziej nieprawdopodobnej opowieści, pokiwać ze współczuciem głową i obiecać zażartą walkę z opisywanym mafijnym układem. W opowieści zaniepokoiło go, że proces już trwa, a to oznaczało, że oskarżony musi mieć już obrońcę. Postanowił to wyjaśnić.

– Mecenas Kowalski to oszust i kłamca – wykrzyknęła oburzona kobieta. – Naobiecował, a potem się upił i zapomniał złożyć wnioszek o uchylenie aresztu. To przez niego Heniek nadal siedzi. Zwolniłam go

po ostatniej rozprawie, a mąż zdecydował, żeby zatrudnić pana. Mówią, że jest pan najlepszy.

Miło było usłyszeć taką opinię. W duchu musiał przyznać, że z wyborem mecenasa Kowalskiego to rzeczywiście nie był strzał w dziesiątkę. Znał go słabo, ale z plotek korytarzowych wiedział, że mecenas ma dwie pasje: kobiety, najchętniej aktorki, i alkohol. Ta pierwsza powodowała, że nieustannie interesowali się nim paparazzi, druga skutkowała tym, że wlewając w siebie kolejne szklanki ulubionego rumu, nie znajdował czasu na studiowanie akt. W szczególnie trudnych momentach nie miał też czasu stawiać się na rozprawy. Skoro jednak jego pełnomocnictwo zostało odwołane, problem przestał istnieć.

– Czy ma pani jakieś dokumenty dotyczące sprawy męża?

Kobieta wyjęła z torby grubą teczkę z aktem oskarżenia. Dostrzegł nazwę firmy, którą prowadził oskarżony, i już wiedział, o co chodzi. Przed pół rokiem o tej sprawie było głośno.

Henryk Nowiński był podejrzewany o popełnienie przestępstw związanych z obrotem giełdowym, na których zarobił krocie. Dokonano przeszukania w dokumentacji jego firmy, w wyniku czego postawiono mu ponad dwadzieścia zarzutów związanych z niegospodarnością, przetargami publicznymi, w których uczestniczyła spółka, i nieuczciwą konkurencją. W bufecie sądowym plotkowano, że zarzuty są nieco na wyrost i sprawa ma drugie dno.

Któż nie marzy o takiej sprawie? Złą wiadomością było, że proces dobiegał już końca, miała się odbyć jeszcze jedna rozprawa, a za dwa tygodnie przemówienia prokuratora i obrońcy. Było bardzo mało czasu, żeby się przygotować. Na szczęście klientka przyniosła mu sfotografowane akta i mógł zacząć od zaraz.

Zakazał sekretarce łączenia telefonów i starając się dobić resztki kawa filizankami gorącej kawy, zabrał się do czytania. Po kilku godzinach zaczął mu się rysować w głowie podstawowy zarys linii obrony. Sięgnął po długopis, żeby zrobić notatki, ale przeszkodził mu dźwięk telefonu na biurku.

– Prosiłem, żebyś mnie z nikim nie łączyła – przypomniał sekretarce, kiedy zadzwonił jego telefon wewnętrzny.

– Dzwoni pańska żona.

Przypomniał sobie, że przed kilkoma miesiącami, kiedy zależało mu na powrocie Marty, poprosił sekretarkę, żeby łączyła, nawet gdyby był

zajęty. To już nieaktualne, dlatego w pierwszym odruchu chciał powiedzieć, że nie będzie rozmawiał, jednak ciekawość zwyciężyła.

– Jakubie, musimy poważnie porozmawiać. – Marta od razu przeszła do rzeczy, zarzucając go potokiem słów. – Rozumiem, że w czasie ostatniego spotkania mogłeś być zły. Wybaczam ci impertynenckie zachowanie i to, że zostawiłeś mnie z niezapłaconym rachunkiem. Chciałabym, żebyśmy rozwiedli się jak najszybciej. Moja decyzja jest ostateczna.

Nie musiał już tego słuchać i bez słowa odłożył słuchawkę.

Dla odreagowania pomyślał o Agnieszce. Wyjął wyciszony telefon, żeby sprawdzić, czy nie przesłała mu żadnej wiadomości. Na ekranie wyświetlały się dziesiątki wiadomości. Skoncentrował się na szukaniu tej jednej, ale na próżno. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie zostawił jej swojego numeru. Co gorsza, ona też mu nie dała swojego. Zastanawiał się, jak ją odnaleźć. Najprościej było zadzwonić do działu szkolenia, ale to mogło wywołać niepotrzebne plotki. Po co mu dodatkowy kłopot przy zbliżającym się rozwodzie? Spojrzał na zegarek. Było po siedemnastej, mógł zrobić przerwę w pracy, podjechać do Agnieszki i zrobić jej niespodziankę.

Nacisnął dzwonek. Cisza, żadnej reakcji. Uznał, że przyjechał za wcześnie i Agnieszka nie wróciła jeszcze z pracy. Wychodząc z bramy, zobaczył, że wysiada z taksówki. Patrzyła w jego stronę, ale nie zareagowała na jego widok. Nie dostrzegła go, zapewne zaabsorbowana własnymi myślami.

– Dzień dobry – odezwał się, gdy przechodziła obok.

Chciała ominąć go łukiem.

– Agnieszko, co się stało?

– Czy ja pana znam? – Wpatrywała się w niego z uwagą, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

– Nie pamiętasz mnie, spędziliśmy wczoraj cały wieczór?

– Przykro mi, wczoraj sporo wypiałam, naprawdę sobie pana nie przypominam.

– Przecież... – Chciał jej wszystko przypomnieć, po czym zamilkł, zdając sobie sprawę, jak to beznadziejnie zabrzmiało.

Ciągle milczał.

I wtedy Agnieszka wybuchnęła śmiechem.

– Gdybyś mógł zobaczyć własną minę.



Pocałowała go na powitanie.

– Jadłeś coś? Porywam cię na kolację do Bejrutu.

Bejrut okazał się barem naprzeciwko Tel Avivu. Gdy do falafeli zamówiła butelkę wina, zdał sobie sprawę, że dzisiaj już nie wróci do kancelarii. Chciał zaprotestować, ale machnął ręką. Dwa tygodnie to dużo czasu.

W domu tak jak wczoraj wyjęła z kredensu butelkę whisky i powoli pochyliła się, sięgając po szklanki. Podjął grę. Zasnęli, gdy za oknami pojawił się świt. Obudził go ból głowy. W duchu przeklął, że nie zatrzymali się o dwie szklaneczki wcześniej. Spojrzał na wtuloną w niego Agnieszkę i uznał, że los nie był dla niego tak całkiem okrutny, i ponownie zasnął. Gdy się obudził, delikatnie sięgnął po zegarek.

– Kurwa! – wymamrotał przekleństwo. Zaspali, była dziesiąta, a on o dziesiątej trzydzieści miał wygłosić przemówienie w sądzie okręgowym. Zerwał się z łóżka. Na przebranie się w domu nie było szans. Musiał jechać we wczorajszej koszuli. Pod togą nikt nie zauważy, pocieszał się.

Poszło mu nieźle. Sprawę znał na wylot a notatki do przemówienia miał w samochodzie. Po rozprawie chciał wysłać do Agnieszki esemesa, ale przypomniał sobie, że nadal nie ma jej numeru. Na szczęście tego dnia miał dodatkowy wykład dla jej grupy, spotkają się więc na uczelni.

Wychodząc z domu, na wypadek gdyby kolejną noc miał spędzić u niej, wrzucił do torby zapasową koszulę i zmianę bielizny. Na zajęcia przyjechał wcześniej. Agnieszki nie było. Zły nie potrafił się skoncentrować. Szybko sprowokował dyskusję, po czym sam się z niej wyłączył. Zastanawiał się, dlaczego jej nie ma, przecież zajęcia były obowiązkowe. Skończył wcześniej i postanowił do niej pojechać. Coś mogło się stać. Na wszelki wypadek spojrzał na wystawione na zewnątrz stoliki Tel Avivu i Bejrutu, ale tam też jej nie było. Nie zastał jej również w domu. Zszedł na dół i wszedł do Tel Avivu. Siedziała przy stoliku pod ścianą i pisała na komputerze. Pomachała do niego ręką.

– Nie było cię na zajęciach.

– Wolę, jak ty przychodzisz do mnie.

Rano przypomniał sobie, że nie widział się jeszcze z Henrykiem Nowińskim. Wpadł do sądu po zgodę na widzenie i pojechał do aresztu na Mokotów. Z Rakowieckiej skręcił w Kazimierzowską, szukając miejsca do parkowania. Zataczał kolejne pętle wokół, ale miejsca nie

było. Ze złością uderzył w kierownicę, udało się dopiero po trzech kwadransach krążenia.

Mężczyzna przyproawdzony przez strażnika do pokoju widzeń nieznacznie przekroczył czterdziestkę. Miał sportową sylwetkę i inteligentną twarz.

– Dobrze, że pan przyszedł, mecenasie. Musi mnie pan stąd wydostać. Nie będę pana przekonywał, że jestem świętszy od papieża. Jakby poszukać, to pewnie coś by się na mnie znalazło. Na giełdzie gram ryzykownie. Słucham, co mówią ludzie, i staram się to wykorzystywać. Jednak zarzuty, przez które tu siedzę, to zupełny bullshit. Ci faceci z CBS bezprawnie weszli do mojej firmy, przekopali wszystko i bardziej zaczęli się przejmować moimi interesami niż własnymi. Istotnie, kupiłem fabrykę, płacąc pięć milionów złotych więcej, niż była warta, ale co to ich, kurwa, obchodzi. Dzięki facetowi, z którym zrobiłem ten interes, zarobiłem pierwszy milion. Potem takich milionów wspólnie zarobiliśmy bardzo dużo. Teraz on popadł w tarapaty. Nie mogłem tak po prostu dać mu pieniędzy, boby się nie zgodził. Dlatego dałem mu zarobić, tak jak on kiedyś dał zarobić mnie. To moje pieniądze, firma nie jest zagrożona, nie mam dłużników. Mogę z nimi robić, co chcę, dać na Centrum Zdrowia Dziecka albo kupować fabryki powyżej ceny. To tylko moja decyzja, a oni zarzucili mi, że działam na niekorzyść przedsiębiorstwa, które jest w stu procentach moje. Dla mnie to są jaja, a nie sprawiedliwość.

Zamilkł na chwilę, a potem pokazał Jakubowi kolejny zarzut z aktu oskarżenia.

– Albo niech pan spojrzy na to, kupy się nie trzyma. Prokurator, który to pisał, musiał mieć w głowie leniwca zamiast mózgu.

– Wiem, jak sobie poradzimy z tym zarzutem. – Jakub opowiedział klientowi o koncepcji, która mu przyszła do głowy pierwszego dnia po przyjęciu sprawy.

Po wyjściu od klienta Jakub wrócił do biura. Postanowił resztę dnia spędzić nad aktami sprawy. Gdy po dwóch godzinach czytania wstał, by rozprostować plecy, miał już kolejne argumenty, za pomocą których będzie mógł się rozprawić z aktem oskarżenia.

– Szefie, nowa klientka – wyrwała go z zadumy sekretarka. – Nie była umówiona, ale prosi, żeby pan ją przyjął.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Zamierzał jeszcze kilka godzin popracować.

– Powiedz, że jestem zajęty, i umów ją na przyszły tydzień – zdecydował.

– Powiedziała, że przychodzi ze sprawą o zabójstwo.

Wszyscy, którzy znali mecenasa, wiedzieli, że największej adrenaliny dostarczało mu prowadzenie spraw zagrożonych najwyższym wymiarem kary. Dla nich gotów był zrezygnować z najbardziej dochodowej sprawy gospodarczej.

– Proś ją – zmienił decyzję. Wiedział, że jeśli nie przyjmie klientki, kobieta pójdzie do konkurencji.

Gdy weszła do jego gabinetu, jeszcze porządkował papiery na biurku. Podniósł wzrok. W drzwiach stała Agnieszka.

– Co się stało? Masz kłopoty? – spytał zaniepokojony.

Dziewczyna spuściła głowę.

– Mam, bardzo poważne – wyszeptała.

– O co chodzi? – Chwycił ją za ramiona. Nie mógł sobie wyobrazić, że mogłaby być zamieszana w zabójstwo.

Agnieszka, nie mogąc dłużej zachować powagi, wybuchnęła śmiechem.

– Nic się nie stało, głuptasie, stęskniłam się za tobą i dlatego wpadłam. A właściwie to się stało – nagle zmieniła zadanie. – Porywam cię jutro na Maltę, koleżanka ma tam apartament. Kupiłam bilety.

– Nie mogę, muszę się przygotować do sprawy – zaprotestował w pierwszym odruchu.

Po sekundzie już tego żałował. Zdał sobie sprawę, jaką przykrość zrobił dziewczynie. Jeszcze nigdy nie bronił nieprzygotowany, więc tym razem też zdąży. Wystarczy, że po powrocie intensywniej siądzie nad aktami, najwyżej zarwie kilka nocy. Miał nadzieję, że niczego nie popsuł, i Agnieszka nie obraziła się jego stanowczą odmową.

W chwilę po starcie samolotu Jakub zaproponował, żeby zamówili butelkę wina.

– Miałeś pracować – przypomniwała. – Będę miała wyrzuty sumienia, jeśli stracisz ten czas.

Wyciągnął z torby komputer z wgranymi aktami sprawy. Przez dwie godziny nie odrywał głowy od ekranu. Gdy znalazł sposób, jak

uniewinnić klienta od kolejnego zarzutu, nie mógł powstrzymać okrzyku radości.

– Bingo!

– Co się stało? – Agnieszka podniosła wzrok znad książki.

– Znalazłem linię obrony – pochwalił się odkryciem.

– Brawo, zasłużyłeś na kieliszek wina.

Czterodniowy wyjazd upłynął w okamgnieniu. Pływali w morzu, kochali się, jedli owoce morza i pili wino. Po akta sprawy Piotr sięgnął dopiero w drodze powrotnej. Nie bardzo mógł się jednak nad nimi skupić. Coraz częściej, niezależnie od tego, o czym starał się myśleć, kończyło się na Agnieszce.

Następnego dnia odwiedził Henryka Nowińskiego w areszcie.

– Jak panu idzie, mecenasie?

– Świetnie. – Dopiero po sekundzie zdał sobie sprawę, że klient pyta go o sprawę, a nie o sukcesy uczuciowe. Zreflektował się i przedstawił wymyśloną w samolocie linię obrony.

– Genialne – zachwycił się Nowiński. – A co z pozostałymi dwudziestoma zarzutami?

– Pracuję nad tym – odparł, wiedząc, że w przygotowaniu sprawy jest piekielnie spóźniony.

– Trzymam za pana kciuki, mam coraz większą pewność, że wygramy.

Dni do rozprawy starał się sprawiedliwie dzielić między akta i dziewczynę. Na ostatnim terminie przed przemówieniami przez kilka godzin przesłuchiwał świadka pomawiającego Henryka Nowińskiego. Mimo setek pytań, którymi go zasypał, wersja świadka nadal brzmiała wiarygodnie.

– Czemu pan go nie spytał o to oświadczenie, w którym stwierdza, że spłaciłem cały dług? – spytał Nowiński, nim strażnicy wyprowadzili go z sali rozpraw.

O jakim oświadczeniu on mówi, zastanawiał się Jakub, przekonując równocześnie klienta, że to zaplanowana linia obrony. Dopiero w kancelarii odnalazł ten dokument. Był na karcie pamięci, którą otrzymał od żony klienta, ale jakimś cudem nie wgrał się do komputera.

– Kurwa! – Wściekły uderzył w blat biurka.

Mogła zniknąć każda z dwudziestu tysięcy sfotografowanych stron akt, dlaczego przepadła akurat ta najważniejsza?! Zastanawiał się, ile jeszcze dokumentów szlag trafił przy przegrywaniu. Sprawdzanie tego

zająłoby mu kilkanaście godzin. Musiał zaryzykować i skoncentrować się na analizie tych akt, którymi dysponował.

Pojechał do domu i ponownie zabrał się do pracy. Wieczorem odwiedziła go Agnieszka. Przywiozła sushi. Był w lepszym humorze, bo w głowie wyklarował mu się pomysł, jak poradzić sobie z kolejnym zarzutem. Do końcowych przemówień pozostały dwa dni.

Agnieszka była jak anioł. Przynosiła mu jedzenie, patrzyła, jak pracuje, słuchała nowych koncepcji obrony. W wieczór poprzedzający przemówienia, po kilku nieprzespanych nocach, był już bardzo zmęczony. Po kolacji zakręciło mu się w głowie, położył się na chwilę i zasnął. Spał jak zabity przez dwanaście godzin.

Obudziła go o ósmej rano. Wcale nie czuł się lepiej niż przed zaśnięciem. W biegu wypił dwa kubki kawy i bojąc się prowadzić, poprosił Agnieszkę, żeby zawiozła go do sądu.

Pierwszy wystąpił prokurator. Przemawiał krótko pewien swoich argumentów. Starając się skupić na jego przemówieniu, Jakub czuł narastający ból głowy. Gdy nadszedł czas na jego wystąpienie, podniósł się ciężko z ławy obrończej i poczuł, że jest mu słabo. Mówił niepewnym drżącym głosem. Rozpoczął od zarzutu niegospodarności, tu wszystko miał uporządkowane. Mimo że ból głowy się wzmaczał, sprawnie udało mu się przedstawić argumenty obrony. Co się dzieje, pomyślał, gdy poczuł na skroniach pot i trudno mu było oddychać. Przeszedł do kolejnego zarzutu, z którym też rozprawił się przekonująco. Ból głowy stawał się coraz bardziej uciążliwy, a strużki potu spływały mu z czoła. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał posiłkować się notatkami.

I wtedy się zorientował, że notatki leżące na ławie obrończej kończą się na siódmym zarzucie. Co się stało z pozostałymi? Kontynuując przemówienie, nerwowo przeszukiwał ręką teczkę. Nigdzie ich nie było. Zastanawiał się, co robić. Czy przerwać przemówienie i poprosić sąd o odroczenie rozprawy? Spojrzał na widownię. Na sali było dwudziestu reporterów sądowych. Nie mógł w ich obecności przyznać się do takiego braku profesjonalizmu. Będzie pośmiewiskiem mediów i bufetu sądowego.

Zdecydował, że dotrwa do końca. Z odmętów pamięci próbował przywołać argumenty, które wynotowywał przez ostatnie dni. Był wytrawnym mówcą i potrafił zamaskować chwytami oratorskimi brak merytorycznego przygotowania. Mógł tym zmylić obserwatorów, ale nie

sąd. Zmobilizował się i zdynamizował przemówienie. Ponownie zakręciło mu się w głowie. Oparł się rękami o ławę obrończą i zaczął recytować Schopenhauera. Zawsze to robił, gdy chciał zyskać na czasie. Dyskretnie spojrzął na akt oskarżenia, przypominając sobie, z jakim zarzutem ma sobie teraz poradzić. Skończył po dwóch godzinach, oddychał ciężko jak bokser po piętnastorundowej walce. Z tego, co mówił sędzia, dotarło do niego, że wyrok zostanie ogłoszony za dwie godziny.

Wyrok był nokautem. Sąd uniewinnił Henryka Nowińskiego jedynie od pierwszych sześciu zarzucanych mu czynów. Za pozostałe został skazany na karę trzech lat pozbawienia wolności. Na szczęście sąd postanowił uchylić mu areszt. Henryk Nowiński, zanim wyszedł z sali, wypowiedział swemu obrońcy pełnomocnictwo. To było naturalne następstwo mowy obrończej.

Dziennikarze rozbiegli się pisać relacje dla swoich redakcji. Mecenas pozostał sam na korytarzu sądowym. Jak to się mogło stać, zastanawiał się, przecież ta sprawa była w całości do wygrania. Nowiński, jak sam twierdził, do świętych nie należał, ale ten akt oskarżenia był naprawdę buble. Mecenas wrócił do domu taksówką, padł na łóżko i zasnął. Gdy się obudził, była trzecia w nocy, Agnieszki nie było. Dlaczego nie przyszła? Zadzwoił do niej, ale nie odbierała. Przy drzwiach łazienki zakręciło mu się w głowie. Przytrzymując się ściany, wrócił do łóżka i znowu zasnął.

Rano czuł się równie źle jak w nocy. Zamiast do kancelarii pojechał do szpitala.

– Fatalnie wyglądasz – przywitał go przyjaciel lekarz. Przeprowadził badania, wypisał zwolnienie i odesłał do domu. – Dam ci znać, jak będą wyniki.

W domu ponownie się położył. Obudził go dzwonek do drzwi. Nie chciało mu się wstawać, ale uświadomił sobie, że to najprawdopodobniej Agnieszka. Zamiast niej w drzwiach zobaczył żonę.

– Myślałam, że cię nie ma, ale na wszelki wypadek sprawdziłam. Przyszłam po swoje rzeczy. Dlaczego nie jesteś w kancelarii?

– Fatalnie się czuję – wyznał.

– Następstwo przemęczenia. Słyszałam, że prowadzisz bujne życie.

Na jej twarzy dostrzegł złośliwy uśmiezek. Wyjęła z torebki iPhone'a i pokazała mu zdjęcie, na którym przytulał Agnieszkę.

– Skąd to masz? – spytał zdziwiony. Pilnował się, żeby przed zakończeniem sprawy rozwodowej nikt o Agnieszce nie wiedział.

– Znajoma widziała was w restauracji. Wysłała mi na pamiątkę. Gratuluje.

Gdy żona wyszła, zadzwonił do Agnieszki, ale nadal nie odbierała.

Przypomniał sobie, że dziś ma wykład dla jej grupy. Jeśli nic jej się nie stało, powinna tam być. Ale dziewczyna nie przyszła. Z trudem dotrwał do przerwy.

– Nie wie pani, co się dzieje z Agnieszką Zambruską? – spytał starościny grupy.

– Nie kojarzę nikogo takiego.

– To pani koleżanka z grupy.

– Jestem pewna, że nie ma takiej osoby w naszej grupie. Proszę spojrzeć na listę obecności, może jest z innej grupy. Pana wykłady są tak popularne, że przychodzi na nie więcej aplikantów.

Odwołał drugą część zajęć. W sekretariacie poprosił o listę aplikantów z całego roku. Agnieszki Zambruskiej na niej nie było. Kim ona, do diabła, jest – zastanawiał się. Nagle wszystko zaczęło mu się układać w logiczną całość.

Jak mogłem dać się w to wmanewrować, zastanawiał się wściekły na siebie. Na zajęciach porzuconego i samotnego mężczyzny pojawia się piękna i niegłupia dziewczyna. Co z tego może wyniknąć? Wiadomo...

Pewnego dnia dziewczyna znika, a zamiast niej pojawia się żona. W dodatku z kompromitującym zdjęciem. Wszystko jasne – podstawiła Agnieszkę, żeby zyskać argumenty w sprawie rozwodowej, a on dał się podejść jak dziecko. Do tego wydawało mu się, że spotkał anioła. Miał nadzieję, że nie była prostytutką wynajętą przez żonę na godziny. Marta musiała mieć niezłą kolekcję takich zdjęć. Ze zgrozą przypomniał sobie ich pierwszą noc, gdy kochali się w świetle lampy na dębowym stole. Marta zdobyła materiał pozwalający bez trudu dowieść jego winy przed sądem. Zrozumiał, dlaczego wyprowadziła się z mieszkania i nie śpieszy z podziałem majątku. Teraz będzie mogła zabrać mu więcej.

Mimo złości starał się rzeczowo ocenić sytuację. Jeszcze nie wszystko stracone. Musi odnaleźć dziewczynę, a potem przekonać, żeby zeznała, kto i po co ją wynajął. Jeśli się uda, to w najgorszym razie oboje, i on, i Marta, zostaną uznani za winnych rozpadu małżeństwa. Ciekawe, ile zażąda ta panna za opowiedzenie wszystkiego w sądzie?

Zszedł do samochodu. Zmęczenie pod wpływem adrenaliny zniknęło. Podjechał pod dom, w którym mieszkała Agnieszka, i wszedł na górę. Po drodze zastanawiał się, jak przeprowadzić rozmowę. Pytanie, dlaczego to zrobiła, nie miało sensu. Zdecydował, że przejdzie od razu do interesów. Zadzwoił. Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku. Zaskoczyła go. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy zastałem panią Zambruską?

– Pomylił pan mieszkania.

Odruchowo spojrzął na drzwi, ten sam numer, był tu wielokrotnie. Zapewne wynajęła mieszkanie na potrzeby spektaklu, który dla niego zagrała. Wrócił do samochodu, w telefonie komórkowym znalazł wiadomość. Były już wyniki badań.

– Czyś ty zwariował? Dlaczego to wzięłeś?

– O czym ty mówisz? – Jakub nie mógł zrozumieć, o co chodzi przyjacielowi.

– Zobacz, co za świństwa znaleźliśmy w twojej krwi. – Wręczył mu kartkę z wynikami. – Mogłeś się po tym nie obudzić.

– Barbiturany – przeczytał zdumiony. – Stary, ja od kilku lat nie brałem żadnego lekarstwa. Nie pomylili ci w laboratorium próbek?

– Wykluczone.

Wychodząc ze szpitala, Jakub próbował zebrać myśli. Dlaczego Agnieszka nafaszerowała go tym świństwem? Rozwiązanie, które przyszło mu do głowy, było najbanalniejsze z możliwych. Chciała dostać się do jego papierów. Poznać numery szwajcarskich kont i adresy skrytek. Marta kazała Agnieszce podać mu środek usypiający, a potem skopiować dokumenty. Postanowił, że nie puści tego płazem. Skoro stosowała takie metody, on musi kontrować. Sprawstwo kierownicze w podaniu mu trucizny, naruszenie tajemnicy korespondencji, mógł się uzbierać materiał na niezły wyrok. Nie potrafił zapanować nad emocjami i postanowił od razu rozmówić się z żoną.

Nie odrywał palca od dzwonnka, nim nie usłyszał kroków.

– Co to za nagły przyływ uczuć? Twoja dziewczyna gdzieś wyjechała? – Marta powitała go uśmiechem. – Jakub, naprawdę bardzo się cieszę, że zacząłeś się z kimś spotykać. Martwię się, czy nie jest za młoda dla ciebie.

Zaraz odechce ci się drwin, pomyślał, wchodząc do środka



– Nie wiedziałaś, że trucie ludzi jest karalne? – spytał oskarżycielsko.  
– Po dziesięciu latach spędzonych z adwokatem powinnaś przynajmniej tego się nauczyć

Przestała się uśmiechać.

– O czym ty mówisz? – spytała, patrząc na niego ze zdziwieniem. – Ustaliliśmy, że rozstaniemy się w zgodzie, bez pretensji i awantur. Co ci się nagle stało?

– Co się stało? – Nie mieściło mu się w głowie, że kobieta, z którą przeżył kilka ładnych lat, jest zdolna do takiej hipokryzji.

Postanowił jej wytłumaczyć, co się stało. Gdy przeszedł do wykradzenia jego papierów finansowych, musiał przetrzeć oczy ze zdziwienia. Za jego żoną pojawił się mężczyzna, którego twarz znał doskonale z telewizji. Facet znalazł się ostatnio na liście najbogatszych Polaków „Forbesa” na szóstym miejscu. Podążając za wzrokiem męża, Marta się odwróciła.

– Poznajcie się. Krzysztof Piaseczny, a to mój mąż.

Jakub odruchowo uściśnął wyciągniętą w jego stronę rękę.

– Powinnam ci wcześniej powiedzieć – dodała żona po chwili niezręcznej ciszy. – Spotykamy się z Krzysztofem od kilku miesięcy.

Osobiste życie Marty już nie interesowało Jakuba. Wrócił do przerwanej wątku. Zapytał wprost, dlaczego żona naraża się na więzienie.

– Jakub, co się z tobą dzieje? – nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi.

– Nie interesują mnie twoje pieniądze. Zdecydowaliśmy z Krzysztofem, że nie będę dochodzić od ciebie żadnego majątku. Byłam u notariusza i złożyłam już stosowne oświadczenie. Jeśli nie wierzysz, popatrz. – Podała mu wyjęty z szuflady dokument.

Teraz on przestał cokolwiek rozumieć

– To po co ta dziewczyna mnie zatrąła?

Marta przyglądała mu się z prawdziwą troską.

– Nie wiem, o czym mówisz. Powinieneś iść do lekarza, to wygląda na początek manii prześladowczej.

– Właśnie wracam od lekarza. – Wyszarpnął z kieszeni wyniki badań.

– Zobacz, czym mnie nafaszerowała.

– Nie mam z tą dziewczyną nic wspólnego. Moja siostra zobaczyła was w restauracji i zrobiła wam zdjęcie, tylko to mnie łączy z twoją dziewczyną.

Zobaczył Agnieszkę sześć tygodni później. Wszedł do kancelarii, a ona tak po prostu siedziała w poczekalni.

– To wizyta służbowa – powiedziała, podchodząc do biurka.

– Znowu kogoś otrułaś i masz kłopoty?

– Nie żartuj. Wiem, że możesz być wściekły. Zanim cię zaangażuję, wyjaśnię ci wszystko. Zaczęłam spotykać się z tobą w chwili, gdy go znienawidziłam. Byliśmy razem trzy lata.

– O czym ty mówisz? – Nie rozumiał, o czym ona mówi.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Nie domyśliłeś się? Byłam dziewczyną Henryka Nowińskiego.

Teraz wszystko zagmatwało się jeszcze bardziej. Dlaczego dziewczyna klienta najpierw uwodzi jego adwokata, a potem próbuje go otruć, niwecząc linię obrony? Zdał sobie sprawę, że pytania mogą tylko skomplikować opowieść. Jeśli chciał cokolwiek zrozumieć, powinien zamilknąć i słuchać.

– Przed aresztowaniem Henryk czekał tylko na dogodny moment, żeby powiedzieć żonie, że chce się z nią rozstać. Mieliśmy się pobrać po ich rozwodzie. Ale został aresztowany. Przekupił strażnika w areszcie i mógł do mnie dzwonić z komórki, więc miałam z nim stały kontakt. Ustaliliśmy, że nie powie o niczym żonie, zanim nie opuści aresztu. Adwokat, którego zaangażowała mu żona, to było nieporozumienie. Na miesiąc przed zakończeniem sprawy Henryk zrozumiał, że musi zmienić obrońcę. Dowiadywałam się, wszyscy mówili, że jesteś najlepszy, zresztą znałam cię, studiowałam prawo i byłam na twoim wykładzie. Poszłam ponownie na zajęcia i poczułam, że to będzie najlepszy wybór. Henryk polecił żonie, żeby zwolniła dotychczasowego obrońcę i zaangażowała ciebie. Dzień później zadzwonił do mnie i powiedział, że na widzeniu pogodzili się z żoną. Oznajmił, że do tej obietnicy podchodzi poważnie i zrywa ze mną. Wpadłam w taką furję, że myślałam tylko o zemście. Postanowiłam, że jeżeli nie chce być ze mną, to przez najbliższe kilka lat nie będzie z nikim. Znalazłam mu ciebie, żebyś go bronił. Po tym, co mi powiedział, musiałam coś wymyślić, żeby wybranie ciebie obróciło się przeciwko niemu. Wiedziałam, że ciebie nie można przekupić, dlatego wymyśliłam inny podstęp. Wtedy byłam gotowa wejść w spółkę z samym szatanem, żeby się na nim zemścić. Pamiętałam, jak na wykładzie mówiłeś, że jeśli chce się wygrać sprawę, trzeba być na niej całkowicie skupionym. Dlatego wróciłam na twoje wykłady

i postanowiłam cię trochę rozproszyć przed przemówieniem. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Dzięki tej dziewczynie spędził wspaniałe dwa tygodnie. Jednak nigdy wcześniej nie został tak upokorzony i skompromitowany na sali sądowej. Ale to przecież była przeszłość. Teraz interesowało go tylko, dlaczego przyszła i opowiadała mu o tym wszystkim.

– To ty wykasowałaś mi z komputera część akt?

– Tak.

– Ty nafaszerowałaś mnie barbituranami?

– Musiałam coś zrobić, żebyś był w nie najlepszej formie. Znajomy lekarz powiedział, że ten środek w takiej dawce nie zaszkodzi.

– Wiesz, że za to mógłbym cię wsadzić do więzienia?

– Pewnie tak – przyznała. – Nie sadzę jednak, żebyś to zrobił. Musiałbyś opowiadać przed sądem, jak zdradzając żonę, zawałiłeś sprawę klienta. Nawet jeśli wina nie była twoja, taki proces nie byłby dla ciebie najlepszą reklamą. A ja mam o wiele ciekawszą propozycję.

– Chcesz, żebym wsadził ci do więzienia następnego narzeczonego?

– Po co ten sarkazm? Nie ma żadnego innego. Dla mnie istnieje tylko Andrzej.

– Przecież cię zostawił i za to się na nim zemściłaś – przypomniał Jakub.

– Wrócił. Powiedział, że wszystko przemyślał. Zostawił mnie, bo targował się z losem, miał nadzieję, że jeśli wróci do żony, uda mu się wyjść z więzienia. Zrozumiał jednak, że tylko mnie kocha. Muszę mu pomóc, żeby nie trafił do więzienia. Nie przeżyłabym tego. Tak bardzo go kocham.

Jakub wziął głęboki oddech, żeby nie zacząć się śmiać. Nadal jednak nie rozumiał, co on ma z tym wspólnego. I dlaczego dziewczyna przyszła do niego.

– On chce, żebyś go dalej bronił przed sądem apelacyjnym. –

Agnieszka przeszła do sedna. – Nie może wrócić do więzienia. Jest niewinny i tylko ty możesz to udowodnić.

Milczał, zastanawiając się, jak ma się zachować. Dziewczyna miała rację. Przez ostatnie dwa miesiące myślał głównie o tej sprawie i był przekonany, że wie, jak można ją wygrać. Ale po tym wszystkim, co się między nimi wydarzyło, powinien się trzymać od niej i jej narzeczonego

jak najdalej. Był jednak profesjonalistą i broniąc, zarabiał na życie. Postanowił zagrać *va banque*.

– Zgoda, będę go bronić, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – dostrzegł w jej oczach niepokój.

Nie śpieszył się z odpowiedzią, widząc, jak na skroniach dziewczyny pojawiają się kropelki potu.

– Ze względu na skomplikowany charakter sprawy zapłacicie honorarium sześciokrotnie wyższe niż poprzednio.

– Zgoda. Stać go na to. – Słyszając ten warunek, Agnieszka odetchnęła z wyraźną ulgą. Wyjęła książeczkę czekową i wpisała zażądaną przez Jakuba kwotę.

## JAK KSIĄDZ

**W** sali za masywnym dębowym stołem siedziało sześcioro adwokatów ubranych w czarne togi z zielonymi wypustkami. Taki widok mógł onieśmielić, lecz Antek nie należał do ludzi, których łatwo speszyć. Był pewnym siebie, świadomym swojej wartości mężczyzną. Zdecydowanym krokiem wszedł do środka, szarmancko uklonił się członkom komisji i usiadł na wskazanym mu krześle. Antek miał dwadzieścia osiem lat, był wysokim, mocno zbudowanym brunetem o ciemnej karnacji i opadających na szyję, lekko falujących włosach. Był przekonany, że w nowym ciemnym garniturze od Zegny, białej koszuli, granatowym krawacie w dyskretne paski i ciemnych, pedantycznie wypastowanych butach wywrze dobre wrażenie na komisji. Za nim na stojącym z boku sali fotelu usiadł jego patron mecenas Lech Wartkowski, który przyszedł towarzyszyć swojemu wychowankowi w najważniejszym zawodowym dniu. Antek po czteroletniej aplikacji zdawał egzamin adwokacki.

Jego dotychczasowa kariera wyglądała imponująco. Dzięki znakomitej znajomości angielskiego, zdobytej w czasie studiów na uniwersytecie w Stanfordzie, Antkowi już na pierwszym roku aplikacji udało zdobyć pracę w międzynarodowej firmie prawniczej Krall & Armstrong. Zaczął specjalizować się w prawie medycznym i po czterech latach pracy był uważany za wschodzącą gwiazdę w tej dziedzinie. Od roku większość czasu spędzał w samolotach latających głównie do Stanów, gdzie miały siedziby koncerny medyczne, dla których pracował. Zajmując się negocjowaniem kontraktów, pisaniem umów i opinii prawnych, Antek nie znalazł w trakcie aplikacji czasu, żeby wystąpić przed sądem. Nie żałował tego specjalnie, bo oczekiwanie na korytarzach sądowych na wywołanie ciągnących się w nieskończoność spraw uważał za zwykłą stratę czasu. Szefowie w centrali doceniali jego osiągnięcia i zostało już ustalone, że po zdanym egzaminie przeniesie się do Bostonu, gdzie czekał na niego awans na młodszego wspólnika i wynagrodzenie, które przyprawiało go o zawrót głowy. Wystarczyło zdać egzamin i już za miesiąc mógł przekroczyć progi swojego nowego

mieszkania na trzydziestym piętrze apartamentowca z widokiem na ocean, które wynajęła dla niego firma. Przyszłość rysowała się w różowych barwach. Antek spojrział w twarze egzaminatorów, oczekując na pierwsze pytanie.

– Panie mecenasie, czym zajmował się pan w trakcie aplikacji? – spytał mecenas Jerzy Sulecki, przewodniczący komisji.

Antek zdając sobie sprawę, że to pytanie ma go ośmielić, od razu złapał wiatr w żagle i zaczął opowiadać o swoich doświadczeniach związanych z prawnymi aspektami wprowadzania na rynek nowych leków. Wiedział, że nikt z członków komisji nie ma tego typu zawodowych doświadczeń. Zapytany, czy w związku ze swoją pracą często bywa w sądzie, musiał przyznać, że to miejsce jest mu zupełnie obce. Po uzyskaniu przez komisję informacji, jak przebiegała aplikacja Antka, nadszedł czas na część merytoryczną.

Zaczął mu zadawać pytania z poszczególnych dziedzin prawa. Prawo handlowe było jego koronną specjalnością i bez problemu odpowiedział na wszystkie pytania. Zakładał, że równie dobrze poradzi sobie z prawem cywilnym. Przygotowując kontrakty, świetnie poruszał się w zakresie prawa zobowiązań. Jak na złość pani mecenas Zofia Winnicka zaczęła go pytać o zasady odzyskiwania nieruchomości zabranych ich prawowitym właścicielom dekretem Bieruta. Nigdy z tym zagadnieniem nie miał do czynienia, pamiętał, że na aplikacji był o tym wykład, ale wtedy musiał polecieć do Stanów. Kolejne pytania dotyczyły już bezpiecznego zakresu prawa zobowiązań i dał sobie z nimi radę. Kolejnym egzaminatorem był specjalista od prawa administracyjnego. Na tym też Antek się znał, bo procedura rejestracji leków wymagała znajomości czynności administracyjnych. Jak na złość zadane pytania dotyczyły prawa budowlanego, z czym nie miał nigdy do czynienia.

Antek poczuł, że zaczyna się pocić pod świetnie skrojoną marynarką, a dotychczasowa pewność siebie z lekka zaczęła go opuszczać. Egzamin, który w jego zamyśle miał być zwykłą formalnością, przybierał niezaplanowany obrót. Rozdrażniony Antek przypominał sobie strzępy rozmów kolegów z działu prawa budowlanego i monosylabami wydukał kilka podstawowych pojęć, wiedział jednak, że zaczął balansować na bardzo cienkiej linii. Na szczęście u kolejnych egzaminatorów wypadł nieco lepiej.

Ponownie zaczął się pocić ze strachu, gdy przyszła kolej na pytania z prawa karnego. W tej dziedzinie Antek był najslabszy, a jego praktyczna wiedza ograniczała się do okazjonalnego oglądania *Prawa Agaty* i czytania kryminałów Miłoszewskiego. Posiłkując się wiedzą zdobytą jeszcze na studiach, Antek walczył o przetrwanie, a z miny egzaminatora wnioskował, że nie zachwyciły go jego odpowiedzi, ale nie zaliczył też żadnej poważnej wpadki. Ostatnią rundę pytań ogólnych zadawał przewodniczący komisji. Na giełdzie pytań mówiono, że lubi zahaczać z zagadnień konstytucyjnych i dlatego wczoraj Antek przeczytał konstytucję.

– Panie mecenasie, proszę wyobrazić sobie następującą sytuację – zaczął adwokat. – Odwiedza pana w kancelarii klient, który chce panu zlecić obronę w sprawie o rozbój. W trakcie rozmowy z panem mówi, że interesuje się pirotechniką i w swoim garażu przygotował materiał wybuchowy, którym w przyszłości zamierza się posłużyć, aby zniszczyć sklep jednego z dyktatorów mody. Gdy klient opuszcza pana kancelarię, przychodzi do pana policja wypytać o pana rozmowę z gościem, który pana odwiedził. Policjanci mają informację, że kupił on odczynniki do wytworzenia materiału wybuchowego, ale nie wiedzą, gdzie je ukrył. Nie mając dowodu, nie mogą go zatrzymać. Proszą pana o informacje. Twierdzą, że w ten sposób udaremni pan potencjalny zamach i obiecują, że jak im pan pomoże, zrobią wszystko, by kara dla pańskiego klienta została złagodzona. Jak by pan postąpił w takiej sytuacji? Czy w celu zapobieżenia zamachowi i uzyskania korzystnego wyroku dla klienta ujawniłby pan uzyskane od niego informacje?

Wsluchując się w pytanie, Antek zdał sobie sprawę, że nie dotyczy ono prawa konstytucyjnego. Był zły na siebie, że niepotrzebnie stracił wczorajszy dzień. Sama myśl, że jakiś zwariowany przestępca mógłby odwiedzić go w biurze, wywoływała w nim niechęć. Co zrobić z szaleńcem, który chce niszczyć cudze mienie? Gdyby hipotetycznie taka sytuacja zaistniała, miał do wyboru albo biernie przyglądać się, aż dojdzie do eksplozji, która przyniesie kolosalne straty, a konsekwencją dla samego zainteresowanego będzie surowa kara, albo zapobiec tragedii, doprowadzając, że klient odpowie z łagodniejszego paragrafu, a do tego kara zostanie mu złagodzona. Dokonując rachunku strat i zysków, oczywiste było, że dla wszystkich korzystniejsze będzie zapobieżenie zamachowi. Jeśli jego rolą jako adwokata było pomagać, powinien podjąć

samodzielnie decyzję za klienta i wybrać dla niego korzystniejsze rozwiązanie. Taką też argumentację przedstawił egzaminatorowi.

– Dziękuję panu. Wyniki ogłosimy po osiemnastej – zakończył egzamin mecenas Sułecki.

Dlaczego zadał mi tylko jedno pytanie, zastanawiał się Antek, wstając i kłaniając się komisji. Wszyscy zadawali po kilka. Czyżbym powiedział coś niewłaściwego? Może w pytaniu był jakiś haczyk, zastanawiał się zły na siebie, że odpowiedział intuicyjnie, bez namysłu. Nie miał pojęcia, jakie są relacje obrońców karnych z ich klientami i jak powinni postępować w takich sytuacjach, takie sprawy to nie jego bajka. Spróbował odnieść sytuację opisaną w pytaniu do własnych doświadczeń zawodowych. Jak należałoby się zachować, gdyby przyszedł do niego klient, informując, że zamierza opatentować nowy lek, a po jego wizycie przyszła policja, aby się dowiedzieć, jaki jest jego skład. Oczywiście nie mógł tego ujawnić bez zgody sądu, bo wszystko, czego dowiedział się, udzielając porady prawnej, stanowiło tajemnicę adwokacką.

Zatem w pytaniu nie chodziło o to, w jaki sposób optymalnie pomóc klientowi, ale o tajemnicę zawodową, dotarło do niego. Jeśli jestem obowiązany chronić tajemnic powierzonych mi przez klientów biznesmenów, to takie same zasady muszą obowiązywać obrońców w sprawach karnych. W tym momencie przypomniał sobie fragment artykułu mówiący o tym, że tajemnica obrończa, czyli to, czego dowiaduje się adwokat od swojego klienta, udzielając porady w sprawie karnej, ma charakter bezwzględny i nigdy w żadnych okolicznościach adwokat nie może tej tajemnicy ujawnić. O rany, jak mogłem wałnąć taką głupotę, Antek wychodził z pokoju wściekły na siebie.

Komisja miała zwyczaj pracować w ten sposób, że na temat każdego egzaminowanego jej członkowie wypowiadali się w kolejności, w jakiej zadawali pytania.

– Wypadł celująco – ocenił Antka specjalista od prawa gospodarczego.

– U mnie średnio mu poszło – skomentował adwokat cywilista. –

Z pewnych fragmentów materiału doskonały, ale o niektórych nie ma pojęcia, co najwyżej słaby dobry.

– U mnie słabiutko – uznał spec od prawa administracyjnego. –

Między dwóją a tróją.

– Beznadziejny. Widać, że ani razu nie był na sali rozpraw – ocenił karnista. – Jednak on nie zamierza zajmować się prawem karnym, zatem



wielkich szkód w tej dziedzinie nie uda mu się zrobić. Jeśli u was wszystkich zda, to i ja jestem gotów go puścić.

Decydujący głos należał do mecenasa Jerzego Sułeckiego. Był najstarszy z nich wszystkich. Został adwokatem w latach sześćdziesiątych i za tydzień miał świętować czterdziestolecie pracy zawodowej. Był chodzącą legendą adwokatury w latach siedemdziesiątych, występował jako obrońca robotników Radomia, a w okresie stanu wojennego jednym z najaktywniejszych obrońców w sprawach politycznych. W nowej Polsce bronił w większości procesów z pierwszych stron gazet. Był powszechnie szanowany i z jego zdaniem liczyli się wszyscy koledzy. Adwokat zdawał sobie, że decydujący głos będzie należał do niego. Zastanawiał się jeszcze dłuższą chwilę, nim się odezwał.

– Chłopak jest inteligentny i zdolny. Skupiony na tym, co robi, i widać, że pozostałe sprawy niewiele go interesują. To nie jest wielki grzech, że chcemy się w czymś specjalizować i na tym skupiamy uwagę. Jednak żeby zostać adwokatem – egzaminator przeszedł do meritum – trzeba przynajmniej wiedzieć, na czym polega zawód, który zamierza się wykonywać, i jakie są jego fundamentalne zasady. Wyobrażacie sobie księdza, który pomimo że jest związany tajemnicą spowiedzi, montuje w konfesjonale mikrofon, po czym puszcza nagrane fragmenty wiernym. Naruszyłby podstawową zasadę, w konsekwencji czego żaden wierny nie odważyłby się już na szczerą spowiedź, duchowni zaś utraciliby zaufanie wiernych. Podobnie chciał postąpić nasz kandydat na adwokata. Kanon naszego zawodu to tajemnica obrończa. Klient prosząc nas o pomoc, jest przekonany, że może być z nami szczerzy, bo ma prawną gwarancję, że to, co nam powie, zachowamy dla siebie. Nikt nie ma prawa nas zwolnić z tej tajemnicy. Ma ona charakter bezwzględny i jesteśmy nią związani do śmierci. Bez niej nasz zawód straciłby jakikolwiek sens, bo bez gwarancji naszego milczenia nikt by nam niczego nie powiedział. Jeśli ten chłopak o tym nie wie, to niezależnie jak jest dobry w swojej dziedzinie, nie jest jeszcze gotów, by zostać adwokatem. Jest jak bomba, może w nieoczekiwanym momencie wybuchnąć i narobić potwornych szkód. Niech się nauczy podstaw zawodu i zdaje za rok.

Nikt się nie sprzeciwił tej decyzji, wszyscy uznali, że senior ma rację.

Czekając na ogłoszenie wyników egzaminu, Antek z patronem pili kawę. Mecenas Wartkowski od lat skupiony na swojej specjalizacji nie

potrafił ocenić poprawności wszystkich odpowiedzi Antka, intuicyjnie zdawał sobie jednak sprawę, że jego podopiecznemu nie poszło najlepiej.

– Skąd ci przyszło do głowy to przekazanie informacji policji?

– Wiem, że popłynąłem – przyznał Antek. – Jak były wykłady z etyki, byłem na konferencji w Lozannie, a w firmie nikt nas nie uczył takich rzeczy.

Po osiemnastej sekretarz komisji wywiesił wyniki egzaminu. Antek przy swoim nazwisku zobaczył ocenę niedostateczną. Wzburzony wyszedł na balkon zapalić papierosa. Członkowie komisji przeszli do bufetu zjeść kolację po całym dniu pracy. W korytarzu mecenas Wartkowski zamienił kilka słów ze swoim kolegą egzaminującym z prawa gospodarczego i dowiedział się od niego o kulisach odbytej narady.

– To pytanie o tajemnicę zawodową cię pogrążyło – wyjaśnił Antkowi, gdy wychodzili z budynku rady adwokackiej. – Mecenas Sułkowski uznał, że jeśli nie znasz elementarnych zasad, nie możesz być adwokatem.

Antek milczał. Nie wiedział, jak się wytłumaczyć. Po rozstaniu z patronem pojechał do Syreniego Śpiewu, lokalu słynącego z dużego wyboru whisky. Zamówił podwójnego Macallana, wypił, po czym poprosił o nalanie następnego. Powoli docierało do niego, co się stało. Miał mieć tytuł gwarantujący dużą samodzielność i umożliwiającą skupienie tylko na pracy, a tymczasem pracując w Bostonie, równolegle będzie musiał uczyć się do kolejnego egzaminu. Parszywy, zupełnie niepotrzebny kłopot. Zamówił kolejną kolejkę i jeszcze kilka.

Rano obudził się z paraliżującym bólem głowy. Zastanawiał się, czy nie wziąć wolnego dnia, ale zrezygnował z tego pomysłu. Miał i tak dość kłopotów, by pakować się w następne, narażając się na pytania szefa, dlaczego odwołuje spotkania z klientami. Dowlókł się pod prysznic, pod którym przez ponad kwadrans oblewał się na przemian zimną i gorącą wodą. Wypił kubek gorącej kawy, włożył ciemny garnitur i pojechał do pracy. W firmie zaszył się w swoim pokoju. Miał świadomość, że informacja o jego wczorajszej porażce dotarła już do wszystkich. Nie chciał słyszeć kolejnych pytań, co się stało. Udało mu się, wymykając na spotkania, przetrwać do piętnastej, kiedy zajrzała do niego asystentka. Z ulgą przyjął fakt, że nie wspomniała o egzaminie.

– Szef prosił, byś do niego zajrzał.

Mecenas Bernard Kolański był szefem polskiego oddziału ich firmy od chwili jego założenia, to jest od osiemnastu lat. W jego słowniku słowo „prośba” oznaczało pilne polecenie. Antek od razu poszedł do gabinetu Kolańskiego, zdając sobie sprawę, że będzie musiał wytłumaczyć się z wczorajszej katastrofy. Gabinet szefa był przestronny, a z dwudziestego piątego piętra roztaczał się wspaniały widok na Warszawę. Antek mimochodem pomyślał, że w Bostonie swój gabinet ma mieć na trzydziestym ósmym piętrze.

– Siadaj. – Kolański wskazał mu fotel wykładany wiśniową skórą. –

Słyszałem, że słabo ci wczoraj poszło. Antek skinął potwierdzająco głową. Powstrzymał się od komentarza, czekając, w jakim kierunku szef poprowadzi rozmowę. Nie wiedział, czy czekają go słowa współczucia, czy pretensje.

– Złe wiadomości rozchodzą się szybko – kontynuował szef. –

Dzwonił do mnie John Carter z zarządu. Dowiedzieli się o egzaminie i zdecydowali, że twój wyjazd do Bostonu trzeba będzie odłożyć.

– Odłożyć? Przecież wszystko było ustalone – wyszeptał wstrząśnięty Antek.

– Uznali, że to by był zły przykład awansować pracownika, który oblał. Zostajesz w Warszawie, a jak za rok zdasz egzamin, zobaczymy co dalej.

Antek ukrył twarz w dłoniach. Zdawał sobie sprawę, że rok to szmat czasu i może się okazać, że wtedy obiecane mu miejsce będzie już zajęte.

– Nie mógłby ich pan jakoś przekonać?

Kolański pokręcił przecząco głową. Wychodząc z gabinetu, Antek poczuł, że kac, którego udało mu się w ciągu dnia pozbyć, powraca. Marzył o szklance whisky.

Na korytarzu spotkał Marka, który od roku był adwokatem. Po jego minie odgadł, że kumpel już o wszystkim wie.

– Idziemy się napić? – zaproponował.

Siedzieli w barze na placu Teatralnym. Antek zamówił trzecią kolejkę.

– Stary, co ja mam robić?

– Złóż odwołanie. Jeśli komisja zmieni zdanie, szefowi uda się przekonać Cartera. Wtedy pojedziesz. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby przekonać mecenasa Sułeckiego, że tajemnica adwokacka nie jest tak nienaruszalna, jak twierdził nestor palestry. Po czwartej kolejce przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Mecenas Sułeczki zwykł przyjmować w kancelarii od godziny siedemnastej do osiemnastej trzydzieści. Od lat jego życie toczyło się w uporządkowanym rytmie. Wstawał rano, w kawiarni na dole swojego domu czytał gazety, po czym jechał do sądu, by uczestniczyć w rozprawach. O piętnastej trzydzieści jadał obiad w klubie adwokata, a następnie jechał do kancelarii, gdzie pracował nad sprawami i przyjmował klientów. Punktualnie o dziewiętnastej wracał do klubu na kilka partii brydża z przyjaciółmi.

Tego dnia pierwszym jego klientem w kancelarii był manager dużej giełdowej spółki. Przyszedł poradzić się w sprawie umowy pożyczki. Mecenas poprosił o pozostawienie mu dokumentów do następnego dnia, by mógł się z nimi spokojnie zapoznać. Okazało się to jednak niemożliwe, bo dla klienta czas odgrywał decydującą rolę. Spółka, w której pracował, natrafiła na olbrzymie złoża gazu. Komunikat w tej sprawie miał w ciągu dwóch dni zostać podany do publicznej wiadomości. Klient zakładał, że po jego ogłoszeniu ceny akcji spółki błyskawicznie wzrosną. Zatem teraz był ostatni moment, by je nabyć po dotychczasowej cenie. On, jako pracownik spółki, oczywiście nie mógł ich kupić. Dlatego zdecydował, że pieniądze na akcje pożyczycy przyjaciółce i zagwarantuje wekslem ich zwrot.

– Czy ma pan świadomość, że w ten sposób popełnia pan przestępstwo polegające na wykorzystaniu poufnych informacji w obrocie giełdowym? – upewnił się adwokat.

– Tak – potwierdził klient. – Dlatego, żeby nikt się nie zorientował, akcje kupi moja dziewczyna, a ja muszę mieć gwarancję, że się ze mną rozliczy.

Mecenas zebrał leżące na biurku projekty umów i oddał je mężczyźnie.

– Nie mogę panu pomóc. Pan zamierza popełnić przestępstwo, a adwokat nie może klientowi w tym pomagać, bo wtedy przestałby być adwokatem, a stał się pomocnikiem w przestępstwie.

Gdy klient wyszedł, mecenas sprawdzwszy, że nikt już nie czeka w poczekalni, pojechał do klubu rozegrać wieczorne partie brydża.

Tego samego wieczoru Antek przygotował odwołanie od decyzji komisji egzaminacyjnej. Przyłożył się starannie, wyszukał wszystkie głosy w doktrynie wskazujące, że w sytuacjach nadzwyczajnych, a zwłaszcza wobec groźby zamachów terrorystycznych, adwokat

uprawniony jest do ujawnienia tajemnicy, jeśli ma to uratować dobro wyższe, jakim jest życie ludzkie. W odwołaniu stwierdził stanowczo, że on takich opinii nie podziela, a w trakcie egzaminu zamierzał jedynie wskazać komisji, że istnieją poglądy odmienne od obowiązującego dogmatu. Twierdził, że wiedział, iż jego odpowiedź jest błędna, ale w ten sposób chciał sprowokować dyskusję, na której końcu odwołałby się do obowiązującej zasady, nie udało mu się jednak tego uczynić na skutek nieoczekiwanie szybkiego przerwania egzaminu. Tłumaczył, że jeśli nawet popełnił błąd, to ten błąd nie powinien przekreślać ostatnich czterech lat jego pracy.

Kilka dni później, idąc na obiad do klubu, mecenas Sułecki spotkał mecenasa Wartkowskiego. Mężczyźni znali się od lat, a siłą rzeczy rozmowa zeszła na egzamin Antka.

– Jak ty go przygotowałeś? – nie mógł zrozumieć Sułecki. – Chłopak nie ma pojęcia o zasadach pracy adwokata.

– To przez tę korporację – tłumaczył siebie i Antka Wartkowski. – Tu panują amerykańskie standardy. Chłopak ma się uczyć tego, czym się zajmuje i co przynosi firmie zysk, a reszta nie ma znaczenia. Czasem mam wrażenie, że ona też mnie wchłania kawałek po kawałku. Jak go miałem nauczyć podstaw adwokatury, skoro nigdy nie byliśmy razem w sądzie? Powoli sam zapominam, jak wygląda toga. Młodzi w naszej firmie wiedzą, jak napisać pięciusetstronicową umowę, ale niektórzy z nich nawet nie wiedzą, jak wygląda klient, bo się nigdy z nim osobiście nie zetknęli i znają go tylko z maili. Dostają zamówienia mailem i tak samo je odsyłają. Często dla nich partnerem jest komputer, a nie żywy człowiek. Jak uczyć o tajemnicy za pośrednictwem komputera?

Sułecki westchnął ze smutkiem.

– A co będzie, jeżeli któryś z nich będzie musiał iść do sądu albo udzielić porady w sprawie karnej? Wyobrażasz sobie, jakich szkód wtedy narobią?!

– Nigdy nie pójdą do sądu. Zasadą naszej firmy jest negocjowanie korzystnych ugód, a nie tracenie czasu na bezsensowne spory w sądzie. To za mało dochodowe. Jeśli nie ma innego wyjścia i trzeba się sądzić, wynajmujemy prawników z zewnątrz. To wychodzi taniej.

– Czyli on jest człowiekiem bez przyszłości – zasmucił się mecenas Sułecki.

– On by tak tego nie nazwał. – Wartkowski się roześmiał. – Myślę, że już teraz możesz pozazdrościć mu jego dochodów.

Sułecki zignorował tę ostatnią uwagę, a po wyrazie jego twarzy można było poznać, że nad czymś się zastanawia.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś, kto ma prawo nosić togę, nie zobaczy nigdy, jak wygląda sala sądowa. To nieludzkie. Czytałem jego odwołanie, dobrze napisane. Mam propozycję: jeśli przez miesiąc będzie chodził ze mną do sądu na rozprawy i nauczy się na blachę zasad etyki adwokackiej, uwzględnię jego odwołanie.

– Dzięki, stary. Przyślę go do ciebie. – Wartkowski uściśnął koledze rękę.

Po obiedzie mecenas Sułecki pojechał do kancelarii. Tam czekał już na niego pierwszy klient. Czterdziestolatek średniego wzrostu ubrany w brązowe sztruksowe spodnie i zamszową kurtkę sprawiał sympatyczne wrażenie. Przyglądając mu się, mecenas dostrzegł w nim napięcie. Uprzejmym gestem wskazał mu miejsce w fotelu.

– W czym mogę panu pomóc? – zadał standardowe pytanie, które towarzyszyło jego pracy od lat.

– Muszę się pana poradzić w bardzo ważnej sprawie. Obawiam się, że mogłem popełnić przestępstwo – mówił zdenerwowanym głosem mężczyzna, mecenas Sułecki zaś z satysfakcją stwierdził, że ponownie nie pomylił się w swojej ocenie. Adwokat z doświadczenia wiedział, że takich klientów nie powinno się pośpieszać i milcząc, czekał, aż gość sam opowie o swoich kłopotach. – Jestem inżynierem i pracuję w spółce Cheminox – zaczął opowiadać.

Adwokatowi ta nazwa coś mówiła. Przypomniał sobie, że Spółka, o której opowiadał klient, miała siedzibę o dwie przecznice od jego mieszkania. Kupili je z żoną dziesięć lat temu, a od kiedy dwa lata temu żona zmarła, mieszkał w nim sam. Narzekał, że jest dla niego za duże, chciał je zmienić, jednak nie potrafił podjąć ostatecznej decyzji. Okazało się, że ów niespotykany u niego brak decyzyjności wyszedł w końcu na dobre. Gdy jego córka Justyna rozstała się z mężem, razem z wnuczką Maliną przeniosły się na chwilę do niego i ten stan trwał już od sześciu miesięcy. Sułecki z zainteresowaniem słuchał opowieści klienta dotyczącej jego bliskiego sąsiedztwa.

– W siedzibie naszej spółki mamy laboratorium chemiczne, którego jestem kierownikiem – kontynuował opowieść mężczyzna. – W trakcie

prac badawczych bez wiedzy moich przełożonych przeprowadziłem eksperyment, w wyniku którego uzyskałem bardzo niebezpieczną substancję trującą. Jej ulotnienie się może zagrażać życiu i zdrowiu osób znajdujących się w promieniu kilkuset metrów. O stanie zagrożenia powinienem powiadomić policję, ale ten stan istnieje już z mojej winy i obawiam się, że jak zawiadomię policję, to poniosę odpowiedzialność karną. Chcę się dowiedzieć, co mi grozi, zanim podejmę decyzję, bo mogę spróbować sam usunąć z laboratorium tę substancję i wtedy nikt się nie dowie o tym, co się stało.

Mecenas wziął z półki kodeks i przeczytał gościowi stosowne paragrafy.

– Samo spowodowanie bezpośredniego zagrożenia katastrofą zagrożone jest karą więzienia do ośmiu lat, a za spowodowanie katastrofy, której następstwem jest śmierć człowieka, przewidziana jest kara pozbawienia wolności do lat dwunastu. Jeśli dobrowolnie zapobiegnie pan niebezpieczeństwu, możliwe będzie nadzwyczajne złagodzenie kary. Niech pan natychmiast zawiadomi policję, póki nie jest za późno – zaproponował klientowi najlepsze w jego ocenie rozwiązanie.

– Sam nie wiem – wahał się inżynier. – Wtedy na pewno stracę pracę, a mam czworo dzieci na utrzymaniu. Muszę to przemyśleć.

– Jeśli pan pójdzie do więzienia, na pewno pan ich nie utrzyma – przestrzegął adwokat.

– Zastanowię się – zdecydował mężczyzna, po czym się pożegnał.

Po jego wyjściu adwokat zastanawiał się, co robić. Zachowanie klienta było skrajną nieodpowiedzialnością. Wszystkimi dostępnymi środkami próbował mu to wytłumaczyć, nie wiedział jednak, czy przyniesie to efekt. Najrozsądniej byłoby zawiadomić policję, ale on jako adwokat nie mógł przecież tego zrobić. Obowiązywała go nienaruszalna tajemnica adwokacka. Mógł tylko czekać na to, co się wydarzy. Myślał o tym jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym wstał z fotela i drżącymi rękoma wykręcił numer telefonu.

– Justyna, zabierz, proszę, natychmiast Malinę z domu i pojedźcie na działkę. Zadzwoń do ciebie, kiedy będziecie mogły wrócić. To może potrwać kilka dni. Nie, nie zwariowałem, zrób to... dlatego, że grozi wam niebezpieczeństwo. Nie mogę powiedzieć jakie, ale posłuchaj mnie i wyjedźcie natychmiast.

Po zakończeniu rozmowy Sułecki usiadł ponownie w fotelu i ukrył twarz w dłoniach. W duchu po raz pierwszy od bardzo dawna modlił się. Tego dnia nie pojechał już do klubu na brydża, tylko z kancelarii wrócił prosto do pustego domu.

Mecenas Wartkowski spotkał się z Antkiem następnego dnia w firmie i zreferował mu rozmowę z Sułeckim.

– Masz się u niego zgłosić w radzie adwokackiej jutro punktualnie o osiemnastej.

Antek poczuł, że znowu los się do niego uśmiechnął. Awans i wyjazd były do uratowania. Wychodząc z pracy, w windzie spotkał Marka.

– Idziesz na wódkę?

W barze Antek opowiedział Markowi o szansie, która się przed nim pojawiła. Gdy skończył, byli już po kilku szklaneczkach whisky.

– Wygląda na to, że wyslizgniesz się spod gilotyny – ocenił Marek.

– Tak, jest nieźle – potwierdził. – Ale z tą gilotyną to przesada, sytuacja nie była aż tak zła. Miałem przygotowany plan awaryjny.

– Jaki? – zainteresował się Marek.

– Mecenas twierdził, że nie mogę być adwokatem, bo nie rozumiem, co to znaczy tajemnica adwokacka. Postanowiłem wykazać, że nawet najwięksi adwokaci w pewnych sytuacjach mogą tę tajemnicę naruszyć, co im nie będzie przeszkadzało być dalej adwokatami. Chciałem udowodnić, że jemu też może się to zdarzyć.

– Nie wierzę, by można było starego na czymś takim przyłapać.

– I tu się zdziwisz. – Antek roześmiał się pijackim śmiechem. – Jest twardy, ale nie aż tak, żeby zostać świętym. Bronił się, ale go pokonałem. Najpierw poprosiłem kumpla aktora, żeby poszedł do jego kancelarii, udając klienta. W czasie rozmowy mimochodem przekazał mu poufną informację o przewidywanejwyżce cen akcji. Zakładałem, że Sułecki skorzysta z okazji i sam je kupi, czyli wykorzysta powierzoną mu tajemnicę, jednak stary okazał się twardy. Nie zainteresowało go to.

– Nie wierzę, że to zrobiłeś. – Marek nagle przetrzeźwiał i z niedowierzaniem wpatrywał się w kumpla.

– Zrobiłem, ale słuchaj, bo to jeszcze nie wszystko. Wysłałem do niego drugiego kolegę aktora, który też udawał klienta. Ten przedstawił się jako inżynier chemik, który stworzył zagrożenie katastrofą. Tak się nieszczęśliwie składało, że jego laboratorium było przy domu mecenasa. Tym razem Sułecki już nie był taki twardy. Zadzwoił



do córki, żeby wyjechała z wnuczką, bo grozi jej niebezpieczeństwo. Wiem, bo kumpel zostawił w jego gabinecie pluskwę. Wszystko słyszałem. Stary pękł i powiedział, że grozi im niebezpieczeństwo, zatem zdradził tajemnicę. Zrobił to samo, co u mnie uznał za niedopuszczalne – mówił z satysfakcją Antek. – Stracił moralne prawo, żeby mnie oceniać. Jeśli nie zechciałby uwzględnić mojego odwołania, miałbym na niego haka, by go do tego zmusić.

Marek z hałasem odstawił szklanę na blat stołu.

– Jesteś chory. – Długo wpatrywał się w Antka po czym dodał: – A może nie, może źle cię oceniłem, może jesteś po prostu nieprawdopodobnym skurwysynem.

Po jego wyjściu Antek powtarzał sam do siebie:

– Musiałem przecież tak zrobić. To był jedyny sposób.

Następnego dnia stawiał się w radzie adwokackiej punktualnie o osiemnastej. Ubrany w swój najlepszy garnitur pewnym krokiem wszedł po schodach na górę. Zastukał i nie czekając na odpowiedź, wkroczył do gabinetu. Zobaczył, jak mecenas Sułcki wyjmując z szuflady biurka dokumenty i pakuje je do kartonu.

– Dziękuję, panie mecenasie, że zgodził się pan mnie przyjąć – przerwał przedłużającą się zbyt długo ciszę Antek.

Sułcki spojrział na niego rozkojarzonym wzrokiem, jakby starał się sobie przypomnieć, z kim rozmawia. U starego pamięć już nie ta, pomyślał Antek. Ten miesiąc, który mnie z nim czeka, może się okazać nie taki łatwy, jak sądziłem.

– Mecenas Wartkowski przekazał mi, że mam się u pana mecenasu stawić o osiemnastej – na wszelki wypadek przypomniawszy staremu.

– A tak, pamiętam. Niestety, nasza umowa jest nieaktualna. Przepraszam, że pana nie uprzedziłem i musiał pan się fatygować.

– Nieaktualna? – zdumiał się Antek. – Dlaczego?

– Nie mogę rozpatrzyć pana odwołania, bo przestałem być adwokatem, nie mogłem nim być dalej – wyszeptał jakby sam do siebie staruszek.

– Jak to: przestał pan? Tak z dnia na dzień? – nie mógł zrozumieć Antek.

Staruszek kiwnął twierdząco głową.

– Zrobiłem coś, przez co uznałem, że nie mogę już dalej nosić togi – mówił jakby sam do siebie. – Dziś rano złożyłem wniosek o skreślenie

mnie z listy adwokatów.

To brzmiało jak zły sen, w który Antek nie mógł uwierzyć.

– A co będzie ze mną?

– Będzie dobrze – powiedział Sułcki. – Za rok będzie kolejny egzamin i na pewno się panu powiedzie.

Podniósł z podłogi karton z dokumentami i nie oglądając się za siebie, wyszedł z gabinetu.

## WYNIKI BADAŃ

Zdyszana wpadła do pokoju lekarskiego. Pusto, obchód musiał już się zacząć. Rzuciła płaszcz na krzesło, narzuciła na ramiona biały fartuch, wepchnęła do kieszeni stetoskop i starając się uspokoić oddech, ruszyła szpitalnym korytarzem. Za rogiem dostrzegła lekarzy wchodzących do sali. Na szczęście nie była bardzo spóźniona. Próbując niepostrzeżenie wślizgnąć się do pokoju chorych, miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej nieobecności. Profesor spostrzegł ją, gdy przekroczyła próg. Nie skomentował spóźnienia, tylko wymownie na nią spojrział. Przeprosiła i dołączyła do grupy lekarzy. Dlaczego to właśnie mnie się przydarza?, pomyślała.

Wstała o szóstej rano i udałoby się jej zdążyć na czas, gdyby nie splot nieszczęśliwych okoliczności. Córka, którą miała odwieźć do przedszkola, znalazła pod jej łóżkiem niedopity napój Oshee, porzucony tam przez męża po wieczornym treningu dżiu-dżitsu. W mgnieniu oka dziewczynce udało się wylać zawartość butelki na sukienkę. Uporała się z przebraniem córki w pięć minut. Miała jeszcze szansę nadrobić stracony czas, gdyby nie ta przeklęta smycz. Gdy mała jadła śniadanie, wyszła z psem na spacer. Roczny rodezjan afrykański był zachwycony, gdy zobaczył pierwsze tej zimy płatki śniegu spadające z nieba. Szarpnął, chcąc się bawić, i smycz pękła. Dopadła go piętnaście minut później tarzającego się w okruszkach śniegu na polach wilanowskich. Ciągnąc zwierzaka za obrozę, wróciła z nim do domu. W tym czasie połowa śniadania córki wylądowała na sukience i musiała kolejny raz ją przebrać. Wychodząc z domu, już była spóźniona. Na szczęście oddanie Marysi do przedszkola obyło się bez zakłóceń. Gorzej poszło ze starszymi dziećmi. Walcząc o miejsce parkingowe przed szkołą, wyprzedziła czarnego opla vectrę. Za późno spostrzegła za kierownicą nowego wychowawcę klasy jej syna. Chciała szybko wypchnąć dzieci z samochodu i zwać stamtąd. Niestety, nauczyciel rozpoznał ją i zapukał w szybę.

– Pani Ewo, chciałbym z panią porozmawiać.

Nie chodziło o miejsce, które zajęła, tylko o wczorajsze zachowanie syna. Z relacji Andrzeja wiedziała, że nowy wychowawca jest miły, ale bardzo nerwowy. Troska syna o stan nerwów pedagoga zaintrygowała ją. Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Andrzej nie był tym zachwycony, ale opowiedział, że z tą nerwowością to przez Baškę. Nie widząc związku między Bašką a nerwami nauczyciela, poprosiła o dokładniejsze wyjaśnienia. Syn opowiedział, że miał nieporozumienie z Bašką, czyli się z nią pokłócił. Na pytanie, o co, wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam. Przecież kłócimy się z nią zawsze dla zasady, więc nie ma żadnego znaczenia o co.

Jednak sam fakt kłótni syna z Bašką nie wyjaśniał przyczyn nadszarpniętych nerwów nauczyciela, dlatego drążyła dalej.

– Bo zaraz po kłótni z Bašką pogodziłem się z Matim – tłumaczył syn.

– Nie mieliśmy ze sobą w zeszłym tygodniu dobrych stosunków, ale teraz jesteśmy już przyjaciółmi.

Nadal nie rozumiała, w jaki sposób stosunki towarzyskie syna mają wpływ na nauczycielskie nerwy.

– Bo jak się z nim pogodziłem, to dyrektor kazał mi wyjść na korytarz. Zresztą nie tylko mnie, bo Bašce i Matiemu też.

– Dlaczego?

– Bo Wiktor rzucał w nas kredkami, które my odbijaliśmy. To nie była zresztą wina Wiktora, że nimi rzucał, bo Mati położył je obok Wiktora specjalnie, żeby go sprowokować. Wszystko byśmy sobie wyjaśnili, gdyby nie to, że pan kazał nam wyjść. Nie zmarnowaliśmy jednak tego czasu – pocieszał ją syn. – Na korytarzu rozmawialiśmy o filozofii.

– O filozofii? – zainteresowała się.

– Tak, zastanawialiśmy się, ile człowiek jest w stanie wytrzymać, i postanowiliśmy to sprawdzić. Co chwila otwieraliśmy drzwi do klasy, wołając „uuuuu!”.

Dziś od wychowawcy dowiedziała się, że to, o czym opowiadał jej syn, działo się w trakcie lekcji matematyki. Gdy rozmawiała z nauczycielem, Andrzej cicho otworzył tylne drzwi auta i nie oglądając się na siostrę, próbował zbiec do szkoły. Usiłowała go zatrzymać, gdy zorientowała się, że jest już za kwadrans ósma. Jeśli zamierzała zdążyć do pracy, musiała natychmiast jechać. Przeprosiła nauczyciela i obiecała, że porozmawia z synem. Na czerwonym świetle próbowała dokończyć makijaż. Ruszyła, kończąc jeszcze malowanie ust. Policjant w radiowozie

stojącym obok, którego nie zauważyła, dał jej znać lizakiem, by zjechała na pobocze. Wytłumaczenie, dlaczego nie zasługuje na mandat, zabrało jej te pięć minut, które przesądziły o spóźnieniu.

– Proszę zlecić badanie komputerowe klatki piersiowej, spirometrię i echo serca. – Uświadomiła sobie, że profesor zwraca się do niej.

– Oczywiście, zajmę się tym – potwierdziła odruchowo.

Po obchodzie poszła odwiedzić przyjętą wczoraj pacjentkę.

– Jak się pani czuje?

– Nie najlepiej. Pani doktor, co mi jest? – spytała kobieta, patrząc jej w oczy.

– Jeszcze nie wiemy, wszystko wyjaśni się, jak dostanę opisane zdjęcia.

Zmierzyła jej ciśnienie i osłuchiwała płuca.

– Mam już wyniki wczorajszych badań krwi – powiedziała kobieta.

– Dobrze, wezmę je. – Włożyła do kieszeni fartucha kopertę i wróciła do pokoju lekarskiego.

Powiesiła w szafie płaszcz, który przed obchodem cisnęła na krzesło. Na biurku znalazła wyniki badań radiologicznych.

Renata Lutomirska, lat 43. Na zdjęciach widać zaawansowany guz śródpiersia uciskający tchawicę i przylegający do serca. Nie miała wątpliwości, że trzeba operować natychmiast, bo jedyną szansą na przeżycie dla pacjentki było szybkie ustalenie rozpoznania. Obraz wskazywał na chłoniaka. Wzięła zdjęcie i poszła do ordynatora.

– Musimy operować natychmiast – zdecydował profesor. – Proszę zarezerwować na jutro salę. Ja przeprowadzę zabieg. Niech pani porozmawia z pacjentką.

W takich momentach nienawidziła swojego zawodu. Siedziała naprzeciwko Renaty Lutomirskiej w pustym pokoju lekarskim.

– Mam już wyniki pani badań – starała się mówić jak najspokojniejszym głosem.

– Bardzo źle to wygląda? – spytała pacjentka.

Wytłumaczyła, że jeśli natychmiast przeprowadzi się operację, możliwe będzie szybkie ustalenie rozpoznania. Wtedy da się przeprowadzić leczenie, które zwiększy szanse na przeżycie.

– Musi pani wyrazić zgodę na operację.

Kobieta podpisała dokumenty.

– Pani doktor, mam prośbę. – Wychodząc, pacjentka zatrzymała się w drzwiach.

– Tak?

– Proszę nie mówić nikomu z pacjentów. Nie przetrzymałabym słów współczucia.

Gdy wyszła, lekarka pomyślała o tym, ile takich rozmów dotąd przeprowadziła. Ile osób, z którymi rozmawiała o nadziei, już nie żyło.

Pacjentka, leżąc na łóżku, też myślała o statystyce.

– Poproszę panią na badania przed jutrzejszym zabiegiem – wyrwała ją z zadumy pielęgniarka.

Gdy wyszła, dwie pacjentki leżące na tej samej sali spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Ledwo ją przyjęli, a już ma zabieg – skomentowała starsza.

– Pewnie znajoma lekarki, załatwią ją bez kolejki

– Albo dała jej w łapę. Jak się posmaruje, to wszystko ma się załatwione ekspresem.

– Ma pani rację. Sama widziałam, nawet się z tym nie kryła. –

Barbara Mnich przypomniała sobie, jak po obchodzie pacjentka przekazywała lekarce kopertę.

Następnego dnia Ewie udało się zdążyć na odprawę. Umówiła się z mężem, że on wyprowadzi psa, i wyszła z domu dziesięć minut wcześniej niż zwykle. W przedszkolu poszło sprawnie. Chwilę grozy przeżyła, gdy natknęła się na wychowawcę syna, który ponownie oznajmił, że musi z nią porozmawiać.

– Co się stało? – spytała przestraszona, snując w myślach coraz straszniejsze scenariusze. Dlaczego Andrzej nic jej wczoraj nie powiedział?

– Profesor Niwiński mówił mi, że ma duże zastrzeżenia co do zachowania Andrzeja – przywrócił ją do rzeczywistości głos nauczyciela.

– Jakie zastrzeżenia?

– Śpiewał na muzyce, a wie pani, że przy jego głosie to przeszkadza w lekcji.

Ewa nadrobiła stracony czas, wjeżdżając na skrzyżowania na żółtym świetle. Po drodze myślała o pacjentce. Bezwiednie zacisnęła ręce na kierownicy. Po obchodzie Renatę Lutomirską zawieziono na salę operacyjną, ona zaś wróciła do swoich pacjentów. Zaczęła od zbadania

i przeprowadzenia wywiadu z przyjętą przed dwoma dniami Barbarą Mnich. Była jej lekarzem prowadzącym.

– Jak się pani czuje?

– Nie najlepiej, pani doktor. Chciałabym być już zoperowana.

– Tak się pani śpieszy? Najpierw musimy mieć wyniki pani badań. Może się okazać, że operacja nie będzie potrzebna – starała się ją pocieszyć.

– Część wyników już mam. – Kobieta podała jej kopertę leżącą na stoliku przy łóżku.

– Dziękuję, przejrzę je. – Ewa wsadziła badania do kieszeni fartucha.

Idąc korytarzem, analizowała stan pacjentki. Barbara Mnich, lat 36, przyjęta z rozpoznaniem płynu w opłucnej. Na wczorajszym obchodzie profesor zlecił USG opłucnej, badanie laboratoryjne krwi i bronchoskopię, które zamierzała dziś umówić. Dopiero te badania dadzą prawidłowy obraz kliniczny pacjentki i wtedy będzie możliwe wybranie metody leczenia. Nagle Ewa się zaniepokoiła. Pacjentka została przedwczoraj przyjęta do szpitala. Na wczorajszym obchodzie profesor zdecydował, jakie badania trzeba zrobić. Ona jako lekarz prowadzący rozmawiała dziś z pacjentką po raz pierwszy. Nie zlecała dotąd wykonania żadnych badań, zatem jaki wynik chora dała jej przed chwilą?

Lekarka wyciągnęła z kieszeni kopertę. W środku był plik banknotów. Powstrzymując się, żeby nie zakłócić na szpitalnym korytarzu, gwałtownie zawróciła. Zastanawiała się, co powinna zrobić, czy powiedzieć o incydencie tylko ordynatorowi, czy zadzwonić na policję. Pacjentka popełniła przestępstwo, ale rozumiała jej motywę. Była chora i robiła wszystko, co w jej przekonaniu zwielokrotniało jej szanse. Ewa uznała, że odda pieniądze, po czym opowie o zdarzeniu ordynatorowi, a on zdecyduje co dalej. Dostrzegła Barbarę Mnich idącą korytarzem w towarzystwie dwóch mężczyzn. Dziwne, pomyślała, przecież to nie pora odwiedzin. Jak im się udało wejść na teren oddziału? W pierwszym odruchu zamierzała od razu oddać jej kopertę, ale nie chciała wywoływać zamieszania na korytarzu. Uznała, że odda kopertę ordynatorowi. Gdy mijala pacjentkę, jeden z towarzyszących jej mężczyzn ujął Ewę za ramię.

– Pani Ewa Rawicz?

– Tak – potwierdziła.

Otworzył plastikowe etui, pokazując odznakę.

– Centralne Biuro Antykorupcyjne. Jest pani zatrzymana pod zarzutem przyjęcia korzyści majątkowej.

Wpatrywała się w błyszczącą odznakę, nie rozumiejąc nic z tego, co się obok niej dzieje.

– To jakieś nieporozumienie – odpowiedziała odruchowo. Powtórzyła kwestię zapamiętaną z filmu, w którym główna bohaterka odezwała się tak samo do zatrzymujących ją policjantów. Przypomniała sobie następne kadry z tego filmu. Zatrzymana kobieta została skazana na pięć lat więzienia. Przed oczami stanęła jej scena, w której sąd ogłaszał wyrok. Zaczęła drżeć i jeszcze raz, tym razem głośniejsze i rozpaczliwiej spytała: – O co panom chodzi? To jakieś nieporozumienie.

– Nie wydaje mi się. – Funkcjonariusz wyjął jej z ręki kopertę z pieniędzmi i wrzucił ją do foliowej torebki.

– To nie moje. – Ewa starała się wyjaśnić sytuację. – Nie wiedziałam, że w kopercie są pieniądze. Myślałam, że to wyniki badań.

– Niech pani opowie to sędziemu – poradził mężczyzna. – Nie sądzę, żeby pani go przekonała. Wręczenie korzyści majątkowej mamy zarejestrowane na taśmie. Trzy lata, posiedzi pani co najmniej trzy lata.

– Za przyjmowanie łapówek mniej nie dają – potwierdził drugi z funkcjonariuszy. – A pani dziękuję za obywatelską postawę – zwrócił się do Barbary Mnich. – Z panią zaś jedziemy do prokuratora – zwrócił się ponownie do Ewy. – Radziłbym, żeby się pani przyznała. Prokurator zażąda wtedy mniejszej kary, a jak opowie pani, kto jeszcze z kolegów bierze, może zaproponuje pani zawiasy.

Przerażona Ewa zastanawiała się, jak mogło dojść do tego nieporozumienia. Przecież nie prosiła o żadne pieniądze. Odtwarzała zdarzenia sprzed kilku minut, kiedy Barbara Mnich dała jej kopertę, mówiąc, że to wyniki badań. Dlaczego tak zrobiła? Cofnęła się pamięcią jeszcze dzień wcześniej i wtedy zrozumiała, co się wydarzyło. Po obchodzie Renata Lutomińska dała jej kopertę z wynikami badań krwi, które zostawiła jej pielęgniarka. Godzinę później ordynator podjął decyzję, że chora ma być nazajutrz operowana. Barbara Mnich leżąca na łóżku obok widziała całą sytuację i musiała pomyśleć, że w kopercie była łapówka, która przyspieszyła operację. Zadzwoiła do Centralnego Biura Antykorupcyjnego z donosem, a funkcjonariusze zorganizowali prowokację.



Ewa myślała, jak by to wyjaśnić, i odetchnęła z ulgą, gdy uświadomiła sobie, że to nie będzie takie trudne. Wystarczy, że funkcjonariusze spytają Renatę Lutomirską, co było w kopercie. Szkoda, że nie mogli tego zrobić od razu, ale jej świadek był teraz na sali operacyjnej. Uświadomiła sobie, że operacja może potrwać jeszcze kilka godzin, potem trzeba będzie czekać na wybudzenie pacjentki. Najwcześniej będzie ją można przesłuchać dopiero jutro, a to mogło oznaczać noc spędzoną na komisariacie.

Kto odbierze dzieciaki z przedszkola i ze szkoły, zastanawiała się rozdrażniona? W końcu, gdy zdała sobie sprawę, że kłopot spadnie na Wojtka, złośliwie się uśmiechnęła. Mąż zawsze twierdził, że z nich dwojga to on jest naprawdę zajęty. Niech choć przez jeden dzień dowie się, co to znaczy równocześnie pracować i zajmować się dziećmi. Ona dostanie dzień wolny i zamiast zadręczać się, czy zdąży do przedszkola przed zamknięciem, porozmawia sobie spokojnie z prokuratorem. Wyobrażała sobie miny funkcjonariuszy, gdy dowiedzą się jutro prawdy. Prowadzili ją korytarzem do wyjścia. Obok nich otworzyły się drzwi od bloku operacyjnego i wyszedł stamtąd profesor Ostrowski z asystentami. Dlaczego tak szybko?, pomyślała. Operacja powinna jeszcze trwać. Spojrzała na szefa pytająco.

– W trakcie operacji nastąpiło nagłe zatrzymanie krążenia. Reanimacja nieskuteczna. Przyczyną zgonu był rozległy masywny zator płucny – wyjaśnił szef.

Biedna dziewczyna, pomyślała Ewa. Po chwili zdała sobie sprawę, że jeśli ona nie żyje, to nie będzie mogła opowiedzieć o tym, co było w kopercie. Pozostanie jej słowo przeciwko słowu Barbary Mnich, która zezna, że widziała, iż Ewa przyjęła łapówkę. Do tego dowód w postaci koperty, którą zatrzymali przy niej agenci. Czy ktoś jej uwierzy na słowo? Przypomniała sobie, że po południu miała iść z córką do ortodonta, a wracając stamtąd, odebrać marynarkę męża z pralni. Była mu potrzebna na jutrzejszy kongres. On nie może odebrać, bo dziś ma dyżur do dwudziestej drugiej. Zorientowała się, że płacze, dopiero gdy przechodząca korytarzem pacjentka podała jej chusteczkę.

## DOBRE OPŁACANY PRACOWNIK

Ławka była twarda. Żałował, że nie wziął ze sobą poduszki, dopóki nie uświadomił sobie, jak śmiesznie by to wyglądało, gdyby wyciągnął ją z neseseru i podłożył sobie pod tyłek. Przez cały dzień byłby najzabawniejszym bohaterem wszystkich serwisów informacyjnych. Mógł sobie wyobrazić te komentarze – przestępca o twardym sercu i wrażliwych pośladkach. Odwrócił głowę i patrzył na kamery telewizyjne z wycelowanymi w niego obiektywami. Teraz były martwe, porzucone przez operatorów, wiedział jednak, że niebawem sala w mgnieniu oka zapełni się ludźmi, a kamery ożyją. Wtedy on stanie się głównym bohaterem wiadomości. Na razie jednak na sali panował spokój. Cisza, która na początku pozwalała mu się uspokoić, teraz coraz bardziej stawała się nie do zniesienia, czekał już trzecią godzinę. Wstał, wyszedł zza swojej ławy i miarowo, pięć kroków w jedną stronę, obrót, i pięć kroków w drugą, przechadzał się po sali. Postronnemu obserwatorowi mógł wydawać się spokojny, jednak wewnątrz czuł napięcie, mięśnie szyi zaciskały mu się i utrudniały oddech. Wreszcie otworzyły się masywne drzwi sali narad, a protokolant donośnym głosem oznajmił:

– Ogłoszenie wyroku w sprawie Jerzego Marcza.

Operatorzy w pośpiechu zajmowali miejsca za kamerami. Fotoreporterzy kierowali w jego stronę obiektywy aparatów, licząc, że uda im się uchwycić strach na twarzy bohatera dzisiejszych newsów. Oddychając głęboko, starał się sprawiać wrażenie jak najbardziej opanowanego. Zdawał sobie sprawę, że jeśli okaże ślad słabości, zostanie to pokazane z odpowiednim redakcyjnym komentarzem w jutrzejszych gazetach. Nie okazując emocji, wrócił na swoje miejsce na ławie oskarżonych.

– Proszę wstać. Sąd idzie – oznajmił tubalnym głosem protokolant.

Publiczność nauczona już przez wiele dni procesu procedury sądowej wstała. Na salę rozpraw weszło troje sędziów ubranych w czarne togi z niebieskimi wypustkami.

– Proszę wstać, będzie głoszony wyrok – wyrecytował urzędową formułę przewodniczący składu sędziowskiego, jakby nie dostrzegając, że wszyscy stoją.

Marczak poczuł, że kropelki potu spływają mu po czole. Miał ochotę stać się niewidzialny albo zmienić się w małe zwierzątko i zwiać, zanim ktokolwiek spróbuje go zatrzymać. Są jednak marzenia, których nie można spełnić. Świadom tego stał wyprężony, starając się sprawiać wrażenie, że w tym decydującym momencie zachowuje spokój, bo jest pewien swojej niewinności. Tak mu polecił adwokat.

Wbił wzrok w sędziów i obserwował, jak przewodniczący położył przed sobą kartki z zapisaną treścią wyroku. Jeszcze kilkanaście sekund i dowie się, co zdecydowali ci ludzie ubrani w togi. Fakt, że znalazł się w tym miejscu, nadal wydawał mu się czymś nierzeczywistym. Takie rzeczy oglądało się w kinie. Gdyby rok temu ktoś mu powiedział, że otoczony przez tłum dziennikarzy będzie oczekiwał na ogłoszenie wyroku, popukałby się znacząco w głowę. A wszystko przez to, że zamiast iść z kumplami na piwo, postanowił przykładowo wrócić do domu.

Po skończeniu studiów na Politechnice Warszawskiej świeżo upieczony inżynier Jerzy Marczak rozpoczął pracę w firmie Beton-bud, podwykonawcy obwodnicy Warszawy. Zdobywszy stałą pracę, mógł przystąpić do spełniania osobistych planów, a jego najskrytszym marzeniem było poślubienie koleżanki ze studiów, Danusi.

Dziewczyna oczarowała go, w chwili gdy ją zobaczył po raz pierwszy na wykładzie z obróbki skrawaniem. Siedziała z dwiema koleżankami w trzecim rzędzie auli, a on wpatrywał się w jej platynowe kręcone włosy, przybierające w jego wyobraźni obraz złotych jak len sprężyn prawoskrętnych stożkowych układających się na jej szyi jak na idealnym hydraulicznym tłoku. Z zachwyty nie mógł od niej oderwać oczu, wyobrażając sobie, jakim mogliby się stać idealnym zestawem naczyń połączonych. Nie pamiętał ani słowa z wykładu, za to zapamiętał, że gdy zajęcia się skończyły, Danusia wstała i wyszła, a on został i wpatrywał się w miejsce, w którym do niedawna siedziała.

Przez następny tydzień śniła mu się każdej nocy, najpierw z daleka, oddzielona drewnianymi ławkami auli, potem coraz bliżej i bliżej, tak że mógł poczuć jej zapach. Na następnym wykładzie usiadł w czwartym rzędzie, za miejscem, na którym siedziała poprzednio. Niestety,

na wykład o obróbce cieplnej po spawaniu nie przyszła. Zobaczył ją po tygodniu w krótkiej czerwonej sukience z Benettona i dżinsowej kurtce narzuconej na ramiona. Przez kolejne siedem nocy dzielące go do następnego wykładu zdejmował z niej kurtkę, a potem rozbierał z obcistej czerwonej sukienki. Jego wyobraźnia działała dużo skuteczniej niż on, bo gdy po miesiącu znaleźli się oboje w tym samym gronie, zaniemówił i nie odezwał się do niej nawet słowem. Na następne wykłady Danusia przychodziła w różnych coraz lżejszych sukienkach, lecz w jego wyobraźni nadal pojawiała się w czerwieni.

Był koniec maja, gdy postanowił wreszcie ją zagadnąć. Przygotowywał się do tego spotkania, ćwicząc różne warianty błyskotliwej rozmowy, której finałem miało być zaproszenie jej na kawę. Niestety, dziewczyna powiedziała mu, że nie może z nim rozmawiać, bo bardzo się śpieszy. W kolejnych dniach Jerzy zaprzestał w snach rozdzielania Danusi i skoncentrował się na odgadywaniu powodów jej pośpiechu. Po tygodniu dowiedział się, że jego wybranka poznała Zbyszka.

Jerzy był człowiekiem wierzącym i postanowił jej wybaczyć. Wiedział, że wszyscy są narażeni na pokusy i nim wybiorą właściwą drogę, mogą zbłądzić. Czuł, że on z Danusią są sobie przeznaczeni, więc dziewczyna zawróci w końcu z błędnie obranej miłosnej drogi, by skierować swoje serce ku niemu. Postanowił czekać.

Czekał długo, skończył studia i uzyskał tytuł inżyniera. Cud nastąpił w dniu, w którym odbierał dyplom. Dowiedział się, że kilka dni wcześniej Zbyszek rzucił jego ukochaną. To była szansa, której nie zamierzał zmarnować. Każdą wolną chwilę spędzał na korytarzu wydziału, czekając na Danusię.

Jak w dobrej bajce jego wysiłki zostały nagrodzone. Szła powoli z opuszczoną głową, przygaszona, niepodobna do samej siebie. Przez ostatnie lata studiował miłosne poradniki i wiedział, jak w takiej sytuacji powinien postąpić kochający mężczyzna. Wkroczył w jej życie z odwagą rycerza i delikatnością chirurga miękkiego.

– Wyglądasz jak kwitnąca stokrotka – zagadnął ją uprzednio przygotowanym romantycznym powitaniem.

– Słucham? – Popatrzyła na niego, jakby nie rozumiała.

Jerzy zdawał sobie sprawę, że dziewczynie po przejściach należy wszystko wybaczyć, dlatego rezygnując z romantycznych porównań,

w prostych słowach wyraził sens swoich myśli.

– Wyglądasz przepięknie – powiedział, z żalem konstatując, że zamiast jego ulubionej sukienki dziewczyna ma na sobie workowate spodnie.

– A tak, to znaczy raczej nie. – Danusia zrozumiała komplement, acz wydawała się z nim nie zgadzać.

Jerzy uznał, że zdobędzie pierwszy bastion, przekonując ją do swojego poglądu. I zaatakował, mówiąc wszystko, co przez ostatni czas zebrało się w jego głowie na temat jej urody. Dziewczyna, jakby odgradzona od niego żelazną kurtyną, zdawała się nadal nie rozumieć jego słów, lecz on niespieszony mówił dalej. W końcu dostrzegł, że udaje mu się przebić przez jej fortyfikacje obronne.

– No co ty, naprawdę? – spytała z niedowierzaniem, jednocześnie jednak zadowolona z tego, co słyszy.

– Pewnie, że naprawdę – przekonywał ją żarliwie, rzucając do miłosnego boju najpiękniejsze słowa, które mu przychodziły do głowy.

Czuł, że opór dziewczyny się kruszy. Wtedy zdecydował się przejść do decydującego ataku.

– Czy mogę zaprosić cię na kawę? – spytał, kładąc ręce na policzkach, bo poczuł, że się rumieni.

Cafe latte wypili w kawiarni przy Noakowskiego. Kiedy się pożegnali, Jerzy zastanawiał się, czy przedpołudnie należy uznać za udane ze względu na to, że przyjęła zaproszenie, czy też za nieudane, bo ona milczała, więc on musiał przez cały czas mówić. Przyjął ten drugi wariant. Uznał, że przyczyną milczenia Danusi była jej wrodzona skromność i że kiedy się już lepiej poznają, dziewczyna poczuje się śmielsza i przemówi. Stwierdził zatem, że czas kuć żelazo, póki gorące.

W sobotę kupił bukiet herbacianych róż i udał się kolejką podmiejską do Grodziska Mazowieckiego, by złożyć Danusi niezapowiedzianą wizytę. Amor musiał być w tej wyprawie jego sprzymierzeńcem, bo dziewczyna była w domu i otworzyła mu drzwi odziana w koszulę nocną, spod której wylaniały się prowokująco piękne kolana. W odpowiedzi na jej zdumione spojrzenie Jerzy powiedział, że przybył bez zaproszenia, bo poczuł, że koniecznie musi zabrać ją na spacer. I, o dziwo, udało mu się do tego pomysłu przekonać Danusię. Po dwóch kwadransach, które spędził na ławce przed blokiem, pojawiła się w chabrowej sukience na ramiączkach. Rozmawiając o życiu, odbyli

spacer wokół rynku, po czym zjedli w kawiarnianym ogródku pączki, popijając je białym półsłodkim winem gronowym.

Wracając po południu kolejką podmiejską, Jerzy postanowił, że będzie się tu pojawiał w kolejne weekendy. W czasie następnego spotkaniu spytał Danusię, czy chce z nim chodzić, na co dziewczyna wprawdzie nie udzieliła odpowiedzi twierdzącej, ale również nie odmówiła.

Po trzech miesiącach Jerzy odwiedził galerię handlową Złote Tarasy, gdzie w firmie jubilerskiej Apart nabył złoty pierścionek ozdobiony brylantem. Dokupiwszy w kwiaciarni bukiet dwudziestu jeden czerwonych róż, jak zwykle pociągami podmiejskim udał się do Grodziska Mazowieckiego, gdzie po wejściu do mieszkania zażądał obecności rodziców Danusi, a następnie rzuciwszy się przed ukochaną na kolana, poprosił ją o rękę.

Pierwszy zareagował ojciec, wykrzyknąwszy spontanicznie, że oświadczy przyjąć i że jest gotów wydać narzeczonemu oblubienicę od ręki, po czym wyraził gotowość udania się do pobliskiego sklepu spożywczego Biedronka celem nabycia trunków umożliwiających stosowne uczczenie tak uroczystej chwili. U matki wybranki zwyciężył racjonalizm i spytała Jerzego o konkrety, czyli gdzie – bo u nich to wykluczone – młodzi zamierzają zamieszkać po ślubie.

Danusia milczała oszołomiona rozgrywającymi się wokół niej wydarzeniami. Wyrwany do tablicy Jerzy złożył spontaniczne oświadczenie, że wystąpi o stosowny kredyt bankowy celem nabycia mieszkania, w którym zamieszkają po ślubie wraz z ukochaną. Danusia w końcu chciała wypowiedzieć się w sprawie oświadczeń, ale nie zdążyła, bo rodzice bezzwłocznie przyjęli oświadczenia, stawiając jednak warunek, że do planowanego ślubu dojdzie, dopiero gdy Jerzy okaże klucze do mieszkania.

Uzyskawszy aprobatę przyszłych teściów, Jerzy nałożył na palec narzeczonej pierścionek z brylantem, ojciec Danusi udał się do sklepu po napitek, mama zaś do kuchni przygotować stosowne zakąski. Gdy młodzi zostali sam na sam, narzeczona chciała w dalszym ciągu coś powiedzieć, ale z tego wszystkiego się popłakała. Jerzy objął ją i przytulił, szepcząc do ucha wersy miłosnego wiersza, których nauczył się na pamięć w kolejce. Nim Danusia doszła do siebie, wrócił jej ojciec z czterema butelkami wódki czystej wyborowej.

Jerzy powrócił do domu ostatnim pociągiem kolejki podmiejskiej oszołomiony miłosnym sukcesem. Gdy o poranku udało mu się otworzyć zmęczone przejściami dnia poprzedniego oczy, wstał i udał się do pobliskiego oddziału PKO BP SA celem uzyskania kredytu na nabycie nieruchomości. Etat i nie najgorsza pensja czyniły go wiarygodnym kontrahentem dla banku, skutkiem czego przyznano mu kredyt umożliwiający nabycie dwupokojowego mieszkania o powierzchni trzydziestu ośmiu metrów w nowo wybudowanym bloku na warszawskiej Białolece.

Z decyzją kredytową i bukietem róż Jerzy udał się do domu wybranki, gdzie został owacyjnie powitany przez członków jej rodziny. Zapoznawszy się z pismem z banku, ojciec narzeczonej ponownie podążył do pobliskiego sklepu Biedronka, by nabyć napitek stosowny do zamierzonych działań, czyli planowania ślubu córki.

Ślub młodych odbył się trzy miesiące później w Parafii św. Anny w Grodzisku Mazowieckim, po czym młodzi udali się w podróż poślubną na grecką wyspę Chalkidiki. W tawernie przy samej plaży Jerzy wzrokiem przepełnionym miłością wpatrywał się w swoją ukochaną. Jego marzenia się spełniły. U kelnera zamówił dwie porcje grillowanej ośmiornicy i dzbanek chłodnego białego wina. Jedli, pili, a on snuł przed ukochaną plany na dalszą część ich życia. Po północy młodzi wrócili do pokoju, gdzie rozegrała się scena, którą Jerzy od momentu, gdy zobaczył Danusię na sali wykładowej politechniki, tysiące razy odgrywał w wyobraźni. Zdjął z żony białą sukienkę, przytulił ją do siebie, a potem, nie mogąc powstrzymać nagłego pożądania, gwałtownie w nią wszedł. Gdy skończył, dysząc ciężko, wtulił się w jej ramiona, szepcząc jej w ucho najskrytsze miłosne zaklęcia. Nieoczekiwanie Danusia odepchnęła go, zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki.

– To chyba ta ośmiornica – wyjaśniła, gdy po godzinie blada osunęła się na prześcieradło. Zasnęła niemal natychmiast.

Podeksycytowany miłosnymi przeżyciami Jerzy nie mógł zasnąć do świtu i leżąc u jej boku wyobrażał kolejne ich egzotyczne noce.

Następny dzień spędzili na plaży, rozkoszując się piaskiem, wodą i słońcem. Gdy po kolacji Jerzy wziął żonę za rękę i ruszył do sypialni, Danusia źle się poczuła. Wezwany lekarz stwierdził porażenie słoneczne, zrobił zastrzyk i nakazał chorej przebywanie do końca pobytu

w chłodnym zaciemnionym pomieszczeniu. Jerzy zrozumiał, że ich wielka miłosna odyseja musi nieco poczekać.

Po powrocie z podróży poślubnej wprowadzili się do nowego mieszkania. Danusia już wyzdrowiała i Jerzy, wracając autobusem z pracy, wyobrażał sobie, jak z ukochaną nadrabiają stracony dla miłosnych doznań czas podróży poślubnej. W sklepie spożywczym pod domem nabył białe wino, w kwiaciarni bukiet frezji. Czując narastające podniecenie, wbiegł do salonu, przytulił żonę i dowiedział się, że ich uczuciowe plany będą musiały poczekać, bo ukochana ma nudności.

Przedłużające się złe samopoczucie Danusi zmobilizowało ich do odwiedzenia lekarza, od którego dowiedzieli się, że powodem jest ciąża. Jerzy był dumny, jeden stosunek odbyty z ukochaną na egzotycznej wyspie i od razu perspektywa potomka. Danusia coś wspominała, że to wcale nie tak miało wyglądać, ale on dumnie wypinając pierś, przekonywał ukochaną, że dziecko umocni tylko ich miłosną więź.

Jakiś czas później lekarz poinformował Jerzego, że będzie ojcem nie jednego, ale czworga potomków, a w trakcie kolejnej wizyty uściślił, że będą to najprawdopodobniej same dziewczynki. Usłyszawszy tę wiadomość, Danusia zamknęła się w sobie, co spowodowało, że ich życie seksualno-uczuciowe uległo zawieszeniu.

Nie było zresztą na nie czasu, gdyż Jerzy stanął przed koniecznością dostosowania ich dwupokojowego mieszkania do potrzeb sześćoosobowej rodziny. Wiosną następnego roku Danusia urodziła cztery prześliczne córki: Sarę, Sabinę, Elizę i Eleonorę. Konieczność opieki nad nimi spowodowała, że zamieszkała z nimi teściowa. W efekcie życie intymne małżonków musiało zostać odroczone po raz kolejny, i to na bliżej nieokreśloną przyszłość. Zresztą Jerzy i tak nie miałby na nie czasu, bo konieczność spłacania kredytu połączona z obowiązkiem utrzymania sześćoosobowej rodziny powodowała, że brał wszystkie dodatkowe zlecenia, jakie były do wzięcia.

Po dwóch latach teściowa wyprowadziła się od nich, uznawszy, że jej misja wspierania młodej matki może się już zakończyć. Z tym dniem Jerzy wiązał wielkie nadzieje erotyczne, które rozrastały się w jego wyobraźni do scenariusza atrakcyjniejszego od przygód Emmanuelle. Wracając z pracy, nabył wino, które zostało zlekceważone przez ukochaną, więc wypił je samotnie.



W łóżku Jerzy przytulił się czule do żony. Nim jednak Danusia zdążyła okazać zdziwienie takim zachowaniem, do ich sypialni wkroczyła Eleonora, informując, że chce spać z mamusią. W ten sposób plany Jerzego zostały odłożone ad Kalendas Graecas. Każdego, bowiem wieczoru w ich sypialni zjawiały się kolejno wszystkie córki z ukochanymi pluszakami. Każdego poranka Jerzy budził się zepchnięty na skraj łóżka w towarzystwie żony, czterech córek, pluszowych niedźwiadków, piesków, osiołków, tygrysków. Nim zdążył po bezsennej nocy otworzyć oczy, któraś z córek oświadczała, że chce oglądać film, więc łóżko zmieniało się w kino, a on z ulgą wychodził do pracy, bo tylko tam miał szansę na chwilę spokoju. I mógł pomarzyć o żonie, wspominając ich pierwszy i ostatni miłosny wieczór na egzotycznej wyspie Chalkidiki.

W domu Danusia coraz częściej podważała jego kompetencje jako ojca rodziny, podnosząc, że została skazana na życie z nieudacznikiem, i wypominała mężowi, że za jego pensję w kwocie czterech tysięcy czterystu złotych nie jest w stanie ubrać i wyżywić rodziny. Żądała, by Jerzy wziął się w końcu do prawdziwej roboty. Jerzy posłusznie brał kolejne fuchy, pracując po czternaście godzin na dobę. Miał przy tym świadomość, że nie umożliwi im to zamiany mieszkania, które rozpaczliwie kurczyło się wraz z dorastaniem córek.

Wkrótce okazało się, że dotąd wcale nie było tak źle i może być znacznie gorzej – firma, w której pracował, zbankrutowała. Dowiedziawszy się o tym, żona przestała się do niego odzywać. Stwierdziła, że od początku przewidywała, że Jerzy jest największym nieporozumieniem jej życia. A potem zabrawszy ze sobą córki, pojechała do Grodziska, by oskarżyć rodziców, że przyjmując w jej imieniu oświadczyzny, oni również przyczynili się do zrujnowania jej życia. Po dwóch dniach nieobecności Danusia wróciła do domu i od tego czasu konsekwentnie milczała.

Jerzy zarejestrował się w urzędzie dla bezrobotnych i całe dni spędzał na poszukiwaniu posady. Pewnego majowego popołudnia koledzy z byłej już pracy wyciągnęli go na piwo. Po pierwszej kolejce zorientował się, że spotkanie wkrótce zamieni się w męską pijatykę, pożegnał się więc i ruszył do domu. W pewnej chwili poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Był przekonany, że to któryś z kumpli chce go namówić do powrotu. Za sobą spostrzegł jednak nieznanego

mężczyznę około trzydziestki. W pierwszym odruchu chciał go odepchnąć, jednak powstrzymał się, bo twarz mężczyzny wzbudziła w nim jakieś wspomnienia.

– Jerzy? – spytał nieznajomy, jakby szukając potwierdzenia.

– Tak. – Wciąż próbował przypisać twarz i głos do kogoś ze swojej przeszłości. W końcu sobie przypomniał.

– Antek. – Rozpoznał kolegę z podstawówki mieszkającego kiedyś w sąsiednim bloku. Kierowani nagłym odruchem padli sobie w ramiona.

– Co u ciebie? – dopytywał się Antek.

Jerzy ograniczył się do stwierdzenia, że wszystko w porządku, po czym spytał kolegę o to samo. Szukał w pamięci szczegółów ich wzajemnej relacji. I uświadomił sobie, że nie były one zbyt sielankowe. Spotkali się w czwartej klasie, kilka dni po tym jak Jerzy wraz z rodzicami sprowadził się na nowe osiedle. Pamiętał, że jechał wtedy po chodniku na wrotkach i skręcając, wpadł na Antka. Nastąpiła ostra wymiana nieparlamentarnych słów, w wyniku której obaj unieśli do góry pięści gotowi do walki. Nie doszło jednak do wymiany bokerskich ciosów, bowiem Antek markując sierpowy, uderzył przeciwnika w pierś, w następstwie czego Jerzy runął na plecy. Na chwilę stracił oddech, a potem zorientował się, że napastnik siedzi na nim okrakiem. Odruchowo zasłonił twarz przed ciosem. Ale Antek nie uderzył, przyciągnął jego dłoń do chodnikowej płyty i zaczął nią mocno pocierać o szorstką nawierzchnię. Jerzy poczuł, że z rozdartej skóry płynie krew. Nieprzyzwyczajony do tak brutalnej formy podwórkowej walki poddał się.

Przez kilka tygodni przekonywał sam siebie, że przegrał, bo na wrotkach trudno w takiej sytuacji utrzymać równowagę. Wkrótce los dał mu szansę zweryfikowania tej wersji. Spotkali się w szkolnej szatni, gdzie Antek zażądał pięciu złotych. Jerzy uznał, że to dobry pretekst do wyrównania rachunku. Próba skończyła się jego wizytą w szkolnym ambulatorium z rozbitym nosem, co uświadomiło mu, że pojedynki bokerskie nie są dziedziną, w której powinien rywalizować z Antkiem.

To zakończyło fizyczną rywalizację, ale ich towarzyskie stosunki nigdy nie zbliżyły się do koleżeńskich. Kilka rozmów w szkole czy na podwórku, kilka wspólnych szkolnych imprez, w których obaj brali udział. I to wszystko.

Jerzy przypominał sobie, że gdy doszli do pełnoletności, Antek miał jakieś kłopoty z prawem, lecz nie pamiętał, na czym one polegały. Potem gdzieś się wyprowadził i ich kontakty się urwały. Teraz spotkali się po prawie dwunastu latach. Jerzy uznał, że po grzecznościowej wymianie zdań zakończy spotkanie i złapie autobus do domu. Antek zaproponował, żeby poszli coś zjeść i pogadać o dawnych czasach. Jerzy odmówił.

– Nie daj się prosić – nalegał Antek. – Od lat nie miałem kontaktu z nikim z naszej dawnej paczki.

Jerzy nigdy by nie powiedział, że on i Antek należeli do jednej paczki. Gdy wkuwał, żeby dostać się na studia, Antek robił podejrzanе interesy. Zapewne skończyło się to wyrokiem i pobytem w więzieniu. Antek zapewne był spłukany i liczył, że przypadkowo spotkany kolega postawi mu obiad. Jerzy pamiętał, że w kieszeni ma pięćdziesiąt złotych. Zdecydowanie za mało.

– Ja zapraszam – przerwał jego rozterki Antek. – Znam takie jedno smaczne miejsce. Chodźmy.

Jerzy potulnie za nim ruszył. Nie uszli więcej niż sto metrów, gdy Antek zatrzymał się przed ciemnografitową limuzyną i sięgnął do klamki. Pod Jerzym ugięły się kolana. Czy zostanie wmieszany w kradzież samochodu? To się nie może udać. Raz jeszcze spojrzął na samochód, w którym rozpoznał najnowszy model Jaguara, i złapał Antka za ramię, chcąc go powstrzymać przed zrobienia głupstwa. Kolega wybuchnął szczerym śmiechem.

– Zwariowałeś? To mój. – Pokazał Jerzemu kluczyki. – Wsiadaj.

Skąd on na to ma? – zastanawiał się Jerzy, gdy jechali Alejami Ujazdowskimi. Samochód skręcił w Agrykołę, po czym zatrzymał się przed budynkiem z napisem Atelier Amaro. Jerzy z kolorowych gazet, które namiętnie czytała Danusia, wiedział, że to najelegantsza restauracja w stolicy, wyróżniona gwiazdką Michelina. Podobno dostanie się do niej graniczyło z cudem. Nie zdążyli jeszcze wysiąść, gdy do samochodu podszedł mężczyzna, który rozmawiał z Antkiem, tak jakby byli najbliższymi przyjaciółmi. Z przebiegu rozmowy Jerzy zorientował się, że to szef sali. Po chwili siedzieli w środku w wygodnych fotelach.

– Gadaj, co się z tobą działo przez te lata – zachęcał kolegę Antek.

– Nie, ty pierwszy – poprosił Jerzy. – Wydaje mi się, że masz dużo więcej do opowiedzenia.

Antek nie dał się długo prosić. Popijając świeżo wyciskany sok z pomarańczy, relacjonował, jak po zawodówce zaczął handlować używanymi samochodami, które sprowadzał z zagranicy. Miał z czego żyć. Potem dzięki koledze związanemu ze służbą zdrowia zajął się handlem długami szpitali i na tym zarobił naprawdę duże pieniądze. Mając już spory kapitał, rozszerzył działalność na handel nieruchomościami i budownictwo, po czym z każdym rokiem zajmował się kolejnymi branżami. Z opowieści Antka wynikało, że choć wcale o to nie zabiegał, był wymieniany na liście najbogatszych Polaków.

– No, ale dość o mnie – zreflektował się Antek. – Teraz twoja kolej.

Jerzy przez chwilę milczał, zastanawiając się, co właściwie może o sobie opowiedzieć. Po czym uznał, że nie ma sensu niczego udawać i wyznał, że najpierw utknął w pracy, która nie dawała mu żadnych perspektyw, a teraz na dodatek jego pracodawca zbankrutował.

– Stary, to może popracowałbyś u mnie – zaproponował nieoczekiwanie Antek. – Mój interes tak się rozrasta, że potrzebuję kogoś zaufanego, kto pomógłby mi go upilnować. W szkole zawsze byłeś najlepszy, a do tego uczciwy i honorowy. Pamiętam, że raz ci wlałem, a ty nie puściłeś pary z gęby.

Ta propozycja była dla Jerzego tak niespodziewana jak dla rozbitka na bezludnej wyspie pojawienie się statku płynącego na ratunek. Jeśli udałoby mu się zarabiać tyle, co dotychczas, ich rodzinna sytuacja wróciłaby do normy, a Danusia po wielotygodniowej przerwie zaczęłaby z nim rozmawiać. Zeby zachować lepszą pozycję negocjacyjną, starał się nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiła na nim propozycja Antka. Zapytał, na czym miałyby polegać praca, i dowiedziawszy się, że zostałby dyrektorem do spraw nowych inwestycji, nieśmiało zainteresował się wynagrodzeniem.

– A ile dotychczas zarabiałeś? – chciał wiedzieć Antek.

Jerzy zastanawiał się nad odpowiedzią. Był przekonany, że kumpel proponuje mu tyle, ile miał dotychczas. Gdyby zawyżył wynagrodzenie o kilkaset złotych, załatwiłby sobie podwyżkę, ale to by było oszustwo, a on nie potrafił oszukiwać. Zaciśnął zęby i powiedział prawdę.

– Cztery tysiące? – powtórzył z niedowierzaniem Antek. – Stary, za co ty żyłeś? Na początek dostaniesz tak ze cztery razy tyle, czyli

szesnaście tysięcy na rękę plus oczywiście premie.

Jerzy wracał do domu, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Danusia, której opowiedział o nieoczekiwanej propozycji, również nie uwierzyła. Uznała, że facet robił sobie jaja z jej męża niedołęgi i jutro zadzwoni z informacją, że to był głupi żart. Uwierzyła, dopiero gdy Antek zadzwonił, zapraszając Jerzego na rozmowę do biura, z której jej mąż wrócił z podpisaną umową o pracę i zaliczką w wysokości połowy miesięcznego wynagrodzenia.

Poprosił o zaliczkę, żeby spłacić zaległe raty kredytu. Na widok gotówki Danusia przerwała milczenie, a Jerzy poszedł do sklepu po wino dla uczczenia tego przełomowego dla nich wydarzenia. Żona po raz pierwszy od dnia ich ślubu patrzyła na niego z podziwem. Cztery butelki wina mile szumiały im w głowach i gdy on objął ją czule, a ona odpowiedziała miłosnym pocałunkiem, wszystko wskazywało na to, że ich przerwane przed laty życie erotyczne jak ożywiony wulkan wybuchnie na nowo. Niestety, Danusia, idąc odświeżyć się do łazienki, zatoczyła się, potknęła o donicę i upadła, rozcinając sobie wargę. Zamiast w łóżu miłości wylądowali w szpitalu na ostrym dyżurze.

Przez kolejne wieczory zamiast odbywać wspólną podróż do granic rozkoszy, małżonkowie z ołówkiem w rękę wyliczali, czy nowa pensja Jerzego pozwoli im na zamianę mieszkania. Bank doceniając dotychczasową solidność Jerzego, zatwierdził jego wniosek o kredyt i cztery miesiące później przeprowadzili się do czteropokojowego mieszkania w Wawrze. By uczcić pierwszą noc w nowym miejscu, Jerzy nabył cały karton wina musującego Prosecco, które starannie schłodził w lodówce. Ponieważ po ostatnim urazie Danusi nie było śladu, jeszcze przed północą ich usta zetknęły się w pocałunku. Jerzy czując, że eksploduje, zdarł z żony sukienkę i... za chwilę było po wszystkim.

– Nie wiem, jak to się stało – tłumaczył się przed żoną niepytany i obiecał, że w ciągu kwadransa powróci do sił.

– Nie przejmuj się – pocieszyła go. – Było dobrze, bo szybko.

Danusia nie zdołała przekonać się, czy mąż spełni obietnicę, bowiem nagle ziewnęła i zasnęła tak smacznie, że Jerzy, choć poczuł się już zdolny do dalszej aktywności, nie śmiał jej budzić. Obiecał sobie, że jutro zamieni ich życie w kolorowy kalejdoskop rozkoszy.

Tego planu nie udało mu się jednak nazajutrz wcielić w życie, bo Danusia zmęczona nadmiernym spożyciem alkoholu odmówiła

jakiegokolwiek aktywności fizycznej. Jerzy uznał, że to, co czekało na spełnienie tyle lat, może jeszcze poczekać. Zасыpiając, uświadomił sobie, że przez cztery lata małżeństwa udało mu się przeżyć ze swoją ukochaną żoną jedynie dwa akty miłosnego uniesienia.

Następnego dnia Jerzy wyjechał z Antkiem do Chin, gdzie zamierzali sfinalizować przygotowywany od wielu miesięcy kontrakt. W trakcie wielogodzinnej podróży mieli czas, by przegadać sprawę zawodowe.

– Mam na oku świetny interes – zaczął Antek. – Mógłbyś w niego wejść i zarobić tyle, że byłbyś ustawiony na całe życie.

Jerzy szczęśliwy, że szef ma do niego zaufanie, był bardzo zainteresowany projektem.

– Wiesz, jak to jest w biznesie – kontynuował Antek. – Rzadko się udaje zostać bogatym i nadal pozostać świętym. Ten biznes to przekręt, ale bardzo dochodowy. Mogę go zrobić tylko z tobą, bo potrzebny mi jest ktoś, do kogo będę miał stuprocentowe zaufanie.

Gdy Jerzy usłyszał o przekręcie, jego zainteresowanie natychmiast zredukowało się do zera, jednak niespeszony Antek kusił dalej.

– Stałbyś się właścicielem firmy, która handlowałaby metalami szlachetnymi. Transakcje byłyby na grube miliony. Ja tę forszę wyłożę. Towar sprzedawany byłby za granicę, a twoja firma odbierałaby od Skarbu Państwa podatek VAT.

– Na razie nie widzę w tym nic złego, to przecież transakcje podobne do tych, które robimy teraz – ocenił Jerzy.

– No niezupełnie. Transakcje istniałyby tylko na papierze, zatem odzyskalibyśmy VAT za towar, którego nie ma. Zyskiem byłby oddany przez państwo VAT.

– To się nie może udać – wyraził wątpliwość Jerzy.

– Dlaczego? Jeśli dokumentacja będzie wiarygodna, a my nie będziemy za chciwi i wycofamy się w odpowiednim momencie, jak ktoś ma się zorientować, że towaru nie było? Możemy się umówić, że zrobimy dziesięć transakcji po pięć milionów, a potem przeprowadzamy już tylko legalne transakcje dla zatarcia śladów. Na czysto mielibyśmy ponad dziesięć milionów złotych.

– Skoro to takie proste, to czemu nie zrobisz tego sam? Do czego ja ci jestem potrzebny? – Jerzy nadal był sceptyczny.

– Zawsze jest jakieś ryzyko i dlatego jest mi potrzebny ktoś, do kogo miałbym stuprocentowe zaufanie. Firma byłaby na ciebie i ty byś

podpisywał wszystkie dokumenty. Ja nie mogę ryzykować, bo wpadka to koniec wszystkich moich biznesów. W razie czego ty bierzesz wszystko na siebie, a ja wynajmuję najlepszych adwokatów i płacę ci rekompensatę za każdy dzień spędzony w więzieniu. W każdej sytuacji bajecznie zarabiasz.

Wyobraźnia Jerzego zaczęła pracować. Gdyby byli bardzo bogaci, kupiliby duży dom z ogrodem, wygodny samochód, do którego zmieściłyby się wszystkie dziewczynki, i tym samochodem zabrałyby Danusię do najelegantszego domu mody w Warszawie. To będzie Vitkac przy Brackiej, zdecydował. Kupi jej torebkę od Louis Vuittona i najpiękniejsze sukienki, które sama sobie wybierze. Nagle ten idylliczny obraz w jego wyobraźni rozmazał się, a po głowie zaczęły mu krążyć ponure myśli. Dla kogo ona stroiłaby się w te wszystkie sukienki, gdyby siedział w więzieniu? Co miałby z tego bogactwa oddzielony od rodziny grubym więziennym murem?

– A jaki wyrok grozi za takie przestępstwo? – spytał Antka.

– Adwokat uważa, że maksimum cztery lata, a może mniej, a na warunkowe przedterminowe można wyjść po dwóch latach. Pomyśl, ryzykujesz dwa lata, a zarabiasz tyle, że jesteś urządzony przez resztę życia.

Dwa lata bez Danusi, którą tak kochał, dwa lata bez dziewczynek, te pieniądze nie były warte takiego poświęcenia.

– Nie, nie wchodzę w to. – Jerzy zdecydowanie podziękował Antkowi za propozycję.

Wrócili z Chin po trzech tygodniach. Stęskniony kupił na lotnisku kwiaty i wziął taksówkę, żeby dotrzeć jak najszybciej do domu. Miał wobec Danusi plany. Żonę zastał w złej formie, skarżyła się na zmęczenie i nudności. Przyczyna złego samopoczucia wyjaśniła się kilka tygodni później, gdy lekarz powiedział Jerzemu, że ponownie zostanie ojcem. Po następnych kilku tygodniach sprecyzował tę informację. Zostanie ojcem trojaczków.

Usłyszawszy nowinę, Danusia wyraziła pogląd, że dzień, w którym poznała Jerzego, był najbardziej pechowym dniem w jej życiu, po czym oznajmiła mu, że nie odezwie się do niego, dopóki nie zrobi czegoś, by jej dzieci mogły wychowywać się w normalnych warunkach. Po złożeniu tego oświadczenia zamilkła i milczała konsekwentnie. Jerzy myślał o ich nowej sytuacji i doszedł do wniosku, że mieszkanie, które wydawało się

dotychczas pałacem dla ich szczęśliwej szóstki, może okazać się za małe dla jeszcze szczęśliwszej dziewiątki, a jego obecna pensja, z której dotychczas był tak dumny, może nie wystarczyć na nowe potrzeby.

Jerzy myślał o tym przez dwie bezsenne noce, po czym udał się do Antka i oświadczył, że zmienił zdanie i jest gotów porozmawiać o szczegółach złożonej mu w samolocie propozycji. Gdy Antek roztaczał przed nim perspektywy udziału w przyszłym zysku, Jerzy wyznał, że nie może ryzykować i jest gotów zrealizować powierzone mu zadanie, pod warunkiem że będzie otrzymywał w zamian stałą pensję, która zostanie wypłacona za rok z góry. Gdyby zaś postawiono mu zarzuty, Antek będzie go nadal zatrudniał, pokryje koszty obrony, zapłaci nałożone na niego grzywny i wypłaci mu rekompensatę za każdy dzień, który Jerzy spędzi w areszcie. Szef zgodził się na zaproponowane warunki i mężczyźni uścisnęli sobie ręce na znak, że zasady ich współpracy zostały ustalone.

Przez następne tygodnie Jerzy miał pełne ręce roboty. Ustalona zaliczka pozwoliła mu na przedterminową spłatę kredytu. Kolejnym krokiem była sprzedaż mieszkania, po czym pożyczwszy brakujące pieniądze, kupił na swoich rodziców – by uniemożliwić ewentualną egzekucję jego majątku – sześciopokojowy dom z ogrodem. Obejrzawszy ich nowe gniazdko, Danusia w mgnieniu oka odzyskała chęć do rozmowy z małżonkiem.

Po załatwieniu spraw rodzinnych Jerzy przystąpił do organizowania firmy mającej zajmować się handlem metalami szlachetnymi. Zanim Jerzy stał się szczęśliwym ojcem dwóch chłopców i dziewczynki, firma zdążyła przeprowadzić dwie transakcje.

Od urodzin dzieci minęły cztery miesiące. W marcowy poranek Jerzego obudziło głośnie łomotanie do drzwi. Odruchowo spojrzął na zegarek. Była szósta zero dwie. Zaspany zszedł otworzyć. Nie zdążył jednak dojść do drzwi, bo wyleciały z futryny, a korytarz jego domu wypełnił się mężczyznami ubranymi w czarne kombinezony z napisem CBS.

W prokuraturze poinformowano go, że jest podejrzany o: oszustwo, fałszowanie dokumentów i pranie brudnych pieniędzy. Sąd, do którego niebawem go przewieziono, zastosował wobec niego areszt tymczasowy na okres trzech miesięcy. Mecenas Edward Koziółkiewicz, który



towarzyszył mu przez te trudne momenty, ocenił orzeczenie sądu jako skandaliczne i obiecał, że je niezwłocznie zaskarży.

Danusia odwiedziła Jerzego w areszcie po dwóch tygodniach. Na wstępie oświadczyła, że nie zamierza żyć dłużej z pospolitym przestępcą i natychmiast po wyjściu z tego podłego miejsca – jak określa salę widzeń rodzinnych w areszcie śledczym na warszawskiej Białoleńce – zamierza udać się prosto do kancelarii adwokackiej i zlecić poprowadzenie sprawy rozwodowej. Potem płynnie przerzuciła się na tematy ekonomiczne, chcąc się dowiedzieć, czy Jerzy, zanim postanowił zostać przestępcą, zastanawiał się, za co ona i jego dzieci będą żyły, w czasie gdy on będzie miał kilkuletnie wakacje.

Jerzy rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy, po czym wyszeptał żonie do ucha, że to, za co siedzi, zrobił z myślą o niej i dzieciach, wszystko jest zaplanowane w ten sposób, że im dłużej on siedzi w więzieniu, tym większe pieniądze dostanie jego rodzina. Danusia słysząc te wyjaśnienia, bacznie nadstawiała ucha i zażądała szczegółów. Jerzy opowiedział jej o swojej umowie z szefem, o której nie wspominał wcześniej, by jej nie denerwować, i zapewnił, że w trakcie jego pobytu tutaj ona będzie nie tylko otrzymywała jego pensję, ale dodatkowo rekompensatę w kwocie dwóch i pół tysiąca złotych za każdy dzień spędzony przez niego w areszcie. W konsekwencji, zdaniem Jerzego, losy rodziny były zabezpieczone, a wkroczenie przez niego na drogę przestępstwa było przejawem bezgranicznej miłości do żony.

Danusia dokonała błyskawicznej kalkulacji matematycznej, z której wyszło jej, że dotychczasowy czternastodniowy pobyt męża w areszcie przyniósł im już dochód w kwocie trzydziestu pięciu tysięcy złotych. Uświadomiwszy to sobie, rozplakała się z radości, po czym przytuliła się do Jerzego, zapewniając go ze łzami w oczach, że jest najwspanialszym mężem, jakiego mogła sobie wymarzyć. Przed końcem widzenia uświadomiła go, że w obecnej sytuacji w jak najlepiej pojętym interesie jego własnym i rodziny jest, żeby pozostawał w areszcie na Białoleńce najlepiej do końca swoich dni, a ona będzie go tam codziennie odwiedzała. Zdając sobie jednak sprawę, że takie marzenie jest nie do spełnienia, bo każda kara ma górną granicę, Danusia apelowała do męża, by pozostał tu, gdzie jest, tak długo jak to możliwe. Wychodząc, żona złożyła Jerzemu uroczystą obietnicę, że jak tylko opuści mury

więzienia, wynagrodzi mu każdy dzień aresztu nocą frywolniejszą niż te, które pokazują w filmach od lat osiemnastu.

Tydzień po wizycie Danusi Jerzy został wywołany z celi przez strażnika i zaprowadzony na widzenie z adwokatem.

– Osiągnęliśmy sukces – poinformował go z dumą mecenas Edward Koziółkiewicz. – Wygrałem dziś posiedzenie odwoławcze. Wychodzi pan za kaucją stu tysięcy złotych, którą wpłaci pan Antoni Koszałek. Jutro będzie pan wolny.

Jerzy poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Dlaczego tak szybko? A co z dobrem śledztwa? Przecież na wolności może mataczyć.

– Lepiej nie wpłacać tej kaucji – przekonywał mecenas. – Ja mogę sobie tu jeszcze trochę posiedzieć.

– Ale z pana żartowniś. – Mecenas poklepał klienta po ramieniu. – Muszę wracać do pracy. Do zobaczenia po drugiej stronie murów.

Po zwolnieniu Jerzy wracał do domu ze spuszczoną głową. Czuł się winny. Wiedział, że nawalił, mógł zrobić znacznie więcej dla rodziny.

– Co ty tu robisz? – Wzroku Danusi nie można było określić jako ciepły, a z wyrazu twarzy od razu zorientował się, że żartów nie będzie.

– To przez tego adwokata. – Jerzy niezdarnie się tłumaczył.

– To po co go w ogóle wzięłeś? Nie mogłeś bronić się sam?

– Ja go nie chciałem. Wynajął go Antek.

– Sknera. Zrobił to specjalnie, żeby na nas zaoszczędzić, a ty jesteś taka ofiara, że każdy robi cię w konia.

Jerzy tłumaczył żonie, że nic złego się nie stało, a co się odwlecze, to nie uciecze. Areszt służy tylko zabezpieczeniu prawidłowego toku postępowania, a prawdziwa kara dopiero go czeka. Odsiedzi to, co ma odsiedzieć, tylko później. W końcu ją udobruchał. Danusia dotrzymała też danego słowa i gdy zaangażowana na stałe niania czuwała nad dziećmi, ona zamieniła ich sypialnię w krainę dzikich rozkoszy. Ten egzotyczno-erotyczny spektakl trwał równo dwadzieścia jeden dni. Gdy dwudziestego drugiego wieczoru Jerzy wpadł do sypialni i przytulił się do żony, jego połówica nie wykazała zainteresowania podjęciem gry miłosnej i wyjaśniła w krótkich słowach, że ona wywiązała się na razie ze swojej części umowy i uważa, że są rozliczeni. Teraz będzie odpoczywać do czasu, aż Jerzy wywiąże się z drugiej części umowy. Wtedy będzie do jego dyspozycji.

Śledztwo przeciwko Jerzemu zostało szybko zakończone i sprawa trafiła do sądu. W swoim wystąpieniu prokurator zażądał dla Jerzego kary trzech lat pozbawienia wolności. Mało, pomyślał oskarżony, pocieszając się tym, że sąd może zawsze orzec więcej, niż żąda oskarżyciel. Po przemówieniach obrońców na chwilę uwierzył, że jest niewinny, i o mało nie wpadł w histerię, ale przypomniał sobie, że sąd jest profesjonalistą i nie da się przekonać słowom bez pokrycia, niezależnie od tego, jak byłyby piękne. Przez cały czas trwania narady nie tracił nadziei, że swoim mądrym wyrokiem sąd zapewni mu dostatek finansowy i szczęście w miłości. Po słowach sędziego: „Proszę wstać, będzie ogłoszony wyrok”, zacisnął ze zdenerwowania dłoń i czekał.

– Sąd uznaje oskarżonego winnym zarzucanego mu w akcie oskarżenia czynu i skazuje go na karę dwóch lat pozbawienia wolności – czytał orzeczenie sędziego.

Dlaczego tak mało, pomyślał rozczarowany Jerzy. Spojrzał w stronę publiczności. W pierwszym rzędzie siedziała Danusia. Zauważył grymas niezadowolenia na jej bajkowo pięknej twarzy. W symulacjach finansowych, które przeprowadzali wczorajszego wieczoru, jako absolutne minimum zakładali wyrok trzech lat. W dodatkowej sekretnej symulacji przeliczał te dni na noce z Danusią. Wyrok nie przesądzał bowiem o rzeczywistej karze. Zdawał sobie sprawę, że jeśli będzie miał pecha i trafi na zbyt liberalnego sędziego penitencjarnego, to może zostać przedwcześnie zwolniony warunkowo. Z tym mógł sobie jednak poradzić, popełniając w czasie odbywania kary wykroczenia dyscyplinarne. Był wściekły. Otarł dłonią mokre od potu czoło, starając się dotrwać do końca ogłaszania wyroku.

– Orzeczoną karę pozbawienia wolności sąd warunkowo zawiesza na okres próby pięciu lat – kontynuował sędzia.

– Co on powiedział? – spytał adwokata, nie rozumiejąc znaczenia wypowiedzianych słów.

– Wygraliśmy, nie idzie pan siedzieć, kara jest w zawieszeniu – tłumaczył mu uśmiechnięty adwokat.

Do Jerzego wreszcie to dotarło. Kara w zawieszeniu oznaczała, że ani dnia dłużej nie spędzi w więzieniu. Nie dostanie już ani grosza więcej odszkodowania od Antka, a ma jeszcze do spłacenia kredyt. W dodatku zamiast rajskich nocy czekają go w domu piekielne dni. Poczuł, że traci kontrolę nad sobą, i zdesperowany wykrzyknął, ile miał sił w płucach:

– Co to za kraj, co to za pieprzona sprawiedliwość, gdzie za kradzież batonika trafia się do więzienia, a prawdziwi przestępcy okradający państwo na miliony pozostają na wolności. Co to za nieuczciwość!  
I zaszlochał, zasłaniając twarz rękami.

## SZCZURY

**Z**a siedemset metrów dotrzesz do celu – poinformowała nawigacja.

Tomek jechał pnącą się pod górę szutrową drogą. Po prawej stronie dostrzegł wylaniającą się z za pagórka taflę jeziora. Ładnie tutaj, pomyślał, parkując samochód przed rozłożystym drewnianym hotelem z dachem pokrytym czerwonym gontem. Na parkingu nie było innych aut, wyglądało na to, że przyjechał pierwszy. Wyciągnął z bagażnika torbę i poszedł zameldować się w recepcji. Pokój był duży, z podwójnym łóżkiem, wanną z hydromasażem i balkonem wychodzącym na jezioro. Przebrał się w dres nastawił na iPodzie płytę Rammsteina i pobiegł do lasu. Wrócił po godzinie i dziesięciu kilometrach w nogach. Na parkingu pojawiły się już pierwsze samochody.

– Jak droga? – spytał wysiadającą właśnie z czerwonej skody Alę z marketingu.

– Dobra, lecę do kosmetyczki, muszę zdążyć przed imprezą. – Pomachała mu ręką i zniknęła w drzwiach hotelu.

Tomek wrócił do pokoju, napełnił wannę i zanurzył się w gorącej wodzie. Leżał, podziwiając wiszącą na ścianie czarno-białą fotografię kobiety w białym kapeluszu. Ładna, pomyślał, zastanawiając się, czy któraś z koleżanek jest do niej choć trochę podobna. Zreflektował się jednak szybko, teraz powinien zająć się ważniejszymi sprawami.

W ciągu najbliższej doby miały się rozstrzygnąć losy jego dalszej kariery. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, po niespełna roku pracy w firmie zostanie dyrektorem sprzedaży z pensją i zakresem władzy, o jakich przed rokiem nawet nie marzył. Dotychczasowy dyrektor Roman lubił alkohol, kobiety i szybkie samochody. Łącząc wszystkie swoje pasje, zaprosił na przejażdżkę Marzenę, dziewczynę pracującą w recepcji, przedtem wypił jednak dwie butelki wina. Na zakręcie jego ferrari wpadło w poślizg i uderzyło w auto jadące z przeciwka. W efekcie Marzena i kierowca tamtego samochodu wylądowali w szpitalu, Roman zaś w areszcie, oskarżony o prowadzenie samochodu po alkoholu i spowodowanie wypadku. W ten sposób

zwolniło się stanowisko dyrektora. Szefowie koncernu musieli je jak najszybciej obsadzić. Z firmowych plotek wynikało, że decyzja ma być podjęta dziś lub jutro i ogłoszona na corocznej imprezie integracyjnej.

Tomek wiedział, że jest jednym z dwóch kandydatów branych pod uwagę. Przez ostatni rok naprawdę się starał. Sześć razy został pracownikiem miesiąca, osiągał najwyższe obroty, udało mu się również wynegocjować najkorzystniejszy kontrakt w ciągu ostatnich pięciu lat. Te sukcesy spowodowały, że przyjaciele zaczęli nazywać go królem batonów.

Jego rywal pojawił się w polskim oddziale firmy przed miesiącem, zdaniem Tomka tylko po to, żeby zniszczyć mu karierę. O trzy lata starszy Przemek skończył marketing i zarządzanie na uniwersytecie w Bristolu. Potem przez osiem lat pracował w londyńskim oddziale firmy, pisząc równocześnie doktorat z zarządzania. Ich drogi zapewne nigdy by się nie przecięły, gdyby Przemek nie zakochał się w Polce, która przyjechała do Londynu na kurs językowy. Oświadczył jej się po miesiącu. Dwa tygodnie później przeniósł się do Polski, gdzie zaczął pracę w warszawskim oddziale firmy. Błyskawicznie stał się pupilkiem szefa, a jego projekt restrukturyzacji działu sprzedaży zyskał uznanie dyrektora na Europę Wschodnią. Jeśli zarząd zdecydowałby się na wprowadzenie jego planu, to oczywiście on będzie tę restrukturyzację przeprowadzać. Przekłęty jajogłowy, myślał o nim Tomek z pogardą, zastanawiając się, w jaki sposób mógłby podważyć rosnącą z dnia na dzień pozycję rywala. Wiedział, że dziś ma na to ostatnią szansę. Rozważania przerwało mu pukanie. Przyszedł Filip, najbliższy kumpel pracujący w tym samym dziale. Jeśli Tomek awansuje na dyrektora, Filip zostanie jego zastępcą.

– Jeszcze nie gotowy? – zdziwił się Filip. – Szef ma przyjechać za kwadrans.

– Zdążę, nie martw się.

Ustalili, że podczas wyjazdu integracyjnego Tomek porozmawia z Henrykiem, prezesem polskiego oddziału firmy, i spróbuje go przekonać, że strategia przygotowana przez Przemka jest do niczego, a on sam to trzeciorzędny geszefciarz. Tomek zdając sobie sprawę, że aparycja daje mu przewagę nad Przemkiem, postanowił wykorzystać ten atut do maksimum, wkładając najelegantszy ze swoich garniturów.

Wybrali w hotelowym lobby stolik najbliżej wejścia. Stąd mogli, wyprzedzając innych, podejść do prezesa, kiedy tylko pojawi się

w drzwiach. Jeśli go przekonają, on z kolei przekona Johna, dyrektora na Europę Wschodnią, który ma przyjechać jutro.

– Kurwa, co ta szuja tu robi? – zaklął Tomek, widząc, że przy stoliku obok siada Przemek w towarzystwie dwóch handlowców. Wszystko wskazywało na to, że on również chce się spotkać z Henrykiem.

– Musimy się go pozbyć. – W głowie Tomka pojawiła się strategia kontrataku. – Zamów kawę. Jak wejdzie szef, wstaniesz z filiżanką i zderzysz się z Przemkiem. Będzie musiał iść się przebrać, a ja zyskam czas na rozmowę.

Tomek spostrzegł, że Przemek wpatruje się w niego, jakby chciał usłyszeć, co mówi. Mężczyźni obrzucili się nieprzychylnymi spojrzeniami, pierwszy odwrócił wzrok Przemek. Jest miękki jak pupa niemowlęcia, ocenił z satysfakcją Tomek. Zauważył, że większość obecnych w holu dyskretnie im się przygląda. Wszyscy wiedzieli o ich rywalizacji i z okazaniem swoich sympatii czekali na zwycięzcę. W holu pojawiła się Magda, sekretarka prezesa, najlepiej poinformowana osoba w firmie. Tomek zerwał się i podszedł do niej.

– Wiadomo coś? – Obdarzył ją najseksowniejszym ze swoich uśmiechów

– Tak, to, że nie wygrałeś tego wyścigu, przystojniaczku. John dzwonił do szefa, że program restrukturyzacji został przyjęty, i Przemek będzie go realizował. John ma przyjechać jutro w południe i oficjalnie to ogłosić.

– Fuck! – skomentował Tomek i wrócił do stolika. – Zamów wódkę – poprosił Filipa.

Wiadomość rozchodziła się lotem błyskawicy. Dotychczasowi obserwatorzy wyścigu już otoczyli Przemka.

– Wywali nas na zbity ryj – ocenił Filip.

– Wywali – potwierdził Tomek i wypili kolejną wódkę.

Do hotelu wszedł prezes, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Gdy godzinę później Tomek i Filip weszli na salę bankietową, natychmiast odczuli otaczającą ich pustkę. Życie towarzyskie koncentrowało się wokół Przemka, do którego stał ogonek chętnych, by oblać z nim sukces. Widać już było po nim efekty kolejnych wypitych kolejek. Po twarzy płynęły mu strużki potu, a on coraz wylewniej przytulał kolejnych podchodzących, bełkotliwym głosem zapewniając, że oczyści tę stajnię Augiasza z łajna, które się w niej zaległo.

– Wlejemy skurwysynowi – zaproponował Filip.

– Pójdziemy siedzieć, lepiej chodź, bzykniemy jakieś panienki.

Tomek pamiętał, że Zuza z public relations wysłała do niego kilka maili o treści znacznie wykraczającej poza kontakty służbowe. Dostrzegł dziewczynę w towarzystwie koleżanki, po kilku chwilach rozmowy uświadomił sobie jednak, że dwuznaczne obietnice z maili gdzieś się ulotniły. Postanowił się nie poddawać, to że nie został dyrektorem, nie czyniło go wyrzutkiem.

– Zatańczysz? – Nie czekając na odpowiedź, wziął ją za rękę i pociągnął w stronę parkietu. Poczuli, że dziewczyna się waha, w końcu jednak ruszyła z nim na deski. Próbował ją przytulić, ale zdecydowanie trzymała dystans. – Chodźmy nad jezioro – podjął ostatnią desperacką próbę, gdy ucichła muzyka.

– Innym razem, obiecałam Przemkowi, że pójdziemy na spacer.

– Towarzystwo jesteście już tylko padliną, na którą zaraz rzucą się sępy – powiedział do Filipa.

– To co robimy? – spytał kumpel.

– Poderwiemy dziewczyny mniej interesujące się polityką kadrową w firmie.

Zatrzymali się przy barze, żeby wypić kolejną wódkę. Obok nich chwiejnym krokiem przeszedł Przemek.

– Gnój nie dotrwa do północy – ocenił Tomek.

Do baru podeszły Kasia i Misia, dwudziestolatki pracujące w recepcji.

– Marzyliśmy o tym, żeby was znaleźć – rozpromienił się na ich widok Tomek. – Weźmy butelkę i chodźmy nad jezioro.

Leżeli we czwórkę na pomoście, patrząc na tafłę wody migoczącą w świetle księżyca.

– Może popływamy? – zaproponował Tomek.

– No co ty, jest październik – przypomniała mu z chichotem Misia.

– Nie w jeziorze, w basenie, głuptasku.

Z nowymi drinkami zeszli na dół do SPA.

– Cholera, zamknięte. – Filip szarpnął za klamkę.

– Spróbuję podważyć zamek. – Tomek użył scyzoryka i drzwi ustąpiły.

Po drugiej, z mokrymi włosami wrócili do baru po drinki. Na korytarzu minął ich zataczający się od ściany do ściany Przemek.

– Dziewczyny, zamówicie też dla nas? Zaraz do was wrócimy – poprosił Tomek.



– Co chcesz zrobić? – zaniepokoił się Filip.

– Nie bój się. Tylko popatrzę, jak kona.

Przemek zrobił jeszcze kilka kroków, doszedł do zakrętu korytarza i osunął się na ziemię. Stali nad nim, wpatrując się w leżące ciało.

– Kusi mnie, żeby mu przykopać – wyznał Tomek.

– Zostaw bydlaka, nie warto ryzykować.

– To odlejemy się na niego. To szczur, a szczury trzeba olewać. – Tomek już mocno pijany sięgnął do rozporka.

– Uspokój się, ktoś idzie – powstrzymał go Filip.

Zza rogu wyszli Zbyszek i Mirek z logistyki.

– Co mu się stało?

– Schlał się, pomóżcie zanieść go do pokoju.

Po wrzuceniu Przemka do łóżka postanowili odszukać Kasię i Misię. Gdy przechodzili koło pokoju dwadzieścia pięć, Tomek przypomniał sobie, że po przyjeździe Zuza wysłała mu esemesa, sugerując, że może ją odwiedzić. Szybko zmieniła zdanie, pomyślał i z impetem walnął pięścią w drzwi.

– Otwieraj, głupia krowo! Przyszedłem, jak chciałaś!

– Zwariowałaś?! Wywałą nas z hotelu. – Filip złapał go za rękę i pociągnął ciemnym korytarzem.

– Nie zwariowałem, chciała, żebym przyszedł, to jestem – tłumaczył w pijackim uporze Tomek.

– Zostaw, nie warto.

Na końcu korytarza dostrzegli sylwetkę portiera.

– Panowie, co to za hałasy?

– Pogonię dziada – ożywił się Tomek. – Zobacz, jak wygląda szarża lekkiej brygady.

Filip próbował go powstrzymać, ale Tomek wyrwał mu się i krzycząc: „Ciecia goń, goń, goń...”, ruszył na mężczyznę. Portier odwrócił się i rzucił do ucieczki. Tomek dumny ze zwycięstwa wrócił do Filipa i objął go ramieniem.

– Widziałeś? Spieprzał jak prezydent na widok konstytucji.

– Lepiej zwiewajmy stąd, nim wróci z policją. – Filip ciągnął kumpla za sobą.

Przeszli kilkadziesiąt metrów, gdy Tomka zainteresowały drzwi z napisem „Apartament”

– O, to domek tego skurwysyna Johna, który mnie wyrolował i jutro przyjedzie mi o tym powiedzieć. *You fucking cunt! I fuck you, dickhead!*  
– krzyknął i walnął pięścią w drzwi.

– Zostaw.

Usłyszeli kroki, potem ktoś próbował otworzyć zamek.

– On tam jest, spieprzamy – zakomenderował Filip.

Tomek w mgnieniu oka wytrzeźwiał i obaj rzucili się do ucieczki. Za sobą usłyszeli słowa Johna:

– *What the hell? Hey, who are you? What's going on?*

– Odbiło ci? – warknął wściekły Filip, gdy odbiegli na bezpieczną odległość. – Teraz na bank wywałą nas dyscyplinarnie na zbitą mordę.

– Może nas nie rozpoznał. Było ciemno. Musimy się gdzieś schować.

– Kasia i Misia – zaproponował Filip.

– Dobra. Do nich.

Tomek obudził się o świcie, poczuł suchość w gardle, wypił jednym haustem pół butelki wody mineralnej i natychmiast zasnął. Ponownie ocknął się poczuwszy ciepły ucisk na jądrach. Otworzył oczy, w jego głowie pracował młot pneumatyczny. Misia spała wtulona w niego. Musi się szybko czegoś napić. Wstał i ruszył na poszukiwanie wody. Na sąsiednim łóżku spostrzegł Filipa z Kasią. Po pokoju walały się puste butelki. Nieźle musieliśmy wczoraj popłynąć, ocenił, próbując ułożyć jakiś obraz z okruchów pamięci. Gdy mu się udało, natychmiast tego pożałował. Nominacja Przemka, niechcąca z nim tańczyć Zuza, uciekający portier, a na koniec wyskakujący ze swojego pokoju John. Poczul, że chce być sam. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ubrania.

– Co robisz? Chcę się kochać – przypomniała o swoim istnieniu Misia.

– Wróć – obiecał Tomek, nie chcąc palić za sobą mostów.

W swoim pokoju napełnił wannę i zanurzył się w niej, rozmyślając, jak wybrnąć z sytuacji, z której wybrnąć się raczej nie da. Do świadomości przywróciło go mocne stukanie do drzwi. Namierzyli mnie, pomyślał w pierwszym odruchu. Przez chwilę leżał nieruchomo, myśląc, że w ten sposób uda się oddalić niebezpieczeństwo. Po chwili stukanie się powtórzyło. Zrezygnowany poszedł otworzyć.

– W nieźle wpakowałeś nas gówno – rozpoczął od progu Filip. Tomek bez komentarza wpuścił go do pokoju. Filip, widząc na stole butelkę

wody mineralne, stracił na chwilę ochotę do wspomnienia ostatniej nocy i wypił ją do dna.

– Lepiej powiedz mi, co robimy?

– Do niczego się nie przyznajemy, pójdziemy na śniadanie z dziewczynami, jakby nic się nie stało. Może nas nie rozpoznali. Jeśli sami się nie wsypimy, jest cień szansy, że się uda.

Z Kasią i Misią zeszli na śniadanie. Jadalnia powoli wypełniała się bladymi, poruszającymi się w zwolnionym tempie gośćmi. Tomek nałożył na talerz jajecznicę z boczkiem z nadzieją, że ta bomba kaloryczna pozwoli mu odzyskać formę. Dyskretnie rozglądał się po sali, próbując się zorientować, czy nocne wydarzenia są już komentowane. Nic na to nie wskazywało. Wchodzący do jadalni wydawali się zainteresowani jedynie wciśnięciem w swoje organizmy płynów i żywności. Nikt nie zwracał uwagi na Tomka. Odetchnął z ulgą, jednak jego optymistyczny nastrój przekreśliła Magda, sekretarka prezesa, która podeszła do ich stolika.

– Słyszeliście, co się stało?

– Nie, co takiego? – Tomek starał się nie okazać emocji.

– Jakies pijane barany wywołały straszną burdę. Próbowali wyważyć drzwi u tej głupiej Zuzy z marketingu, napadli na portiera, a na koniec nawrzucaли Johnowi, który przyjechał w nocy. Do tego ktoś włamał się do basenu. Wezwano policję i zrobiła się z tego niezła afera. Tomek kątem oka spostrzegł, że usłyszawszy o basenie, Misia otworzyła usta, jakby chciała w tej sprawie zabrać głos. Błyskawicznie kopnął ją pod stołem, sygnalizując, że ma się zamknąć.

– Co John zamierza z tym zrobić? – podpytywał Magdę.

– Henrykowi powiedział, że chce poczekać, aż wszyscy zwloką się z łóżek, i przy lunchu ustali, kto narozrabiał. Współczuję temu głupkowi, wyleci dyscyplinarnie, i do tego prokurator...

– Wyrzucą nas – pisnęła przerażona Misia, gdy Magda odeszła.

– Nic nam nie zrobią, jeśli będziesz trzymała buzię na kłódkę. Nikt nas nie widział na basenie i niczego nam nie udowodnią. Powiemy, że cały wieczór po wyjściu z zabawy spędziliśmy razem w waszym pokoju, jasne?

– Jasne – wyszeptała Misia, nie wytrzymując spojrzenia Tomka.

– Dobrze. Filip, chodź, musimy pogadać. Zaraz wrócimy.

Wyszli na dwór.

– Rozpoznają nas, na bank – ocenił Filip. – Spierdalajmy stąd czym prędzej.

– Zwariowałeś? – zmitygował go Tomek. – Taki nagły wyjazd będzie równoznaczny z przyznaniem się do winy. Jeśli zostaniemy, mamy jakąś szansę. Siedzimy na tyłku i modlimy się do najwyższego, żeby nas nie rozpoznali.

– Może podfarbujemy włosy? Dziewczyny na pewno mają jakieś mazidło.

– Zaczynij myśleć – jęknął Tomek. – Jeśli zaczniemy coś zmieniać w naszym wyglądzie, tylko zwrócimy na siebie uwagę. Siedzimy cicho jak myszki w kąciuku.

Rozmawiając, spostrzegli Przemka wyłaniającego się z hotelowych drzwi. Uśmiechając się głupkowato, szedł jeszcze mocno chybotliwym krokiem.

– Buc dalej nieźle nawalony – ocenił Filip.

– Możemy mu trochę popsuć humorek – zaproponował Tomek.

– Cześć, chłopaki! – Widać jeszcze nie przypomniał sobie o konflikcie z Tomkiem. – Jak się bawiliście?

– Wspaniale. A ty?

– Świetnie, napiłem się trochę, a potem zasnąłem jak niemowlę. Uwielbiam od czasu do czasu nawalić się jak zwierzę.

Tomek uświadomił sobie, że Przemkowi musiał urwać się film.

– Po tym, jak wczoraj narozrabiałeś, ja bym się na twoim miejscu tak nie cieszył – zgasił jego entuzjazm Tomek, mrugając do Filipa.

– Jak to narozrabiałeś? – zaniepokoił się Przemek. – Nic nie pamiętam. Film mi się urwał, chyba zasnąłem w łóżku.

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – Tomek w mistrzowski sposób kontynuował zabawę, podkreślając atmosferę.

– Nie, co się stało? Powiedz!

– Wypiłeś na maksa i zacząłeś wariować. Zataczałeś się, a potem nagle wybiegłeś z sali. Zaniepokoiłiśmy się o ciebie i poszliśmy cię szukać – improwizował Tomek. – Znaleźliśmy cię na basenie. Wyważyłeś drzwi i zacząłeś robić demolkę. Ledwo cię stamtąd wyciągnęliśmy.

– O Jezu! – Przemek złapał się za głowę. – Dzięki, że mi pomogliście. Jesteście kumple. Nie powiecie nikomu?

– Poczekaj, to dopiero początek historii – uprzedził go Filip.

– Gdy wróciliśmy na górę, wyrwałeś się nam – kontynuował Tomek. – Pobiegniesz pod pokój, w którym spała jakaś twoja znajoma, chciałeś wywalić drzwi i strasznie wyzwałeś ją od najgorszych za to, że nie chce się z tobą bzykać.

Przemek zrobił się cały purpurowy i coraz ciężiej oddychał.

– W końcu przyszedł portier. Wkurzył cię. Wykrzyczałeś na wszystkie piętra, co myślisz o nim, jego przodkach i następcach, po czym złożyłeś publiczną deklarację, że mu wpierdolisz, i zacząłeś gonić go po korytarzu.

– Ja nigdy w życiu nikogo nie uderzyłem, na pewno nie chciałem mu nic zrobić – tłumaczył się coraz bardziej przerażony Przemek.

– Pewnie to miał być ten pierwszy raz – filozoficznie ocenił Tomek. –

Nie przejmuj się, udało mu się uciec. Pobiegł dzwonić po policję, a ty przeszedłeś do załatwiania spraw firmowych. Poszedłeś pod pokój Johna i sprzedałeś mu parę niezłych wiązanek. Na tym zakończył się twój występ, bo cię dopadliśmy i już nieprzytomnego zanieśliśmy do pokoju.

Pięć minut tej opowieści zmieniło Przemka nie do poznania. Purpura na twarzy przeszła w bladość i trzęsły mu się ręce.

– Obraziłem szefa – jęknął.

– Wezwano policję, mają być okazania. Stary, obawiam, że się z tego nie wywiniesz. Lepiej sam się przyznaj.

– Ja nigdy w życiu tak się nie zachowywałem. Może ktoś mi czegoś dosypał – tłumaczył się Przemek.

Nagle zaczął im się bacznie przyglądać.

– Podpuszczacie mnie, a ja jak dureń dałem się nabrać. Wymyśliliście to! – Zaczął się histerycznie śmiać.

Tomek z Filipem zachowali kamienne twarze.

Przemek gorączkowo zastanawiał się, jak, nie pamiętając zdarzeń z nocy, może zweryfikować to, co usłyszał. W końcu wpadł na pomysł, jak to zrobić.

– Mówicie, że zanieśliście mnie do pokoju. Jeśli byliście w środku, to opiszcie mój pokój.

– Numer trzysta trzy na trzecim piętrze na prawo od windy – recytował Tomek. – Podwójne łóżko z ciemnoniebieską kapą, szary dywan, dwa jasne fotele, telewizor. Na ścianach czarno-białe fotografie jeziora, balkon z widokiem na wodę.

– Wystarczy – poddał się Przemek.

Tomek chciał mu podać jeszcze kilka szczegółów, gdy spostrzegł wychodzącą na dwór sekretarkę prezesa.

– Nie wierzysz nam, to spytaj Magdę – zaproponował.

Magda bardzo obrazowo opowiedziała, co zaszło w nocy, a jej relacja pokrywała się z opowieścią Tomka.

– Teraz wierzysz? – spytał Filip. – My cię oczywiście nie sypniemy, ale nie ma szans, żeby John cię nie rozpoznał.

Przemek milczał, zastanawiając się, co robić, a Tomek wpatrywał się w niego, delektując się każdą chwilą jego cierpienia. Podszedł do nich Adam, wicedyrektor działu logistyki.

– Słyszeliście o wczorajszej rozróbie? – spytał podekscytowany. – Gadałem z naszym prawnikiem. Mówi, że z tego może być wyrok karny. Współczuję temu pijanemu durniowi.

Na papierosa wyszła też Zuza z koleżanką. Widząc grupę mężczyzn, ostentacyjnie obeszły ich łukiem.

– To ta, którą wczoraj chciałeś bzyknąć – szepnął Przemkowi do ucha Tomek. – Nie dziwię się, że teraz tak reaguje na twój widok.

Gdy zostali sami, Przemek błagalnym wzrokiem wpatrywał się w Tomka i Filipa.

– Co mam zrobić?

– Najlepiej zwiewaj stąd, czym prędzej – podrzucił rozwiązanie Tomek. – Jeśli cię nie będzie, John nie będzie mógł cię zidentyfikować.

– Muszę to przemyśleć. – Przemek wrócił do hotelu.

Poczekali, aż zniknie w drzwiach, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Niezły zrobiłeś teatr. – Filip nie mógł opanować chichotu.

– Nie mogłem się powstrzymać, kiedy zobaczyłem jego zadowoloną z siebie gębę. Muszę nacieszyć się tą chwilą, zanim nas wywalą. Chodź, podręczymy go jeszcze trochę, zanim zdąży spokojnie pomyśleć.

Obeszli cały hotel, jednak nigdzie nie znaleźli Przemka. Wrócili zatem do pokoju, gdzie czekając na lunch w towarzystwie Misi i Kasi, wypili kilka wódek dla kurażu. O pierwszej zeszli na dół. Tomek dyskretnie się rozglądał, czy w hotelu nie ma policji. Co prawda nie dostrzegł nikogo w mundurze, ale przecież policjanci mogli przyjechać po cywilnemu. Usiedli przy stoliku w rogu sali, najdalej od wejścia, łudząc się, że w ten sposób staną się niewidzialni. Szukali wzrokiem Przemka.

– Może dostał ze strachu sraczki – zażartował Filip. Zamilkł jednak szybko, bo w wejściu pojawił się prezes.

– No, to zaczyna się jatka. – Tomek westchnął, żałując, że nie przynieśli ze sobą wódki do jadalni.

Prezes wziął do ręki mikrofon.

– Przepraszam, że zakłócam państwu tak miłą zabawę – zaczął kokieteryjnie. – Wiem jednak, że kochacie naszą firmę i nawet bawiąc się, nie zapominacie o pracy.

Widownia skwitowała ten żart nieco wymuszonym śmiechem. Żądni krwi i igrzysk słuchacze czekali, co będzie dalej.

– Jak państwo wiedzą, w nagłych i dla nas wszystkich nieprzyjemnych okolicznościach zwolniło się stanowisko dyrektora do spraw sprzedaży, a handel nie znosi próżni. Zarząd zastanawiał się, komu powierzyć tę odpowiedzialną funkcję. W końcu podjęliśmy decyzję, o której chcę państwa powiadomić, wierząc, że wybraliśmy najgodniejszego z godnych.

Mam nadzieję, że ten bydlak, zamiast odebrać gratulacje, schował się gdzieś ze strachu, pomyślał o swoim rywalu Tomek.

– Dlatego mam przyjemność poinformować państwa – kontynuował prezes – że nowym dyrektorem działu handlowego będzie nasz lider sprzedaży, który wielokrotnie zdobył tytuł pracownika miesiąca, Tomek Sadowski. Zapraszam cię, Tomku.

To jakaś cholerna prowokacja, pomyślał oszołomiony Tomek, nie ruszając się z miejsca.

– Spójrzcie, nasz nowy dyrektor znieruchomiał z wrażenia. Nie udawaj, Tomek, że się tego nie spodziewałeś. Zasłużyłeś na to ciężką pracą. – Takie głosy padały z różnych stron sali, w końcu rozległy się brawa i Tomek nie mógł się już dłużej ukrywać w kącie.

Gdy szedł uścisnąć wyciągniętą dłoń prezesa, przez głowę przelatywały mu dziesiątki różnych myśli: a jeśli to nie prowokacja i naprawdę został wybrany? Przecież za chwilę zjawi się tu John albo ten portier i go rozpoznają, wyleci z roboty z jeszcze większym hukiem. Przejdzie do historii firmy jako najkrócej urzędujący dyrektor sprzedaży; z taką kartą nikt stąd po Władystok nie przyjmie go do żadnej roboty, nawet przy wywożeniu gnoju.

Był gotów zabić Magdę za puszczenie tej głupiej plotki. Gdyby nie ona, nie schlałby się tak i nie straciłby stanowiska w kilka minut po jego otrzymaniu. Gdyby mógł zobaczyć minę Przemka, to wszystko, co się stanie, niebawem będzie łatwiejsze. Prezes uchwycił jego rękę i zaczął nią energicznie potrząsać. Współpracownicy wstawali z krzesel i urządzili

mu owację na stojąco. Tomek zrozumiał, że musi coś powiedzieć, i poczuł skurcz w gardle.

– Dziękuję – wychrypiał. – Nie zawiodę. I obiecuję, że będę najlepszy. Sprzedam wszystko, dla dobra naszej firmy nawet samego siebie.

Oklaski narastały, a szef klepał go po ramieniu. Nagle senny lunch zamienił się w tętniący życiem bankiet. Ktoś zorganizował parę butelek musującego wina. Strzeliły w górę korki. Do Tomka ustawiała się kolejka gratulujących. Ci sami, którzy ściskali wczoraj Przemka, dziś cieszyli się jego sukcesem. Po wypiciu kilku kolejek Tomek poczuł, że kręci mu się w głowie. Musi na chwilę wyjść nieco oprzytomnieć. W holu natknął się na Magdę. Miał ochotę powiedzieć, co myśli o jej pomyłce, ale zdał sobie sprawę, że najgorsze, co może zrobić, to zadrzeć z asystentką szefa. Zamiast tego spytał:

– A co ze śledztwem w sprawie wczorajszej zadymy?

– To nic nie wiesz? – zdziwiła się. – Wszystko się wyjaśniło, to dlatego zarząd w ostatniej chwili zmienił zdanie i mianował ciebie.

– Co się wyjaśniło? To kto to zrobił? – dopytywał się Tomek.

– Przemek, sam się przyznał. Po śniadaniu poszedł do Johna z wielkim bukietem kwiatów i zaczął go przeproszać. Tłumaczył, że on nie pije alkoholu i nie jest przyzwyczajony, że nie wie, co się stało, i takie tam pierdoły. Najpierw padał na kolana przed Johnem, a potem chciał go uściskać, prosząc, by John mu wybaczył. A John najpierw chciał mu przywalić za to, co mu wczoraj powiedział, ale się powstrzymał i kazał mu się stąd zabierać i jechać do domu. Nie wywalił go wprawdzie z roboty, ale myślę, że jego dni w firmie są policzone.

– A co z portierem? – dopytywał się Tomek, który zdawał sobie sprawę, że samooskarżenie się Przemka przed Johnem nie rozwiązywało wszystkich problemów.

– Przemek przywiózł cały samochód kwiatów. Z kolejną wiązką poszedł do portiera. Pogodzili się i portier wycofał skargę. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że on zupełnie niepotrzebnie się przyznał. Gdyby trzymał gębę na kłódkę i milczał, to nikt by go nie rozpoznał.

– Jak to? – nie rozumiał Tomek.

– John przyjechał w nocy tak pijany, że ledwo widział na oczy. Poszedł się bawić i pierwsze, co zrobił, to uszczypnął w udo tę chudą Basię z księgowości. Szef się przestraszył, że będzie skandal, i zagnał go do pokoju, gdzie on się jeszcze bardziej upił. Dziś nic nie potrafił



powiedzieć o tym gościu, który wywołał burdę, nawet czy to był blondyn, czy brunet. Przecież on zna Przemka, a nawet nie wspomniał, że ten facet był do niego podobny.

– Ale portier był trzeźwy – przypomniał Tomek.

– Trzeźwy, ale ślepy. Podobno ma dużą wadę wzroku, a nie włożył okularów. Widział przed sobą rozmytą plamę, o której nie potrafił nic powiedzieć.

Tomek wrócił na salę uściskać Filipa.

– Wszystko pozamiatane. Ten głąb dokonał egzekucji sam na sobie. Wykreowaliśmy uczciwego zbrodniarza, który uwierzył w swoją zbrodnię i postanowił ją odpokutować. Chodź, napijemy się za to wódki.

Obejmując się, ruszyli do baru, mijając po drodze Zużę. Miała krótką zieloną sukienkę, roziskrzzone oczy, a na blacie stolika, przy którym siedziała, leżał wielki bukiet kwiatów.

– Chciałam ci pogratulować. – Podeszła do Tomka.

Zamierzał odpowiedzieć coś sarkastycznego, gdy poczuł, że musnęła jego udo. Po chwili dotknięcie się powtórzyło i już wiedział, że to nie był przypadek.

– Skąd te kwiaty?

– Od Przemka – odpowiedziała, patrząc mu w oczy. – Przyniósł je, przepaszając za to, jak się wczoraj zachował. Ty nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to cham, nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, co on krzyczał.

– Nie musisz. – Położył jej palec na ustach. Poczuł, że jej ręka powędrowała wyżej po jego udzie.

– Zwycięzca bierze wszystko – szepnął Tomek do ucha Filipa, prowadząc Zużę pod rękę.

## BYĆ JAK COLOMBO

**M**arzena wpatrywała się w Kajetana przenikliwym spojrzeniem, jakby chciała wedrzeć się do jego głowy.

– Nie jesteś policjantem? – spytała w końcu.

Miała rację, ale przyznanie się do tego oznaczałoby, że straci nad nią władzę. Musi ją przekonać, że jest policjantem.

Przez całe życie marzył, żeby być gliną. Nie wynikało to bynajmniej z jego zamiłowania do prawa i porządku, Kajetan od małego pragnął władzy nad innymi. Uwielbiał dominować i wydawać rozkazy, które inni musieli posłusznie wykonywać. Lubił obserwować, jak ludzie w kontakcie z nim tracili początkową pewność siebie, jak ogarniał ich strach zamieniający się w przerażenie, które powodowało, że całkowicie mu się podporządkowywali. Kochał to uczucie, gdy on i tylko on mógł decydować.

Już jako dzieciak uwielbiał bawić się z kolegami z klasy w policjantów i złodziei. Zawsze był policjantem stojącym na czele pościgu. Dla jego kumpli finałem takiej zabawy było zatrzymanie uciekinierów, dla niego był to początek, bo dopiero od tego momentu mógł przystąpić do ich przesłuchiwania. Jeśli zatrzymany protestował, używał siły. W efekcie już od czwartej klasy podstawówki nikt nie chciał się z nim bawić.

Po maturze postanowił iść do szkoły policyjnej w Szczytnie. Wszystkie sprawdziany ze sprawności fizycznej zdał celująco, pozostałe przedmioty wzorowo. Problemy wyniknęły dopiero po spotkaniu z psychologiem, który rozpoznał u niego zaburzenia emocjonalne i skłonności do agresji. Uznano, że Kajetan nie nadaje się do służby. Próbował jeszcze dwukrotnie, jednak zawsze rezultat był identyczny. Drzwi do policyjnej kariery zostały przed nim zamknięte.

Wpadł w depresję. W końcu po kilku miesiącach pracy z psychologiem odzyskał wewnętrzny spokój i zdecydował się na ekonomię. Był wzorowym studentem. Po studiach zatrudnił się w oddziale dużego międzynarodowego banku. Ponieważ miał smykałkę do tej pracy, już po dwóch latach awansował na szefa oddziału. Miał

dwadzieścia osiem lat i kariera stała przed nim otworem. Określano go jako zdolnego, twardego menedżera. Było to prawdą, bo osiągał niekwestionowane sukcesy, a swój zespół trzymał twardą ręką. Pracownicy nienawidzili go tak samo mocno, jak się go bali. Miał władzę, której jednak nie mógł w pełni wykorzystać. Złośliwi mówili, że jedynie jasne reguły regulaminu pracowniczego, których Kajetan starał się – w dbałości o swoją karierę – przestrzegać, spowodowały, że nie został przez żadnego ze swoich podwładnych oskarżony o mobbing.

Zapewne skoncentrowałyby się na pokonywaniu kolejnych szczebli kariery, gdyby nie pewien wieczór. Zamiast usiąść po pracy z książką w fotelu, Kajetan postanowił pójść na wieczorny spacer po parku Skaryszewskim. Tak bez powodu, żeby się po prostu poszpendać w świetle księżyca. Okrążył staw i idąc alejką pokrytą suchymi liśćmi, dostrzegł dwie szarpiące się sylwetki. Nie zastanawiając się, odruchowo pobiegł w ich kierunku. Osiemnastoletni chłopak w ciemnej skórzanej kurtce popychał o głowę niższego nastolatka, uderzając nim o drzewo. Żądał od napadniętego pieniędzy.

– Co robisz? – krzyknął Kajetan, łapiąc mocno napastnika za ramię i obracając go do siebie. Chłopak wpatrywał się w niego wściekłymi oczami. Kajetan wyczuł, że rozważa swoje szanse, i zastanawia się, czy atakować, czy raczej próbować pokojowo zakończyć zdarzenie. Kajetan był wyższy i masywniejszy, więc chłopak odpuścił.

– A co, jesteś z policji? – odpowiedział hardo.

Przypominając sobie później ten moment, Kajetan nie mógł zrozumieć, co go wtedy podkusiło. Mógł po prostu stamtąd odejść, albo przytrzymać chłopaka i zadzwonić po policję. Zamiast tego kierowany jakimś impulsem odpowiedział bez chwili namysłu:

– Jak na to wpadłeś, geniuszu? Tak, jestem z policji.

Po tych słowach dotychczasowa buta chłopaka znikła w ułamku sekundy, a w jego oczach zamiast zwierzęcego gniewu pojawił się zwykły strach. Najwyraźniej miał powody, żeby się bać, i Kajetan natychmiast zapragnął dowiedzieć się, co przeskrobał.

– Odwróć się i oprzyj się o drzewo – rozkazał. Chłopak posłusznie wykonał polecenie. Kajetan czuł, jak narastający strach coraz bardziej paraliżuje chłopaka. Czuł też euforię, którą chciał napawać się jak najdłużej. Nie potrzebował do tego świadka.

– Możesz iść do domu, ja już się wszystkim zajmę – odprawił małolata, który wpatrywał się w niego z wdzięcznością. A potem przeszukał kieszenie napastnika. W kurtce znalazł torebkę z marihuaną. Przyczyna strachu stała się jasna. Chłopak wiedział, że może trafić do aresztu. Kajetan milczał, czekając, aż chłopak nie wytrzyma narastającego napięcia i zacznie skamleć. Słyszał, jak pociąga nosem.

– Niech pan mnie puści – usłyszał wypowiedzianą drżącym głosem prośbę.

– Dlaczego miałbym cię puścić? – prowokował go Kajetan.

– Bo ja, bo ja... – jąkał się chłopak. – Mam karę w zawiasach i jak teraz mnie znowuż skażą, to mi ją odwieszają i trafię do więzienia.

– A dlaczego miałbym ci pomóc tam nie trafić? – dopytywał się Kajetan.

Przerażony chłopak nie potrafił znaleźć na to żadnej sensownej odpowiedzi. Opadł na kolana, skulił się pod drzewem i rozplakał.

Wracając do domu, Kajetan zdał sobie sprawę, że tak dobrze nie czuł się od lat. Usiadł na ławce i wypalił zarekwirowanego chłopakowi jointa.

Następnego dnia po powrocie z pracy bez sensu kręcił się po mieszkaniu. Po kwadransie zrozumiał, że nie uda mu się nad sobą zapanować, po prostu musi iść. Pogoda była marna, zimno, siąpił drobny deszczyk. Z naciągniętym na głowę kapturem przez prawie godzinę spacerował bezowocnie po parku. Był coraz bardziej zły, narastał w nim gniew. Wiedział, że musi go rozładować. Ze złości uderzył pięścią w drzewo, potem przyśpieszył kroku, aż w końcu zaczął biec. Na końcu alejki, na ławce pod drzewem dostrzegł dwóch chłopaków przekazujących sobie zapalonego papierosa. Poczul się jak łowca, któremu po zbyt długich poszukiwaniach udało się w końcu wytropić zwierzynę. Gdy się zbliżył, poczul zapach marihuany. Po sekundzie był przy nich. Mogli mieć najwyżej po dwadzieścia lat, obaj drobni. Wyglądali na spokojnych studentów.

– Policja, co palicie?

Zaskoczył ich. Wpatrywali się w niego, w ich oczach dostrzegł strach. Wiedział już, że to będzie udany wieczór. Tym swoim spokojnym wyglądem wywiedli go w pole. Okazało się, że strach ich w ogóle nie sparaliżował. Tym razem oni go zaskoczyli, bez słowa zerwali się z ławki i rzucili do ucieczki w dwie strony. Miał szansę dorwać tylko jednego z nich i musiał się szybko zdecydować. Chłopak w zielonej kurtce

wyglądał na mniej sprawnego, a zatem był łatwiejszym celem. Pobiegł za nim. Po stumetrowym biegu udało mu się chwycić go za ramię, szarpnąć i przewrócić na ziemię. Postanowił od razu złamać jego opór i kilkakrotnie go kopnąć. Gdy skończył, poderwał go z ziemi i posadził na ławce.

– Nie ma pan prawa mnie bić – protestował przerażony chłopak.

– Chcesz się przekonać, czy nie mam prawa?

– Nie, nie chcę, proszę nie – skapitulował.

Kajetan przeszukał mu kieszenie. Znalazł skręta i torebkę z trawą.

– No ładnie – ocenił. – To mamy posiadanie i wprowadzanie do obrotu. Idziemy na posterunek – zdecydował. Jak dobry reżyser dramatycznego widowiska wiedział, co teraz nastąpi.

– Proszę, niech mnie pan puści, jestem studentem. Mogą mnie wyrzucić z uczelni.

– Nazwisko tego, który z tobą był.

– Nie mogę powiedzieć, to mój najlepszy kumpel. Niech mnie pan puści, proszę.

– Widzę, że muszę jeszcze trochę nad tobą popracować – ocenił i zepchnął chłopaka z ławki na ziemię.

W drodze do domu włożył do kieszeni kurtki kartkę z zapisanymi danymi uciekiniera i zapalił skonfiskowanego papierosa.

Od tego czasu prawie każdy wolny wieczór spędzał, szukając przygód. Zaczął odwiedzać nocami także inne warszawskie parki. Po dwóch tygodniach zdał sobie sprawę, że jeżeli będzie za każdym razem palił skonfiskowane jointy, to niebawem wpadnie w nałóg.

Delektując się coraz lepiej reżyserowanymi przez siebie wieczornymi spektaklami, postanowił uwiarygodnić siebie w roli policjanta. Kupił na bazarze starą odznakę, policyjne kajdanki i paralizator.

Z czasem jednak przestały go bawić nocne polowania na parkowych palaczy marihuany, postanowił sprawdzić się w nowym środowisku. Zaczął odwiedzać galerie handlowe, szukając młodych dziewczyn oferujących seks. Przyglądał się metodom ich pracy i nauczywszy się rozpoznawać stałe bywalczyńnię, zdecydował się zaatakować.

– Policja. Pójdiesz ze mną – szepnął dziewczynie do ucha, chwytając ją mocno za ramię.

Była tak zaskoczona, że nie próbowała protestować, i posłusznie wykonała polecenie, wychodząc z nim ze sklepu. Kajetan wcześniej

rozejrzał się w galerii, zastanawiając się, gdzie mógłby ją zaprowadzić, i wybrał rzadko odwiedzaną toaletę dla niepełnosprawnych. Dziewczyna sparaliżowana magicznym słowem „policja”, weszła z nim do toalety, nie pytając po co. Refleksja nasza ją, dopiero gdy Kajetan zamknął drzwi na wewnętrzny zamek.

– Pan nie powinien, nie ma pan prawa – nieśmiało zaprotestowała.

– Zamknij się! – krzyknął, popychając ją na ścianę. – Chcesz, żebym zabrał cię na komisariat, zamknął na czterdzieści osiem godzin i wezwał rodziców, czy wolisz ze mną porozmawiać? – Kajetan wiedział, że nic tak nie przekonuje wątpiących jak zdecydowanie i pewność siebie.

Na wieść, że mogą zostać wezwani jej rodzice, dziewczyna zadrżała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Niech pan tego nie robi, ojciec chyba mnie zabił.

Kajetan wiedział, że ten mecz został wygrany.

– Nie bój się, jeśli jesteś niewinna, nic ci się nie stanie.

– Ja naprawdę nic nie zrobiłam – oświadczyła żarliwie dziewczyna.

– Nie wiesz czego, a już wiesz, że nie zrobiłaś. Klient w sklepie został okradziony z zegarka przez dziewczynę z opisu podobną do ciebie. Jeśli masz ten zegarek, to mi go oddaj.

– Nie mam. Niczego nie ukradłam. Może pan sprawdzić.

– Pokaż, co masz w torebce – zażądał, a gdy mu ją podała, wysypał zawartość na podłogę. Dostrzegł, z jaką złością i bezradnością patrzyła, jak metodycznie oglądał jej rzeczy. – Tam raczej nie będzie zegarka – zaprotestowała, gdy zajrzał do jej kalendarzyka i zaczął czytać zapiski.

– Zamkniesz się, czy mam cię zawieźć na komisariat? – warknął. Dziewczyna zacisnęła wargi i już milcząco znosiła upokorzenie: – Muszę cię przeszukać. Odwróć się i oprzyj ręce o ścianę.

– No co pan?

– Nie pyskuj, pod ścianę – przerwał jej.

Powoli i metodycznie przesuwiał dłońmi wzdłuż jej rąk, potem bioder, a następnie ud. Czuł ciepło jej skóry i dreszcze wstrząsające jej ciałem.

– Masz szczęście, możesz iść – odesłał ją w końcu.

Dzień później podobną scenę odegrał w dziale damskim sklepu z odzieżą Peek & Cloppenburg. Gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi toalety, powiedział dziewczynie, że zatrzymał ją w związku z kradzieżą portfela. Dostrzegł, że odruchowo przycisnęła do piersi niebieską torebkę. Tym razem upolował dużo grubszego zwierza.

– To naprawdę nie ja – przekonywała, cofając się pod ścianę.

– Nie gadaj tyle. – Wyrwał jej z rąk torebkę. – Zobaczymy, czy mówisz prawdę.

Wśród rzeczy, które wysypał na białe kafelki, była przezroczysta zamykana strunowo saszetka z białym proszkiem.

– To nie jest to, co pan myśli – powiedziała, nie odrywając wzroku od saszetki.

– A co ja myślę?

Otworzył torebkę i dotknął proszku językiem. Kokaina.

– Jedziemy na komendę – zdecydował, patrząc jej w oczy.

– Nie, nie może pan. Zrobię wszystko, naprawdę wszystko, tylko niech pan mnie puści. – W jej głosie usłyszał determinację. Wiedział, że nie kłamie.

– Przekonaj mnie, że nie powinniśmy tam jechać – zaproponował.

Po kilku tygodniach szybki seks w toalecie dla niepełnosprawnych zaczął Kajetana nudzić. Potrzebował czegoś więcej niż władza, którą zyskiwał na krótko. Pragnął wdrzeć się w życie którejś z nich i przejąć nad nim kontrolę. Do takiego wyzwania potrzebna mu była nie pierwsza lepsza podfruwajka, ale ktoś specjalny. Znalazł właściwą po kilku dniach popołudniowego spacerowania po galerii. Była wysoka. Nie tak jak on, ale wysoka. Wiotka, młodzieńcza, z długimi czarnymi włosami opadającymi za łopatki. Wyglądała na studentkę. Szedł za nią, wpatrując się w jej rozkołysane biodra. Wiedział, że zarzucenie jej kradzieży nie miałyby sensu, dziewczyna roześmiałaby mu się w twarz i zażądała odznaki, po czym sama wezwała policję. Śledził ją i nie wiedział, co robić. Dziewczyna usiadła na ławce i wysłała esemesa, a on bezradny i wściekły chciał już odejść, gdy dostrzegł podchodzącego do niej chłopaka, którego widział już kręcącego się po galerii. Przez chwilę rozmawiali, po czym dziewczyna sięgnęła do torebki i ukradkiem podała mu kilka banknotów. Przeliczył, włożył je do kieszeni i podał pakunek, który szybko wrzuciła do torebki. Wstała i odeszła bez pożegnania.

Kajetan zorientował się, że dostał od losu niespodziewany prezent. Onieśmielenie wobec dziewczyny zniknęło. Teraz myślał tylko o tym, jak rozegrać tę grę na własnych warunkach. Dziewczyna szła korytarzem w kierunku parkingu. Zdawał sobie sprawę, że musi działać szybko. Na szczęście zatrzymała się przed jedną z wystaw, po czym skręciła do sklepu Hollister. Jeszcze bez planu wszedł za nią i patrzył, jak ogląda

letnią sukienkę. Gdy ją odłożyła na regał, postanowił zaatakować. Podszedł do niej i zdecydowanym ruchem ujął ją pod łokieć.

– Policja, wydział antynarkotykowy. Proszę za mną. – Poczuł, jak zeszywniała.

– To jakaś pomyłka – zaprotestowała w końcu, jednak w jej głosie brak było zdecydowania.

– Proszę za mną – powtórzył.

Czuł, że dziewczyna zastanawia się, co zrobić.

– Proszę pokazać legitymację – próbowała zyskać na czasie.

– Chcesz tu zrobić przedstawienie, czy porozmawiamy o tym, co masz w torebce w spokojniejszym miejscu?

Uświadomiła sobie w końcu, że przegrała, i posłusznie z nim poszła. Gdy znaleźli się już w toalecie, wyczuł, że dziewczyna ma coraz więcej wątpliwości. Postanowił ją ubiec.

– Porucznik Górski z wydziału narkotykowego – przedstawił się, pokazując odznakę kupioną na bazarze.

Wpatrywała się w nią niewidzącymi oczami, niezdolna zweryfikować jej oryginalności. Wiedział, że nie może zostawić jej zbyt dużo czasu na zastanowienie

– Mam nagranie, jak kupuje pani narkotyki. Wyda je pani sama, czy mam panią przeszukać?

Dziewczyna poddała się, sięgnęła do torebki i wyjęła pakunek owinięty srebrną folią. W środku była torebka z marihuaną. Czekał, zakładając, że zacznie prosić, by jej nie zatrzymywał, lecz ona milczała. Cisza się przedłużała i zrozumiał, że ponownie musi przejąć inicjatywę. Nie chodziło mu o łatwy i szybki seks, wiedział, że musi to rozegrać z dużo większą subtelnością niż dotychczas.

– Nie wyglądasz na narkomankę, po co ci to, dziewczyno? – spytał, przybierając ton, jakby naprawdę jej współczuł. Uderzył w dobrą strunę. W dziewczynie, która dotychczas dumnie starała się zmierzyć z losem, coś się otworzyło. Dostrzegając współczucie, zaufała mu i zdecydowała się wyjawić swoją tajemnicę.

– Nigdy nie brałam narkotyków. Nawet nigdy ich nie spróbowałam. To wszystko przez te moje zwariowane koleżanki. Magda w sobotę kończy dwadzieścia dwa lata, a za tydzień wychodzi za mąż. Jej urodziny miały być równocześnie jej wieczorem panińskim. Spytałyśmy ją, na co ma ochotę, a ona powiedziała, że nigdy nie próbowała trawy,



a po ślubie Adam na pewno jej nie pozwoli. Chciała tylko spróbować, jak to smakuje. Żadna z nas zresztą nigdy nie paliła i wymyśliłyśmy, że na jej urodziny wszystkie zapalimy, żeby przekonać się, jak to jest. Taka odlotowa panińska impreza. Musiałyśmy tylko zdobyć trawę, a żadna z nas nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Ciągnęłyśmy zapałki i wypadło na mnie. Spytałam kumpla ze studiów.

– Studiujesz? – przerwał jej.

– Tak, psychologię. I on mi powiedział, że ma telefon do takiego chłopaka, który może to załatwić. Zadzwoiłam i resztę pan wie.

– I myślisz, że ci uwierzę? Wszyscy zatrzymani mówią, że to pierwszy raz.

– Dla mnie naprawdę pierwszy!!!

– Pokaż legitymację studencką.

Rzeczywiście była studentką psychologii. Teraz zgodnie ze scenariuszem, który sobie naszkicował, powinna go poprosić, żeby jej nie zabierał na komisariat. Jednak dziewczyna zamiast odegrać zarezerwowaną dla niej rolę, wyczerpana wygłoszonym monologiem, zamilkła.

– I mam uwierzyć w tę historię? – powtórzył pytanie.

– Nie musi pan, ale może.

Uznał, że najlepszym wyjściem będzie teraz odegranie roli jej przyjaciela.

– Chciałbym, ale obawiam się, że mnie nabierasz.

– Nie, to prawda.

Udawał, że się zastanawia nad tym, co powiedziała.

Dobrze, dam ci szansę, ale muszę mieć pewność, że nie zawiedziesz mojego zaufania. Nie zabiorę cię na komisariat, ale napiszesz mi oświadczenie, że miałaś narkotyki. Będę cię kontrolował i jeśli przekonam się, że mówiłaś prawdę i obiecasz mi, że nigdy nic nie weźmiesz, zniszczę je.

Dziewczyna przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad propozycją, w końcu się zgodziła. Widać doszła do wniosku, że nie ma nic do stracenia. Kajetan podyktował jej treść oświadczenia, spisał dane i kazał się stawić w kawiarni Mozaika na Mokotowie o siedemnastej za dwa dni.

Przyszła punktualnie. Wskazał jej miejsce naprzeciwko i zamówił dla obojga kawę. Siedziała w milczeniu, a on również bez słowa patrzył

na nią.

– Pokaż mi torebkę – przerwał nagle ciszę.

– Moją torebkę? Nie ma pan prawa – zaprotestowała.

– Mam, bo teraz opiekuję się tobą i sprawdzam, czy mnie nie oszukiwałaś.

Zrezygnowana podała mu granatowy worek. Wysypał zawartość na kanapę obok siebie. Dziewczyna była czysta. Wziął jej kalendarz i zaczął przeglądać.

– To moje prywatne zapiski – sprzeciwiła się.

– Dopóki nie sprawdzę, czy mówisz prawdę, nie masz nic prywatnego – wyprowadził ją z błędu. – Kto to jest Tomek, z którym umówiłaś się na dziesiętnastą?

– Mój chłopak.

– Bierze?

– Nie, to znaczy chyba nie, nie jestem pewna – mówiła zmieszana.

– Gdzie mieliście iść?

– Do kina.

– Skoro nie jesteś go pewna, nie pójdziesz. Do kina możemy iść razem.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Nie pójdziesz. Kto to jest Iwona? – spytał, dalej przeglądając jej notes.

Wieczór spędzili w Kinotece. Słyszał, jak co chwila wibruje jej wyciszona komórka, i wyobrażał sobie scenę, w której tłumaczy się Tomkowi. Odwiózł ją, po czym wyznaczył kolejne spotkanie za dwa dni.

Kiedy się spotkali i przeszukiwał jej torbę, stwierdził, że nie ma w niej kalendarzyka. Spytał, gdzie jest.

– Widać zapomniałam i został w domu.

– Kłamiesz. Chciałaś coś przede mną ukryć. Jedziemy po niego. Gdy podjechali pod klatkę, ostrzegł ją, że jeśli jej nieobecność potrwa dłużej niż półtorej minuty, zawiezie ją prosto na komisariat. Zbiegła, oddychając ciężko, ale w wyznaczonym czasie. W kalendarzyku była notatka, że ponownie umówiła się z Tomkiem.

– Zabroniłem ci się z nim spotykać.

– Chciałam mu się tylko wytłumaczyć.

– Niczego nie musisz mu tłumaczyć, daj telefon – zażądał.

– Ale ja...

– Daj telefon.

Zrezygnowana wyjęła z torebki aparat. Odnalazł jego numer i wybrał połączenie.

– Powiedz mu, że nie będziesz się z nim spotykać – polecił.

Potem zabrał ją na wystawę do Zachęty.

Od tego dnia wyznaczał jej regularne spotkania co dwa dni. Kazał jej opowiadać, co robiła. Potem z torebki brał kalendarz i porównywał, czy mówi prawdę. Z pozoru się zgadzało, ale wiedział, że go oszukuje, a zapiski w notesie są fałszywkami spreparowanymi dla niego. Śledził ją i widział, że spotkała się z Tomkiem, próbowała mu wytłumaczyć, co się stało. Chłopak wstał od stolika i wyszedł. Poczekał, aż opowie, jak tego dnia uczyła się do sesji, po czym, gdy na dworze zrobiło się ciemno, zabrał ją na spacer po parku. Alejką doszli do stawu. Upewnił się, że są sami, po czym mocno złapał ją za nadgarstek.

– Dlaczego mnie okłamujesz?

– Nie okłamuję.

Wyjął telefon i pokazał jej zdjęcie, które im zrobił w trakcie spotkania.

– A to co?

Przestraszona milczała.

– Nie może pan niszczyć mojego życia. To, że zrobiłam błąd i kupiłam dwa gramy, nie daje panu do tego prawa.

Musiał natychmiast zdławić tę oznakę buntu. Obrócił ją do drzewa i wymierzył kilka mocnych uderzeń w pośladki.

– Nie okłamuj mnie więcej, jeśli nie chcesz skończyć z wyrokiem – zażądał. – Dopóki nie przekonam się, że byłaś wobec mnie uczciwa, a na razie coraz mniej na to wskazuje, mam obowiązek zamieszkać w twoim życiu jako kurator.

Od tego czasu już go nie oszukiwała. Zauważył też, że wieczorami przestała gdziekolwiek wychodzić. Po dwóch tygodniach pochwalił ją i w nagrodę zabrał do teatru. Pod jej domem po raz pierwszy ją pocałował, wargi miała nieruchome i zimne. Spodobało mu się to.

Marzena nie spała całą noc. Chciała iść na policję, ale się bała. Nad ranem wiedziała już, że się nie odważy. Następnego dnia poczuła, że musi odreagować. Zawsze jeśli chciała o czymś zapomnieć, chodziła na zakupy. Tak zrobiła i tym razem, po zajęciach pojechała do swojego ulubionego sklepu. Sukienka była jak uszyta na nią. Obracając się przed lustrem, wiedziała, że są dla siebie stworzone.

– Biorę – oświadczyła sprzedawczyni, podając kartę.

– Niestety, mamy popsuty terminal – powiedziała ekspedientka. – Musi pani zapłacić gotówką.

Nie miała gotówki, za to bardzo chciała mieć tę sukienkę. Najbliższy bankomat był w banku obok. Wbijając PIN, zobaczyła go przechodzącego obok kas. Odruchowo przesunęła się w bok, żeby jej nie zauważył. Na szyi miał zawieszony identyfikator z logo banku. Co on tu robi, zastanawiała się. I wtedy zdała sobie sprawę, że on ją oszukuje, wcale nie jest policjantem, a ona głupia w to uwierzyła. W pierwszym odruchu zdecydowała, że pójdzie od razu na policję. Po chwili jednak przyszło opamiętanie, czy ktoś uwierzy w jej historię. On zaprzeczy wszystkiemu. Powie, że jej nie zna, a jeśli nawet jej uwierzą, to przecież będzie musiała opowiedzieć o marihuanie. Mogłoby się to skończyć skierowaniem na leczenie psychiatryczne albo zarzutami karnymi. Przez chwilę zastanawiała się, co robić, po czym błyskawicznie podjęła decyzję. Zdemaskuje go natychmiast, tu i teraz. Jeśli będzie wiedział, że ona domyśliła się, kim on naprawdę jest, przestraszy się i zniknie z jej życia raz na zawsze. Zapominając o sukience, zdecydowanym krokiem weszła do sali operacyjnej i stanęła przed nim.

– Możemy porozmawiać? – spytała.

Dostrzegła w jego oczach strach, ale trwało to ułamek sekundy. Musiał mieć nerwy ze stali.

– Oczywiście, wejdźmy do mnie – odpowiedział miłym głosem i wzięwszy ją mocno pod łokieć, poprowadził ze sobą. Dała się zaskoczyć. Potrzebowała kilku chwil, żeby ochłonąć, i nim zagroziła, że jeśli jej nie zostawi, to zacznie krzyczeć, znaleźli się w jego gabinecie.

Posadził ją w skórzanym fotelu i usiadł naprzeciwko.

Na identyfikatorze widniało jego imię i nazwisko: Kajetan Pogoda. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie jesteś policjantem? – spytała tonem wskazującym, że jest tego pewna i czeka tylko na potwierdzenie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Gdy była pewna, że wygrała, mężczyzna niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – spytała zdezorientowana.

– Z twojego zdziwionego wyrazu twarzy. Widzę, że będę musiał ci wszystko opowiedzieć, pod warunkiem że przyrzekniesz zachować to w tajemnicy.

– Niczego nie obiecuję, dopóki się nie dowiem, o co chodzi – zaprotestowała.

– Skoro tak, to nic ci nie powiem.

– Jeśli nie powiesz, zacznę krzyczeć i wezwę pomoc – zagroziła.

– Dobrze – skapitulował. – Zaufam ci, ale pamiętaj, to, co teraz usłyszysz, jest tajemnicą państwową i nie możesz o tym powiedzieć absolutnie nikomu. Jestem oficerem Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Dwa miesiące temu dostaliśmy informację, że w tym banku dochodzi do poważnych działań korupcyjnych. Żeby to sprawdzić i zdobyć dowody, musieliśmy przeniknąć do wnętrza banku. Ponieważ z wykształcenia jestem ekonomistą, zostałem wyznaczony do tej operacji. Dowiedzieliśmy się, że bank przeprowadza nabór nowych pracowników. Złożyłem papiery i wygrałem konkurs. Jesteśmy na ostatnim etapie śledztwa i dlatego wyprowadziłem cię z sali, żebyś mnie nie zdekonspirowała.

Marzena straciła dotychczasową pewność siebie. Zastanawiała się, co ma zrobić, gdy zdała sobie sprawę, że coś jej się nie zgadza w opowieści mężczyzny.

– Przecież powiedziałaś, że pracujesz w wydziale antynarkotykowym – rzuciła, zanim ugryzła się w język. Spojrzała na niego zaniepokojona, jak zareaguje, i nagle uświadomiła sobie, że jest przystojny. Dotychczas widziała w nim tylko policjanta.

– Obiecałem, że powiem ci całą prawdę – mówił powoli łagodnym głosem, patrząc jej prosto w oczy. – Jestem funkcjonariuszem Centralnego Biura Antykorupcyjnego i nigdy nie pracowałem w wydziale antynarkotykowym. Zobaczyłem cię przypadkowo w galerii i pomyślałem, że jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Chciałem z tobą nawiązać znajomość, ale nie miałem pomysłu, jak to zrobić. Wtedy usiadłaś na ławce, a zaraz potem przysiadł się do ciebie diler, którego znam z naszych kartotek. Uznałem, że to moja jedyna szansa. Mogłaś nie chcieć rozmawiać ze mną jako przypadkowo spotkanym mężczyzną, ale musiałaś rozmawiać z policjantem. Postanowiłem skorzystać z tej szansy. Sfingowałem twoje zatrzymanie. W ten sposób mogłem się dowiedzieć o tobie wszystkiego i zmusić cię, żebyś się ze mną spotykała.

Marzena nie mogła zapanować nad swoimi myślami. Nie potrafiła ocenić, czy to, co usłyszała, jest prawdą. Od nadmiaru emocji kręciło jej

się w głowie. Musi stąd wyjść. Zerwała się i wybiegła z jego gabinetu.

Kajetan otarł czoło dłonią. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest spocony, a serce bije mu z szybkością młota pneumatycznego. Kurwa – zaklął bezgłośnie, z trudem powstrzymując się, by nie uderzyć pięścią w stół. O mały włos. Był z siebie dumny, że wykazał się refleksem i zdołał na poczekaniu wymyślić historię wyjaśniającą jego obecność w banku. Tylko czy ją przekonał? Czy nie pójdzie na policję? A jeśli uwierzy, że jest jego wielką miłością? Podoba mu się, jest ładna i inteligentna, lubił patrzeć na jej strach, lubił jej rozkazywać, ale to nie miało nic wspólnego z uczuciem. Zdał sobie sprawę, że zagrożenie nadal istnieje. Oddaliło się tylko na chwilę. Jeśli teraz mu uwierzyła, a potem uświadomi sobie, że ją oszukał, może stać się jeszcze niebezpieczniejsza. Byłby przez całe życie uzależniony od dziewczyny, którą poznał w galerii.

Gdyby tak zamilkła na wieki... Wiedział jednak, że prawdopodobieństwo jej nagłej i niespodziewanej śmierci, powiedzmy pod kołami rozpędzonego samochodu, z punktu widzenia statystyki jest zbliżone do zera.

Zdał sobie sprawę, że potrzebuje pomocy. Kolega z liceum był cenionym adwokatem od spraw karnych, co kilka miesięcy umawiali się na wspólny lancz. Postanowił z nim porozmawiać przed ponownym spotkaniem z Marzeną.

Spotkali się godzinę później w tajskiej restauracji. Kajetan pomny zasady, że nikomu nie należy ufać, a tym bardziej najbliższym, streścił sytuację, w której się znalazł, pomijając kilka kompromitujących szczegółów. Powiedział, że taka sytuacja przydarzyła się koledze w banku, i chcąc mu pomóc, w jego imieniu prosi o radę. Sprawę przedstawił w ten sposób, że ów kolega, chcąc poderwać dziewczynę, która mu się spodobała, zatrzymał ją, podając się za policjanta, a następnie ją zrewidował, zmusił do następnych spotkań, a na koniec lekko przetrzepał jej skórę.

– Twój kumpel wdepnął w niezłe gówno – ocenił mecenas, gdy Kajetan skończył opowiadać. – Z tego da się postawić zarzuty z kilku paragrafów: bezprawne podawanie się za policjanta, stalking, naruszenie nietykalności cielesnej, a jak prokurator się zaweźmie, to może jeszcze dorzucić molestowanie seksualne.

– Jaki może być za to wyrok?

– Za coś takiego sąd może orzec nawet bezwzględną odsiadkę.

Słyszając taki werdykt, Kajetan aż jęknął w duchu.

– Czyli może pójść siedzieć – upewnił się.

– Do tego jeszcze daleko – uspokoił go mecenas. – Zanim go skazają, muszą mu to jeszcze udowodnić. Musieliby zatem dać wiarę dziewczynie. A to nie takie oczywiste. Przyjrzyjmy się tej sprawie hipotetycznie. Gdyby twojemu kumplowi udało się wykazać, że spotykał się z dziewczyną, a potem się rozstali, to wątpię, żeby sąd uwierzył w jej historię. Raczej uznałby, że to historyczne wymysły urażonej byłej, chcącej się zemścić na mężczyźnie, który zranił jej uczucia. Daj kumplowi mój telefon, myślę, że uda mi się go wyciągnąć z tego bagna.

Kajetan poczuł się jak wycieńczony rozbitek na środku oceanu, który nagle spostrzegł statek płynący z odsieczą. Z trudem powstrzymał się przed uściskaniem przyjaciela. Jak widać instynkt, którym się kierował, mówiąc Marzenie, że przedstawił się jej jako policjant, ponieważ oszołomiła go swoją urodą, podsunął mu najlepsze rozwiązanie. Jeśli spotka się z nią kilka razy i będzie miał na to świadków, nikt jej później nie uwierzy, gdyby postanowiła opowiedzieć prawdziwą historię. Będzie jasne, że to zemsta, a on będzie bezpieczny. Zapłacił za lancz i wrócił do biura. Tam zwalczył pokusę, by do niej zadzwonić. Bał się, że nie zgodzi się na spotkanie. Postanowił działać z zaskoczenia. Następnego dnia z olbrzymim bukietem kwiatów czekał na nią przed wydziałem psychologii.

– To, co powiedziałem ci wczoraj, to nie była cała prawda.

Spojrzała na niego pytająco przestraszona, jakie jeszcze mogą na nią spaść niespodzianki.

– Zakochałem się w tobie – wyznał Kajetan. – Myślałem o tym całą noc i postanowiłem ci o tym powiedzieć.

– I dlatego mnie złałeś? – spytała, nawiązując do wydarzenia w parku.

– To był szalony sposób zwrócenia na siebie uwagi – wyznał, pokornie spuszczać głowę. – Wybaczysz mi?

– Nie wiem.

– Daj mi szansę. Zapraszam cię na kawę. – Ujął ją delikatnie za rękę.

– Nic o tobie nie wiem, kim ty naprawdę jesteś? – spytała, gdy usiedli w kawiarni Bliklego na Nowym Świecie.

Kajetan zdawał sobie sprawę, że jego nowej tożsamości dziewczyna mogłaby nie wytrzymać i zdecydował się pozostać przy wersji oficera Centralnego Biura Antykorupcyjnego wykonującego tajną misję. Przez

kilka minut bawił ją szczegółami swojej pracy i przygodami, jakie w niej przeżywał. Obserwując twarz dziewczyny, wyczuł, że powoli odzyskuje jej zaufanie.

– Dlaczego ci się podobam? – spytała, gdy skończył opowiadać kolejną wymyśloną anegdotę.

Kajetan uznał, że nadszedł decydujący moment. Żeby wygrać, musi dać z siebie wszystko. Byle nie przesadzić, pomyślał i ruszył do natarcia. Opowiedział, jak zobaczył ją po raz pierwszy i nie chciał, żeby zniknęła. I jak się bał, że nie będzie zainteresowana rozmową z obcym. A także o tym, że chciał zainteresować ją sobą w czasie ich spotkań.

– I właśnie dlatego doprowadziłeś do tego, że zerwałam ze swoim chłopakiem?

– Tak – przyznał.

Umówili się na następny dzień. W drodze do domu Kajetan przygotowywał plan. Musi ją jeszcze oswoić, a potem wytłumaczy jej, że nigdy pod żadnym pozorem nie może rozmawiać z innymi o jego pracy. Znajomi wiedzą, że jest ekonomistą zajmującym się finansami. Zacznie się z nią pokazywać na mieście i przedstawiać ją jako swoją dziewczynę. Pójdą razem na doroczny bal bankowca. Kiedy otoczenie zacznie ich traktować jako parę, będzie już bezpieczny.

Z bukietem kwiatów czekał na ławce przed wydziałem. Poszli na spacer nad Wisłę, a potem zaprowadziła go do kawiarni na barce zacumowanej w Porcie Czerniakowskim. Pili kawę, patrząc na wodę. Zastanawiał się, czy już czas, żeby wziąć ją za rękę, zastanowiło go jednak, że sprawiała wrażenie trochę rozkojarzonej.

– Coś się stało? Myślamy jesteś gdzie indziej.

– Nie, nic – odparła bez przekonania.

– Proszę, powiedz. – Wziął ją za rękę, a ona nie zaprotestowała. Przez chwilę siedzieli w ciszy, jakby się zastanawiała, czy może mu zaufać i wyjawic swój sekret.

– Zginął mi pierścionek, nic wartościowego, ale pamiątka, dostałam go od mamy. Był z białego złota z maleńkim słodkim diamentkiem. Nie noszę go na co dzień, ale postanowiłam, że włożę na nasze dzisiejsze spotkanie. Miałam go dzisiaj na zajęciach jogi. Zdjęłam na chwilę i położyłam na parapecie, szukałam czegoś w torbie. Wtedy zniknął.

– Może po prostu spadł?



– Nie, sprawdziłam wszystko. Musiał go ktoś ukraść. Podejrzewam, że to Kaśka, dziewczyna z roku. Stała najbliżej mnie.

– Dlaczego nie zawiadomiłaś policji?

– Nie miałam dowodu, że to ona. To tylko przeczucie. Pomyśl, co by się stało, gdybym się pomyliła, albo ona zdążyłaby go wyrzucić i policja nic by nie znalazła. Uznaliby mnie za donosicielkę i nikt do końca studiów by się do mnie nie odezwał. Wolałam na to machnąć ręką. Nic się nie stało, tylko mi trochę smutno.

Objął ją ramieniem i delikatnie pogładził po włosach. Realizował swój plan szybciej, niż sam założył.

Pod wieczór zaoferował, że odprowadzi ją do domu.

– Muszę po drodze zajrzeć po coś do Galerii Mokotów.

– Pojedziemy razem – zaproponował.

To coś okazało się fioletowymi szpilkami na bardzo wysokim obcasie. Obracała się w nich przed lustrem, zalotnie pytając, jak mu się w nich podoba. Nagle zatrzymała się w połowie kolejnego obrotu.

– Co się stało?

– To ona. – Wskazała dyskretnie kobietę stojącą w wejściu.

– Kto? – nie zrozumiał.

– Kaśka, ta od pierścionka.

Przyjrzał się jej i widok krągłych bioder i odsłoniętych opalonych nóg pod skąpą spódniczką podniecił go. Jeśli dziewczyna ukradła, to miała powód, żeby bać się policjanta. Wyobraził sobie, jak przestraszona prosi go, żeby puścił ją wolno.

– Poczekaj, załatwię to.

– Co chcesz zrobić?

Podszedł do dziewczyny i stanowczym ruchem ujął ją pod ramię.

– Policja, proszę za mną. Jest pani podejrzana o kradzież.

Wyczuł, że znieruchomiała, przez ułamek sekundy zastanawiając się, co ma zrobić, po czym poddała się i pozwoliła mu się wyprowadzić ze sklepu. Gdy przekręcił zamek w drzwiach toalety, podjęła rozpaczliwą próbę wybrnięcia z opresji.

– Skąd mam wiedzieć, że jest pan policjantem?

Pokazał jej legitymację.

– Ma pani skradzioną biżuterię. Wyda ją pani dobrowolnie czy mam panią przeszukać?

– To jakaś pomyłka. Niczego nie ukradłam – zaprotestowała.

– Dostrzegł, że rozmawiając z nim, próbowała coś ukryć z tyłu pod spódniczką.

A więc Marzena miała rację. Złapał dziewczynę, odwrócił tyłem do siebie i oparł o blat umywalki.

– Rozepnij spódnicę! – rozkazał.

– Nie! Co pan robi? – krzyknęła.

– Muszę cię przeszukać – rozpiął guzik i zsunął spódnicę. Jej pośladki były opalone i krągłe. Pod gumką majtek dostrzegł wypukłość.

– Proszę przestać. Proszę nie ściągać mi majtek – jęknęła.

Wyjął pierścionek i obejrzał. Rzeczywiście był ładny, tak jak mówiła Marzena.

– Muszę cię spisać.

Sięgnął po jej torebkę i wyjął z niej portfel. Nadal trzymał ją przypartą do blatu, a jej bliskość sprawiała mu przyjemność.

– Dlaczego go ukradłaś?

Rozpłakała się. Czekał, aż go poprosi, żeby ją puścił. Zamiast tego dziewczyna płakała coraz głośniej. Zrozumiał, że sam musi jej podpowiedzieć to rozwiązanie.

– Chcesz, żebym zabrał cię na komisariat?

– Nie – wyszeptała.

– Dobrze – zdecydował. – Nie wyglądasz na złodziejkę, dam ci szansę i cię puszcze, a pierścionek konfiskuję.

Pomyślał, że to nie jest ich ostatnie spotkanie. Odszuka ją, gdy skończy z Marzeną.

– Gdzie Kaśka? – spytała Marzena, gdy znalazł ją w sklepie z butami.

– Odzyskałem. – Podał jej pierścionek.

Pocałowała go w podziękowaniu.

– Spotkamy się jutro? – spytał, gdy odprowadził ją pod dom.

– Bardzo chętnie.

– Na pewno się nie rozmyślisz? – przekomarzał się.

– Na pewno. Jeśli mi nie wierzysz, zostawię ci pierścionek jako zastaw. Zdjęła go z palca i włożyła mu w dłoń.

Rano obudził go dzwonek do drzwi. Zaspany poszedł otworzyć. Na klatce stało trzech umundurowanych policjantów. Po przeszukaniu mieszkania zabrali go, niczego nie wyjaśniając, na komisariat. Wprowadzono go do pokoju i ustawiono wśród trzech innych mężczyzn naprzeciwko dużego lustra. Potem przynieśli protokół do podpisania.

Wynikało z niego, że ktoś, kto był z drugiej strony, wskazał go jako sprawcę. Nadal nikt mu nie chciał niczego wyjaśnić.

– Zabieramy cię do prokuratora – zdecydował policjant.

Pokój, do którego go wprowadzono, był mały i wąski. Posadzono go na krześle naprzeciwko trzydziestokilkuletniej kobiety o surowych rysach.

– Wiesz, dlaczego jesteś zatrzymany? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Nie mam pojęcia – zaprzeczył.

Nie mają żadnych dowodów, to musi być jakieś nieporozumienie, powtarzał sobie w duchu.

– Przeczytaj zarzuty. – Prokurator podała mu postanowienie.

Czytając, był coraz bardziej zdumiony. Oskarżano go o to, że wczoraj w Galerii Mokotów, podając się za policjanta, kazał Katarzynie Góraj iść ze sobą do toalety dla niepełnosprawnych, gdzie dopuścił się wobec niej czynów lubieżnych polegających na zdjęciu majtek i dotykaniu pośladków, a następnie zabrał jej złoty pierścionek z brylantem o wartości dwóch tysięcy czterystu złotych.

– Przyznajesz się?

– Nie – zaprzeczył odruchowo, zastanawiając się, w jaki sposób mogli go zidentyfikować.

– Chcesz składać wyjaśnienia? – spytała prokurator.

– Nie – zaprzeczył, nie wiedząc, co mógłby powiedzieć.

– Dziwię ci się. – Westchnęła. – Znaleźliśmy u ciebie skradziony pierścionek, znaleźliśmy też fałszywą odznakę policyjną. Pani Góraj rozpoznała cię, co więcej, w trakcie zdarzenia udało jej się włączyć dyktafon w telefonie i mamy nagraną całą waszą rozmowę. Słysząc, jak każesz jej zdjąć spódnicę.

Kajetan poczuł, że się poci.

– Jak mnie znaleźliście? – spytał zduszonym głosem.

– Miałaś pecha, ona była klientką banku, w którym pracujesz, rozpoznała cię.

Kurwa, zaklął bezgłośnie, rzeczywiście miał pecha. Zatem jego zatrzymanie to był zwykły przypadek. Dziewczyna znała go z widzenia, a on jej nie zapamiętał. Jak się bronić?, zastanawiał się. Uspokoił myśli i zaczął racjonalnie analizować sytuację. Jeśli ona wszystko nagrała na dyktafon, to wypieranie się nie miało sensu. Musi udowodnić,

że zabrał pierścionek nie po to, żeby go ukraść, tylko żeby oddać prawowitej właścicielce. To nie on, tylko ona go ukradła. Podał się za policjanta, żeby go odzyskać, to był stan wyższej konieczności, a spódnicę rozpiął nie dlatego, że ją molestował, tylko dlatego, że tam ukryła ukradziony pierścionek.

– Zmieniłem zdanie, chcę złożyć zeznania – odezwał się w końcu.

– Chłopiec zmańdrał – skomentowała prokurator.

Opowiedział do protokołu, że jego dziewczynie ukradziono pierścionek. Podejrzewała o to swoją koleżankę, którą tego dnia spotkali przypadkowo w galerii. Chciał zaimponować Marzenie i postanowił odzyskać skradzioną własność, używając niekonwencjonalnej metody.

– Sprawdźmy to. Do tego czasu poczekaś na dołku – zdecydowała prokurator.

Po kilku godzinach wrócił do pokoju przesłuchań. Była tam Marzena.

– Czy zna pani tego człowieka? – spytała prokurator.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo.

– A czy wie pani coś o ukradzionym pierścionku?

– Nie.

Prokurator wyszła, żeby przynieść wydrukowany protokół przesłuchania z drukarki.

Wykorzystując ten moment, Marzena pochyliła się do jego ucha i szepnęła:

– Zorientowałam się, że jesteś w trakcie tajnej akcji. Tak jak prosiłeś, nie przyznaję się do znajomości z tobą. Mam nadzieję, że dopadniesz szybko tych złoczyńców. Tęsknię. – Mrugnęła do niego okiem i podpisała przyniesiony protokół.

– Fajne alibi. – Po raz pierwszy prokurator się uśmiechnęła. – To co, chłopczyku, wracasz na dłużej do celi.

– Ona kłamie – protestował Kajetan. – To znaczy nie kłamie, tylko myśląc, że mi w ten sposób pomaga, nie mówi prawdy. Robi tak z miłości do mnie. Na szczęście mogę inaczej udowodnić, że ta Góraj kłamie. One razem studiują psychologię. Miały zajęcia jogi i wtedy Góraj ukradła ten pierścionek. Musi pani to sprawdzić.

Prokurator zajrzała do teczki z aktami.

– Znowu kłamiesz, chłopczyku. Pani Katarzyna Góraj studiuje, ale nie psychologię w Warszawie, tylko historię sztuki w Niemczech.

Podniosła słuchawkę telefonu i rzuciła:

– Zabierzcie go do celi.

Gdy został wyprowadzony przez policjantów, przygotowała wniosek o tymczasowe aresztowanie podejrzanego.

Wieczorem w kawiarni było tłoczno. Dwie kobiety usiadły przy stoliku w samym rogu sali i zamówiły butelkę czerwonego wina.

– Kiedy się zorientowałaś, że cię oszukuje? – spytała Kasia.

– Wieczorem tego dnia, gdy mi powiedział, że jest funkcjonariuszem Centralnego Biura Antykorupcyjnego i od dwóch miesięcy udaje pracownika banku. Sprawdziłam w internecie, pracował tam od dwóch lat – powiedziała Marzena.

– To dlaczego nie poszłaś na policję? – drążyła zaintrygowana przyjaciółka.

– Najpierw bałam się, że będę odpowiadać za te dwa gramy marihuany, które przy mnie znalazł, a gdy byłam już gotowa wszystko opowiedzieć, adwokat uznał, że nikt w tak zwariowaną historię nie uwierzy. Pomyślałam, że chcę się na nim zemścić. Mówił, że samo słowo nie wystarczy, i muszę mieć dowody jego winy, a nie mogłam ich zdobyć, bo on już wtedy udawał, że mnie kocha. Więc wymyśliłam sposób, żeby udowodnić, co on robi, podsuwając mu kogo innego. Stąd ta historia z ukradzionym pierścieniem. A potem poprosiłam o pomoc ciebie. Zachował się tak, jak przewidywałam. Bilans wyjdzie na zero. To mnie mówił, że jest policjantem, mnie molestował i mnie okradł z narzeczonego, a zostanie skazany prawie za to samo, tylko pokrzywdzona jesteś ty. Co to za różnica, przecież odpowie za to, co zrobił.

– A jeśli on chcąc udowodnić, że kłamiesz, pokaże to oświadczenie, w którym przyznałaś się do posiadania dwóch gramów marihuany? – zaniepokoiła się Kasia.

– Myślałam o tym. Wtedy ja ujawniłabym okoliczności, w jakich je napisałam. Nie jestem już jedyną ofiarą i prokurator by mi uwierzył. On zrozumie, że dużo lepiej dla niego będzie odpowiadać za jedno przestępstwo, a nie za dwa. Jemu, tak samo jak mnie, powinno zależeć, by w tej sprawie zapadł sprawiedliwy wyrok. Nie jestem mściwa. Wystarczy oko za oko.

## Postowie

**P**odobno najbardziej fascynujące opowieści pisze życie. Finały zaś dużej części tych mrożących krew w żyłach historii rozgrywają się na sali sądowej. Stykając się ze sprawami karnymi, adwokaci powinni więc być rozchwytywanymi autorami powieści kryminalnych. Wiedzą więcej od reporterów sądowych, wiadomości czerpią bowiem z samego źródła, czyli od oskarżonego, kiedy słuchają jego zwierzeń, przygotowując linię obrony. Nie muszą niczego wymyślać, wystarczy, że opiszą wydarzenia, które znają z pierwszej ręki.

Wydaje się więc, że adwokackie opowieści powinny zajmować pierwsze miejsca na listach kryminalnych bestsellerów. Ale, jak wiadomo, pisarzy wywodzących się z palestry jest niewielu.

Najważniejszą przyczyną jest to, że obrońcę obowiązuje tajemnica zawodowa, czyli bezwzględny zakaz ujawniania faktów, które poznał, udzielając porady prawnej klientowi. Aby skutecznie działać, adwokat powinien znać również takie elementy sprawy, którymi oskarżony nie zamierza dzielić się z sądem. A opowiadając o nich obrońcy, musi mieć pewność, że jego zwierzenia nigdy nie wyjdą na jaw.

Prowadząc obronę, adwokat zobowiązany jest działać na korzyść oskarżonego, zatem w procesie może posługiwać się jedynie informacjami mogącymi pomóc klientowi. Poznanie innych faktów, tych niekorzystnych, służy temu, by ani nie zadawać pytań, ani nie zgłaszać dowodów, które mogą podsądnemu zaszkodzić.

Adwokat – jak ksiądz związany tajemnicą spowiedzi – wszystkie poznane podczas udzielania pomocy prawnej szczegóły powinien zabrać ze sobą do grobu. Tajemnica obrończa nie przestaje obowiązywać ani wraz z upływem czasu, ani po śmierci klienta, a żaden sąd nie jest uprawniony, by zwolnić z niej obrońcę.

Nie oznacza to oczywiście, że mając takie gwarancje, klienci zawsze są szczerzy ze swoimi prawnikami. Często nas oszukują i dlatego nie chcąc przeżyć rozczarowania, a czasem nawet kompromitacji na sali sądowej, z dużą ostrożnością podchodzimy do ich relacji. Zgodnie z najgorliwszymi zapewnieniami większości klientów są oni niewinnymi ofiarami wymiaru sprawiedliwości. I choć zdarzają się bezpodstawne oskarżenia, są to jednak pojedyncze przypadki.

Zatem broniąc, często nie wiemy, jak było naprawdę. I czasem spotykają nas niemiłe niespodzianki. Oto najpierw jesteśmy zapewniani przez klienta o jego niewinności, a po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego dowiadujemy się od klienta, że on jednak to przestępstwo popełnił. Związani tajemnicą zawodową nie możemy o swojej frustracji opowiedzieć nawet psychiatrze.

Tajemnicą objęte jest jednak tylko to, co adwokat usłyszał od swojego klienta podczas porady. Same procesy są jawne, o wydarzeniach rozgrywających się na sali sądowej obrońca może mówić publicznie. Adwokaci z zacięciem literackim mogliby zatem opisywać to, co widzieli i słyszeli w czasie procesu, ale w takiej relacji zabrakłoby emocji towarzyszącej rozmowom prowadzonym z klientem.

A poza tym klienci, nawet ci uniewinnieni, pragną, by ich sprawa jak najszybciej uleciała z ludzkiej pamięci. Powracanie do tego, nawet w formie literackiej, byłoby nadużyciem ich zaufania. Są oczywiście procesy, które przechodzą do historii i do których opinia publiczna często powraca. O takich sprawach adwokat oczywiście może się wypowiadać, bo jest to element dalszej obrony klienta, tym razem przed sądem opinii publicznej, który często nie kończy się wraz z rozstrzygnięciem procesu.

Adwokaci – poza nielicznymi wyjątkami – nie piszą książek o prowadzonych przez siebie sprawach, ale nie oznacza to, że nie zajmują się literaturą kryminalną. W Ameryce od lat na listach bestsellerów królują thrillery sądowe mecenasa Johna Grishama, który znudzony pracą dla korporacji zdecydował się na karierę pisarską. W Niemczech olbrzymie literackie sukcesy odnosi praktykujący obrońca karny Ferdinand von Schirach. Ta popularność nie dziwi, ponieważ sąd sam w sobie to niezwykle interesujące miejsce, a to, co się w nim rozgrywa, może stać się pasjonującą lekturą.

Czytając, warto jednak pamiętać, że po kilkunastu latach spędzonych na sali sądowej niemożliwe jest całkowite oddzielenie literackich pomysłów od własnych przeżyć. Często to, co wydaje się wytworem wyobraźni, autor przeżył w trakcie rozprawy przed laty, a teraz nieświadomie wplata swoje doświadczenia w literacką fabułę.

Opowiadania zebrane w tej książce są literacką fikcją, a opisane w niej postaci nigdy nie istniały. Jednak w większości wypadków inspiracją był jakiś epizod z mojego życia zawodowego. Historie

wszystkich bohaterów i ich sylwetki zmieniłem tak, by nie mogły być kojarzone z żadną konkretną sprawą.

Większość ludzi ma poczucie sprawiedliwości, które domaga się, aby osoby winne ponosiły karę, niewinne zaś słyssały wyrok uniewinniający. Niestety, nie zawsze tak się dzieje. Pomyłka sądowa to nieodłączny towarzysz wymiaru sprawiedliwości. Sędziowie orzekają na podstawie zebranych dowodów, które mogą być zmanipulowane lub źle ocenione. Każdego można oszukać, również prokuratora, sędziego i własnego obrońcę.

Słuchając wyjaśnień oskarżonych czy zeznań świadków, za każdym razem zastanawiam się, który z nich kłamie, a który mówi prawdę. W każdej sprawie, nawet tej z pozoru jednoznacznej, pojawiają się wątpliwości. Coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się oczywiste, może być wynikiem manipulacji lub nieprawdziwych zeznań świadków. Fałszywie kogoś oskarżając, można wyeliminować niewygodnego konkurenta w interesach, rywala w sprawach sercowych lub dokonać aktu zemsty. Dlatego znając wielość ludzkich celów i motywacji, prawnik nigdy nie powinien odrzucać żadnych, nawet najbardziej nieprawdopodobnych wersji, ani też od razu przyjmować za pewnik czegoś, co z pozoru nie budzi wątpliwości.

Warto też pamiętać o tym, że w czasie gdy informacje medialne w kilka sekund obiegają świat, często sami stajemy się częścią składu orzekającego w sądzie opinii publicznej. Werdykty w tym procesie wydawane są w trybie przyśpieszonym, a ich konsekwencje bywają dotkliwsze niż decyzje prawdziwych sądów. Bywa, że sąd opinii publicznej na podstawie strzępków informacji wydaje wyrok skazujący, którego skutki są dla oskarżonego dramatyczne.

Jako społeczeństwo nauczyliśmy się ferować szybkie wyroki na podstawie telewizyjnych migawek i gazetowych notek, wychodząc z założenia, że jeśli prokurator kogoś oskarżył, to coś musi być na rzeczy. Dobrze jednak pamiętać, że nie zawsze sprawy przedstawiają się tak, jak wydaje się na pierwszy rzut oka.

Zebrane w tym tomie opowiadania mają przestrzegać przed pozorami i ferowaniem zbyt schematycznych wyroków. Bo często rzeczy oczywiste w istocie takimi nie są. Opisane historie pokazują także, że bezprawie może zwyciężyć na salach sądowych, narzędziem zaś do osiągnięcia bezprawnego skutku mogą okazać się obowiązujące przepisy, które



w założeniu powinny służyć sprawiedliwości. Temat ten fascynuje mnie od dawna. No cóż, Temida nie zawsze jest sprawiedliwa.

Copyright © 2017 Edipresse Polska SA  
Copyright for text © 2017 Jacek Dubois

Edipresse Polska SA  
ul. Wiejska 19  
00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska  
Redaktor inicjujący: Natalia Gowin  
Produkcja: Klaudia Lis  
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska  
Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska  
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),  
Beata Konik (tel. 22 584 25 73), Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Zdjęcie na okładce: Nejrón Photo/Shutterstock.com  
Zdjęcie autora: Rafał Masłów  
Redaktor prowadzący: Anna Kielan

Redakcja: Katarzyna Szajowska  
Korekta: Bożena Hulewicz  
Projekt graficzny okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz  
Skład i łamanie: Graph-Sign

Biuro Obsługi Klienta  
[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)  
mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)  
tel.: 22 584 22 22  
(pon.-pt. w godz. 8:00-17:00)  
[www.facebook.com/edipresseksiazki](http://www.facebook.com/edipresseksiazki)

ISBN: 978-83-7945-811-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.